

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

Markiz



DC
DA CARO

PATRICIA CABOT

PATRICIA CABOT

Markiz

Przełożyła
Monika Wiśniewska

DC

Wydawnictwo Da Capo
Warszawa

Tytuł oryginału
A LITTLE SCANDAL

Copyright © 2000 by Patricia Cabot

Koncepcja serii
Marzena Wasilewska-Ginalska

Ilustracja na okładce
Robert Pawlicki

Opracowanie graficzne okładki
Sławomir Skryśkiewicz

Skład i łamanie
„Kolonel”

For the Polish translation
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-595-5

**Druk i oprawa: Nowa Drukarnia Wydawnicza S.A.
Kraków. Zam. 228/01**

Dla Benjamina

CZĘŚĆ PIERWSZA

i

4

1

Londyn, kwiecień 1870

Nie jadę. - Dziewczyna wiała się w uścisku starszego od niej mężczyzny. - Mówiłam ci już. Puść mnie!

Był już zmęczony przekonywaniem jej. Czasami wydawało mu się, że jedyne, czym zajmował się przez ostatnie siedemnaście lat, to przekonywanie i kłócenie się z nią.

- Jedziesz - oświadczył tak groźnie, że stojący obok powozu lokaj wyprostował się i kierował wzrok wszędzie, byle nie w stronę pracodawcy.

- Nie jadę! - krzyknęła ponownie starając się wyszarpnąć nadgarstek z silnych męskich dłoni. - Powiedziałam, żebyś mnie puścił.

Mężczyzna westchnął. A więc w taki sposób miało się to potoczyć. No cóż, powinien był przewidzieć. Wszystko na to przecież wskazywało. Przed godziną wiązał przed lustrem na nowo fular. Duncan był doskonałym lokajem, to prawda, ale starzał się, stawał zupełnie niepodatny na subtelne zmiany w męskiej modzie, które zresztą niezmiernie go irytowały. Fular chlebowadcy wciąż wiązał tak, jak robił to od ponad dwudziestu lat, zmuszając tym samym Burke'a do wiązania

go po kryjomu na nowo. Gdy właśnie to robił godzinę temu. do salonu całkowicie bez zapowiedzi wpadła panna Pitt, najwyraźniej silnie poruszona.

- Mój panie! - zawołała starsza pani. Po jej okrągłych policzkach spływały strumienie łez. - Ona jest niemożliwa! Niemożliwa, słyszy pan? Od nikogo, powtarzam, od nikogo nie można oczekiwać, że pogodzi się z tak obraźliwym zachowaniem... - Przycisnęła trzęsącą się dłoń do ust i opuściła pomieszczenie.

Burke nie miał całkowitej pewności, ale wyglądało na to, że panna Pitt właśnie złożyła wymówienie. Z westchnieniem dokończył wiązanie fularu. Teraz już nie było potrzeby, żeby świetnie wyglądał. Tego wieczoru nie będzie, jak wcześniej planował, cieszył się towarzystwem niezrównanej Sary Woodhart. Nie, będzie musiał zastąpić pannę Pitt i towarzyszyć Isabel na balu kotyliowym u lady Peagrove.

Niech to wszyscy diabli!

A teraz to widać się w jego uścisku bezczelne dziewczynisko próbowało go ugryźć - tak, ugryźć - żeby tylko się uwolnić. Miał szczerą nadzieję, że nie widział tego zaden z sąsiadów. Takie publiczne okazywanie złości zaczynało się stawać nieco krepujące. Jeszcze kilka lat temu, gdy córka była młodszą i mniejszą, nie miałyby to w ogóle miejsca, ale teraz...

Burke przyłapał się na marzeniach o fajce i ciepłe, płynącym z kominka w bibliotece. Tak, pragnął tego bardziej nawet niż towarzystwa godnej poszanowania pani Woodhart.

Dobry Boże! Czy to możliwe? Czyżby zaczynał się starzeć? Duncan już kilka razy dał mu to do zrozumienia. Oczywiście, nie w bezpośredni sposób. Dobry lokaj zawsze uważa, że jego pan jest w najdoskonalszej formie. Ale któregoś ranka miał czelność przygotować dla niego flanelową kamizelkę. Flanelową! Tak jakby Burke miał prawie pięćdziesiąt siedem lat,

a nie swoje wciąż przecież młodzieńcze trzydzieści sześć. Tak, jakby był już zniedołężniałym starcem, a nie mężczyzną w kwiecie wieku, za którego się uważał i co potwierdzało wiele atrakcyjnych kobiet w Londynie, nie wyłączając błyskotliwej pani Woodhart. Jedno było pewne - tego dnia Duncan otrzymał dobrą lekcję.

Taką samą dostanie teraz Isabel. Zobacz, że z ojcem nie ma żartów. Tym bardziej że pragnął tylko jej dobra.

- A ja - schylił się i z łatwością, nabytą poprzez długą praktykę, przerzucił jej ciało przez ramię, jakby było workiem pszenicy - powiedziałem, że jedziesz.

Isabel wydała z siebie pisk tak przenikliwy, iż wydawało się, że dociera przez gęstą mgłę do najdalszych zakątków Park Lane, a zapewne słychać go było i w całym Londynie. W tej mgłę miną godziny, nim uda im się przedrzeć ulicami miasta i stanąć w drzwiach domu lady Peagrove. To właśnie Burke'owi było najbardziej potrzebne: gęsta, dusząca mgła i rozhisteryzowana Isabel. Jedyne, co mogło mu się przydać bardziej, to kula w łeb. Albo sztylet prosto w serce.

Po chwili wydawało się, że jego drugie życzenie zostanie spełnione. Tyle że intruz, który wyłonił się nieoczekiwanie z mgły, zamiast sztyletu dokładnie skierował w stronę jego serca czubek parasolki. Albo tam, gdzie być powinno serce, którego, według krzyczącej co sił w płucach Isabel, jej ojciec w ogóle nie miał.

- Pani wybaczy - zwrócił się Burke do właścicielki parasolki, właściwie całkiem spokojnie jak na mężczyznę o reputacji gwałtownika - ale czy mogłaby pani łaskawie opuścić tę rzecz? Przeszkadza mi w dostaniu się do powozu.

- Jeszcze jeden krok, a poważnie zagrożę pana nadziejom na spłodzenie spadkobiercy - odrzekła właścicielka ostro zakończonoprzecznym głosem zadziwiająco twardym jak na stworzenie tak... cóż, drobne.

Burke zerknął na lokaja. Czy to tylko wyobraźnia, czy też naprawdę został zaczepiony na progu własnego domu - i to w dodatku w Park Lane, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Londynu - przez zupełnie obcą osobę? Gorzej nawet, przez zupełnie obcą osobę, należąca do kobiet dokładnie tego pokroju, których tak wytrwale unikał w czasie wszelkiego rodzaju towarzyskich spotkań.

No tak, ale któż mógł go za to winić? Przecież zawsze w samym środku konwersacji z którąś z takich istot - które, prawdę powiedziawszy, nie były zazwyczaj zbyt błyskotliwymi rozmówcami - nagle znikąd pojawiała się jej obwieszona klejnotami mamuśka i uпрzejmie, lecz stanowczo zabierała od niego swoje kochane maleństwo.

Teraz jednak nie było w pobliżu żadnej mamusi. Ta młoda kobieta była zupełnie sama. Nierozsądnie sama w noc tak mglistą, jakiej Londyn nie doświadczył od dawna. Gdzie podziewała się jej przyzwoitka? To oczywiste, że tak młoda kobieta powinna mieć ją chociażby po to, by nie pozwoliła jej na groźenie dżentelmenom czubkiem parasolki, tak jakby należało to do jej zwyczajów.

Co miał teraz zrobić? Gdyby na jej miejscu znajdował się jakiś mężczyzna, Burke bez wahania powaliłby go jednym ciosem, przestąpił przez jego leżące ciało i podążył w stronę powozu. Gdyby to było konieczne, wyzwiałby go nawet na pojedynki i z ogromną przyjemnością, spowodowaną jego dzisiejszym nastrojem, poczęstował ołowianą kulką.

Ale ona nie była mężczyzną. Trudno było też nazwać ją kobietą. Burke przypuszczał, że z łatwością uniósłby ją i usunął z drogi, lecz było w nim coś takiego, że wystarczyło, by dotknął kobiety, w szczególności bardzo młodej, i już ściągał sobie na głowę najróżniejsze kłopoty. Co więc miał teraz zrobić?

Perry, w stronę którego zupełnie niepotrzebnie spojrział, nie

stanowił nawet najmniejszej pomocy. On także wpatrywał się w nieznaną, a jego oczy rozszerzyły się do granic możliwości - oczywiście nie na widok skierowanego w stronę chlebowdawcy czubka parasolki, ale bardzo szczupłych damskich kostek, całkiem wyraźnie ukazujących się spod skraju spódnicy.

Głupi chłopak. Burke widział oczami duszy, jak następnego dnia go zwalnia.

- Proszę ją postawić na ziemi - powiedziała młoda kobieta. - Natychmiast.

- Proszę posłuchać - rzekł głosem dużo spokojniejszym, niż wskazywałyby na to kotłujące się w nim emocje. - Niechże pani przestanie dźgać mnie tym ostrym przedmiotem. Tak się składa, że jestem...

- Ani trochę nie obchodzi mnie, kim pan jest - przerwała mu rezolutnie. - Postawi pan tę dziewczynę na ziemi i będzie się uważał za szczęściarza, jeżeli nie zawołam policjanta. A nie jestem wcale pewna, czy tak właśnie nie powinnam zrobić. W życiu nie widziałam niczego równie haniebnego: mężczyzna w pańskim zaawansowanym wieku, wykorzystujący dziewczynę, która jest najprawdopodobniej o połowę od pana młodsza.

- Wykorzystujący! - Burke był tak zaskoczony, że prawie upuścił swój dziwnie nagle znieruchomiały bagaż. - Cóż za impertynencja! Czy pani naprawdę uważa...

Ku jego przerażeniu i zaskoczeniu, Isabel, która od chwili pojawienia się tej wywijającej parasolką jędzy stała się podejrzanie cicha i spokojna, uniosła głowę i odezwała się błagalnym głosem. Nie było w nim typowej dla dziewczyny pewności siebie.

- Och, proszę mi pomóc, panienko. On mnie okropnie krzywdzi!

Czubek parasolki dotknął kłapy męskiego surduta, przyciskając się do ciała tuż nad sercem. Teraz młoda kobieta nie

trudziła się już zwracaniem do Burke'a, ale odwróciła głowę i zawołała w stronę lokaja:

- A ty nie stój tu jak słup soli! Biegnij i sprowadź policjanta!

Perry'emu opadła szczęka. Burke z irytacją przyglądał się, jak twarz lokaja wykrzywia się. Chłopak najwyraźniej walczył ze sobą, rozdarty pomiędzy lojalnością wobec pracodawcy a chęcią posłuchania nieznajomej, której głos miał bardzo rozkazujący ton.

- A...ale - wyjąkał ten idiota - zostaną zwolniony, panienko, jeżeli...

- Zwolni cię? - Ogromne zielone oczy rozszerzyły się z oburzeniem. - I zamiast zwolnienia wolisz trafić do więzienia za udział w porwaniu i zastraszeniu?

Perry jęknął.

- Nie, panienko, ale...

Isabel nie była w stanie dłużej się kontrolować. Burke poczuł, jak córka zaczyna cała drżeć. Nawet fiszbiny w gorsecie nie były w stanie powstrzymać spazmatycznych drgawek, gdy wybuchnęła śmiechem. Tyle że dla kobiety z ostro zakończoną parasolką jej śmiech brzmiał oczywiście jak szloch. Burke ujrzał przed sobą bladą twarz, otoczoną czepek, który kiedyś prawdopodobnie całkiem dużo kosztował, ale teraz był już od ładnych kilku sezonów niemodny. Ta twarz wykrzywiła się gniewnie, po czym nieznajoma cofnęła ramię, mając zamiar - w co nie wątpił - dziabnąć go parasolką z całej siły. To było dla niego kroplą wody, przelewającą czarę.

- A teraz proszę posłuchać - rzekł, opuszczając Isabel w dół i niezbyt delikatnie stawiając ją na ziemi. Nie był jednak głupcem i wciąż trzymał mocno zaciśniętą dłoń na jej nadgarstku, by udaremnić córce niechybną ucieczkę. - Mimo że nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego zostałem potraktowany w tak nieuprzejmy sposób, i to w dodatku na progu własnego

domu, chciałbym panią zapewnić, że sytuacja, w jakiej mnie pani znalazła, nie jest pod żadnym względem dla nikogo uwłaczająca. Tak się składa, że ta młoda dama jest moją córką.

Parasolka się nie odsunęła. Ani na cal.

- I pan myśli, że w to uwierzę? - odrzekła ostro jej właścicielka.

Burke rozejrzał się za czymś, czym mógłby w nią rzucić. Naprawdę czuł, że za chwilę ulegnie atakowi apopleksji. Co on takiego zrobił, by zasłużyć na tego rodzaju traktowanie? Wszystko, czego pragnął - czego kiedykolwiek pragnął - to wydać Isabel za porządnego człowieka, który nie będzie jej bił i nie roztrwoni pieniędzy z posagu dziewczyny, i być - nareszcie - zostawionym w spokoju, żeby móc spędzić przyjemny wieczór sam na sam z sympatyczną kobietą, taką jak Sara Woodhart. Albo z książką. Tak, nawet z książką przy miłym, trzaskającym w kominku ogniu. Czy prosił o zbyt wiele? Najwyraźniej tak, przynajmniej dopóki po ulicach Londynu chodziły szalone, wymachujące parasolkami młode kobiety.

Perry, być może po raz pierwszy w swoim głupim życiu, otworzył usta i rzekł coś rozsądnego i pomocnego.

- Eee, panienko? Ona... ta młoda dama naprawdę jest córką pana.

Isabel, która, odkąd ojciec postawił ją na ziemi, robiła wszystko, by powstrzymać śmiech, wreszcie nie wytrzymała. Z jej gardła wydobył się odgłos, który przypuszczalnie można było usłyszeć na drugim końcu ulicy.

- Och! - zawołała wesoło. - Bardzo przepraszam! Ale to było tak niesamowite, to pani straszenie papy parasolką. Nie mogłam się powstrzymać.

Parasolka cofnęła się. Bardzo delikatnie, ale zauważalnie.

- Jeżeli ten pan jest panienki ojcem - brwi pod grzywką

blond włosów uniosły się w zdumieniu - dlaczego, na miłość boską, tak panienska krzyczała i protestowała?

- Och! - Isabel przewróciła oczami, jakby odpowiedź była oczywista. - Ponieważ nalega, bym wzięła udział w kotyliowym balu u lady Peagrove.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Burke'a, młoda kobieta - ta zupełnie obca osoba, obłąkana zresztą - przyjęła wytłumaczenie jego córki, tak jakby było w pełni zrozumiałe. Przyglądał się w bezruchu, jak parasolka powoli się zniża, aż jej czubek dotknął wreszcie ziemi.

- Dobry Boże - rzekła nieznajoma. - Nie może tam panienska pójść.

Isabel wyciągnęła rękę i pociągnęła mocno za rękaw ojcowskiego płaszcza.

- Widzisz, papo? Mówiłam ci to.

Teraz Burke był już zupełnie pewny, że za chwilę ulegnie atakowi apopleksji. Nie rozumiał, co się w ogóle dzieje. Jeszcze przed chwilą ta młoda stojąca przed nim kobieta straszyla go, że zawoła policjanta. Teraz spokojnie roztrząsała z jego córką towarzyskie dylematy, tak jakby plotkowały właśnie u modystki, a nie znajdowały się pośrodku Park Lane o godzinie dziewiątej najbardziej mglistego, wiosennego wieczoru, jaki pamiętał.

- Tam będzie straszny ścisk - zapewniała jego córkę młoda kobieta. - Lady Peagrove zaprasza dwa razy tyle ludzi, ile może się zmieścić w jej domu. To koszmar znaleźć się choćby gdzieś w pobliżu. I nikt, kto naprawdę coś znaczy, nie pojawia się tam. Pochlebcy i ubodzy krewni ze wsi, nikt więcej.

- Wiedziałam o tym. - Isabel tupnęła elegancko obutą stopą. Nie wywołało to żadnego odgłosu na miękkim dywanie, który Perry wcześniej rozwinął, by uchronić jej tren przed błotem. - Mówiłam mu o tym. Ale papa nigdy nie chce mnie słuchać.

Burke, świadomy tego, że rozmawia się o nim tak, jakby go

obok w ogóle nie było, zaczynał czuć się zagniewany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Papa słucha tylko panny Pitt - kontynuowała Isabel. - A ona uważała, że bal u lady Peagrove jest dla mnie miejscem jak najbardziej odpowiednim.

- Kim jest panna Pitt? - Nieznajoma miała czelność o to zapytać.

I zanim Burke zdołał wypowiedzieć choć słowo, Isabel odpowiedziała na jej pytanie.

- Była moją przyzwoitką. W każdym razie zanim godzinę temu złożyła wymówienie.

- Przyzwoitką? Dlaczegoż, na Boga, musi mieć panienska przyzwoitkę?

- Jeżeli już musi pani wiedzieć, to dlatego, że jej matka nie żyje - odpowiedział cierpko Burke. - Teraz, jeśli nam pani wybaczy...

Ale to nie wszystko, papo - przerwała mu córka i zwróciła się do swej nowej znajomej: - Mama nie żyje, ale tak naprawdę papa zatrudnia dla mnie przyzwoitki, ponieważ nie chce zaprzętać sobie głowy towarzyszeniem mi. Cały swój czas chce spędzać z panią Woodhart...

Uścisk Burke'a na ramieniu Isabel stał się jeszcze silniejszy.

- Perry, drzwi, proszę - polecił.

Lokaj, który przysłuchiwał się konwersacji z uwagą zdecydowanie większą niż tą, jaką zazwyczaj zwracał na instrukcje pracodawcy, podskoczył i wymamrotał:

- T...tak, panie?

Ojciec Isabel zastanawiał się, czy zostanie mu poczytane za okrucieństwo, jeżeli porządnie kopnie go w tyłek. Uznał w końcu, że chyba tak.

- Drzwi - powtórzył ostro. - Od powozu. Otwórz je. Natychmiast.

Nieszczęsny lokaj pośpieszył, by wykonać polecenie chlebobdawcy. W tym samym czasie, ku furii swego ojca, Isabel wciąż gawędziła z właścicielką parasolki.

- Widzi pani - mówiła - powtarzałam im, że bal u pani Ashforth jest dla mnie dużo odpowiedniejszym miejscem, ale czy się mnie posłuchali? Ani trochę. Nic dziwnego, że byłam niemiła wobec panny Pitt. Bo jeśli nikt człowieka nie słucha...

- Dziś wieczorem jest bal u pani Ashforth? - Nieznajoma opierała się z nonszalancją o rączkę parasolki, jakby to był kij od krykieta, a ona i Isabel przebywały właśnie na trawniku, pochłonięte sympatyczną grą. - Cóż, w takim razie nie może panienka się na nim nie znaleźć.

- Tak, ale to jest spisek, wie pani, by trzymać mnie z daleka od mężczyzny, którego kocham...

- Do powozu - przerwał jej lodowato ojciec. Był z siebie dumny. Nie wepchnął jej do pojazdu, co było jego pierwszym, silnym impulsem. Uczył się panowania nad sobą. Bóg jeden wiedział, na jak wielką próbę był wystawiany podczas ostatnich kilku tygodni. Ale na razie trzymał się nieźle. Gdyby tylko bez rozlewu krwi mogli uciec przed tą gadatliwą młodą kobietą i jej parasolką, byłby bardzo zadowolony.

- Ale papo! - Isabel spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Myślałam, że słyszałeś, co powiedziała ta pani. Bal kotylionowy u lady Peagrove nie jest po prostu...

- Wsiadaj do powozu! - ryknął Burke.

Dziewczyna cofnęła się o krok, ale był dla niej zbyt szybki. Chwycił ją i pchnął delikatnie - nawet ta jędrza z parasolką musiałyby przyznać, że zrobił to naprawdę delikatnie - do powozu. Gdy tylko ostatni skrawek trenu zniknął we wnętrzu pojazdu, odwrócił się i rzekł do stojącej na ulicy, zdumionej młodej damy:

- Dobrej nocy.

Wreszcie sam zniknął we wnętrzu powozu, nieprzyjemnie polecając woźnicy, by natychmiast ruszał.

- Naprawdę, papo! Nie miałeś żadnego powodu, by się zachowywać w tak nieuprzejmy sposób!

- Nieuprzejmy! - Roześmiał się ponuro. - Podoba mi się to! I przypuszczam, że zachowanie tej zupełnie obcej osoby, kiedy dźgała mnie parasolką i groziła, że zawoła policjanta, zupełnie jakbym był jakimś zbiegłym skazańcem, było, według ciebie, czystą uprzejmością.

- Ona nie była zupełnie obcą osobą - rzekła Isabel, gdy udało jej się jako tako ułożyć metry białej satyny, z której była uszyta jej spódnica. - To była panna Mayhew. Spotkałam ją już kilka razy.

- Dobry Boże. - Burke wpatrywał się w córkę ze zdumieniem. - To stworzenie mieszka w Park Lane? Nic mi nie mówi jej nazwisko. Dla kogo ona pracuje?

- Dla Sledge'ów. Jest guwernantką tych paskudnych małych chłopców.

- Aha - rzekł w pewien sposób ułagodzony. Nic dziwnego, że jej nie rozpoznał. Cóż, był wdzięczny chociaż za jedną rzecz: ta kobieta była tylko guwernantką i na pewno nie będzie rozpowiadać sąsiadom o tym, że Burke Traherne, trzeci markiz Wingate, nie ma władzy nad swoją upartą córką. Albo, jeżeli już to robi, nikt znaczący nie będzie tego słuchał.

- Skoro widziałaś ją już wcześniej, dlaczego, do diaska, nie wiedziała, że jesteś moją córką? Dlaczego sądziła, że mam zamiar cię skrzywdzić? - zapytał ze słusznym oburzeniem.

- Zaczęła tutaj pracować zupełnie niedawno - odrzekła Isabel, podciągając rękawiczki. - Poza tym, gdzie mogła cię wcześniej zobaczyć? Z pewnością nie w kościele, zważywszy na to, że w soboty kładziesz się do łóżka zwykle też przed świtem.

Burke przyglądał się Isabel w świetle znajdującej się w po-
wozie lampy naftowej. Nie wydawało mu się, by córki rozmawiały z ojcami w tak poufaly sposób. Oto, do czego prowadzi zbyt wczesne stawanie przed ołtarzem. Ojciec go ostrzegał. I się nie mylił. Inni mężczyźni - ci starsi, którzy w przeciwieństwie do niego czekali ze ślubem, aż skończą dwadzieścia lat - mieli córki, które nie zachowywały się wobec nich tak swobodnie. A przynajmniej jemu tak się wydawało. Tak się złożyło, że dzięki swej w pewien sposób burzliwej przeszłości i reputacji, którą zyskał, nie miał zbyt wielu znajomych. Przypuszczał jednak, że gdyby miał przyjaciół, a oni mieliby z kolei córki, byłyby one posłuszne i delikatne jak dziewczyna, którą zawsze widział w wyobraźni na miejscu córki, niemożliwej do zniesienia istoty, która półtora miesiąca temu powróciła z kosztownej żeńskiej szkoły.

- Isabel - odezwał się tak spokojnie, jak tylko był w stanie - co ty właściwie zrobiłaś pannie Pitt?

Dziewczyna bardzo uważnie przyglądała się sufitowi.

- Jeżeli powóz zatrzyma się przed domem lady Peagrove, to ucieknę. Ostrzegam cię już teraz.

- Isabel - powtórzył z, jak sam uważał, godną pochwały cierpliwością. - Panna Pitt jest piątą przyzwoitką, którą zatrudniłem dla ciebie w ciągu pięciu tygodni. Czy zechciałabyś więc powiedzieć mi, co ci się w niej nie spodobało? Przyszła do nas z bardzo dobrymi referencjami. Lady Chittenhouse mówi...

- Lady Chittenhouse! - przerwała mu z wyraźną odrazą. - Co ona może wiedzieć? Jej córki nigdy nie potrzebowały przyzwoitki. Żaden zdrowy na umyśle mężczyzna nie zbliżyłby się do którejkolwiek z nich. W życiu nie widziałam tak okropnych cer. Można by pomyśleć, że nie słyszały o czymś takim jak mydło. To cud, że jedna z nich wyszła za męża.

- Lady Chittenhouse napisała bardzo pochlebny list rekomendacyjny dla panny Pitt...

- Naprawdę? A wspomiała w nim przypadkiem, że panna Pitt, pomijając już to, że jest przeraźliwie nudna i wciąż trąkocze o swoich wspaniałych siostrzeńcach i siostrzenicach, ma tendencję do plucia, gdy mówi, zwłaszcza wtedy, kiedy się stara poprawiać to, co nazywa moim fatalnym sposobem wyrażania się? Czy przypadkiem wspomiała też i o tym?

- Jeżeli uważałaś zachowanie panny Pitt za obraźliwe - Burke mówił wciąż tak łagodnie, jak tylko był w stanie, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że ma ochotę porządnie potrząsnąć córką - dlaczego nie przyszedł do mnie i nie poprosił o zatrudnienie kogoś innego?

- Ponieważ wiedziałam, że znajdziesz mi wtedy kogoś jeszcze gorszego. - Isabel przyglądała się przez okno zamglonej ulicy. - Wiesz, jeśli tylko pozwoliłbyś mi samej porozmawiać z kandydatkami...

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu, słysząc jej pozornie obojętny głos.

- A kogo uważałaś za odpowiednią dla ciebie przyzwoitkę, Isabel? Nie mam wątpliwości, że kogoś takiego jak spotkana przed kilkoma minutami panna Mayhew.

- A co ci się w niej nie podoba? Jest dużo przyjemniej popatrzeć na nią niż na tę okropną starą pannę Pitt.

- Nie potrzebujesz kogoś, na kogo będzie przyjemnie popatrzeć - zagrzmiał Burke. - Potrzebujesz kogoś srogiego, kto powstrzymałby cię przed ganianiem za tym przeklętym Saun-
dersem...

W chwili, gdy te słowa wydostały się z jego ust, wiedział, że nie powinien był ich wypowiedzieć. Nagle na siedzeniu na przeciwko niego objawiła się burza z piorunami.

- Geoffrey nie jest przeklęty! - krzyknęła Isabel. - Co

wiedziałyś, papo, gdybyś tylko poświęcił chociaż chwilę, by go lepiej poznać...

Burke przewrócił oczami i skierował spojrzenie w stronę okna. Na nieszczęście zdążyli już utknąć w ruchu ulicznym i powóz otoczony był przez sprzedawców kwiatów i wstążek, żebraków i prostytutki - motłoch zawsze obecny wieczorową porą na ulicach Londynu. Okna były zamknięte, więc nikt nie mógł się dostać do środka, ale Burke widział całkiem wyraźnie ich ręce: puste dłonie unosiły się w ich stronę, brudne i zniszczone od pracy i niedostatku. Nie był w stanie powstrzymać westchnienia. Nie tak wyobrażał sobie spędzenie tego wieczoru. Planował, że o tej porze będzie już siedział w swojej łoży w teatrze, a tymczasem będzie szczęściarzem, jeżeli uda mu się dotrzeć do drzwi garderoby, nim Sara zejdzie ze sceny, i oddać hołd jej niekwestionowanemu talentowi... Przynajmniej ona tak myślała o swoich aktorskich umiejętnościach, a Burke nie wprowadzał jej z błędu.

- Nie muszę poznawać pana Saundersa, Isabel - rzekł ze sztucznym spokojem. - Widzisz, jestem w pełni zaznajomiony z faktami, dotyczącymi tego dżentelmena, i mogę tylko dodać, że w dniu, w którym ten łowca posagów przekroczy próg naszego domu, poczuje, jak wielki może być mój gniew.

- Papo! - Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze i zaszlochała. - Gdybyś tylko posłuchał...

- Już wystarczająco długo wysłuchiwałem twojej paplaniny o Geoffreju Saundersie. Nie wolno ci więcej wspominać jego imienia w mojej obecności. - Koniec. Zabrzmiało to bardzo ostro i rozkazująco, tak jak powinno brzmieć w ojcowskich ustach. - A teraz jedziemy do lady Peagrove, ponieważ wiem, że pan Saunders nie otrzymał od niej zaproszenia.

Isabel ponownie zaszlochała, tym razem głośniejszym niż poprzednio, i rzekła głosem boleśnie zranionym:

- Masz na myśli to, że ty jedziesz do lady Peagrove! Ja idę do pani Ashforth!

I zanim się zorientował, co się dzieje, Isabel rzuciła się na drzwi od powozu, otworzyła je szeroko i wyskoczyła z niego w sposób tak dramatyczny, że mogłaby go jej pozazdrościć nawet nieznana pani Woodhart.

Burke głośno westchnął. Boże, chroń mnie przed młodymi, zakochanymi kobietami. Zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie spędzenie tego wieczoru. Włożył kapelusz, wysiadł z powozu i udał się za swym niepokornym dzieckiem.

2

Podmuch gorąca, pochodzący z ognia płonącego w ogromnym piecu, nie był jedyną rzeczą, która przywitała wślizgującą się do kuchni Kate Mayhew. Tuż obok niej zjawiła się od razu Posie, służąca, która w tej chwili, z zaróżowionymi policzkami i koronkowymi halkami, przypominała istny huragan.

- Och, panienko! - krzyknęła, zanim Kate zdążyła zamknąć za sobą drzwi. - Wie panienka, co się stało? Nigdy panienka nie zgadnie!

- Henry znowu włożył węża do kieszeni szlafroka swego ojca? - spytała, zdejmując rękawiczki.

- Nie...

- Jonathan powiedział znów to słowo w obecności matki - bardziej stwierdziła, niż zapytała Kate, rozpinając nieśpiesznie płaszcz.

- Jakie słowo, panienko?

- Dobrze wiesz jakie. To, które rozpoczyna się na „ch”

- Och nie, panienko, nic z tych rzeczy. Chodzi o to, kto na panienkę czeka w salonie.

- Mam szczerą nadzieję, że to jego lordowska mość. - Kate

rozwiązała sznurki przy czepku, po czym zdjęła go i powiesiła na drewnianym kołku przy drzwiach. - Miał się spotkać ze mną na koncercie, a ja spędziłam godzinę, wszędzie go szukając.

- Mówi, że musiał pójść nie do tego kościoła, co trzeba. - Posie podążyła za Kate, która z kolei szybkim krokiem przemierzała kuchnię. - Zrobiło się małe zamieszanie. Pan wydeptuje ścieżkę przed drzwiami, myśląc o tym, co by tu powiedzieć, gdy już wejdzie do środka.

Kate zatrzymała się przed lustrem u szczytu schodów, powieszonym celowo w takim miejscu, by służące mogły poprawić czepki przed pokazaniem się ewentualnym gościom. Dziewczyna doprowadziła do porządku grzywkę, uporczywie opadającą na czoło. Jej policzki były zaróżowione od panującego na zewnątrz chłodu, nie wymagały więc szczypania, ale nos zdecydowanie zbyt się świecił. Szczypta mąki, pochodząca ze stojącego w spiżarni worka, załatwiła sprawę doskonale.

- Biedny Freddy - rzekła. - Od jak dawna on tam jest?

- Prawie od chwili, gdy panienka wyszła. - Posie stała tuż obok i mówiła do jej odbicia w lustrze.

- O rety! - westchnęła Kate. - Czy pani Sledge jest mocno zagniewana?

- Oczywiście, że nie! Będzie się pysznić jak królowa, gdy jutro panie z jej misyjnego kółka szwalniczego zapytają o powóz, który się zatrzymał przed jej domem, a ona będzie mogła odpowiedzieć im, że to był hrabia Palmer.

- Który przyszedł złożyć wizytę guwernantce jej dzieci? - Kate poprawiła kameę, która spinała koronkowy kołnierzyk bluzki. - Nie sędzę.

- Przecież tego im akurat nie powie. Da do zrozumienia, że przyjechał, by się spotkać z nią...

Otworzyły się drzwi i na szczycie schodów pojawił się Philips, główny lokaj. Obie kobiety wzdrygnęły się, a Posie

rzuciła się w stronę dużego drewnianego stołu, gdzie ustawiona była kolekcja miedzianych naczyń, i zaczęła je gorliwie polewować. Kate, niestety, nie miała tyle szczęścia. Na dole nie czekały ją żadne obowiązki, więc według lokaja nie było potrzeby, by w ogóle tam przebywała. Schodząc z wielkim wysiłkiem po wąskich schodkach, Philips rzekł:

- Panno Mayhew, myślałem, że wspominałem wielokrotnie, iż pan Sledge nie oczekuje od pani korzystania z wejścia dla służby. Jako guwernantce jego dzieci wolno pani zawsze używać głównych drzwi.

Kate otworzyła usta, by poinformować go radośnie, że woli wejście dla służby - przede wszystkim dlatego, że korzystając z niego, prawie zawsze udaje jej się uniknąć spotkania z nim. Co prawda nie była na tyle głupia, by głośno się do tego przyznać.

Philips tymczasem kontynuował swój monolog:

- I jeśli dzisiaj weszłaby pani właściwymi drzwiami, zdałaby sobie sprawę, że jego lordowska mość, hrabia Palmer, od prawie dwóch godzin czeka na panią w salonie.

- Och, panie Philips - odrzekła Kate. - Tak mi przykro. Lord Palmer miał się spotkać ze mną na koncercie i podejrzewam, że musieliśmy się w jakiś sposób minąć. Trudno mi nawet wyrazić, jak...

- A w przyszłości, panno Mayhew - przerwał jej główny lokaj - jeżeli ma pani zamiar zaprosić do tego domu utytułowane osoby, mogłaby pani być tak dobra i wcześniej mnie o tym poinformować, tak bym mógł zawczasu nalać do karafki najlepszej brandy.

Kate zdała sobie sprawę, że Philips jest wściekły. Nie krzyczał i niczym nie rzucał - człowiek jego pokroju i pozycji nigdy by sobie nie pozwolił na takie publiczne okazywanie emocji. Ale najwyraźniej był zdenerwowany i to wszystko

dlatego, że musiał podać hrabiemu podrzędnej jakości brandy. Lokaj o pozycji Philipsa mógł nigdy nie zmasać z siebie takiej hańby. A z pewnością nigdy nie wybaczy tego Kate. Nie, między nimi wszystko skończone. Fakt, że do tego domu sprowadziła się razem z kotem - w oczach Philipsa niewybaczalna obraza, jako że koty uważał za plugawe stworzenia, odpowiednie jedynie do łapania szczurów w piwnicy - był wystarczająco obraźliwy. Ale teraz na dodatek go upokorzyła. Kate mogła już właściwie zacząć się rozglądać za nową pracą.

- Szczerze, panie Philips - zaczęła jeszcze raz, wiedząc, że jest to daremne, ale była zdeterminowana, by przynajmniej spróbować wyjaśnić sytuację. - Gdybym miała jakiegokolwiek pojęcie...

- Nie mnie proszę przepraszać, panno Mayhew - rzekł sztywno lokaj. - To nasz pan stawał na głowie, starając się zabawić hrabiego podczas ostatnich kilku godzin, gdy pani była nieobecna.

Kate zmarszczyła czoło. To nie była jej wina, iż Freddy jest tak roztrzepany, że nie potrafi zapamiętać prostego adresu. I nie jej winą było to, że wybrał salon Sledge'ów, by na nią poczekać. I jak Philips śmiał sugerować, że wałęsała się poza domem, podczas gdy był to, bądź co bądź, jedyny wieczór w tygodniu, kiedy miała wychodne. Powinno jej być wolno... Ale kłócenie się nie miało żadnego sensu. Nie z Philipsem.

Unosząc spódnicę, ruszyła przed siebie. Gdy się wspinała po wąskich schodkach, była zmuszona precyzyjnie się obok lokaja, który z lodowatym wyrazem twarzy zignorował ją. Było jej to na rękę, ponieważ gdyby odezwał się jeszcze choć słowem, prawdopodobnie zrobiłaby coś, co nie zachwyciłoby go w najmniejszym nawet stopniu.

Przed prowadzącymi do salonu drzwiami zobaczyła pana Sledge'a, wydeptującego - dokładnie tak, jak to powiedziała

Posie - ścieżkę na puszystym dywanie. Gdy usłyszał stukot butów Kate, uniósł głowę, po czym pospieszył w jej stronę.

- Och, panno Mayhew, tak się cieszę, że pani wróciła! - zawołał wylewnie. - Hrabia... hrabia Palmer czeka na panią za tymi drzwiami. Przyniosłem mu dzisiejszą gazetę. Widzi pani, nie wyrzuciłem jej. Pomyślałem, że może mu się spodobać.

Kate uśmiechnęła się do swego pracodawcy. Cyrus Sledge, mimo swego nader niefortunnego imienia, nie był złym człowiekiem. Był jedynie raczej tępy męczyzną, który ożenił się z brzydką kuzynką, nie mając pojęcia, że może ona pewnego dnia odziedziczyć fortunę - pieniądze, które teraz zapewniały Kate utrzymanie, a także zaopatrywanie wielu misji i Papuasów w buty i Biblie.

- Myślałem, by dać jego lordowskiej mości jeden z traktatów wielebnego Billingsa, wie pani, ten o misjach - wyszeptał pan Sledge. Czy sądzi pani, panno Mayhew, że byłby tym zainteresowany? Okazuje się, że wielu wspaniałych młodych mężczyzn w tym kraju nie troszczy się zbyt o ludzi mających mniej szczęścia od nich. Ich głowy wypełniają polowania i teatr. Ale często zastanawiam się, czy to może nie dlatego, że po prostu nie wiedzą. Nie mają najmniejszego pojęcia, jak źle się wiedzie Papuasom z Nowej Gwinei, którzy ani nie polują, ani nie chodzą do teatru, nie mówiąc już o przyzwoitym oddawaniu czci Panu...

- Całkowicie się z panem zgadzam, panie Sledge przytaknęła Kate. - Następnym razem, gdy jego lordowska mość przyjdzie z wizytą, proszę śmiało z nim o tym porozmawiać. Ufam, że będzie bardzo zainteresowany pańską opowieścią

Zwykle blada twarz jej chlebobawcy zaróżowiła się z zadowolenia.

- Naprawdę, panno Mayhew? Czy naprawdę pani tak sądzi?

- Naprawdę. - Dziewczyna wzięła go pod ramię i odciągnęła

od drzwi do salonu. - Uważam nawet, że pan i pani Sledge powinniście przygotować zestaw traktatów wielebnego Billingsa dla Freddy'ego, to znaczy dla jego lordowskiej mości, by mógł je przestudiować, tak by przy jego następnej wizycie mogli z nim państwo porozmawiać o ich treści.

Pan Sledge aż się zachłysnął.

- Wyśmienity pomysł! Natychmiast podzielę się nim z żoną. Jesteśmy w posiadaniu kilku nowych traktatów, wie pani, panno Mayhew, o okropnych warunkach, w których papuaskie kobiety w Nowej Gwinei muszą rodzić dzieci, i o tym, jak gorliwie wielebny Billings pracuje, by je choć trochę polepszyć...

- Och - odrzekła Kate. - To będzie wprost idealne dla jego lordowskiej mości.

Pan Sledge pośpieszył na górę, gorliwie zacierając dłonie. Dziewczyna, starając się powstrzymać śmiech, otworzyła drzwi do salonu i rzekła:

- Cóż, Freddy, teraz się nie wywiniesz. Pan Sledge przygotowuje dla ciebie traktaty. Te o rodzeniu dzieci, ni mniej, ni więcej.

Stojący przed kominkiem wysoki jasnowłosy mężczyzna odwrócił się. Na jego twarzy widoczne było poczucie winy. Sekundę później Kate zobaczyła dlaczego. Zrobił dobry użytek z gazety gospodarza, zwijając jej części w małe kulki, po czym wrzucając je do ognia, gdzie zostawały konsumowane przez wesoło trzaskające płomienie. Rozprawił się już w ten sposób ze stronami poświęconymi sprawom towarzyskim i właśnie rozpoczął darcie części z artykułami, dotyczącymi finansów, kiedy mu przeszkadzono.

- Naprawdę, Freddy - rzekła, spoglądając na szczątki gazety, która jeszcze tego ranka była porządnie złożona. - Jesteś dużo gorszy niż Jonathan Sledge, a on ma tylko pięć lat.

Frederick Bishop, dziewiąty hrabia Palmer, wysunął groźnie podbródek i oznajmił:

- Nie było cię przez całą wieczność, Kate. Musiałem się czymś zająć.

- I nie zaświtało ci w głowie, że mógłbyś tę gazetę po prostu przeczytać - zripostowała. - Podrzcć ją... oczywiście! Ale nawet na nią nie spojrzeć.

- A na co miałem patrzeć? Pełno w niej nudnych kawałków o kłopotach w Indiach i tym podobnych. Powiedz mi lepiej, Kate, co cię tak długo zatrzymywało. Czekałem na ciebie bez końca. Poszedłem do tego kościoła, ale nie było w nim żadnego koncertu. Zostałem tam tylko żonę pastora... okropnie brzydka istota, przytwardzająca kawałki materiału do ściany na jakieś święto lub coś takiego. Była zdecydowanie nieuprzejma, gdy zapytałem, o której godzinie rozpoczyna się koncert Haendla.

- Kolejny raz poszedłeś nie do tego kościoła. A poza tym to nie miał być Haendel, tylko Bach. - Kate opadła na jedno z twardych wysokich krzesel. - Koncerty Brandenburskie były cudowne.

- Do diabła z koncertami - rzekł dość gwałtownie hrabia Palmer.

- Naprawdę, Freddy... - Kate roześmiała się.

- Nie obchodzi mnie Back. - Usiadł na krześle naprzeciwko swej rozmówczyni. - Straciłem koncert, a teraz jest już zbyt późno, by zabrać cię na kolację. Sledge'owie niedługo będą szli spać, głupie pokraki, i ty też będziesz musiała pójść. A nie masz żadnego wieczoru wolnego aż do następnego tygodnia. Więc do diabła z Bachem!

Kate ponownie się zaśmiała.

- Dobrze wiesz, że to tylko i wyłącznie twoja wina. kiedy masz zamiar nauczyć się zapisywać adresy, tak byś był w stanie trafić we właściwe miejsce?

- Gdybyś tylko przestała być tak idiotycznie uparta i za mnie wyszła - hrabia uśmiechnął się szelmowsko - nie potrzebowałbym zapisywać żadnych adresów, ponieważ zawsze byłabyś przy mnie. by mi o nich przypomnieć.

- Cóż, z pewnością bierzesz się do dzieła we właściwy sposób. Nie wyobrażam sobie, by jakkolwiek dziewczyna w Londynie była w stanie oprzeć się mężczyźnie, który nazywa ją idiotycznie upartą.

Freddy pociągnął za jeden koniec gestych złotych wąsów.

- Wiesz, co mam na myśli. Dlaczego musisz być taka uparta?

- Nie jestem uparta, Freddy. Wiesz, że cię kocham. Tyle że nie tak, jak żona powinna kochać męża. To znaczy nie jestem w tobie zakochana.

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież nigdy nie byłaś w nikim zakochana.

- Nie - przyznała szczerze. - Ale dużo o tym czytałam i...

- Ty i twoje książki! - przerwał jej niegrzecznie Freddy.

- Powinieneś kiedyś spróbować jakąś przeczytać - poradziła mu łagodnie Kate. - Mógłbyś to nawet polubić.

- Wątpię. Tak czy siak, co za znaczenie ma to, czy jesteś we mnie zakochana, czy nie? Ja kocham ciebie i to się powinno liczyć. Zawsze mogłabyś się nauczyć mnie kochać. Z żonami zwykle tak bywa. Powinnaś być w tym lepsza niż większość żon moich przyjaciół. Szybko się uczysz. Wszyscy mówili, że nie utrzymasz się długo na posadzie guwernantki, a popatrz, jak dobrze ci idzie.

- Kto mówił, że nie utrzymam się długo na posadzie guwernantki? - zażądała odpowiedzi Kate, ale hrabia machnął tylko ręką.

- Wiesz, że potrafię być całkiem uroczy. Virginia Chittenhousie szalała za mną zeszęj wiosny. Zapewniam cię, że straszliwie płakała, gdy zostałem zmuszony do przyznania się,

że moje serce zawsze będzie należało do ciebie, choć nie masz już przy duszy ani złamanego grosza i w twoim zaawansowanym wieku zdążyłaś się dorobić ciętego języczka i paskudnego uporu.

- Nie powinieneś być odrzucać Virginii Chittenhouse odrzekła bezczelnie Kate. - Ona z pewnością nie ma ciętego języka i słyszałam, że właśnie weszła w posiadanie pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Hrabia Palmer ponownie wstał i wykonał dramatyczny gest dłonią.

- Nie potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy funtów. Potrzebuję ciebie, Katherine Mayhew!

- A tak właściwie, to ile szklanek brandy pana Sledge'a wypiełeś, czekając na mnie? - spytała podejrzliwie Kate

- Masz natychmiast rzucić to niewolnicze niańczenie cudzych dzieci i uciec ze mną do Paryża - zażądał wojowniczo

- Na Boga, Freddy, zanim dotarlibyśmy do Calais, skakałbyśmy sobie wzajemnie do gardeł. Doskonale o tym wiesz Mam gorącą nadzieję, że jesteś pijany. To byłoby jedynie logiczne wytłumaczenie twojego wyjątkowo okropnego zachowania.

Hrabia z westchnieniem porażki ponownie opadł na krzesło

- Nie jestem pijany. Po prostu, czekając na ciebie, zacząłem wariować z nudy. Ten głupiec Sledge zaglądał co pięć minut pytając, czy czegoś przypadkiem nie potrzebuję. Próbował rozmawiać ze mną o jakichś papugach nowogwinejskich

- Papuasach z Nowej Gwinei - poprawiła go z uśmiechem Kate.

Freddy machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Nieważne. Gdzie ty się podziewałaś? Koncert miał się skończyć przed dziewiątą.

- Wróciłam tak szybko, jak się dało. Musiałam czekać na omnibus, bo skoro się nie pojawiłeś, nie dostałam zaszczytu

przejażdżki twym powozem. - Rzuciła mu wyrażające dezaprobatę spojrzenie i nagle wyprostowała się, dodając: - Och, i prawie zapomniałabym. W drodze do domu natknęłam się na ogromnie zadziwiającą scenę. Już w Park Lane ujrzałam mężczyznę, który miał przerzuconą przez ramię dziewczynę i starał się wsadzić ją do swego powozu.

Hrabia Palmer poruszył się na krześle, a jego twarz nieco pociemniała.

- Zmyślasz. Wymyśliłaś to, żeby tylko odciągnąć mnie od pomysłu poślubienia ciebie. Cóż, Kate, na mnie to nie działa. Tym razem jestem całkowicie zdecydowany. Poinformowałem nawet o tym matkę. Nie była szczęśliwa, ale powiedziała, że jeżeli chce zrobić z siebie głupca, to nie będzie mnie powstrzymywać.

Kate zdecydowała się zignorować ostatnie zdanie.

- Przysięgam, że mówię prawdę. To było naprawdę zdumiewające. Musiałam postraszyć tego mężczyznę parasolką i dopiero wtedy postawił dziewczynę na ziemi.

- Czy to był Arab? - Freddy mrugnął do niej.

- Oczywiście, że nie. Był dżentelmenem albo przynajmniej podawał się za takowego. W każdym razie miał na sobie wieczorowy strój i towarzyszył mu niezbyt rozgarnięty lokaj. Ów dżentelmen był całkiem wysoki, bardzo szeroki w ramionach, miał gęste ciemne włosy i oliwkową cerę...

- Arab! - krzyknął podekscytowany hrabia.

- Och, Freddy, to nie był Arab.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Po pierwsze, w jego sposobie wymowy nie było ani śladu obcego akcentu. I miał najbardziej niezwykle zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Arabowie mają ciemne oczy. Jego były jasne, prawie świecące się, jak u kota.

Freddy potarł brodę.

- Najwyraźniej bardzo uważnie mu się przypatrzyłaś.

- Cóż, oczywiście, że tak. Stał najwyżej metr ode mnie.

Mgła nie była znowu aż tak gęsta. Poza tym padało na niego palące się w domu światło.

- Którego domu?

- Dwa budynki stąd. - Kate wskazała palcem na ścianę po lewej.

Hrabia Palmer wyraźnie się odprężył.

- Och - rzekł, przewracając oczami. - Traherne, markiz.

- Słucham?

- Traherne. Na ten sezon wynajął dom starego Kellogga. Podobno dla córki.

- Tak, dziewczyna, nad którą tak się znęcał, okazała się jego córką. Bardzo uparta i zdecydowana młoda osoba.

- Isabel. - Freddy powstrzymał ziewnięcie. - Tak, widziałem ją kilka razy. Jest tak samo dzika jak jej ojciec, co zresztą rozumiem. Zrobiła z siebie przedstawienie, rzucając się pewnego wieczoru w operze na szyję jakiegoś młodzieńca bez grosza. To było szalenie krępujące, nawet dla tak bezstronnego obserwatora ludzkich zachowań jak ja. Nic więc dziwnego, że ojciec musi mieć wobec niej silną rękę.

Kate uniosła jedną brew.

- Traherne? Nigdy nie słyszałam o markizie Traherne. Wiem, że trochę nie było mnie w towarzystwie, ale...

- Nie Traherne. Wingate. Burke Traherne jest drugim markizem Wingate. Albo trzecim lub coś takiego. Jak ktoś może być w stanie śledzić te wszystkie tytuły, nie mam zielonego...

- Wingate? To brzmi znajomo.

- Bo powinno. Był niegdyś bohaterem sporego skandalu. Ale ty w tym czasie przypuszczalnie byłaś grzeczną dziewczynką z pensji. Ja byłem jeszcze w Eton. Pamiętam, że

pewnego dnia moi i twoi rodzice rozmawiali o tym przy kolacji. Cóż, takich rzeczy nie da się utrzymać w tajemnicy...

- Jakich rzeczy? - Kate nie przepadała za plotkami, w swoim czasie bowiem sama była obiektem wielu z nich. Mimo to nie potrafiła zapomnieć tamtych zielonych oczu.

- Rozwód Wingate'ów. Przez wiele miesięcy nie mówiono o niczym innym. Było o tym we wszystkich gazetach. - Freddy zmarszczył czoło. - Nie czytam ich co prawda, ale nie można nie przyjrzeć się tytułom, zanim się podrze strony na kawałki.

- Rozwód? - Kate potrząsnęła głową. - Och, nie. Z pewnością się mylisz. Ta młoda dama, Isabel, powiedziała mi, że jej matka nie żyje.

- Bo to prawda. Umarła na kontynencie bez grosza przy duszy, kiedy Traherne przestał ciągać po sądach ją i jej kochanka.

- Kochanka? - Kate nie mogła tego znieść. - Freddy!

- O tak, to był wielki skandal - rzekł z lubością hrabia Palmer. - W absurdalnie młodym wieku Traherne ożenił się z jedyną córką księcia Wallace. Elisabeth, chyba tak właśnie miała na imię. Tak czy siak, okazało się, że nie był to mariaż obmyślony w niebie. W niecały rok po narodzinach Isabel Traherne przyłapał ją, to znaczy Elisabeth, w objęciach jakiegoś irlandzkiego poety albo kogoś takiego podczas balu w jego własnym domu. To znaczy domu Traherne'a. Wyrzucił poetę przez okno na drugim piętrze, co doskonale rozumiem, po czym następnego dnia skierował się prosto do kancelarii swego prawnika.

- Dobry Boże! Czy on umarł?

- Traherne? Oczywiście, że nie. Jestem pewien, że to właśnie jego widziałas dziś wieczorem. Przez dłuższy czas nie udzielał się towarzysko. To zrozumiałe. Żadna szanująca się gospodyni nie chciała go gościć, ale przypuszczam, że teraz, jeżeli chce

się pozbyć swojej rozwydzonej córki, wydając ją za jakiegoś młokosa, musi z powrotem powrócić do towarzystwa.

Kate wzięła głęboki oddech, starając się zachować cierpliwość. Jej długa znajomość z Freddyem przygotowała ją do wykonywanego przez nią zawodu lepiej niż jakiegokolwiek inne szkolenie.

- Miałam na myśli to, czy zginął kochanek jego żony, gdy lord Wingate wyrzucił go przez okno.

- Nie, skądże. Wyzdrowiał i wziął z nią ślub, gdy tylko zakończyła się sprawa rozwodowa. Oczywiście, żadne z nich nie mogło już postawić nogi w Anglii, nie po tym wszystkim. Byli osobami niepożądanymi, nawet w gronie własnych rodzin.

- A dziecko?

- Dziecko? To znaczy Isabel? Traherne ją wychowywał, to oczywiste. Trudno było oczekiwać, że pozwoli zajmować się nią żonie. To znaczy swojej byłej żonie. Wątpię, by ta kobieta spotkała później chociaż raz swoją córkę. Traherne nie pozwoliłby na to. Pamiętam, że nie tak dawno temu było trochę zamieszania, kiedy to stary Wallace... no wiesz, ojciec Elisabeth. domagał się odwiedzenia wnuczki, a Traherne do tego nie dopuścił. Muszę przyznać, że było to bardzo nieprzyjemne.

- Bardzo.- Kate wdrygnęła się z niesmakiem. - Co za okropna historia.

- A robi się jeszcze gorsza - rzekł pogodnie Freddy.

Dziewczyna podniosła dłoń.

- Nie mam ochoty jej wysłuchiwać, dziękuję bardzo

- Ale jest całkiem niezła. Jestem pewien, że ci się spodoba.

Kate opuściła dłoń i rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie

- Wiesz, że nie lubię plotek, szczególnie tych z towarzystwa. Nie ma dla mnie nic nudniejszego i głupszego niż wysłuchiwanie opowieści o sprawach sądowych i utrapieniach arystokratów.

Freddy uśmiechnął się szeroko z zadowoleniem.

- Więc szykuje się nam mały spór? Naprawdę uwielbiam się z tobą spierać. Będzie tak jak za dawnych dobrych czasów.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Nie, nie będzie. Dlatego, że nie ma o co się spierać. Po prostu mam serdecznie dosyć wysłuchiwania o tym, jak bogaci, wykształceni ludzie zachowują się gorzej od motłochu.

- Jesteś bardzo surowa wobec biednego Traherne'a - zganił ją Freddy. - Z tego, co mi wiadomo, nigdy się nie otrząsnął po zdradzie żony. Stał się surowy, gorzki, dokładne przeciwieństwo człowieka, jakim był niegdyś.

- A mnie wydawał się bardzo pełny życia - odrzekła Kate, myśląc o łatwości, z jaką przerzucił przez ramię córkę, której w żadnym razie nie można było nazwać filigranową - była kilkanaście centymetrów wyższa od Kate i o wiele cięższa.

- Och, on nie szuka w tej chwili damskiego towarzystwa - zapewnił ją Freddy. - Z tego, co wiem, jego ostatnią zdobyczą jest Sara Woodhart. Pamiętasz, mówiłem ci, że widziałem ją w zeszłym miesiącu w *Makbecie*.

- Tak, to prawda. - Kate oderwała myśli od pełnej życia postaci markiza. - Jego córka wspomniała coś o tym, że wolałby raczej być z panią Woodhart, niż towarzyszyć jej od balu do balu...

- Co wyjaśniałoby, dlaczego zatrudniał tak wiele przyzwójtek, by się nią opiekowały. Z tego, co udało mi się zaobserwować, nie bardzo im to wyszło.

Kate potrząsnęła głową.

- Powinien ponownie się ożenić. To byłoby dla niego tańsze. I jestem pewna, że byłby w stanie znaleźć dziewczynę na tyle głupią albo chciwą, by przymknęła oko na jego romanse z miernymi aktorkami.

- Tyle że Traherne wyrzekł się małżeństwa. Wszyscy o tym

wiedzą. Mówi, że właśnie ono zniszczyło mu życie i nie będzie ryzykował po raz drugi, wielkie dzięki.

- Aha - odrzekła znacząco Kate. - Jakże oryginalne. Bogaty i przystojny dżentelmen z możnego rodu, który przeklął małżeństwo. Każda stanowiąca dobrą partię młoda dama w Londynie musi aż się trząść, by mu to wyperswadować.

- A więc widzisz? - Uśmiechając się szeroko, Freddy pochylił się i poklepał ją po dłoni. - Nie było to takie złe, prawda? Całkiem nieźle sobie poradziłaś. Jestem z ciebie ogromnie dumny.

Dziewczyna zamrugała, zdała sobie bowiem sprawę, że dała się wciągnąć w plotkowanie, po czym zacisnęła dotkniętą przez niego dłoń w pięść i nagle wstała z krzesła.

- To nie było uczciwe - rzekła, odwracając się do niego plecami.

- Oczywiście, że było. - Freddy najwyraźniej nie zauważał jej rozdrażnienia. Ziewnął i się przeciągnął. - Rozkosznie było tak poplotkować. Czuję się, jakby powróciły dawne czasy.

- Przestań. - Kate mówiła tak cicho, że hrabia dopiero teraz zauważył, iż wstała z krzesła, i spojrzał z ciekawością w jej kierunku. - Już nigdy nie wrócą dawne czasy. Dobrze o tym wiesz.

- Kate, nie zaczynaj znowu...

- Freddy, jak mogę tego nie robić? - Jej głos nie zatrząsał się ani razu.

- Zwyczajnie, Kate - powiedział łagodnie hrabia.

- Nic nie mogę na to poradzić. Myślę o tym przez cały czas. Pewnego wieczoru nawet...

- Pewnego wieczoru nawet co? - dociekał Freddy.

- Och. - Potrząsnęła głową. Jednak jej oczy, gdy się odwróciła w jego stronę, były zbyt błyszczące. - Nic.

- Kate - rzucił surowo. - Powiedz mi.

Zatrzęsała się i unikając jego spojrzenia, odparła:

- Myślałam, że go znowu zobaczyłam.

- Myślałaś, że zobaczyłaś kogo?

- Daniela Cravena. - Słowa te wydostały się z jej ust niczym ciężkie cegły, upadające na podłogę. - Sądziłam, że widziałam Daniela Cravena.

Freddy zerwał się z krzesła, jeszcze zanim skończyła mówić. Podeszedł do dziewczyny i ujął jej dłoń.

- Kate - rzekł miękko. - Rozmawialiśmy już o tym.

- Wiem. - Jej spojrzenie utkwione było w leżącym na podłodze dywanie. - Dobrze wiem. Ale nic nie mogę na to poradzić. Widziałam go, Freddy.

- Widzielaś kogoś, kto był bardzo do niego podobny, i to wszystko.

- Nie.

Wyrwała z rąk Freddy'ego swoją dłoń, podeszła do najbliższego okna i odchyliła zasłony. Utkwiła niewidzące spojrzenie w zamglonej ulicy.

- To był on - powiedziała. - Wiem, że to był on. Co więcej, Freddy, on za mną szedł.

- Szedł za tobą? - Hrabia znalazł się przy niej. - Gdzie za tobą szedł?

- Tutaj niedaleko, w Park Lane. Byłam z chłopcami...

- Daniel Craven - rzekł sceptycznie Freddy. - Daniel Craven, którego od siedmiu lat nie widział nikt w Londynie, szedł za tobą tą właśnie ulicą?

- Wiem, że brzmi to niedorzecznie. - Kate zasunęła z powrotem grube zasłony i odwróciła się twarzą do kominka. - Myślisz pewnie, że zwariowałam. I może masz rację...

Hrabia popatrzył na nią wyraźnie zatroskany.

- To nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Po prostu...

- Po prostu co? - spytała, nie patrząc na niego i bębniąc palcami po oparciu krzesła.

- I co z tego, jeśli to był naprawdę Daniel Craven? Nie możesz ciągle sądzić, że miał coś wspólnego ze śmiercią twoich rodziców. Myślałem, że dokładnie już to wyjaśniliśmy. Co ty teraz sobie wyobrażasz? - Freddy potrząsnął głową. - Że po siedmiu latach wraca, by wykończyć także ciebie?

Kate zacisnęła mocno zęby.

- Tak. To właśnie sobie wyobrażam. Przykro mi, że uważasz to za roztkliwianie się nad sobą.

- O rety, Kate! - zawołał. - Przestań tak na mnie patrzeć. Wiesz, że nie ma na tym świecie niczego, naprawdę niczego, czego bym dla ciebie nie zrobił. Ale ta cała gadanina o Danielu... Sama wiesz, co ludzie o tym myślą.

Kate znów usiadła.

- Oczywiście, że wiem. Wszyscy uważają, że wymyśliłam to sobie. Zapomniałam, że ty trzymasz ich stronę - rzekła z niekłamana goryczą.

- Przestań - powiedział Freddy uspokajającym tonem. Zawsze miałaś bogatą wyobraźnię. To nic złego, broń Boże. Jestem pewien, że pomaga, jeżeli chodzi o niewielkie sprawy, ale...

- W porządku - przerwała mu i zmęczona zamknęła oczy - W porządku. Nie mogłam widzieć Daniela Cravena. Nie wspomnę już o tym. Ale ty... ty musisz przestać mi się oświadczać, Freddy. Nie mogę tego znieść. Naprawdę nie mogę. Pomijając to, iż nie jestem w tobie zakochana, nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi...

- Tymi ludźmi - powtórzył Freddy. - Kulturalnymi ludźmi, masz na myśli?

- Nigdy nie zauważyłam w nich niczego kulturalnego - odrzekła sztywno Kate. - Także nic miłego ani godnego naśladowania. Mój Boże, Freddy, jestem pewna, że Papuasi z Nowej Gwinei, którymi tak się przejmuje Cyrus Sledge,

traktowaliby mnie z większym współczuciem niż twoja matka lub ci, którzy twierdzili, że są moimi przyjaciółmi. Nie nazywałabym towarzystwa, które spędzało czas na szeptaniu o mnie, winieniu mnie za to, co zrobił mój ojciec, kulturalnym...

- Do jasnej cholery!

Tym razem to hrabia zerwał się z krzesła i przemierzył pokój. Dłonie zacisnął w pięści i włożył je do kieszeni w spodniach.

- Przyszedłem tutaj, by zabrać cię stąd i spędzić z tobą miły wieczór. Tak żebyś choć na chwilę mogła o wszystkim zapomnieć. Jak to możliwe, że bez względu na to, jak bardzo się staram, byś zapomniała o tym, co przytrafiło się twoim rodzicom, zawsze udaje nam się wrócić do tego tematu?

Kate odwróciła się na twardym krześle, by na niego spojrzeć. Na jej ustach błędził blady uśmiech.

- Jak to możliwe? Rozejrzyj się. Czy to nie oczywiste? Siedzimy w czymś salonie, ponieważ nie mam już swojego, a nie śmiem postawić stopy u ciebie w domu z obawy przed tym, co powie twoja matka. Freddy, jestem żywym dowodem na to, że bogowie naprawdę nakazują dzieciom pokutować za winy ojców.

- Sądziłem, że nienawidzisz Biblii. Zawsze mówiłaś, iż jest u niej za mało żeńskich postaci, by była dla ciebie interesująca...

- To nie był cytat z Biblii, na miłość boską. To był Eurypides. Czy ty kiedykolwiek zwracałeś w szkole uwagę na to, co mówią do ciebie nauczyciele?

Zignorował to pytanie.

- Czuję, że zaraz czymś rzucę - oznajmił głośno.

- Cóż - odrzekła na to Kate. - Lepiej więc już idź. Nie mogę pozwolić sobie na otrzymanie wymówienia z twojego powodu. Sledge'owie może i są beznadziejnie nudni, ale są przynajmniej mili i uprzejmi, czego nie mogę powiedzieć o niektórych moich poprzednich pracodawcach.

- Do jasnej cholery! - powtórzył Freddy i odwrócił się, by wyjść. W tym samym momencie poruszyła się kłamka i Cyrus Sledge, wyglądający na nieco zdenerwowanego, wsunął głowę do pokoju.

- Och, hrabio Palmer - machnął garścią luźnych kartek - widzę, że już pan odchodzi. Zanim pan to robi, proszę zabrać ze sobą kilka traktatów. To znaczy, jeżeli pan zechce. Niezwykle obrazowo poruszają temat, który, jestem tego pewien, zafascynuje takiego młodego człowieka: nieszczęsny los Papuasów z Nowej Gwinei...

Widząc wyraz twarzy Freddy'ego, Kate uznała, że musi zaingerować. Zerwała się na równe nogi i pospieszyła do drzwi, żeby uświadomić swemu pracodawcy, by poczekał ze swymi traktatami do następnej wizyty hrabiego.

- Och, panie Sledge, hrabia Palmer nie czuje się zbyt dobrze. Dręczy go ból głowy. Może innym razem...

- Ból głowy? - Cyrus Sledge spojrzał na gościa. - Czy wie pan, w jaki sposób Papuasi z Nowej Gwinei leczą ból głowy? Żują korę z drzewa pewnego gatunku, po czym wypluwają zmiażdżone części do ogromnego naczynia. Jego zawartość przez kilka dni fermentuje w wysokiej temperaturze...

- Kate - odezwał się zdławionym głosem hrabia.

Uspokajająco położyła dłoń na jego ramieniu.

- W porządku, Freddy- powiedziała cicho.- Jeśli nam pan wybaczy, panie Sledge, wskażę jego lordowskiej mości drzwi.

Kate skierowała gościa w stronę Philipsa, który czekał przy drzwiach z kapeluszem, płaszczem i laską hrabiego. Freddy pozwolił lokajowi pomóc sobie włożyć nakrycie. Kate w tym czasie przytrzymała jego laskę i rękawiczki.

- Zobaczmy się w następny czwartek. Przyjedź po mnie o siódmej.

- Tak będzie lepiej - przytaknął Freddy. - Nigdy nam nie wychodzi, gdy mamy się spotkać gdzieś w mieście.

- Zwłaszcza wtedy, gdy zapominasz o zapisaniu adresu. Dobranoc, Freddy. - Poczwała na sobie wzrok lokaja. - To znaczy, hrabio Palmer.

Gdy tylko mężczyzna wyszedł, a Philips zamknął drzwi, pani Sledge wystawiła głowę znad balustrady na piętrze i zawołała:

- Czy wziął ze sobą traktaty, mój drogi?!

Mąż zerknął smutnym wzrokiem na trzymane arkusze papieru.

- Nie, moja droga! - odrzyknął. - Nie wziął!

Patrząc na ich rozczarowanie, Kate nie mogła się powstrzymać od dodania czegoś.

- Ależ wziął, panie Sledge. Kiedy pan nie patrzył, włożyłam do kieszeni jego lordowskiej mości kilka z tych, które zawsze leżą na stoliku przy wejściu.

Jej chlebodawczyni wciągnęła głęboko powietrze.

- A więc znajdzie je pewnie dzisiejszej nocy, gdy będzie się rozbierał.

Kate z trudem udało się utrzymać poważny wyraz twarzy.

- Z pewnością tak właśnie się stanie, pani Sledge.

- I przeczyta je, zanim pójdzie spać - rzekł wesoło pan Sledge. - A kiedy już zaśnie, jego lordowska mość będzie śnił o Papuasach z Nowej Gwinei! Czy pani też tak uważa, panno Mayhew?

- Nie potrafię sobie wyobrazić, by był w stanie śnić o czymkolwiek innym po przeczytaniu tych traktatów - przyznała szczerze.

Sledge'owie udali się do sypialni, gratulując sobie pozyskania jeszcze jednego zwolennika misji wielebnego Billingsa. Kate została sam na sam z lokajem.

- Panno Mayhew - rzekł Philips, gdy już dokładnie zamknął frontowe drzwi.

- Tak, panie Philips? - odpowiedziała ostrożnie.

- Wcześniej, kiedy rozmawialiśmy na dole...

Nie mogąc uwierzyć w to, że lokaj ma zamiar przeprosić ją za swe nieuprzejme zachowanie, Kate zapytała podejrzliwie:

- Tak, panie Philips?

- Zapomniałem wspomnieć o jednej rzeczy. Czy byłaby pani uprzejma w przyszłości trzymać pani zwierzę w swoim pokoju? Dziś rano znalazłem jego sierść w jednym z moich butów.

Bez słowa odwrócił się i ruszył przed siebie.

Kate, nagle bardzo zmęczona, oparła się o ścianę. Postanowiła spędzać wolne wieczory zamknięta razem z książką w swoim pokoju.

3

Było już dobrze po północy, kiedy Burke zapukał do drzwi mieszkania Sary Woodhart w Dorchester. Mimo tak późnej pory nie powinna potrzebować aż tyle czasu na otworzenie. Pomijając wszystko inne, zazwyczaj nie wychodziła z teatru przed jedenastą. Niemożliwe, żeby była już w łóżku. Czekaając, wyjął z kamizelki zegarek kieszonkowy i zmrużył oczy w bladym świetle korytarza. To prawda, że było po trzeciej nad ranem, ale przecież Sara i tak nie kładła się spać przed piątą. Kto jak kto, ale on dobrze o tym wiedział. To przecież on nie pozwalał jej zasnąć w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Ale kiedy drzwi wreszcie się otworzyły, nie ukazała się w nich upudrowana i pokryta różem twarz jego kochanki, lecz dobrze wyszorowane i zdrowo rumiane lico jej służącej, Lilly, która, mrugając i pocierając oczy z nieuzasadnionym, według Burke'a, zdziwieniem, zawołała:

- Och, markiz! To pan!

- Tak, Lilly - odrzekł Burke, zmuszając się do cierpliwości i uprzejmości. - Oczywiście, że to ja. Kogo się spodziewałaś, jeśli wolno spytać? Świętego Mikołaja?

- Och nie, panie. - Lilly zerknęła przez ramię w stronę zaciemnionego mieszkania. - Oczywiście, że nie. Nie świętego Mikołaja, nie. Tyle że też nie pana. Nie myślałam... nie myślałam, że zobaczymy jego lordowską mość. Nie dziś w nocy.

- Dlaczego nie dzisiejszej nocy, Lilly? Czy pani Woodhart zachorowała lub też stało się może coś podobnego?

- Och nie, proszę pana. Tylko że skoro wasza lordowska mość nie pojawił się w teatrze...

- Tak?

- Cóż, po prostu pomyślałyśmy, że dziś w nocy pana nie zobaczymy, to wszystko.

- Cóż - odrzekł Burke. - Myliłyście się. Oto jestem. A teraz czy masz zamiar mnie wpuścić, Lilly, czy też mam stać w tym pełnym przeciągów korytarzu przez całą noc?

Służąca ponownie zerknęła przez ramię.

- Oczywiście, że może pan wejść. Tylko że pani Woodhart, eee... wie pan, śpi.

- Domyśliłem się tego, Lilly. Ale nie sądzę, by miała mi za złe obudzenie jej.

Burke nie miał poczucia, że sobie schlebia. Aksamitne puzderko w kieszeni jego płaszcza było gwarancją, że Sara nie będzie miała doprawdy nic przeciwko zbudzeniu jej w środku nocy - a w szczególności przez Burke'a Traherne'a. Miał zamiar podarować jej tę bransoletkę w przyszłym miesiącu, z okazji urodzin, ale pomyślał, że może jeszcze raz spotka się z jubilerem, tym razem w sprawie zaprojektowania zamiast tego kompletu, składającego się z naszyjnika i kolczyków. Zdążył się już nauczyć, że brylanty są najpewniejszą drogą do kobiecego serca.

- N... no tak - rzekła Lilly, przeciągając sylaby. - Czy mógłby pan poczekać? Ja tymczasem sprawdzę, czy mogę obudzić panią Woodhart. Nie czuła się zbyt dobrze, kiedy

wróciła... Poza tym wie pan, że zawsze chce wyglądać jak najlepiej dla pana...

Burke odpowiedział jej bardzo powoli, tak by na pewno go zrozumiała:

- Dlaczego nie, oczywiście, że poczekam, Lilly. Ale czy byłby to dla ciebie wielki problem, gdybyś wpuściła mnie, żebym poczekał w środku?

Dziewczyna przytaknęła, ale wpuściła go z wyraźną niechęcią i zgodziła się zapalić lampę dopiero wtedy, gdy usadowił się na kanapie z miną człowieka, który ma do tego prawo. Bo oczywiście je miał, odkąd opłacał czynsz za to mieszkanie. Zapłacił także za kanapę.

Burke postanowił porozmawiać z Sarą o Lilly. Owszem, niełatwo jest znaleźć dobrą pomoc w tych czasach - panna Pitt była tego doskonałym przykładem - jednak ta dziewczyna była zdecydowanie tępa. Być może lady Chittenhouse mogłaby polecić jakąś dobrą służącą. Mógłby udać, że chodzi mu o Isabel...

Siedział w półmroku i groźnie wpatrywał się przed siebie. Przypomnienie sobie panny Pitt znowu wywołało w nim wściekłość. To wszystko przez tę starą babę. Gdyby nie złożyła wymówienia w ostatniej chwili, mogłoby mu się udać uniknąć spędzenia większości wieczoru na kłóceniu się z Isabel. Kłóceniu się z nią? Kogo starał się oszukać? Większość wieczoru spędził, ganiając za nią przez pół Londynu. Zniszczył nowe bryczesy - nie wspominając już o butach - gdy biegł przez błoto po tym, jak córka wyskoczyła z powozu. Obydwoje byli zmuszeni do powrotu do domu i przebrania się, zanim śmieli się pokazać u lady Peagrove. Bal okazał się - ku głębokiemu żalowi Burke'a - dokładnie taki, jak przewidziała ta irytująca młoda kobieta na ulicy: tłum, składający się z pochlebców i krewnych ze wsi. Nie było ani jednego odpowiedniego

kawalera, ani jednego młodzieńca, któremu pozwoliłby zatańczyć z Isabel, nie mówiąc już o jej poślubieniu. Każdy, kto cokolwiek znaczył, o czym zapewnił go kolejny rozczarowany ojciec, bawił się u pani Ashforth.

No ale skąd miał to wiedzieć? Nie można przecież oczekiwać od mężczyzny, że będzie się znał na takich rzeczach. Po to właśnie zatrudniał przyzwoitki. Czy to jego wina, że te okazały się - jak jeden mąż - głupie niczym koty? Poza tym doszedł do wniosku, że to nie przyzwoitki potrzebuje Isabel, a raczej wytrzymałego długodystansowca. Dziewczyna dała mu niezły wycisk, przeganiając go przez całe Piccadilly. W końcu złapała ją na Trafalgar Square, i to tylko dlatego, że zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu, a jej biała suknia wyraźnie się wyróżniała pomiędzy ulicznicami i sprzedawcami kwiatów. I co zrobiła, kiedy ją dogonił? Zaczęła się śmiać! Śmiała się tak, jakby cała ta sprawa była tylko niewinnym, wesołym żartem.

Żartem! A potem musiał spędzić resztę wieczoru, słuchając lady Peagrove, przepaszającej za to, że na jej balu kotyliowym nie ma w tym roku żadnych jego rówieśników, że nie może sobie wyobrazić, gdzie oni wszyscy mogli pójść. I czy lord Wingate poznał już jej kuzynkę Ann? Czyż nie jest ona urocza? W zeszłym roku owdowiała, biedactwo, i mieszka teraz w Yorkshire z tymi trzema wysokimi chłopcami, dwiema setkami bydła i bez mężczyzny, mającego nad tym wszystkim pieczę.

O tak. Doskonały żart. Burke ledwie był w stanie powstrzymać się przed rzuceniem o ziemię trzymanym w dłoni kieliszkiem z szampanem.

Panna Pitt! To wszystko wina panny Pitt. Gdyby nie odeszła...

I ta dziewczyna. Ta dziewczyna z parasolką. To również jej wina. Jej i jej piekielnej buzi. Gdyby trzymała ją zamkniętą i nie wtrącała się do balu kotyliowego u lady Peagrove...

Czy istnieje jakaś niepisana zasada, że wszystkie przyzwoitki

i guwernantki muszą mieć niewyparzone języki? Tak czy nie? Być może udałoby mu się znaleźć jakąś, która straciła język w jakimś tragicznym wypadku. Ale jak niema przyzwoitka poradziłaby sobie z Isabel? Był najzupełniej pewny, że przetestował już każdą z przyzwoitek córek lady Chittenhouse. Wszystkie miały języki i żadnej nie udało się poradzić sobie z jego dzieckiem. W jaki sposób miał znaleźć kolejną? Czy powinien zamieścić gdzieś ogłoszenie? Prawdopodobnie tak właśnie będzie musiał zrobić. Zabierze to kilka dni i będzie oznaczało niezliczone rozmowy z wdowami i starymi pannami o zaciśniętych ustach. A potem będzie musiał sprawdzić ich referencje, co zabierze jeszcze więcej czasu. Szczególnie, jeśli będą kłamać.

A wszystkie kłamią.

To nie był sposób, w jaki mężczyzna w kwiecie wieku - a za takiego zdecydowanie Burke się uważał - powinien spędzać czas. Pomiędzy przepytывaniem kandydatek na przyzwoitkę i upewnianiem się, czy Isabel nie uciekła z domu, by spotkać się z tym przeklętym Saundersem. Boże, jaką miał ochotę posłać kulkę w stronę głowy tego łazęgi! Przez niego brakowało mu czasu dla siebie.

Nie było żadnych wątpliwości, że Sara poszła spać. Bo czy był mężczyzną, na którego warto czekać?

O czym też on zaczyna myśleć? Oczywiście, że był!

Tyle... tyle że nie potrafił przestać się zastanawiać, że to trochę dziwne, to pójście do łóżka o tak wczesnej porze. Wiedział z doświadczenia, że aktorki i śpiewaczki mają zwyczaj nie kłaść się aż do wczesnych godzin porannych i spać potem do popołudnia. Sara udowodniła, że nie jest wyjątkiem od tej reguły. Cóż, obraziła się, że się spóźnił. Nie było się nad czym zastanawiać, z pewnością poszła już spać. Była kobietą - wiedział coś na ten temat - i jak każda kobieta czuła się urażona jego spóźnieniem. Dokładnie tego mógł oczekiwać.

I właśnie wtedy zauważył buty.

Nawet się nie wysilili, by je ukryć. Może Lilly nie miała pojęcia, że tu są. W cieniu, obok długich draperii, które zakrywały dwuskrzydłowe drzwi wiodące do sypialni Sary - te, za którymi niedawno zniknęła Lilly - stała para lśniących butów z cholewami. Burke nie musiał wstawać, by dojrzeć, że są to z całą pewnością buty męskie, a nie para zostawiona bez troski przez Sarę. Jego kochanka nie należała do drobnych kobiet, ale z pewnością nie nosiłaby butów, które prawdopodobnie pasowałyby na jego stopy.

Burke westchnął. Naprawdę, to już zaczynało się stawać niemożliwe do zniesienia. Gdyby nie wiedział lepiej, mógłby zacząć podejrzewać, że to z nim jest coś nie tak. Musiał istnieć powód, dla którego kobiety nie potrafiły pozostać mu wierne. Czy to możliwe, jak powtarzał sobie od tego przekłętego wieczoru, kiedy to znalazł Elisabeth i tego łajdaka O'Shawneseya w miłosnym uścisku, że kobiety są stworzeniami niestałymi, zupełnie niezdolnymi do uczuciowego zaangażowania się? A może jednak on ma w sobie coś takiego, co odrzuca kobiety? Zarzucano mu chłód, brak serca. Czy możliwe, żeby to była prawda? Całkiem prawdopodobne. To przez Elisabeth. To ona wydarła z niego serce i zrzuciła je ze schodów tamtej pamiętnej zimowej nocy, szesnaście lat temu. Może właśnie dlatego teraz tak go nie bolało, choć przecież powinno.

Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i słynna pani Woodhart, jaśniejąca w przezroczystym szlafrocuku, który Burke rozpoznał jako jeden z tych, jakie dla niej kupił, ukazała się w świetle lampy. Kruczoczarne włosy opadały prawie do pasa.

- Kochanie! - wykrzyknęła gardłowym głosem, dzięki któremu była tak popularna w Londynie. - Nareszcie jesteś! Co cię tak długo zatrzymywało?

Przeniósł wzrok z uroczego stworzenia stojącego w drzwiach

na buty, znajdujące się najwyżej stopę dalej, ale ukryte, jak podejrzewał Burke, w cieniu przed jej spojrzeniem.

- Isabel - odrzekł krótko.

- O nie! - Sara potrząsnęła głową. - Znowu? Co narobiła tym razem? Mam nadzieję, że nie chodzi o tego okropnego Saundersa. Wiesz, Burke, słyszałam, że ma tysiące funtów długu w Oksfordzie. Karty! Nie ma nic gorszego niż hazardzista, być może z wyjątkiem hazardzisty, który nie jest w stanie spłacać długów, a obawiam się, że z panem Saundersem tak się sprawy mają.

Burke siedział sztywno wyprostowany. Do tej pory nie zdjął płaszczka, a jedynie kapelusz. Teraz powoli wstał.

- Musisz coś zrobić z tym twoim dzieckiem - ciągnęła Sara. Nie była na tyle wysoka, by spojrzeć kochankowi prosto w oczy, gdy ten się wyprostował, ale musiała jedynie unieść nieco podbródek. Jeszcze niedawno uważał widok podniesionego podbródka Sary Woodhart za nieodparcie czarujący, jednak dzisiaj zauważył, że czarny pieprzyk, który namalowała tuż poniżej ust, jest rozmazany, a na jej szyi dojrzał czerwony ślad - tam, gdzie szlafroczek rozchyłał się, ukazując mlecznobiałą skórę.

- Naprawdę, Burke - kontynuowała. - Pozwalasz jej na zbyt wiele. Nie możesz zgodzić się, by to ona rządziła tobą. Musisz mieć nad nią kontrolę, pokazać, że to ty rządzisz.

Zaczął spokojnie ściągać rękawiczki, wysuwając po kolei każdy palec.

- Problem z tymi przyzwoitkami, które zatrudniasz - mówiła Sara tonem w żadnym wypadku nie zrędlwym; ona nigdy takiego nie przybierała, to była część uroku pani Woodhart - jest taki, że one się boją, iż zostaną zwolnione, jeśli nie będą robiły dokładnie tego, co każe im lady Isabel. Musisz znaleźć kogoś, kto będzie potrafił się jej przeciwstawić i uświadomić, jak to się skończy, jeżeli wciąż będzie się zachowywać jak łobuzica.

Burke ściągnął już obie rękawiczki.

- Odsuń się na bok, Saro - rzekł spokojnie.

Jego kochanka zaśmiała się lekko i perliście.

- Och, Burke. Czy Lilly nie powiedziała ci? Niestety, rozboleło mnie gardło. Po wypiciu galonu herbaty z miodem poszłam prosto do łóżka. Lepiej nie podchodź do mnie zbyt blisko, kochany, można się zarazić. Doktor Peters mówi, że muszę oszczędzać głos, w przeciwnym wypadku będę do niczego podczas jutrzejszego wieczornego przedstawienia.

Burke uderzył czarnymi skórzanymi rękawiczkami o swoją dłoń. Nie śpieszył się. Miał bardzo, bardzo dużo czasu.

- Odsuń się na bok, Saro - powtórzył. - Muszę tylko coś zrobić. Potem pójdę sobie, a ty będziesz mogła wrócić do łóżka.

Sara obejrzała się przez ramię w stronę zaciemnionej sypialni.

- Naprawdę, Burke - powiedziała nieco zbyt głośno. - Nie potrafię wyobrazić sobie, dlaczego chcesz wejść do sypialni, skoro powiedziałam ci już, że nie czuję się najlepiej...

- Jest coś, co zostawiłem podczas mojej ostatniej wizyty - rzekł nieśpiesznie.

Sara odwróciła się do niego plecami i wzruszyła ramionami.

- A więc proszę bardzo, wejdź. - Taki z lekka obrażony ton zazwyczaj rezerwowała dla młodych mężczyzn, oblegających drzwi od teatralnej garderoby w nadziei choć przelotnego ujrzenia aktorki.

- Dziękuję - odparł zwięźle Burke. Gdy przechodził obok niej, poczuł nagle zapach perfum Sary - mieszanki, nad którą pracowała z lokalnym chemikiem i którą miała nadzieję podbić rynek, lansując ją jako osobisty zapach największej londyńskiej aktorki. Mieli zamiar nazwać te perfumy jej imieniem. Ich aromat przypominał Burke'owi zapach kapryfolium rosnącego przy stajniach, w których jako mały chłopiec trzymał konie.

Nie było to nieprzyjemne wspomnienie i dlatego ten zapach całkiem mu się podobał, ale czasami zastanawiał się, czy jest na pewno odpowiedni dla kobiety takiej jak Sara.

W sypialni nie paliły się światła, tylko dogasający ogień z kominka rzucał czerwoną poświatę. Wielkie łóże z baldachimem było puste, mimo że wyraźnie jeszcze przed chwilą na poduszkach spoczywały dwie głowy. Sara - która nie należała do najporządniejszych kobiet na świecie - zostawiła części swej garderoby porozrzucane na podłodze. Burke nie dojrzał między nimi żadnych męskich ubrań. Wtedy zauważył jakiś cień za drzwiami wiodącymi na taras. Światłu księżycy udało się przebić przez gęstą mgłę i po drugiej stronie przesklonych drzwi wyraźnie widać było łokieć.

Podszedł do nich i położył obie dłonie na klamce. Sara westchnęła za jego plecami, a Lilly powiedziała:

- O rety!

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. A tam, trzęsąc się w chłodzie wiosennej nocy, stał mężczyzna, z jedną nogą tkwiącą w parze bryczesów. Kiedy zobaczył, że ma towarzystwo, całkiem dosłownie zamarł, a jego oczy zrobiły się wielkie niczym spodki. Burke doszedł do wniosku, że nie zna tego młokosa, co nie było znowu takie niezwykle, bo przecież nie znał wielu ludzi w Londynie. Złapanym w niedwuznacznej sytuacji nieszczęśnik odwrócił od niego spojrzenie i zerknął, tylko raz, na znajdującą się kilka pięter niżej ulicę. I całkiem głośno przełknął ślinę.

Burke zaśmiał się, choć nie było mu do śmiechu.

- Nie martw się - rzekł. - Nie mam zamiaru zrzucić cię na dół.

Mężczyzna, a właściwie chłopak, jako że nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, z wargami niebieskimi od zimna wyjąkał:

- N...nie z...zrzuci, m...nie pan?

- Oczywiście, że nie. Dni, kiedy wyrzucałem mężczyzn przez okna i balkony, już dawno minęły.

- N...naprawdę, markizie?

- Naprawdę. Wściekłość wymaga namiętności, wiesz, a ja nie czułem jej do niczego, w szczególności do żadnej kobiety, od dłuższego już czasu. Zobaczysz, że będziesz się czuł tak samo, gdy staniesz się starszy.

Chłopak westchnął z nieopisaną ulgą.

- Och, dziękuję, markizie.

- Ale fakt, że nie wpadłem we wściekłość - ciągnął Burke w formie niezobowiązującej konwersacji - nie oznacza jeszcze, że nie będę żądał od ciebie satysfakcji. Oczekuję spotkania z tobą jutro o świcie... O nie, to będzie zdecydowanie zbyt wcześnie. Już za kilka godzin. Może jutro o zmierzchu? Na tyłach parku. Ty wybierasz rodzaj broni. Pistolety czy szable?

Serce młodego mężczyzny - co Burke mógł wyraźnie dojrzeć, gdyż nie miał on na sobie żadnej koszuli - biło w spazmatycznym tempie.

- Och, markizie - wyjąkał chłopak. - Ja, jeśli można...

- W takim razie pistolety - oświadczył Burke, wątpił bowiem, by jego przeciwnik potrafił dobrze władać szablą. Sermierka, długo uważana za niezbędny element edukacji każdego dżentelmena, stawała się coraz mniej popularna, czego nie mógł odżałować. - Przyprowadź sekundanta. Ja zatroszczę się o obecność doktora. Dobrej nocy.

Odwrócił się i skierował z powrotem w stronę sypialni. Tam Sara rzuciła się na łożo i zaczęła lamentować.

- Och, proszę, Burke. - Jej piękna twarz była zalana łzami. - Ty nie rozumiesz! On mnie zmusił! Zaprosiłam go tylko na kieliszek brandy, a następną rzeczą, którą pamiętam, było to, jak się na mnie rzucił.

Burke przytaknął, wkładając z powrotem rękawiczki. Myślał,

że użyje ich do uderzenia w twarz rywala, ale kiedy ujrzał trzęsącego się chłopaka, doprawdy nie miał serca, by to zrobić. Mimo wszystko żałował, że nie ma przy sobie szpicruty. Użyłby jej wtedy bardzo chętnie do wychłostania pleców pani Woodhart, jako że uważał, iż wyjątkowo na to zasługuje.

- Proszę, Saro - rzekł. - Twoja gra aktorska zebrałaby wiele oklasków na scenie, ale na mnie zupełnie nie działa. Jeżeli dzisiejszej nocy miało miejsce jakiegokolwiek zmuszanie, jestem gotów założyć się, że to ty byłaś jego inicjatorką. Przestań więc płakać i posłuchaj mnie uważnie.

Ale ją zbyt mocno pochłonęło przedstawienie, by się teraz wycofać.

- Burke! - zawołała z patosem. - Czyż nie wiesz, że tylko ciebie mogłabym kochać? Tylko ciebie, Burke!

Westchnął.

- Posłuchaj mnie, Saro. Mieszkanie jest opłacone do końca miesiąca, ale oczekuję, że do pierwszego ciebie już tutaj nie będzie. Rozumiesz, oczywiście.

Sara zaszlochała. Burke'owi przyszło do głowy, że gdyby włożyła połowę tej energii w swój występ jako lady Makbet, dużo bardziej zadowoliliby krytyków. To publiczność ją kochała. Kochała głównie za jej nieprzeciętną urodę.

A czy on widział w niej coś innego?

- Możesz zatrzymać biżuterię i powóz - dodał. Wiedział, że staje się coraz bardziej miękki. Jeszcze rok temu zażądałby zwrotu także i powozu. Teraz po prostu nie dbał o to na tyle, by robić z tego problem. - No i oczywiście ubrania, kapelusze i tego typu rzeczy są również twoje. - Czy to wszystko? Staraj się sobie przypomnieć. Czy podarował jej coś jeszcze? Nic. Nie dał jej nic z siebie. - Cóż - rzekł, przyglądając się, jak niezrównana pani Woodhart uderza pięściami w materac. - W takim razie dobrej nocy, Saro.

Wyszedł z sypialni i odebrał kapelusz z rąk rozstrojonej Lilly.

- Gdyby tylko był pan tutaj dziś wieczorem, zamiast się gdzieś wałęsać, nigdy by się to nie zdarzyło. To znaczy moja pani i on - powiedziała całkiem ostro jak na dziewczynę z niewielkiej wioski.

Burke uniósł brwi, słysząc tę wymówkę.

- Wiesz, Lilly, naprawdę bardzo mi przykro. Ale nie wałęsałem się nigdzie, jak to ładnie ujęłaś. Musiałem się opiekować córką.

Dziewczyna potrząsnęła głową, wyraźnie nieszczęśliwa, że wkrótce będzie się musiała stąd wyprowadzić.

- Są przecież ludzie, których może pan zatrudnić, by opiekowali się pańską córką - odrzekła gorzko, po czym zatrzasnęła za nim drzwi.

Stojąc na korytarzu przed drzwiami mieszkania, za które płacił, Burke zastanawiał się przez chwilę nad słowami służącej. *Są przecież ludzie, których może pan zatrudnić, by opiekowali się pańską córką.* Oczywiście. Zatrudniał ich. Ilu? Stracił już rachubę, ile kobiet rozpakowywało swe torby w pokoju, znajdującym się tuż obok sypialni jego córki, tylko po to, by kilka dni później ponownie je spakować i odejść - zazwyczaj we łzach. Czy w całej Anglii nie było kobiety, z którą Isabel zgodziłaby się być dłużej niż przez tydzień? Kogo mógłby zatrudnić, by wreszcie zadowolić swoją upartą córkę?

Dokładnie takie pytanie zadał Isabel, gdy wrócili z balu u lady Peagrove. Jej odpowiedź była krótka:

- Kogoś takiego jak panna Mayhew!

No cóż, skoro Isabel chce panny Mayhew, to ją dostanie, postanowił.

4

Kate postawiła Lady Babbie na swoim biurku.

- Co ja mam z tobą zrobić? - zapytała.

Kotka popatrzyła na nią dużymi zielonymi oczami.

- W końcu wyrzucą nas stąd przez ciebie - rzekła jej pani. - Musisz przestać kłaść martwe myszy na jego poduszce. Nie będziesz więcej wyciągała pasków z jego płaszczy. I nie może znaleźć twojej sierści w swoich butach. Musisz z tym skończyć. Inaczej do reszty obrzydzi moje życie tutaj.

Lady Babbie otworzyła pyszczek i szeroko ziewnęła, ukazując białe ostre zęby i różowy języczek.

- Gdybyś tylko zrozumiała choć słowo z tego, co do ciebie mówię.

Nagle Kate usłyszała kroki za drzwiami pokoju, służącego jako szkolna klasa. Obiecała Philipsowi, iż będzie trzymała Lady Babbie zamkniętą w swojej sypialni, więc chwyciła zwierzę i schowała je pod stołem, gdzie pluło i prychało ze złością, podczas gdy ona czekała, by się dowiedzieć, kto jest za drzwiami. Ale to była tylko Posie, której brakowało tchu po szybkim biegu z parteru na trzecie piętro, gdzie znajdowała się klasa.

- Och - rzekła Kate z wyraźną ulgą. Wyciągnęła spod biurka sycząca kotkę. - To tylko ty. Przestraszyłaś mnie. Byłam pewna, że to ten stary lokaj.

- Ojej, panienko... - Posie wsparła się o drzwi, starając się złapać oddech. - Nie uwierz panienka, nie uwierz...

Lady Babbie wysunęła pazury i, by uniknąć zadrapania, Kate była zmuszona postawić ją na podłodze.

- A idź sobie, ty paskudo - rzekła z czułością, gdy zwierzę odeszło od niej, wymachując gniewnie ogonem. - Rób, jak chcesz. Tylko nie wiń mnie, jeśli pan Philips pogoni cię za złamanie obietnicy.

Lady Babbie usiadła tuż przy kominku i zaczęła się energicznie myć. Jej pani zerknęła na przypięty do bluzki mały zegarek.

- Czyżby chłopcy wrócili już z lekcji jazdy konnej? - zapytała. - Sądziłam, że będą tam jeszcze przynajmniej przez pół godziny. Nie zdążyłam porozmawiać z kucharką o ich drugim śniadaniu.

- Nie chodzi o chłopców - odrzekła Posie, zdolna wreszcie do wypowiedzenia więcej niż czterech słów. Trzymała dłoń przyciśniętą do piersi, jakby chciała uspokoić swe szybko bijące serce. - Jest tutaj dżentelmen, który się chce z panienką widzieć. Czeka w bibliotece. Lokaj musiał zaprowadzić go właśnie tam, gdyż w salonie pani Sledge ma spotkanie z innymi paniami w sprawie tych Papuasów, wie panienka...

- Dżentelmen? - Kate instynktownie uniosła dłoń, by poprawić fryzurę. - Co, na miłość boską, robi tutaj Freddy, i to na dodatek w środku dnia? Wie, że nie mam wolnych wtorków. Co się mogło stać?

Posie potrząsnęła głową.

- Nie, nie, panienko - odrzekła z oczami błyszczącymi czymś, co najbardziej przypominało gorączkowe podekscyto-

wanie. - To nie hrabia Palmer. W żadnym wypadku! Ten pan jest wysoki i ciemny. Wielki jak góra i oczy ma takie jak Lady Babbie. Myślę, że to pewnie ten dżentelmen, o którym panienka mówiła, że widziała go, jak krzywdził swoją córkę na ulicy wtedy wieczorem...

- Co takiego?! - Kate zerwała się na równe nogi, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. - Masz na myśli lorda Wingate?

- Tak, to właśnie on. - Posie pstryknęła palcami. - Tak właśnie się nazywa. Lokaj podał mi jego nazwisko, ale zapomniałam. Wingate. Tak.

Kate wpatrywała się w nią.

- Lord Wingate? Tutaj? Chce się ze mną widzieć?

- Tak, panienko. Tak właśnie powiedział. Dał Philipsowi swój bilecik i zapytał, czy panienka jest w domu, tak jakby była panią tego domu! - Policzki Posie były zaróżowione z emocji. - Powinna była panienka zobaczyć twarz naszego lokaja! Poszedł prosto do pana Sledge'a i powiedział mu to, a nasz pan kazał mu nie stać tak i posłać po panienkę. - Posie zachichotała nerwowo. - Posłać po panienkę! Szkoda, że nie widziała panienka jego miny!

- Dobry Boże. - Kate pośpiesznie otrzepywała spódnicę z kociej sierści. - Czegóż on może ode mnie chcieć?

- Może zrobiła panienka parasolką dziurę w jego płaszczu - zasugerowała radośnie Posie. - Może chce, by panienka zwróciła mu pieniądze za nowy.

- Och nie. - Kate zamarła, mimo że jedną nogą znajdowała się już na schodach. - Dobry Boże, Posie, nie mogę sobie pozwolić na kupno nowego płaszcza dla tego człowieka. Jego fular kosztuje prawdopodobnie więcej, niż ja zarobię przez cały rok.

Posie poklepała ją po ramieniu.

- Proszę się nie martwić. Każe mu panienka po prostu

przynieść ten płaszcz, a my już poprosimy panią Jennings o jego zszycie. Sama panienska wie, jaką ona jest mistrzynią. Będzie jak nowy. Nikt nie dojrzy różnicy.

Trochę tylko pocieszona, Kate zaczęła powoli schodzić na pierwsze piętro, gdzie czekał na nią lord. Wiedziała, że może istnieć tylko jeden powód, dla którego markiz Wingate fatygowałby się przyjść do domu Cyrusa Sledge'a: niewątpliwie był wciąż wściekły na Kate i jej oskarżenia, które padły tamtego wieczoru przed kilkoma dniami, i przyszedł zażądać jej zwolnienia i natychmiastowego wyniesienia się z Park Lane. Kiedy wejdzie do biblioteki, pan Sledge z pewnością natychmiast ją zwolni.

Jej chlebodawca stał przy drzwiach biblioteki w towarzystwie żony i Philipsa. Cała trójka wpatrywała się w nią oczekująco i to pani Sledge odezwała się pierwsza, uprzejmym i głośnym szepem, by jego lordowska mość nie dosłyszał jej przez zamknięte drzwi.

- Dłaczego, panno Mayhew! Nie mieliśmy pojęcia, że zna się pani z lordem Wingate!

Kate zatrzymała się nagle.

- Ja... - zaczęła, ale pracodawca jej przerwał.

- Lord Wingate jest niezwykle bogatym człowiekiem, panno Mayhew. - Starał się, jak zauważyła Kate, zachować postawę pełną godności, ale podekscytowanie brało górę. - Co prawda jego reputacja pozostawia wiele do życzenia. Wielebny Billings na pewno by jej nie pochwalił, bo przeszłość lorda Wingate jest w pewien sposób niechlubna, jestem pewien, że nie muszę pani o tym mówić. Jednakże ten człowiek jest tak bogaty, że nawet dotacja, którą on uważałby za niewielką, mogłaby na całe lata zapewnić Papuasom z Nowej Gwinei książki do nabożeństwa. Mogłby może nawet ufundować wynagrodzenie dla kogoś, kto nauczyłby te biedne duszyczki czytać!

- Cóż - rzekła Kate. - Sądzę, że gdyby lord Wingate przy-

szedł tutaj, by wspomóc działalność wielebnego Billingsa, poprosiłby o widzenie się z panem, panie Sledge, a nie ze mną. Być może nastąpiła jakaś pomyłka...

- Nie ma mowy o żadnej pomyłce - rzekł majestatycznie Philips. - Wymienił pani nazwisko, panno Mayhew.

O rety, pomyślała Kate. Już po mnie.

- No cóż, jakikolwiek jest cel jego wizyty - pan Sledge włożył coś w dłoń Kate i lekko popchnął ją w stronę drzwi - proszę zobaczyć, czy mogłaby pani przekazać mu te traktaty. Jestem pewien, że lord Wingate jest intelektualistą. Mówią, że dla własnej przyjemności studiował prawo i że czyta książki filozoficzne i tym podobne. Powinien więc uznać te traktaty za całkiem interesujące.

Zanim Kate zdołała wypowiedzieć choć jedno słowo, Philips otworzył drzwi do biblioteki i zaanonsował ją:

- Panna Mayhew, milordzie. - Po czym dziewczyna została dosłownie wepchnięta do pokoju.

Potknęła się, oczywiście, o frędzle orientального dywanu i upuściła traktaty. Kiedy odzyskała równowagę, spojrzała w górę i ujrzała mężczyznę, którego zaczęła na ulicy kilka dni temu, odwracającego się od ognia w kominku.

Bez łagodzącej i zamazującej jego ostre rysy mgły wydał się Kate dużo bardziej onieśmielający niż tamtego wieczoru. Ponad stopę od niej wyższy, w ramionach był prawie tak szeroki jak obramowanie znajdującego się za nim kominka. Biodra miał jednak wąskie, a na brzuchu, zakrytym satynową kamizelką, nie było widać ani jednej fałdki tłuszczu. Mimo to był zbyt potężny, by Kate mogła się rozluźnić w jego obecności - zbyt potężny i zdecydowanie za bezpośredni ze swym spojrzeniem, które przeszywało ją z alarmującym natężeniem. Tak wielkim, że dziewczyna pospiesznie opuściła wzrok, mając nadzieję, że on tego nie zauważy.

- Szuka pani parasolki, panno Mayhew? - spytał natychmiast.

Zauważył. Drgnęła, choć bez żadnego problemu rozpoznała ten głos. Wtedy był to głęboki, groźny pomruk, przecinający mgłę i przytłaczający Kate swoim nieprzyjemnym brzmieniem. Teraz więcej było w nim zadowolenia niż złości, ale mimo to był onieśmielający.

- Zapewniam pana, że z równą zręcznością potrafię się posługiwać pogrzebaczem - oświadczyła, podnosząc wzrok.

Jeżeli lorda Wingate zaskoczyła jej zuchwałość, nie dał tego po sobie poznać.

- Dziękuję bardzo za ostrzeżenie - rzucił sucho. - Ale miałem nadzieję, że uda mi się przetrwać tę rozmowę bez żadnego fizycznego uszczerbku. Wie pani, kim jestem?

Kate splotła z tyłu ręce i przybrała, jak sądziła, obojętny wyraz twarzy.

- Doskonale, markizie - odrzekła. - Burke Traherne, markiz Wingate.

- To prawda - zagrzmiał. - Zakładam, że pamięta pani swą napaść z raczej zaskakującymi podejrzeniami. Przypomina je sobie pani?

Dziewczyna przytaknęła.

- Owszem, markizie, przypominam sobie.

Uniósł jedną ze swych ciemnych brwi.

- Ale widzę, że przeprosin nie ma.

- Przepraszam, jeżeli moja insynuacja, że jest pan niegodziwym łotrem, wykorzystującym niewinne dziewczęta, obraziła pana. Ale nie przepraszam za to, że tak o panu pomyślałam. Pan naprawdę wyglądał bardzo podejrzanie. Miałam prawo być podejrzliwa.

- Miała pani prawo? Podejrzewać, że... jak pani mnie nazwała? Niegodziwym łotrem, wykorzystującym młode dziewczęta. Czy często pani spotykała takich łotrów podczas swoich pieszych wędrówek po Park Lane, panno Mayhew?

Kate ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- To nie ja miałam przerzuconą przez ramię, krzyczącą wniebogłosy młodą dziewczynę, markizie.

- Wytłumaczyłem przecież pani, że to była moja córka.

- Tak, ale dlaczego miałam panu uwierzyć? Jeśli naprawdę byłby pan niegodziwym łotrem, wykorzystującym niewinne dziewczęta, powiedziałyby pan wszystko, żeby tylko nie zostać złapanym.

Lord Wingate zakaszłał.

- No tak. Cóż, czy byłoby możliwe, by choć na chwilę odłożyła pani na bok swoje przypuszczenia co do prawdziwej natury mego charakteru i wysłuchała mej propozycji?

- Propozycji? - Kate poczuła ulgę. - Och, w takim razie musi pan porozmawiać o tym z panem Sledge'em. To on zbiera datki, mające na celu wspieranie wielebnego Billingsa, który pragnie zbawić dusze Papuasów z Nowej Gwinei. Czy mam go teraz zawołać?

- Oczywiście, że nie. - Lord Wingate przyglądał się jej z ciekawością.

Z ogromną ciekawością, pomyślała, i odrobinę za długo. Nie opuściła wzroku, chociaż szczerze tego pragnęła. Jedyne, o czym myślała, przyglądając mu się, to o tym, że jej rozmówca, ze swoją posturą, z pewnością nie miał problemów z wyrzuceniem rywala przez okno. Jego bicepsy, zarysy których były widoczne pod rękawami doskonale skrojonego płaszcza, były naprawdę potężne. Zauważyła też bruzdy biegnące od nosa do kącików pełnych, zaskakująco wrażliwie wyglądających ust. prawdopodobnie wywołane przez jego dawne kłopoty z żoną. Przez chwilę prawie poczuła dla niego współczucie, choć był bogaty, a przy tym tak surowo potraktował swoją żonę. Musiała się przywołać do porządku.

- Ani trochę nie obchodzą mnie Papuasi z Nowej Gwinei -

oznajmił lord Wingate, wrywając dziewczynę z zamyślenia. - A czy pani jest wielką orędowniczką wielbnego Billingsa, panno Mayhew?

Kate nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Skądże - odrzekła. - Raz był tutaj na kolacji i...

Urwała, zdając sobie sprawę, że raczej nie może powiedzieć temu potężnemu i onieśmielającemu mężczyźnie, co zrobił wielbny Billings, a mianowicie podczas kolacji wypił całą butelkę czerwonego wina, po czym przyparł Kate do ściany spiżarni, gdzie próbował zaznajomić ją z papuaskimi rytuałami, towarzyszącymi dobieraniu się w pary. W odpowiedzi na jego wysiłki dziewczyna rozbiła mu na głowie talerz z szarlotką. Potraktowany w taki sposób dostojny gość dość pospiesznie i bez żadnego wytłumaczenia opuścił dom państwa Sledge'ów, a ci przypisali to dziwne zachowanie ogromowi jego geniuszu.

Jeżeli lord Wingate zwrócił uwagę na to, że jego rozmówczyni poczuła się niezręcznie, nie dał nic po sobie poznać.

- W takim razie w porządku - odezwał się z ulgą. - To, o co przyszedłem poprosić, panno Mayhew, i proszę wybaczyć mi, że wcześniej do pani nie napisałem, ale czułem, że propozycja wyrażona osobiście zostanie lepiej przyjęta, zwłaszcza po tym niekonwencjonalnym spotkaniu w zeszłym tygodniu...

Utkwił w niej tak przeszywające spojrzenie, że Kate prawie się potknęła, cofając o krok, ale w porę złapała się poręczy stojącego nieopodal krzesła.

- Zastanawiam się - kontynuował markiz - czy zechciałaby pani rozważyć porzucenie pracy tutaj, u Sledge'ów, i przenosiła się do mnie, by zostać przyzwoitką mojej córki, Isabel, z którą, jak ufam, jest pani w jakiś sposób zaznajomiona.

Kate zamrugała, tylko raz, i chwyciła się mocniej drewnianej poręczy.

- Jestem całkowicie pewien - ciągnął lord Wingate - że

mogę pani zaoferować przynajmniej tak komfortowe warunki, jakie ma pani tutaj... - Rozejrzał się z niesmakiem po bibliotece. Mimo drogich mebli i ogromnej liczby dzieł klasyków literatury, pokój był dosyć mały i najwyraźniej nie był w tym domu pomieszczeniem używanym zbyt często. - I dwa razy takie wynagrodzenie.

Kate opadła szczęką. Stanie z otwartymi ustami jest bardzo nieeleganckie - było to coś, co bez powodzenia próbowała wpoić w młodych Sledge'ów - ale po prostu nic nie mogła na to poradzić. Markiz Wingate właśnie poprosił ją, by dla niego pracowała. To było zadziwiające. Więcej niż zadziwiające - niewiarygodne. Niech no tylko opowie o tym Freddy'emu!

- Och - rzekła, kiedy w końcu udało jej się zapanować nad swoją szczęką. - Bardzo panu dziękuję, ale, niestety, nie mogę przyjąć pańskiej propozycji.

Tym razem to lord Wingate wpatrywał się w nią z zaskoczeniem i czymś jeszcze. Była pewna, że chodzi mu o to, by poczuła się tak mała i bez znaczenia jak pyłek kurzu na blacie stołu. Ale ona nie pozwoli na to, by nią manipulował. Stała wyprostowana i z wysoko uniesionym podbródkiem.

- Dlaczego nie? - spytał powoli z cierpliwością, która silnie kontrastowała z wyrazem jego twarzy.

Kate mimowolnie uniosła wolną dłoń i przyłożyła do serca. Uderzającą dramatyczność tego gestu, więc w ułamku sekundy zaczęła się bawić przypiętą przy szyi kameą. Nie mogła, oczywiście, powiedzieć mu prawdy. Nie było zresztą potrzeby. Istniało wiele innych powodów, dla których i tak nie mogłaby dla niego pracować. Pomijając fakt, że miał reputację najgorszą z możliwych - dosłownie kilka dni temu dowiedziała się, iż postrzelił i prawie zabił człowieka w Hyde Parku, w pojedynku, jak głosiła plotka, mającym coś wspólnego z Sarą Woodhart -

był najbardziej fizycznie onieśmielającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Nie był bynajmniej brzydki. Był wystarczająco atrakcyjny, mimo że nie można go było nazwać urodziwym. Już Freddy wyglądał dużo lepiej ze swoimi jasnymi włosami i dołeczkami w policzkach - prawdziwy Anglik, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru, ze swoim beztroskim stosunkiem do życia. Burke Traherne miał w wyglądzie coś cygańskiego. Jego twarz była pociągająca w jakiś dziki, prawie okrutny sposób, ale żeby się nią zachwycać... Z kolei ramiona...

- Po prostu - Kate przełknęła ślinę - nie mogę.
- Więc pytam ponownie. Dlaczego?

Sytuacja zaczynała się stawać niezręczna. Dlaczego on nie mógł po prostu zaakceptować odmowy? Ale jedno spojrzenie na lorda Wingate przypomniało jej, że nie należy on do ludzi przyzwyczajonych do niezastosowania się do jego woli. Do diabła z nim!

Wzięła głęboki oddech, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, markiz zadał jej kolejne pytanie:

- Jakie jest pani aktualne roczne wynagrodzenie?

Nagle Kate dojrzała światło nadziei. Właśnie o to chodzi. Będzie dla niego po prostu zbyt droga.

- Sto funtów - rzekła natychmiast, wymieniając najwyższą sumę, jaka jej przyszła do głowy.
- Dobrze - odrzekł spokojnie lord Wingate. - Podwoję je.

5

Przez chwilę Burke miał wrażenie, że dziewczyna zemdleje. Jeszcze bardziej zacisnęła dłoń na oparciu krzesła. Jej twarz była tak samo blada jak na początku ich rozmowy.

- Dwieście funtów? Dwieście funtów? - wyszeptała z niedowierzaniem.

- Tak - odpowiedział zdecydowanie. - Wydaje mi się, że jest to rozsądna suma.

Oczywiście nie była. Pannie Pitt i wszystkim jej poprzednikom płacił trzydzieści funtów na rok. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna kłamie. Niemożliwe, by ten biadolący mol Sledge mógł sobie pozwolić na płacenie jej stu funtów rocznie. To znaczy było go na to stać, ale nie był typem człowieka, wydającego taką sumę na coś takiego jak edukacja dzieci. Nie, Cyrus Sledge z ochotą wyłożyłby taką sumę na te przekłete misje. Ale wydać ją na zapewnienie synom porządnej nauczycielki, tak aby wyrosli na ludzi wykształconych i kulturalnych? Cóż za pomysł!

Ale jedno było pewne - panna Mayhew nie chciała dla niego pracować. Burke uznał, że nigdy nie zrozumie kobiet, i nawet

nie starał się już dociekać powodu jej zaskakującej decyzji. Więc jeśli będzie musiał zapłacić jej dwieście funtów rocznie, zrobi to bez szemrania. I będą to pieniądze, jak już zdążył uznać, dobrze wydane. Ostatnie kilka dni spędził na rozważaniu kandydatury panny Mayhew i doszedł do wniosku, że byłaby ona doskonałym rozwiązaniem wszystkich jego problemów. Nie tak przeraźliwie młoda, za jaką wziął ją na początku - nawet nie przypuszczał, że może mieć więcej niż dwadzieścia lat - Katherine Mayhew nosiła się z pewnością siebie, zadającą kłam jej pozycji guwernantki. W kościele - tak, zdobył się nawet na wysiłek uczestniczenia w niedzielnej mszy razem z Isabel, wszystko dla oceny wartości panny Mayhew - udało jej się sprawić, że cała czwórka młodych Sledge'ów - najstarszy z chłopców mógł mieć najwyżej siedem lat - była cicho, co zasługiwało, jako że Burke zbyt dobrze pamiętał jeszcze zachowanie Isabel w tym wieku, na głębokie uznanie. Na ulicy przez wszystkich była witana z taką samą sympatią, z jaką ich traktowała. Zachowywała się uprzejmie zarówno wobec księżnej, jak i zwykłego lodziarza. Ubrana była skromnie, lecz gustownie, zawsze zachowując nienaganny, schludny wygląd. I zdążyła już udowodnić, że jako przyzwoitka miałyby zarówno odwagę, jak i pomysłowość. Czyż nie próbowała go powstrzymać parasolką, gdy była przekonana, że Isabel jest w niebezpieczeństwie?

Pod każdym względem - mimo młodego wieku - Katherine Mayhew wydawała się idealna. Jedyne jej wyglądem stanowił pewien problem. Kiedy zaczepiła Burke'a tamtego wieczoru, zwrócił uwagę tylko na to, że jest raczej drobnej budowy. Ale dopiero gdy weszła do biblioteki, uświadomił sobie, że panna Mayhew jest ładna. Nie piękna, skądże. Była zbyt drobnej postury, by zostać uznana za piękność. Ale Isabel ani trochę się nie myliła, twierdząc, że panna Mayhew przedstawia sobą

przyjemny widok. Tak naprawdę Burke miał problemy z odewraniem od niej oczu. Zdecydowanie nie reprezentowała sobą typu urody, który normalnie podziwiał - preferował kobiety ciemnowłose i o nieco pełniejszej figurze. Włosy miała w kolorze miodu, a grzywka podkreślała wielkość szarych oczu, które okalały rzęsy o ton ciemniejsze od włosów. Jej prosty i schludny strój - bluzka i spódnica, ubiór szczególnie odpowiedni dla guwernantki - eksponował szczupłość talii i choć dziewczyna nie miała zbyt bujnych kobiecych kształtów, to była bardzo proporcjonalnie zbudowana.

Jednak najbardziej przyciągały uwagę jej usta. Wargi panny Mayhew były, tak jak i cała ona, niezwykle małe; mniejsze widział może u dzieci. A jednak były niezwykle pociągające - rozkosznie kształtne i zadziwiająco ruchliwe. W tej chwili były otwarte, gdyż wpatrywała się w niego w zadziwieniu. Burke dostrzegł dzięki temu proste białe zęby i języczek, a widok ten wydał mu się nad wyraz czarujący...

Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie jest przemęczony, gdyż nie ma w zwyczaju zachwycać się wnętrzem czyichś ust.

- Panno Mayhew - rzekł, gdyż wydawało mu się, że atrakcyjna panna Katherine będzie już tak zawsze stała, oniemiała z powodu jego propozycji. - Czy wszystko w porządku?

Dziewczyna skinęła głową, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

- Czy mogę coś pani przynieść? Może wody? Lub kieliszek wina? Być może powinna pani usiąść. Kiepsko pani wygląda.

Kate potrząsnęła głową.

- No cóż - kontynuował Burke, lekko zmieszany, lecz zdecydowany. - Sądzę, że musimy porozmawiać teraz o sposobie przewiezienia pani rzeczy. Przyślę moich służących, Batesa i Perry'ego. Jak pani sądzi, jak szybko może się

spakować? Czy dzisiejszy wieczór to będzie zbyt wcześnie? Isabel ma jakieś tańce lub coś podobnego i usilnie nalega na pójście tam, więc mogłaby pani zacząć od zaraz. Właściwie jeżeli pani chce, to mogę przysłać moją gospodynię, by pomogła się pani spakować...

Małe różowe usta zamknęły się, tak jakby dziewczyna była marionetką i osoba poruszająca sznurkami wykonała nagły ruch.

- Nie mogę! - oznajmiła, a w jej głosie Burke dosłyszał przerażenie.

Ale czego miałyby się bać? Pewnie po prostu się przesłyszała. Być może jej zdolność fantazjowania była zaraźliwa.

- Hmm - odrzekł. - Przypuszczam w takim razie, że czuje pani potrzebę dania Sledge'om czasu na znalezienie kogoś na pani miejsce. Naturalnie, rozumiem to. Jaka ma pani z nimi umowę? Tygodniowe wypowiedzenie? Mam nadzieję, że nie dwutygodniowe.

- Ja... - Dziewczyna potrząsnęła głową. Pasma Ciemnoblonde włosów, które wysunęły się z koka na czubku głowy, rozwiały się. - Bardzo mi przykro, markizie - powiedziała. Jej głos, jak zauważył Burke, był tak samo przyjemny, jak cała reszta: niski i ani trochę piskliwy, jak głosy wielu znanych mu kobiet. Jednak po chwili nie wydawał mu się nawet w połowie tak miły. - Ale nie mogę pracować dla pana. Bardzo mi przykro.

Burke się nie poruszył, mimo to panna Mayhew nagle się cofnęła o kilka kroków i znalazła w pobliżu stolika, na którym leżał ogromny atlas. Wydawało się, że chce stworzyć między nimi coś na kształt bariery.

- Proszę się nie gniewać - dodała.

Wpatrywał się w nią. Nie czuł gniewu, może niezadowolenie, ale na pewno nie gniew. Wyrzekł się go dawno temu. Nie potrafił najlepiej panować nad swoim temperamentem, więc

zdecydował się nie pałać gniewem wobec niczego ani nikogo. Może z wyjątkiem Isabel i tego jej absztyfikanta. Chyba tylko nazwisko Saunders mogło doprowadzić go do wściekłości.

- Ależ ja się nie gniewam. - Burke starał się, by jego głos był spokojny. - Ani trochę.

- Nie wierzę panu - odrzekła, stojąc kilka kroków od niego. - Wygląda pan na naprawdę zagniewanego.

- Ale nie jestem. - Wziął głęboki wdech. - Panno Mayhew, czy uważa pani, że mógłbym panią teraz uderzyć?

- No cóż, słynie pan przecież z gwałtowności - odpowiedziała bez zastanowienia.

W tej chwili naprawdę miał ochotę czymś rzucić, najlepiej krzesłem, za którym się kryła. Z przyjemnością wyrzuciłby je przez okno po przeciwnej stronie pokoju. Lecz przypomniał sobie, że skończył już z takim zachowaniem, i udało mu się powstrzymać ten nagły impuls.

- Muszę przyznać, że czuję się urażony taką insynuacją, panno Mayhew - oświadczył. - Wprawdzie nigdy nie uczyniłem wysiłku, by się nie dać ponieść emocjom w towarzystwie mężczyzn, ale nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety.

Mięśnie na twarzy dziewczyny się rozluźniły.

- Proszę wybaczyć, markizie - rzekła. - Ale wyraz pana twarzy, gdy powiedziałam, że nie mogę dla pana pracować, był raczej... zaskakujący.

- Czy pani się mnie boi? - zapytał z irytacją Burke. - Czy dlatego nie chce pani przyjąć mojej propozycji? Zupełnie się mnie pani nie bała tamtej nocy, kiedy groziła mi swoją parasolką. Dlaczegoż miałyby się pani bać teraz? Chyba że... - Poczł kolejną falę zdenerwowania. To nie był gniew. Nie nazwałby tego gniewem. - Chyba że ktoś naopowiadał pani czegoś o mnie. O mojej przeszłości.

- Nie, wcale nie - odrzekła nieco zbyt szybko.
- Ależ tak. - Burke popatrzył na nią. - Skąd w takim razie mogła pani wiedzieć o mojej reputacji jako gwałtownika? No cóż, przecież uznała mnie już pani za niegodziwego łotra, wykorzystującego młode dziewczęta. To musi być budujące przekonać się, że się miało rację.
- Pańskie życie osobiste nie jest w żadnym wypadku moją sprawą, lordzie Wingate - powiedziała sztywno Kate.
- I nie powinno być - odburknął. - Ale widzę, że pani już wyrobiła sobie o nim zdanie. Czy ma pani coś przeciwko temu, że się rozwiodłem z moją żoną, panną Mayhew?
- Opuściła wzrok.
- Byłbym wdzięczny za udzielenie odpowiedzi, panno Mayhew. W takich sytuacjach, mam tu na myśli interesy, uważam, że szczerść pomiędzy obiema stronami jest sprawą priorytetową. Więc dlatego powtórzę moje pytanie. Czy potępia pani to, że się rozwiodłem z żoną?
- W życiu ludzi takich jak pan, lordzie Wingate, nie ma wielu czynów, które uważam za godne pochwały - rzekła, nie patrząc na niego.
- Burke popatrzył na nią zaskoczony.
- Przynajmniej jest pani szczerą - powiedział po chwili. - Widzę, że osoba, która dostarczyła pani plotek na mój temat, niczego nie pominęła.
- Kate wreszcie podniosła wzrok.
- Lordzie Wingate, mówiłam już panu, że pańskie życie osobiste nie jest moją sprawą.
- Ach tak, rozumiem. A czym zajmowała się pani tamtego wieczoru, kiedy groziła mi swoją parasolką? Pilnowaniem własnego nosa?
- Dziewczyna uniosła podbródek.
- Sądziłam, że młoda kobieta jest w niebezpieczeństwie -

- odpowiedziała, a w jej szarych oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.
- Och, oczywiście. I była pani przekonana, że pani i pańska parasolka powstrzymają mężczyznę dwa razy od pani cięższego.
- Pomyślałam, że muszę przynajmniej spróbować - odrzekła Kate. - W przeciwnym wypadku nie potrafiłabym spojrzeć sobie w oczy.
- Jej odpowiedź wywołała dreszcz wzdłuż kręgosłupa Burke'a. Przekonywał siebie, że ta absurdalna reakcja na jej słowa jest ulgą, ponieważ panna Mayhew miała dokładnie to, czego szukał w kandydatkach na przyzwoitkę dla córki. W żadnym wypadku nie mogło mieć to związku z czymkolwiek innym. Oto znalazł - i to w dodatku na ulicy przed swoim domem - najrzadszy okaz w całym Londynie: prawdziwie dobrą i uczciwą osobę. I wcale nie chodziło o to, że ta dobroć i uczciwość miały nieodparcie urocze opakowanie.
- Nie dawał więc za wygraną.
- Panno Mayhew, a jeśli zapłaciłbym pani trzysta funtów rocznie? Czy wtedy zechciałaby pani dla mnie pracować?
- Nie! - zawołała, wyglądając na zatrzwożoną.
- Na niebiosa, dlaczego nie?! - Wtedy przyszło mu do głowy okropne przypuszczenie. Powinien pomyśleć o tym zdecydowanie wcześniej. - Czy jest pani zaręczona, panno Mayhew?
- Słucham?
- Zaręczona. - Popatrzył na nią uważnie. - To nie jest dziwne pytanie. Jest pani atrakcyjną młodą kobietą, może jedynie trochę nietypową. Wyobrażam sobie, że niejeden kawaler musi się o panią starać. Czy ma pani zamiar w najbliższym czasie poślubić któregoś z nich?
- Oczywiście, że nie - odrzekła w taki sposób, jakby sam pomysł zamażpójścia wydał się jej niedorzeczny.

- Dlaczego więc tyle w pani wahania? Czy kocha się pani w Cyrusie Sledge'u? Czy chodzi o to, że nie może pani znieść myśli o opuszczeniu go?

Kate wybuchnęła szczerym śmiechem. Dźwięk ten wpłynął na jej rozmówcę w ciekawy sposób. Burke poczuł, że trzydzieści sześć lat to nie jest jeszcze taki zaawansowany wiek i że, być może, przyszłość kryje przed nim coś więcej niż flanelowe kamizelki i czytane przy kominku książki. Być może opętało go jakieś szaleństwo. Doprawdy nie było na to innego wytłumaczenia. W tej chwili wydawało mu się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem, by podejść do panny Mayhew, objąć ją w talii i złożyć pocałunek na jej śmiejących się ustach.

Prawie mu się to udało; chwycił niczego niespodziewającą się Kate i bez żadnego wysiłku przyciągnął ją do siebie. Ale kiedy się pochylał, by ją pocałować, dziewczyna chwyciła leżący na stole atlas i zdzieliła go nim po głowie. Mimo że uderzenie specjalnie go nie zabolowało, było tak nieoczekiwane, że Burke odruchowo puścił dziewczynę.

Podbiegła do drzwi i wyskoczyła na korytarz, zostawiając go samego w bibliotece Cyrusa Sledge'a.

Naprawdę nie było się czemu dziwić, że Burke podniósł atlas, zamachnął się nim z całej siły i wyrzucił przez okno.

6

Kate nie przestała biec, dopóki się nie znalazła w klasie. Gdy już poczuła się tam w miarę bezpieczna, podniosła drzemiacą przy kominku Lady Babbie i zaczęła przemierzać pokój, chowając twarz w kocim futerku.

Dobry Boże, modliła się. Proszę, nie pozwól, by mnie zwolnili. Błagam cię, proszę, proszę, proszę, nie pozwól im mnie zwolnić. Nie mam dokąd pójść.

Podobnie modliła się po spotkaniu z wielebnym Billingssem sam na sam w spiżarni. Jedyną różnicą było to, że wielebnego zdzieliła talerzem z szarlotką, a markiza atlasem...

Posie wsunęła głowę w drzwi dokładnie w chwili, gdy Kate wypowiedziała ciche, błagalne amen.

- No i co? - zapytała podekscytowana. - Czego on chciał?

Kate wypuściła kotkę, która już jakiś czas wyrывała się z jej rąk.

- Och, Posie - odrzekła z westchnieniem. - Jestem taka nieszczęśliwa.

Służąca potrząsnęła głową.

- W takim razie nowy płaszcz? Drań. Wszyscy ci z tytułami

są tacy sami. Uważają się za wytwornych dżentelmenów, a tak naprawdę nie są ani trochę lepsi od tych, którzy polują tylko na pieniądze. W każdym razie mam trochę oszczędności i mogę pożyczyć, jeżeli panienka będzie potrzebowała. Co panienka na to?

Kate oparła się ze znużeniem o gzyms kominka.

- Nie chodziło o płaszcz, Posie. Zjawił się tutaj po coś zupełnie innego. Chce mnie zatrudnić jako przyzwoitkę dla swojej córki podczas jej pierwszego sezonu towarzyskiego. Za dwieście... nie, trzysta funtów rocznie. - Wzięła głęboki wdech. - A ja odmówiłam.

Posie w sekundę znalazła się przy Kate, chwyciła jej nadgarstek i rzekła:

- Skłamałam. Podejrzywałam, że nie przyszedł tutaj w sprawie płaszcza. Widziałam, jak panienka biegnie po schodach, i wtedy usłyszałam z biblioteki okropny hałas. Pewnie coś stłukł, a lokaj i Sledge'owie wbiegli zaraz zobaczyć, co się stało. Założę się, że jeszcze nie zdążył wyjść. Możemy go zatrzymać, zanim dojdzie do drzwi, i panienka mu powie, że zmieniła zdanie. Chodźmy, bo jeszcze nam uciekną.

Kate wyszarpnęła dłoń z uścisku młodszej od siebie dziewczyny.

- Posie, nie mogę.

Służąca spojrzała na nią z osłupieniem.

- Nie może panienka czego? Nie może żyć jak królowa za trzysta funtów rocznie? Czy ma panienka pojęcie, ile to jest pieniędzy? To więcej, niż obie mogłybyśmy zarobić przez całe życie.

Kate wzdrygnęła się, gdy na końcu zdania głos służącej przeszedł w skrzek.

- Posie - rzekła słabo. - Ty nie rozumiesz.

- Ma panienka całkowitą rację, że nie rozumiem! Muszę

panience powiedzieć, że lubię ją bardziej niż wszystkie te sztywne damulki, które się wcześniej opiekowały chłopcami. Ale jeśli nie pójdzie panienka pracować dla jego lordowskiej mości, to przysięgam, że nigdy się już do panienki nie odezwę!

- Posie - Kate opuściła głowę i położyła ją na kolanach. Kiedy znów się odezwała, jej głos był przytłumiony przez materiał spódnicy. - Nie mogę pracować jako przyzwoitka. Nie tutaj, nie w Londynie.

- Dlaczego nie?

Nie mogła oczywiście zdradzić tego Posie. Nikomu ze służby Sledge'ów nie powiedziała o swojej przeszłości. Nie była pewna, co myśleli o Freddym, czy się zastanawiali, gdzie go poznała lub jak to się stało, że zostali przyjaciółmi. Nikt jej nigdy o to nie pytał. Byli ludźmi niewszadającymi nosa w nie swoje sprawy. Bo Kate wybierała swoich pracodawców z wielką rozwagą. Sledge'owie - tak jak i wszystkie rodziny, dla których wcześniej pracowała - nie byli, mimo swej zamożności, członkami śmietanki towarzyskiej. Nie byli regularnie zapraszani na najlepsze bale w sezonie. Nie chodzili do teatru ani nie pokazywali się na wyścigach. Wśród ich znajomych nie było nikogo, kto mógł pamiętać nazwisko Mayhew albo kto mógł kiedyś być właścicielem kopalni diamentów. I to właśnie bardzo odpowiadało Kate. Im spokojniejszy był styl życia jej pracodawców, tym większe miała szanse na zachowanie wygodnej anonimowości, którą udało jej się zdobyć w ciągu siedmiu długich lat. Jako guwernantce nie groziło jej, że ktoś ją rozpozna. Okazjonalnie wymagano od niej, by towarzyszyła swoim młodym podopiecznym podczas przyjęć urodzinowych lub czegoś w tym rodzaju. Ale nawet tam prawdopodobieństwo, że zostanie rozpoznana, było niewielkie, gdyż najczęściej spotykała się tam jedynie z innymi guwernantkami.

Ale jako przyzwoitka- i to na dodatek córki bogatego markiza - Kate ponownie znalazłaby się w kręgu ludzi, w którym się obracała przed wieloma laty. Odwiedzałyby domy, w których kiedyś była zabawiana jako gość, spotykała ludzi, z którymi swego czasu się przyjaźniła, po długiej nieobecności zobaczyłaby znowu swoich dawnych znajomych... nie wspominając już o starych wrogach. I byłaby zmuszona do ponownego zmierzenia się z plotkami, ciętymi uwagami, podejrzliwymi spojrzeniami, od których w końcu udało jej się uciec.

Nie. Już raz musiała przez to wszystko przejść. Nie miała pojęcia jak, ale jej się to udało. Nie byłaby w stanie przeżyć tego jeszcze raz. Nie potrafiłaby. Przede wszystkim dlatego, że gardziła tymi ludźmi. Pogardzała członkami śmietanki towarzyskiej za ich hipokryzję, snobizm i wszechobecny fałsz. Ludźmi takimi jak markiz, którzy myślą, że skoro mają pieniądze, to mogą traktować innych tak, jak im się podoba; którzy przyczynili się do zrujnowania jej ojca; którzy chłodno odwrócili się plecami w chwili, gdy Kate najbardziej ich potrzebowała.

Wszyscy, oprócz Freddy'ego. Sympatycznego, prostoliniowego Freddy'ego, który tkwił przy jej boku nawet w najgorszych chwilach. Jego przyjaźń nigdy nie zachwiała się. Był jedynym, który nie zawiódł jej wtedy, gdy najbardziej ze wszystkiego pragnęła wsparcia innych ludzi.

Nie mogła teraz tam wrócić. Nie zrobi tego za żadne pieniądze.

- Nie mogę - powiedziała, unosząc głowę. - Czy nie rozumiesz? Musiałabym brać udział w przyjęciach, balach i tym podobnych.

Posie parsknęła.

- No tak - rzekła z sarkazmem w głosie. Przeznaczenie gorsze niż śmierć. Być może musiałaby panienka także co wieczór pić szampana i jeść kawior. I mieć za to płacone trzysta

funtów rocznie! To szokujące, czego ludzie wymagają od dziewczyny w dzisiejszych czasach.

- Ty naprawdę nie rozumiesz. - Kate potrząsnęła głową. - To nie jest tak, jak by się mogło wydawać. Ci ludzie, markiz i jego przyjaciele, nie są tacy jak ty i ja. Nie są nawet tacy jak Sledge'owie. Są okropni. Naprawdę okropni. Wszyscy. Nie znają czegoś takiego jak poczucie lojalności czy zwykła przyzwoitość. Jedyne, o czym są w stanie myśleć, to o sobie i swych cennych pieniądzach. Potrafią zniszczyć czyjeś życie jednym szeptem. Nieważne, czy to, co mówią, jest prawdą, jeśli pada z ich ust.

Posie spojrzała na nią z kwaśną miną.

- Gdyby ktoś zaproponował mi trzysta funtów rocznie, ludzie mogliby mówić o mnie, co tylko mieliby ochotę. Co by mnie to wtedy obchodziło?

- Obchodziłoby cię, Posie. - Kate nagle wstała i przemierzyła klasę szybkim krokiem. - Obchodziłoby cię, ponieważ to boli. Szczególnie jeśli to, co mówią, nie jest prawdą.

- Boli tylko wtedy, gdy się sobie na to pozwoli - odpowiedziała rezolutnie dziewczyna.

Kate zatrzymała się i popatrzyła na służącą. Jej łatwo było wierzyć w coś takiego. Ona nigdy nie została boleśnie zraniona podczas swego krótkiego życia. Cóż, oczywiście, że zdarzało się, iż coś poszło nie tak, ale nigdy nie było to nieodwołalnie tragiczne. Posie była najstarsza z zadowolonej z życia dwunastki dzieci, a jej rodzice wciąż żyli. Łatwo jej być odważną. Nie straciła tego, na czym najbardziej jej zależało. Nie straciła wszystkiego, na czym jej zależało, tak jak ona.

Nagle Kate się uśmiechnęła. Nigdy nie pogrążała się na długo w smutku.

- Na co to wszystko? - zapytała, rozkładając ramiona. - Nawet jeśli uważałabym, że dam sobie z tym radę, markiz na pewno nie chce mnie już teraz. Uderzyłam go, Posie.

- Co takiego?

- Uderzyłam go. W głowę. Atlasem. Próbował innie pocałować. Dokładnie tak jak wielbny Billings, ten zakłamanym drań.

Usta Posie otworzyły się ze zdziwienia. Sekundę później służąca podskoczyła, chwyciła nadgarstek Kate i zaczęła ją popychać w kierunku drzwi.

- Nie jest jeszcze za późno - rzekła. - Może wciąż tam jest. Idzie panienka i go przeprosi.

- Przeprosić? Ja? Posie, czyś ty zwariowała? Nie słyszałaś tego, co przed chwilą powiedziałam? On próbował mnie...

- Powiem panience tylko dwa słowa: trzysta funtów. Rozumie panienka? A teraz proszę pójść i przeprosić. Na kolanach, jeśli będzie trzeba. Ale proszę to zrobić.

- Posie, nie sądzę, by lord Wingate należał do mężczyzn, wybaczących dziewczynie uderzenie w głowę. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale gdybyś tylko mogła zobaczyć jego twarz wtedy, gdy to zrobiłam... Choć nie uważam, by stracenie trzystu funtów było zabawne...

- To prawda - przyznała Posie. - Szczególnie wtedy, kiedy się pomyśli, jak długo można żyć za trzysta funtów i w ogóle nie pracować.

- Och. - Wargi Kate nagle pobladły. W jej głosie nie było już ani odrobiny wesołości. - O Boże, Posie!

- Zmieniła panienka zdanie o nieczułych bogaczach?

- Nie pomyślałam - wyszeptwała Kate. Nie pomyślałam... Zupełnie o niej zapomniałam. Ale trzysta funtów... Trzysta funtów zapewniłoby jej utrzymanie na bardzo długo...

Posie nie miała pojęcia, o czym mówiła starsza od niej dziewczyna. Jedyne, co była w stanie odgadnąć to to, że odzyskała ona wreszcie zdrowe zmysły.

- I on na pewno posiada dużo atlasów, skoro jest taki

bogaty - dodała. - Mogłaby panienka rzucać nimi w niego za każdym razem, kiedy się będzie robił zbyt śmiały. W końcu powinien zrozumieć.

Kate poczuła, jak wokół jej serca zaciska się lodowata obręcz.

- Myślisz, że już poszedł?

- Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć - odrzekła młoda służąca.

Wybiegły z pokoju, robiąc tyle hałasu, że Lady Babbie, która odpoczywała na biurku, nastroszyła ogon i wygięła grzbiet w gniewny pałak, po czym ponownie się ułożyła na pozostawionej przez swoją panią stercie papierów.

Markiz Wingate jeszcze nie wyszedł. Stał w holu, wypisując czek dla wielbnego Billingsa. Pan Sledge poprosił go o to w ramach rekompensaty za zbitą szybę. Burke był ogromnie rozdrażniony - jeszcze nigdy nie zapłacił tyle za szybę - ale cóż innego mógł zrobić? Zdażył już się dopuścić rzeczy niewybaczalnej - chciał ukraść guwernantkę dzieci sąsiada. Nie śmiał więc odmawiać zapłacenia za coś, co przecież całkowicie celowo i świadomie zniszczył.

Co gorsza Sledge"owie nie mieli bladego pojęcia o tym, w jaki sposób zbił szybę ani dlaczego chciał się spotkać z panną Mayhew. Nie zaprzętałi sobie jednak tym głowy. Szczerze mówiąc, nie obchodził ich nikt poza Papuasami z Nowej Gwinei. Nawet ich własne dzieci, które pojawiły się w chwili, gdy Burke składał na czeku podpis, nie zasłużyły na więcej niż przypomnienie o wycieraniu butów przed wejściem do domu. Zupełnie nie obeszło ich to, że jeden z ich synów próbuje wsadzić drugiemu szpicrutę w oko.

W końcu to Burke odebrał im ten niebezpieczny przedmiot, zanim zdążyli zrobić sobie wzajemnie krzywdę. Jego ostre upomnienie: „Mogłeś wsadzić to bratu do oka”, spotkało się jedynie z szyderym uśmiechem, co przekonało go, że panna

Mayhew musi być aniołem. Któż inny mógłby poradzić sobie z tymi małymi potworami?

Aniołem albo czarownicą. Zaczynał podejrzewać to drugie, bo czy anioł ściągnąłby na niego ból głowy, który coraz dotkliwiej odczuwał.

I wtedy, jakby przywołana myślami Burke'a, panna Mayhew we własnej osobie pojawiła się na szczycie schodów. Wydawało się, że oprócz niego nikt jej nie zauważył. Pan Sledge wciąż rozprawiał o sposobie traktowania psów przez mieszkańców tego barbarzyńskiego kraju, ponowne wypowiedzenie nazwy którego przypisałoby Burke'a o szaleństwo. W tym czasie pani Sledge oznajmiała znajdującym się w pobliskim salonie paniom, że nie ma potrzeby, aby się zbierały do wyjścia, jako że to tylko markiz Wingate, który często wpada do nich na pogawędkę z jej mężem. Tuż obok przeszedł posępny lokaj, niosąc szufelkę wypełnioną kawałkami potłuczonego kolorowego szkła. Dzieci natomiast kopały się ubłoconymi buciurami.

I ponad tym wszystkim w jakiś sposób Burke'owi udało się dosłyszeć głos panny Mayhew, dobiegający ze schodów, z których z pośpiechem zbiegała.

- Lordzie Wingate, z przyjemnością przyjmę pańską propozycję, jeśli tylko wciąż ją pan podtrzymuje.

Burke'owi Traherne'owi zarzucano wiele rzeczy ale głupota do nich nie należała. Nie miał zielonego pojęcia, co pannę Mayhew skłoniło do zmiany zdania choć podejrzewał, że rudowłosa dziewczyna w fartuszk służącej stojąca tuż za nią, może mieć coś z tym wspólnego. Ale nie miał zamiaru stać tam i wypytywać pannę Mayhew o powód zmiany decyzji. Cóż nie podobał mu się ani trochę sposób, w jaki ukróciła jego awanse. Był obrażony i nieco zasmucony. Ale ona nie należała do jego sfery. Ojciec zawsze ostrzegał go, by nie figlował ze służbą była to rada, której trafność Burke docenił dopiero teraz

Dziewczyna najwyraźniej nienawidziła mężczyzn. Było to jedyne logiczne wytłumaczenie. Markiz Wingate nigdy nie został odtrącony przez kobietę, więc to doświadczenie było dla niego nowe i... nieco dziwne. Ale przeciwniczka mężczyzn, jakkolwiek irytująca, mogła być dla Isabel wspaniałą przyzwoitką, więc skłonił się nisko i rzekł głębokim głosem, który z łatwością się przebił przez panujący w holu zgiełk:

- Panno Mayhew, czuję się zaszczycony. Czy mogę w takim razie dzisiejszego wieczoru przysłać lokaja?

Przytaknęła bez słowa. Zresztą nawet gdyby chciała coś powiedzieć, nie mogłaby, gdyż hałas w korytarzu osiągnął taki poziom, że nikt, nawet Burke, nie byłby w stanie dosłyszeć ani jednego jej słowa. Posłał więc w stronę dziewczyny ostatnie taksujące spojrzenie. Musiał przyznać, że przedstawia sobą niezwykle przyjemny widok. Uroda zdecydowanie nie powinna być jedną z cech kobiety nie znoszącej mężczyzn. Po czym, jako że nigdzie nie mógł dojrzeć Philipa, sam zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz i wyszedł zadowolony, że właśnie kupił nie tylko spokój dla siebie, ale także wspaniałą przyszłość dla córki. I to wszystko za okazyną cenę trzystu funtów rocznie.

Miał co prawda na czole dość dużego guza, ale uznał, że najlepiej będzie go zignorować. Zachował się karygodnie i panna Mayhew słusznie mu to uświadomiła. Takie zachowanie już się nie powtórzy.

A jeśli nawet, to już on się postara o to, by w pobliżu nie było żadnych ciężkich książek.

Kate szybkim krokiem zmierzała w górę po schodach. Jej serce waliło w szaleńczym tempie, a gardło zaisnęło się ze strachu tak mocno, że ledwie była w stanie oddychać. Proszę, modliła się. Żeby tylko nie były zamknięte Proszę, żeby tylko nie były zamknięte. Proszę...

Frontowe drzwi otworzyły się jednakże, zanim zdążyła dotknąć klamki. Vincennes, główny lokaj lorda Wingate popatrzył na nią.

- Panno Mayhew - rzekł. - Witani panną. Czy...

Ale Kate nie miała czasu na uprzejmości. Przcisnęła się obok niego i głośno zamknęła za sobą drzwi. Trzeba przyznać, że Vincennes wyglądał tak, jakby jej dziwne zachowanie było najzupełniej normalne.

- Mam nadzieję, że się udało pani dotrzeć do poczty przed jej zamknięciem.

Dziewczyna prawie w ogóle go nie słuchała. Przeszła szybkim krokiem przez znajdujący się tuż obok korytarza salon, gdzie jeszcze nie rozpalono ognia w kominku, i zbliżyła się do jednego z wielkich okien. Rozsunęła zasłony

- Panie Vincennes - rzekła bez tchu, wyglądając na ulicę. - Czy widzi pan tego mężczyznę? Stojącego na rogu i oświetlonego przez latarnię?

Lokaj usłużnie spojrzął ponad jej ramieniem.

- W rzeczy samej, widzę - odpowiedział.

Ha! Więc to nie była jej wyobraźnia! Nie tym razem.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się lokaj, gdy tak stali w zaciemnionym pokoju i wpatrywali się w mokrą od deszczu ulicę. - Ale czy ma pani powód, by czuć antypatię do pana Jenkinsa?

Pod wpływem gorącego oddechu Kate szyba pokryła się parą. Dziewczyna natychmiast przetarła ją rękawem.

- Pana Jenkinsa? Kim on jest?

- Dżentelmenem, w którego się pani wpatruje.

Zaskoczona, zamrugała i popatrzyła na lokaja.

- Zna go pan?

- Oczywiście, panno Mayhew. Jest lekarzem. Często go można spotkać w tej okolicy.

Kate poczuła, jak pała ją policzki. Opuściła zasłonę na miejsce.

- Jestem taka głupia - przyznała z zakłopotaniem. - Sądziłam... sądziłam, że to ktoś inny.

- To zrozumiałe podczas takiej mgły - odrzekł uprzejmie Vincennes.

Ale ona nie potrafiła tak łatwo wyrzucić ze świadomości swojej pomyłki. Freddy miał całkowitą rację, myślała z przygnębieniem, wchodząc po szerokich, krętych schodach. Naprawdę miała zbyt wybujałą wyobraźnię. Co, na Boga, robiłby Daniel Craven, stojąc na rogu ulicy - w dodatku w strugach deszczu - w Londynie, gdzie nikt nie widział go ani o nim nie słyszał od siedmiu lat? Postępowała doprawdy niedorzecznie. Gorzej niż niedorzecznie - jej zachowanie nosiło znamiona

histerii. Ale kiedy się zbliżyła do drzwi swego pokoju i zobaczyła, że są lekko uchylone - ponad wszelką wątpliwość zamknęła je przed wyjściem - znowu się zrobiła podejrzliwa. Z pewnością Vincennes powiedziałyby, gdyby ktoś przyszedł do niej z wizytą. I na pewno nie pozwoliłyby wejść gościowi do jej pokoju! Nie, to musiała być któraś z pokojówek albo...

Kate otworzyła szeroko drzwi i zdziwiła się, widząc lady Isabel Traherne; leżała na brzuchu na łóżku, z uniesionymi stopami, i głaskała Lady Babbie.

- Nie wiedziałam, że ma pani kota, panno Mayhew! - krzyknęła Isabel, kiedy dostrzegła swoją nową przyzwoitkę.

No i to byłoby na tyle, jeżeli chodzi o utrzymanie obecności Lady Babbie w tajemnicy, pomyślała Kate Cały wysiłek, który włożyła w przeszmuglowanie koszyka z ukrytą w nim kotką, był na nic. Ponadto zanotowała sobie jako przestrożę na przyszłość, że jeżeli nie będzie miała ochoty na wizyty nieproszonych gości, powinna zamykać drzwi na klucz.

- Proszę uważać - rzekła Kate. Ona potrafi gryźć, gdy jest nie w humorze.

Lady Babbie pozwalała jednakże Isabel na drapanie swoich uszu bez najmniejszego nawet protestu.

- Proszę posłuchać jej mrużenia. Dziewczyna westchnęła. - Zawsze chciałam mieć kota, ale papa powtarzał, że jestem zbyt nieodpowiedzialna, by troszczyć się roślinkę nie mówiąc już o zwierzęciu, i nigdy mi na to nie pozwolił Jak ona się wabi, panno Mayhew?

Kate zakaszłała, odwiązując tasiemki przy czepku.

- Lady Babbie.

- Co pani powiedziała? Nie dosłyszałam

- Lady Babbie - powtórzyła Kate nieco głośniej

Isabel popatrzyła na nią z ciekawością

- Jakie dziwne imię. Czy nazwała ją tak pani na cześć kogoś, kogo pani zna?

- Niezupełnie - mruknęła jej przyzwoitka, zdejmując nakrycie głowy i podchodząc do lustra, by poprawić fryzurę. Widząc, że podopieczna nie jest usatysfakcjonowana jej odpowiedzią, niechętnie wytłumaczyła: - Mam ją, odkąd skończyłam dziesięć lat. Wtedy imię Lady Babbie wydawało mi się niezwykle eleganckie. To wszystko, co mogę powiedzieć w swojej obronie.

- Odkąd miała pani dziesięć lat. - Isabel podrapała zadowoloną kotkę po szyi. - Musi być teraz zgrzybiałą staruszką.

- Ma tylko trzynaście lat - odpowiedziała Kate z pewną dozą oburzenia.

- Więc pani ma dwadzieścia trzy lata? - Jej podopieczna straciła zainteresowanie zwierzęciem, przekręciła się na plecy i popatrzyła na nią. - To dużo. Sądziłam, że jest pani dużo młodsza.

Kate wróciła do czynności, którą porzuciła przed godziną, kiedy to musiała się udać na pocztę i wysłać list, to znaczy do układania książek na półce niedaleko kominka.

- Dwadzieścia trzy lata to jeszcze nie starość.

- W takim wieku powinno się już mieć męża. - Isabel ponownie się przeturlała na łóżku, podparła na łokciach, a następnie wsparła na dłoniach podbródek. Ubrana była jedynie w bieliznę i jedwabny szlafrok, a jej włosy były niedbale związane z tyłu głowy. Kate przypomniała sobie, jak często Posie odwiedzała ją wieczorami, wyglądając podobnie. - Dlaczego nie wyszła pani za męża, panno Mayhew? Jest pani taką ładną drobną kobietą. Nie mogę sobie wyobrazić, by nikt się nie starał o pani względy. Czy nikt się pani nigdy nie oświadczył?

- Nikt, w kim byłabym zakochana. - Kate spojrzała na grzbiet książki, którą trzymała.

- Naprawdę? Czy w takim razie on poślubił inną?
- Kto poślubił inną? - ustawiła książkę na półce.
- Mężczyzna, którego pani kochała, a któż by inny.

Kate zaśmiała się.

- Niezupełnie. Po prostu nigdy nie byłam w nikim zakochana.

Isabel aż usiadła z wrażenia.

- Co takiego? Nigdy? Panno Mayhew! Ja mam tylko siedemnaście lat, a byłam zakochana już pięć razy! W tym dwukrotnie podczas ubiegłego roku.

- Święci pańscy, - Kate sięgnęła do kartonu który Philips przyniósł tutaj osobiście -tak bardzo się cieszył a jej odejścia - i wyciągnęła z niego kolejną książkę. Przypuszczam w takim razie, że muszę być zbyt krytyczna wobec mężczyzn

- Na to wychodzi- zgodziła się z nią Isabel - Czy papa mówił pani, za kim ostatnio szaleje?

Kate ułożyła książkę na jednej półce zobaczyła, że nie bardzo tam pasuje, więc przełożyła ją na inną. Nie widziała lorda Wingate - nawet raz od tamtego spotkania w korytarzu Sledge'ów, nie mogła więc właściwie odpowiedzieć, że tak, ucięła sobie z nim długą pogawędkę na temat życia uczuciowego jego córki. Tak naprawdę minął już tydzień odkąd widziała markiza po raz ostatni. Pan Sledge wpadł w prawdziwą wściekłość, gdy się dowiedział, że Kate zamierza opuścić jego rodzinę, a pani Sledge musiała się położyć do łóżka na całe czterdzieści osiem godzin. Dziewczyna czuła, że powinna pozostać dopóki nie znajdą kogoś na jej miejsce, posłała więc do markiza liścik, który to tłumaczył. Otrzymała pisemną odpowiedź ale nie od niego. Wysłała ją gospodyni jego lordowskiej mości pani Cleary, dając jej tyle czasu, ile tylko będzie potrzebowała.

I choć przyjemnie było się dowiedzieć, że Sledge'owie cenią ją jako guwernantkę, to trudno było wyrazić słowami jej radość

z pożegnania się z tym przeładowanym niegustownymi meblami domem. Kate przypuszczała, że jedyną osobą, której będzie jej brakowało, jest Posie. Posie i - co dziwne - czterech małych Sledge'ów, którzy mieli bardzo niewesołe miny, odkąd się dowiedzieli o jej rychłym odejściu. Nie zgodzili się obiecać - mimo że bardzo poważnie ich o to prosiła - że nie będą dręczyć nowej guwernantki szyszkami w pościeli ani ślimakami w herbacie.

Kate może i była zadowolona ze swojej decyzji, ale zupełnie innego zdania był Freddy, którego tak przeraziła podczas następnego spotkania, że na kilka minut odjęło mu mowę. Było to coś, co nigdy wcześniej, a przynajmniej odkąd go znała, się nie zdarzyło.

- Lord Wingate? - spytał, kiedy już odzyskał zdolność mówienia. Do tego czasu zdążyli dwukrotnie okrążyć park jego nowym powozem, na przejażdżkę którym bardzo usilnie nalegał, mimo że Kate wolałaby spędzić ten czas na wizycie w jakiejś przytulnej herbaciarni. - Lord Wingate? - powtórzył. - To znaczy Burke Traherne? Ten, którego dziabnęłaś parasolką?

- Tak. On we własnej osobie. Proszę cię, Freddy, uważaj, gdzie jedziesz. Przed chwilą prawie przejechałeś psa...

- Masz zamiar mieszkać w domu Traherne'a i opiekować się jego córką?

- Tak, Freddy. To właśnie powiedziałam. Za trzysta funtów rocznie. Mimo że nie wyobrażam sobie, bym była tam przez cały rok, jeśli lady Isabel jest choć trochę tak miła jak bogata, prawdopodobnie pod koniec sezonu będzie już zamężna. Freddy, czy musimy jechać tak szybko?

- Ale przecież opowiadałem ci o nim, Katie! Opowiedziałem ci o nim wszystko, prawda? O tym, jak się rozwiódł z żoną i wyrzucił...

- I wyrzucił jej kochanka przez okno, tak. Lord Wingate ma najwyraźniej skłonność do wyrzucania rzeczy przez okno. Wyrzucił przez nie atlas, wiesz, gdy go poinformowałam, że nie będę dla niego pracować.

- Nie wątpię, że tak zrobił!

Kate zaczynała żałować, że w ogóle o tym wspomniała. Musiała o tym powiedzieć Freddy'emu; przecież i tak by się dowiedział. Nie mogła jedynie przestać żałować, że jej przyjaciel nie potrafi wykazać trochę więcej zrozumienia.

- Nie podoba mi się to - orzekł Freddy. - Pomijając fakt, że będziesz mieszkała właśnie z nim, postawisz się w niewygodnej sytuacji. Pomyśl tylko o tym, Kate. Będziesz zabierała tę dziewczynę w miejsca, gdzie kilka lat temu sama byłaś zapraszana jako gość. Tyle że teraz będziesz się tam udawała jako czyjaś służąca...

- Kilka lat temu - przerwała mu z parsknięciem. - Siedem lat temu! Nikt nie będzie o mnie pamiętał.

- Akurat! Kate, to przecież o tobie wszyscy rozprawiali przez...

- Siedem lat temu, Freddy. Jestem teraz starszą panią. Znalazłam nawet pewnego dnia pierwszy siwy włos.

Hrabia jęknął.

- Ty możesz myśleć, że się zmieniłaś, ale uwierz mi, oni nie. Rozpoznają cię...

- Nikt nie zwraca uwagi na przyzwoitki. - A przynajmniej taką miała nadzieję.

- ...i pojawiają się wtedy niezręczne pytania, których tak bardzo nienawidzisz, a także współczujące spojrzenia. Wszystkie matrony, którymi tak pogardzasz, nie będą mówiły o niczym innym. „Czy uwierzysz, kto wczoraj się u mnie pojawił, Lawinio? Ta mała Mayhew. Tyle że musi pracować jako przyzwoitka, biedactwo”.

- Wiesz, Freddy, nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale całkiem dobry z ciebie aktor. To była lady Hildengard, prawda?

- Chodzi o to, że nie zniesiesz tego. Wiesz, że nie cierpisz tych kobiet...

- Freddy, ty naprawdę nie rozumiesz. Trzysta funtów to naprawdę dużo pieniędzy. Za trzysta funtów mogę znieść wszystkie stare babska na świecie. Wiesz, że tata nie zostawił mi niczego prócz długów...

- Nie odpowiadasz przecież za długi ojca - przypomniał jej Freddy.

- Nie, ale nic nie mogę poradzić na to, że czuję się odpowiedzialna za ludzi, których pozostawił. Wiesz, że niania nie ma ani centa.

- Niania! - wybuchnął hrabia. - Czy o to właśnie chodzi? O twoją starą nianię?

- Tak - odrzekła ze spokojem Kate. - Trzysta funtów mogą wystarczyć na opłacenie czynszu za jej domek na wiele lat. Zrozum, Freddy, nie mogłam nie przyjąć tej propozycji.

- Nie rozumiem. - Zmusił nagle konia do gwałtownego zatrzymania się. - Kate, nie będziesz pracować dla Burke'a Traherne'a. Nie zgodzę się na to!

- Ach tak - odrzekła cierpko. - I przypuszczam, że to ty opłacisz wtedy czynsz za domek niani?

- Mówiłem, że to zrobię, jeżeli tylko mi pozwolisz.

- Nie pozwolę. - Dziewczyna potrząsnęła głową. - Sama się o nią zatroszczę.

- Znajdę jej adres i napiszę do niej o tym, co robisz - zagroził Freddy. - Wtedy na pewno będzie ci przykro.

Kate zaśmiała się.

- Tak, i co jej napiszesz, Freddy? Że zgodziłam się przyjąć pracę, za którą otrzymam dziesięciokrotnie wyższe wynagro-

dzenie niż poprzednio? I to na dodatek za lżejszą pracę? Mam zamiar pracować jako przyzwoitka córki lorda Wingate. Moja pozycja będzie jak najbardziej godna szacunku. Nawet niania się z tym zgodzi. To nie oznacza przecież, że mam zamiar zostać jego utrzymanką lub kimś w tym stylu.

- Do diabła, Kate! - Freddy wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, po czym dość silnie ścisnął palce. - Ten mężczyzna ma isticie szatańskie usposobienie. W zeszłym tygodniu posłał w stronę biednego chłopaka kulkę z powodu tej aktorki Woodhart. Poza tym jest rozwiązłym łobuzem. Najprawdopodobniej zatrudnił cię tylko po to, by się pobawić sprowadzaniem ciebie na złą drogę, a gdy już się tym zmęczy, to cię zwolni. Wiesz przecież, że on nie ma serca.

Przez chwilę Kate spoglądała na niego ze zdziwieniem, po czym wybuchnęła perlistym śmiechem. Freddy nie podzielał jednak jej wesołości i patrzył na nią potępiająco. Ale dziewczyna nie mogła się powstrzymać i dopiero po chwili była w stanie ponownie się odezwać.

- Freddy, naprawdę tak uważasz? Zawsze pragnęłam zostać sprowadzona na złą drogę przez rozwiązłego łobuza! I w dodatku zapłaci mi jeszcze za ten zaszczyt. Czyż mi się nie poszczęściło?

Głośno jęknął.

- To nie jest śmieszne, Kate. Ostrzegam cię, Traherne...

- Tak, tak, tak. - Wyszarpnęła dłoń z jego uścisku. - Jest okropnym, wstrętnym człowiekiem. Wiem o tym wszystkim, uwierz mi. I naprawdę będę na siebie uważać.

- Uważać? Kate, tu nie chodzi o uważanie na siebie. A co, jeśli...

- Poza tym wygląda na to, że lord Wingate nie zainteresował się mną w ten sposób nawet w najmniejszym stopniu. - Nie śmiała, oczywiście, powiedzieć mu, że tak naprawdę było

zupełnie inaczej. - Ma panią Woodhart, która go zabawia. Co mógłby widzieć we mnie, mając kobietę taką jak ona?

Freddy burknął coś pod nosem, ale go nie zrozumiała.

- I nawet jeśli lord Wingate może i jest rozwiązłym łobuzem - kontynuowała Kate, starając się przekonać zarówno swego rozmówcę, jak i siebie - musisz przyznać, że bardzo się troszczy o szczęście własnej córki. A czy człowiek, który tak mocno kocha swoje dziecko, może być aż tak okropny?

- Kate...

- A jeżeli chodzi o sprowadzanie mnie na złą drogę, Fredericku Bishop, to markiz Wingate zatrudnił mnie właśnie po to, by mieć wolne wieczory, w trakcie których będzie mógł sprowadzać na złą drogę kogoś innego, a nie towarzyszyć wszędzie córce. A więc co powiesz na to?

Freddy opadł na oparcie siedzenia z miną człowieka pokonanego.

- Kate, dlaczego po prostu za mnie nie wyjdiesz? Rozwiązałyby to wszystkie problemy.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie. Tak bardzo lubiła przebywać w jego towarzystwie, że czasami zupełnie zapomniała, iż on pragnie od niej czegoś więcej niż tylko przyjaźni. Poczowała ukłucie winy, gdy uświadomiła sobie, że prawdopodobnie nie powinna przyjmować jego zaproszeń na herbatę i przejażdżki powozem. Ciągłe spotkanie się z nim nie było uczciwe z jej strony. Mogło dawać mu fałszywą nadzieję. Ale był najlepszym - i jedynym - przyjacielem, który pozostał jej z dawnego życia. Nie potrafiła się zdobyć na zakończenie tej znajomości. Niestety, nie widziała siebie także w roli, w której on pragnął ją obsadzić. Westchnęła głośno.

- Nieprawda - rzekła. - Nie rozwiązałyby to wszystkich problemów. Uwierz mi.

Nie było już dla niej miejsca w świecie Freddy'ego, w świecie,

w którym kiedyś się poruszała z łatwością i gracją. Nie mogłaby do niego wrócić, wiedząc, co mówili ludzie - co z pewnością wciąż mówią - o jej ojcu. Ignorancja hipokryzja, bezsensowne plotkowanie. Boże, nie! Wolałaby umrzeć, niż powrócić do takiego świata.

Zresztą nawet jeżeli byłaby w stanie ponownie wejść do świata, z którego uciekła - a raczej została wygnana - tyle lat temu, i tak nie mogłaby wyjść za Freddy'ego. Była przecież w stu procentach pewna, że go nie kocha. Co by było, gdyby za niego wyszła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, podobnie jak matka Isabel, że jest zakochana w kimś innym. To byłoby straszne! Nie mogła zrobić tego, co Elisabeth Traherne zrobiła markizowi. Wystarczyło popatrzeć, jak fatalne skutki miało to dla wszystkich.

Uważnie przyglądając się pokojowi, w którym się teraz znajdowała, doszła jednak do wniosku, że nie dla wszystkich skończyło się to źle. To była najładniejsza sypialnia, jaką miała, odkąd zaczęła pracować jako guwernantka. Ściany pokryte były tapetą, która pasowała kolorystycznie do okrywającej łóżko kapy - białej z różowymi i zielonymi wzorami. Przed kominkiem ustawione były dwa ciemnozielone aksamitne fotele i biała toaletka z połączanymi gałkami, nad którą wisiało duże lustro w ozdobnej ramie. Pokój w niczym nie przypominał klitki, w której u Sledge'ów wiecznie marzła, głównie dzięki Philipsowi, bardzo skąpiącemu węglu.

A jeżeli chodzi o resztę... cóż, Kate nie pamiętała, kiedy po raz ostatni przebywała w bardziej eleganckim, a mimo to niesłychanie wygodnym domu. Wszystko, począwszy od obrazów na ścianach, a skończywszy na lampach, było gustowne i najwyższej jakości. I na dodatek płacono jej trzysta funtów rocznie za mieszkanie w takim luksusie!

- Nie mogę - odezwała się do wyciągniętej na łóżku dziew-

czyny - powiedzieć, by markiz wspomniał mi o twoim dżentelmeńskim przyjacielu.

- Dżentelmeńskim przyjacielu - powtórzyła Isabel z głupim uśmiechem. - Geoffrey uśmiełby się, gdyby usłyszał, jak go pani nazwała. Panno Mayhew, czy pani naprawdę przeczytała wszystkie te książki?

Kate popatrzyła na stojący u jej stóp karton.

- Tak - odpowiedziała. - Oczywiście.

- Dlaczego pani je trzyma? - chciała wiedzieć Isabel. - To znaczy, po co one pani, skoro już są przeczytane?

- Ponieważ - Kate podniosła lekko wymięty egzemplarz *Dumy i uprzedzenia* - niektóre są tak dobre, że chce się je czytać po kilka razy. Przywiązuje się do nich. Stają się... cóż, stają się czymś w rodzaju rodziny.

- Rodziny? - powtórzyła jak echo Isabel.

- Tak. Kiedy człowiek przeczyta je tak wiele razy, nic nie może poradzić na to, że zaczyna myśleć o ich bohaterach jak o krewnych, takich, na których zawsze można polegać i którzy nigdy nie zawiodą. Otwieranie tych książek po raz kolejny jest jak odwiedziny u ulubionej ciotki lub... lub wspinanie się na kolana ukochanego dziadka. - Widząc, że wyraz twarzy Isabel pozostaje sceptyczny, Kate dodała ze śmiechem: - Przypuszczam, że dla lady Isabel może nie brzmieć to zbyt przekonująco, ale panienska mimo wszystko ma kochającego ojca i śmiem stwierdzić, że z pewnością także jakichś dziadków, którzy się o nią troszczą. Moje książki są jedyną rodziną, jaką mam. - Nie chciała, by zabrzmiało to melodramatycznie, i gdy zdała sobie sprawę, że jej słowa mogły tak właśnie zostać odebrane, dodała żartobliwie: - A poza tym bohaterowie książek zamiast krewnych mają jeszcze jedną zaletę: nigdy nie chcą pożyczać pieniędzy i nie wpadają w odwiedziny bez zapowiedzi. Jedynym prawdziwym niebezpieczeństwem jest zostawienie ich przez

przypadek w omnibusie, co, muszę ze wstydem przyznać, zdarzyło mi się parę razy...

Isabel zmarszczyła nos.

- Panno Mayhew, to bardzo dobrze, że jest pani taka ładna. To pewna rekompensata za to, że jest pani trochę dziwna. - Popatrzyła na sufit. - A poza tym ja nie czytam książek w ten sposób. Czytam je tylko raz.

- Naprawdę? - Kate zdjęła z półki *Dumę i uprzedzenie*. - Czytała to panienka?

Jej podopieczna zerknęła na okładkę.

- O rety - rzekła, krzywiąc się. - Papa ciągle namawia mnie na jej przeczytanie.

- Powinna panienka to zrobić, na pewno się spodoba. Jest o dziewczętach w panienki wieku, które przeżywają pierwsze miłości.

Isabel z zaskoczeniem uniosła głowę.

- Naprawdę? Sądziłam, że jest o wojnie.

- O wojnie? Dlaczegoż, na niebiosa, właśnie o tym?

- No cóż, zatytułowana jest przecież *Duma i uprzedzenie*. - Isabel wstała z łóżka, podeszła do swojej opiekunki, wzięła z jej rąk książkę i przekartkowała ją, co dla Kate było mimo wszystko dobrym znakiem. - A poza tym papa ciągle czyta książki o wojnie albo o czymś nawet jeszcze nudniejszym.

Kate sięgnęła ponownie do swego kartonu.

- Ach tak? - zapytała obojętnie. - Więc lord Wingate lubi czytać?

Isabel skinęła głową.

- Właściwie zajmuje się tym przez cały czas. To znaczy poza zabawianiem kobiet takich jak ta okropna pani Woodhart.

Kate zakaszłała, ale jej podopieczna nie pojęła, niestety, aluzji.

- Przysięgam, panno Mayhew - kontynuowała. - Czasami

myślę, że gdyby nie kobiety pokroju pani Woodhart, papa w ogóle nie wychodziłby z domu! W domu, w Wingate Abbey, nigdy nie unosi głowy znad książki, którą właśnie czyta. Może tylko raz na jakiś czas wybiera się na przejażdżkę konną. To doprawdy żenujące.

Kate wyprostowała się.

- Żenujące?

- No tak. Żaden ojciec przecież się tak nie zachowuje. Kiedy byłam jeszcze w szkole, często odwiedzałam koleżanki. Ich ojcowie wychodzili codziennie na polowanie, na ryby i tym podobne. Ale nie mój. On jest zawsze w domu i czyta. Cały c/as powtarzam mu, że to nie jest normalne, że powinien częściej wychodzić. Chodzi mi o to, że nie staje się przecież coraz młodszy, panno Mayhew. Właśnie skończył trzydzieści sześć lat. Żyjąc tak, nigdy nikogo nie pozna i się nie ustakuje.

- Sądziłam, że już kogoś poznał - rzekła niewinnie Kate. - Wspominała panienka przecież o pani Woodhart.

- Ale on nie może się ożenić z Sarą Woodhart! - wykrzyknęła Isabel. - Ona jest aktorką. Papa nie może się ożenić z aktorką. To nie wypada. Poza tym ona już jest zamężna.

Kate uniosła brwi.

- Ach tak.

- Chodzi o to, panno Mayhew, że nie zostało już dużo czasu. Wkrótce Geoffrey i ja zamierzamy się pobrać i papa zostanie zupełnie sam.

- Naprawdę? - Brwi Kate uniosły się jeszcze wyżej. - Panienka i Geoffrey?

- Tak. Muszę znaleźć papie jakąś miłą kobietę, panno Mayhew, żeby nie był samotny, gdy go opuszczę. Ale nie taką jak pani Woodhart. Miłą kobietę - spojrzenie Isabel prześlizgnęło się po Kate - taką jak pani, panno Mayhew.

Kate nie potrafiła powstrzymać wybuchu śmiechu. Pomysł,

że mężczyzna pokroju markiza Wingate zniży się do poślubienia przyzwoitki swojej córki, był tak śmiesznie absurdalny, że żałowała, iż nie może nikomu o nim powiedzieć. Nawet Freddy'ego nie rozśmieszyłby ten pomysł.

Przypomniawszy sobie jego uwagę, że markiz przysiągł, iż już nigdy się nie ożeni, pomyślała, że najlepiej byłoby zmienić teraz temat, zanim Isabel za bardzo się zaangażuje.

- Czy pan Saunders poprosił już panienkę o rękę, lady Isabel?

Wspomnienie tego nazwiska w zupełności wystarczyło, by oderwać dziewczynę od każdego tematu.

- Jeszcze nie - odpowiedziała rozgorączkowana. - Ale tak naprawdę nie miał na to szansy, bo papa ciągle deptał nam po piętach. Ale może teraz, kiedy pani tutaj jest, panno Mayhew...

Kate już nabrała powietrza, by poinformować podopieczną - oczywiście, nie w takich słowach - że prędzej piekło zamarnie, niż ona się sprzeciwi życzeniom człowieka, który płaci jej tak dużo za opiekę nad jego jedynym dzieckiem, kiedy nagle ów człowiek pojawił się we własnej osobie i zapukał do drzwi, mimo że były otwarte.

- Panno Mayhew - rzekł lord Wingate. Jak zauważyła Kate, trzymał jedną z książek, o których Isabel wyrażała się z takim lekceważeniem. - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Pani i Isabel wychodźcie gdzieś dzisiejszego wieczoru, prawda?

Kate przytaknęła, pośpiesznie odwracając wzrok, tak by nie musiała patrzeć w te zdecydowanie zbyt zielone oczy. Córka odziedziczyła po nim jodełkowe spojrzenie, ale w jakiś sposób na tle bledszej cery oczy Isabel nie wydawały się fascynujące. W takim razie może to nie oczy markiza wprawiały Kate w zdenerwowanie, lecz fakt, że ostatnim razem, gdy wpatrywała się w nie, uderzała atlasem w jego głowę. A jeszcze wcześniej przyciskała czubek parasolki do jego surduta. Ich krótka znajomość zdecydowanie nie miała łatwego przebiegu.

- Tak markizie - udało się jej odpowiedzieć wystarczająco szybko. - Najpierw kolacja u lady Allen, a następnie bal u baronowej Hiversham...

- Potem śniadanie u państwa Blake - wtrąciła Isabel znużonym głosem, wliczając na palcach zaproszenia - i zakupy z ich wstrętnymi córkami. Potem lunch u Baileyów, po którym nastąpią kolejne zakupy albo też kilka krótkich wizyt, w czasie których dowiemy się, kto się już zaręczył, a kto jeszcze nie. Następnie przyjdziemy do domu przebrać się na kolację z lordem i lady Crowleyami, po której z kolei idziemy do opery, a po niej na przyjęcie do Eloise Bankroft. Potem kilka godzin snu i znowu śniadanie, przysięgam, że nie pamiętam gdzie...

- Isabel - przerwał jej łagodnie lord Wingate. - Być może wolałabyś się znaleźć z powrotem w Abbey.

Córka spojrzała na niego uważnie.

- Z powrotem w Abbey? To znaczy w Wingate Abbey? Oczywiście, że nie. Co ja bym tam robiła, podczas gdy Geoffrey jest tutaj?

- Sądząc z twojego głosu, można było odnieść wrażenie, że uważasz Londyn za nieco nudny.

Isabel opuściła ręce. Kate stała przy niej na tyle blisko, by dojrzeć, że szczupłe palce zwiijają się w pięści.

- Och, chciałbyś tego, prawda? Wszystko, byle tylko powstrzymać mnie od spotykania się z Geoffreyem!

Kate uznała, że lord Wingate wygląda na otumanionego, i chyba się nie myliła.

- Wprost przeciwnie - odrzekł. - Sądziłem, że być może czujesz potrzebę krótkiego odpoczynku na wsi, to wszystko.

Isabel wydała z siebie pełen frustracji okrzyk, wybiegła i zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiając Kate i jej pracodawcę sam na sam.

8

Kate z trwogą wpatrywała się w zamknięte drzwi, jakby patrzenie na nie przez odpowiednio długi czas mogło otworzyć je z powrotem i przywrócić zaistniałej sytuacji nieco stosowności. Wyglądało jednak na to, że lord Wingate nie czuje zakłopotania. Cóż, pomyślała niechętnie, dziwne by było, gdyby czuł.

Jej chlebodawca natychmiast się zatopił w jednym z zielonych aksamitnych foteli, stojących przy kominku, i zaczął markotnie się wpatrywać w tańczące wesoło płomienie.

- Rozumie pani oczywiście - odezwał się głębokim głosem, nie odrywając spojrzenia od ognia - przeciwko czemu jestem. Szczeniacka miłość. To wyrażenie jest samo w sobie niedorzeczne, panno Mayhew.

Kate przeniosła wzrok na lorda Wingate, a po chwili z powrotem na drzwi. Wspaniale, pomyślała. Całkiem możliwe, że pani Cleary, gospodyni, będzie przechodzić obok i usłyszy głos jego lordowskiej mości, dochodzący z sypialni nowo zatrudnionej przyzwoitki. Albo jeszcze gorzej - może go usłyszeć pan Vincennes, lokaj. Do tej pory nic nie wskazywało na to, by czuł niechęć wobec Kate, choć niewątpliwie miał swoje

zdanie o jej wybitnie dziwnym zachowaniu. Ale Vincennes nie wiedział o istnieniu Lady Babbie -jeszcze nie. I z pewnością nie wiedział, że jego lordowska mość wprosił się do sypialni przyzwoitki swej córki na małą pogawędkę...

- Isabel - kontynuował lord Wingate tak niedbale, jakby rozmawiali właśnie o pogodzie w Bath - ma pewność, że jest zakochana w tym młodym człowieku, w tym Geoffreju Saundersie. Jest to, oczywiście, mariaż niemożliwy i całkowicie absurdalny. Pan Saunders jako drugi z kolei syn, nie ma centa przy duszy. Oczekuje się od niego, że kiedyś będzie uczonym, ale z powodu długów karcianych musiał opuścić Oksford. Z czego się teraz utrzymuje, nie mam najmniejszego pojęcia, ale można przypuszczać, że ma to związek z jego licznymi romansami. - Wreszcie odwrócił spojrzenie od ognia i wbił je w Kate. - Za wszelką cenę trzeba trzymać Isabel z dala od niego.

Przykuta jego szmaragdowymi oczami do miejsca, w którym stała, dziewczyna głośno przełknęła ślinę. Właściwie bez związku przypomniała sobie nagle, że dzisiejszego popołudnia pani Cleary przekazała jej czek, opiewający na pięćdziesiąt funtów. Jak pulchna starsza pani poinformowała Kate, suma ta stanowiła zaliczkę na poczet pensji, na wypadek wszelkich poniesionych przez nią kosztów, związanych ze zmianą dotychczasowej posady. I mimo że Kate nie prosiła o zaliczkę, przyjęła ją z wdzięcznością, po czym pośpieszyła do banku, a stamtąd na pocztę, by przesłać całą sumę swojej dawnej niani w Lynn Regis. Wciąż nie przestawała się zastanawiać, dlaczego jego lordowska mość dał jej zaliczkę w wysokości dwumiesięcznych zarobków. Podejrzewała, że chodziło mu o to, by mogła kupić wszystko, czego może potrzebować, tak by nie przynieść wstydu pracodawcy swymi znoszonymi sukienkami w miejscach, do których z pewnością będzie uczęszczała. Ale Kate się sobie podobała w sukienkach, pochodzących z jej własnego

pierwszego sezonu towarzyskiego. Dalej nadawały się do użytku, były bowiem bardzo solidnie wykonane i potrzebowały jedynie kilku drobnych poprawek, przy których pomocna była nieoceniona pani Jennings. Zgodnie z najnowszymi trendami spódnice nie były teraz tak szerokie, a dekolty nie tak wyzywające. Poza tym jako przyzwoitka nie mogła sobie pozwolić na zbyt odważne wycięcia. Suknie musiały także zostać ufarbowane, ponieważ większość z nich była biała. Mając dwadzieścia trzy lata, Kate doskonale wiedziała, że jest za stara na strojenie się w biel.

Ale teraz zaświtał jej w głowie nowy i w pewien sposób niepokojący powód, dla którego otrzymała zaliczkę. Dlatego by nie mogła odejść. Gdyby nagle rzuciła posadę, byłaby winna markizowi Wingate poważną sumę, której nigdy nie byłaby w stanie spłacić. Z całą pewnością wszystkie poprzednie przyzwoitki Isabel dały mu porządną lekcję i musiał być teraz zadowolony, że przynajmniej ta nie ucieknie tak szybko.

A ucieczka była pierwszą myślą, która się pojawiła w jej głowie w chwili, gdy spoczęło na niej spojrzenie lorda Wingate. Podeszła nawet do drzwi, mając ochotę wziąć przykład z Isabel. W momencie gdy położyła dłoń na klamce, pytanie: „Panno Mayhew?” przywołało ją do porządku. Dobry Boże, o czym ona myślała? Kate Mayhew nie miała w zwyczaju uciekać od czegokolwiek... z wyjątkiem może kryjących się w cieniu postaci na ulicy, które mylnie brała za Daniela Cravena. Ale zdecydowanie nie przed apodyktycznymi markizami, niezależnie od tego, jak przeszywające były ich spojrzenia i jak potężne mieli sylwetki.

Zamiast więc wyjść z pokoju, Kate wzięła głęboki, uspokajający wdech, po czym delikatnie nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na całą szerokość, tak by każdy, kto będzie przechodził korytarzem, mógł zobaczyć, że pan domu składa jedynie uprzejmą wizytę przyzwoitce swej córki.

- Doskonale rozumiem - powiedziała spokojnie, odwracając się twarzą do markiza i nawet się nie czerwieniąc, gdy napotkała jego spojrzenie. - Ma pan wiele zastrzeżeń wobec tego młodego człowieka. To naturalne. Kocha pan córkę i chce dla niej wszystkiego co najlepsze. Zastanawiam się tylko, markizie, czy zakazanie lady Isabel spotkania się z panem Saundersem nie odniesie wprost przeciwnego skutku.

- Proszę mi wybaczyć. - W głosie lorda Wingate można było wyczuć pewne niedowierzanie. - Ale uważam, iż wiem, w jaki sposób powinienem postępować z własną córką.

- A ja jestem prawie pewna, że tak samo uważali rodzice Julii, kiedy zabronili jej spotykać się z Romeem - odparowała Kate.

Jej chlebodawca uniósł jedną ciemną brew.

- Sporo już czasu minęło, odkąd ktoś w rozmowie ze mną posługiwał się przykładami z literatury.

- W takim razie nie powinien pan także mieć nic przeciwko temu, że przypomnę tragedię Abelarda i Heloizy. Jestem przekonana, że wuj Heloizy, Fulbert, czuł się podobnie jak pan, gdy związała się ona z Abelardem.

- Wie pani - odchrząknął markiz - czuję ogrom sympatii do Fulberta. Ani trochę nie obesłoby mnie, gdybym ujrzał, że pana Saundersa dosięgło takie samo przeznaczenie jak tego szubrawca Abelarda...

- Chodzi mi o to - przerwała mu Kate - że losy Romea i Julii, Abelarda i Heloizy potoczyły się tak tragicznie głównie przez ingerencje rodzin w ich sprawy sercowe...

Markiz rzucił w jej stronę groźne spojrzenie.

- Do licha, panno Mayhew. Isabel nie ma zamiaru się zabić, nie mówiąc już o ucieczce do klasztoru. Choć, prawdę powiedziawszy, wolałbym już widzieć ją w habitcie zakonnicy niż w towarzystwie tego gada Saundersa.

- Lordzie Wingate, i historia, i literatura ucą nas, że zakazywanie czegoś dziecku nadaje temu czemuś pewną tajemniczość, której nie miałyby w innym przypadku. Pańska niechęć wobec pana Saundersa może być dokładnie tym, co lady Isabel tak w nim pociąga.

- W takim razie, co mi pani radzi zrobić, panno Mayhew? - parsknął lord Wingate. - Pozwolić jej się rzucić w ramiona tego zuchwalca?

Kate rozłożyła ręce.

- Co może zaszkodzić kilka tańców z tym młodzieńcem? Im więcej będzie spędzała z nim czasu, tym bardziej jest prawdopodobne, że w końcu zauważy jego wady.

- A jeśli nie? Jeśli zakocha się w nim jeszcze mocniej i następną rzeczą, o której się dowiem, będzie to, że wkrótce zostanie dziadkiem?

Kate zarumieniła się. Była wdzięczna losowi za to, że stoi wystarczająco blisko kominka, by przypisać zmianę koloru twarzy intensywności płonącego ognia.

- Bardzo wątpię, by do tego doszło, markizie - odrzekła. - Wydaje mi się, że Isabel ma wyjątkowo dużo zdrowego rozsądku i bardzo silny charakter. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na taką kompromitację.

- Niewiele pani wie o młodych dziewczętach, panno Mayhew.

- Chodzi panu o to, że kiedyś też taka byłam? - Kate nie potrafiła pozbyć się z głosu odrobiny szorstkości.

Jej chlebobdawca po raz kolejny przeszył ją swoim szmaragdowym spojrzeniem.

- Wyobrażam sobie, panno Mayhew, że należała pani do innego rodzaju dziewcząt niż Isabel.

Kate popatrzyła na niego z uwagą.

- Pańska córka jest może bogatsza, może szlachetniej urodzona, ale zapewniam pana, że byłam taka sama...

Przerwała zmieszana, gdy zobaczyła, że lord Wingate się śmieje. Nigdy wcześniej nie słyszała jego śmiechu - począwszy od wieczora, kiedy to się poznali, zawsze wydawał się w podłym nastroju. Teraz, kiedy się śmiał, wyglądał na dużo młodszego, niż był. Gdy odchylił ze śmiechem głowę, Kate zauważyła, że kołnierzyk jego koszuli rozchylił się, ukazując szyję, u dołu której można było dostrzec całkiem spore kępki czarnych włosów. Dziewczyna nie mogła oderwać od nich wzroku. Co się z nią, u licha, działo?

Kiedy lord Wingate przestał się śmiać i ponownie na nią spojrzął, miała szczerą nadzieję, że nie zwrócił uwagi na to, aż patrzy na jego rozchylony kołnierzyk, i nie widział rumieńca, który zdążył już zalać całą jej twarz i szyję.

- Nie miałem na myśli pani majątku czy urodzenia, panno Mayhew. - Wciąż się uśmiechał. - Chodziło mi o to, że jest pani niezaprzecalnie dużo bardziej atrakcyjna niż moja córka kiedykolwiek będzie i że z pewnością było też tak, gdy miała pani tyle lat co teraz Isabel. Atrakcyjność może zastąpić majątek. W przeciwieństwie do konkurentów Isabel pani adoratorzy na pewno nie kierowali się chęcią odniesienia korzyści materialnych.

Nagle Kate pożałowała, że nie zostawiła drzwi zamkniętych. Przeszła szybkim krokiem przez pokój i z trzaskiem je zamknęła, rzucając przez ramię:

- Cśśś! A jeżeli pana usłyszysz?

- I co z tego? Isabel wie, że nie jest ładna. Wygląd odziedziczyła, niestety, po mnie. - Wyciągnął z kieszeni kamizelki niewielki zegarek i zaczął go nakręcać. - A rozum po matce - mruknął.

- To naprawdę niemiłe z pana strony wyrażać się o własnej córce w tak lekceważący sposób. - Kate podeszła do fotela, w którym siedział, i zatrzymała się. - Lady Isabel jest doprawdy urocza...

- Jest żywiołowa - poprawił ją lord Wingate. - Ale to nie oznacza jeszcze, że jest atrakcyjna. Ludzie lgną do niej, ponieważ jest pełna życia. Choć wysłałem Isabel do najlepszych szkół, o ile mi wiadomo, nie wyniosła z nich nic, oprócz znajomości kilku tanecznych figur. Podczas gdy pani, panno Mayhew, została obdarzona zarówno urodą, jak i inteligencją. Więc widzi pani teraz, dlaczego nie uważam za właściwe porównywanie pani jako młodej dziewczyny z Isabel. Nie w takich okolicznościach.

Wtedy, jakby dopiero teraz zauważył, że ona stoi, podczas gdy on siedzi, podniósł się zmieszany i wskazując dłonią na stojący tuż obok fotel, rzekł:

- Zupełnie zapomniałem o dobrych manierach. Proszę usiąść.
- Kate zerknęła w kierunku zamkniętych drzwi.
- Nie sądzę...
- Proszę usiąść!

Drgnęła, słysząc jego rozkazujący ton, i szybko usiadła, splatając dłonie na kolanach i przyglądając się z niepokojem, jak niewielka dzieli ich przestrzeń.

- Tak lepiej - powiedział jej chlebodawca, opadając ponownie z satysfakcją na fotel. - Jest pani niska, panno Mayhew, a mimo to rozboleła mnie szyja od ciągłego patrzenia w górę.

Nie mając pewności, jak zareagować na to stwierdzenie, Kate wróciła do poruszanego wcześniej tematu.

- Naprawdę uważam, markizie, że lady Isabel powinno być wolno spotykać się z panem Saundersem, a przynajmniej w mojej obecności. Cóż mogliby napsocić, gdybym się znajdowała w pokoju razem z nimi?

- Panno Mayhew, jak to możliwe, że wtedy, kiedy się poznaliśmy, uznała pani moje najzupełniej niewinne zachowanie za tak bardzo podejrzaną, że chciała pani sprowadzić policję, a teraz jest pani na tyle naiwna, że wierzy, iż para nie może

w towarzystwie przyzwoitki... - Przerwał, posyłając jej przesywające spojrzenie, po czym poruszył się w swoim fotelu. - No cóż, nieważne. Ale wystarczy powiedzieć, panno Mayhew, że sam byłem niewiele starszy od Isabel, gdy zacząłem się starać o jej matkę. I pozwoli mi się pani zapewnić, że nie ma, że tak powiem, figła, którego nie potrafi spłatać para nadzorowana przez przyzwoitkę.

- Może właśnie w tym tkwi problem - rzekła cicho Kate. Lord Wingate posłał jej spojrzenie pełne irytacji.
- W czym tkwi problem, panno Mayhew?

Być może obawia się pan, że pańska córka popełni taki sam błąd jak pan.

- No cóż, oczywiście, że się tego boję, panno Mayhew. I muszę powiedzieć, że uważam za hmmm... co najmniej osobliwe siedzenie tutaj i dyskusowanie o moim małżeństwie z osobą, którą zatrudniłem, by była przyzwoitką mojej córki.
- I wciąż nie dostrzega pan ważnej rzeczy, lordzie Wingate.
- Jakiej?

Że nawet jeśli, według pana, pańskie małżeństwo z matką Isabel było błędem, to jego owocem jest coś, o co bardzo się pan troszczy. Nie może pan winić córki, że nie zwraca uwagi na ostrzeżenia ojca, skoro doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli pan słuchałby swojego rodzica, ona mogłaby się nigdy nie narodzić.

Lord Wingate pochylił się w fotelu z taką siłą, że masywny mebel niebezpiecznie zatrzeszczał. Wyraz jego twarzy nie był już nieodgadniony: markiz wyglądał na niesłuchanie zadziwionego. Kate, nagle świadoma tego, że być może zbyt szybko się zagalopowała, utkwiała spojrzenie w dywanie. Trzysta funtów, powiedziała w duchu. Trzysta funtów.

- Markizie... - zaczęła, pragnąc go przeprosić, ale jej przerwał.

- Panno Mayhew- rzekł, a ona się skuliła. Zastanawiała się, czy ma zamiar wyrzucić ją przez okno. W pokoju były trzy, z widokiem na piękny ogród dwa piętra niżej. Miała nadzieję, że dzięki wiosennej trawie ziemia jest na tyle miękka, że może skończy się to tylko złamaniem kilku kości. - Wyraża pani swoje argumenty - kontynuował głębkim głosem - z zaskakującą jasnością, niezależnie od tego, czy ma pani w rękach parasolkę, atlas, czy też są puste.

Kate poczuła, jak z jej twarzy odpływa cała krew.

- Lordzie Wingate...

- Nie, panno Mayhew. - Wstał z fotela. - Ma pani całkowitą rację. Zakazywanie Isabel spotkania się z panem Saundersem nie ostudziło jej uczuć wobec niego ani o jotę.

Kate podniosła się z krzesła.

- Lordzie Wingate... - zaczęła ponownie, ale głos uwiązł jej w gardle, gdy zdała sobie sprawę, że mówi prosto do srebrnych guzików przy jego kamizelce. Burke Traherne był o tyle wyższy, że musiałyby stać z wciąż zadartą głową, jeżeli chciała patrzeć mu w twarz.

Pożałowała tego w chwili, gdy tylko to zrobiła. Mimo że od krępującego incydentu w bibliotece Cyrusa Sledge'a minął prawie tydzień, powróciło do niej wszystko, co czuła w tamtej chwili: szok wywołany siłą jego mięśni i zapach, w którym właściwie nie było nic nadzwyczajnego - tylko mieszanka aromatu tytoniu i mydła.

Ale najbardziej poraziło ją bijące od niego ciepło. Poczuła nieoczekiwane pragnienie, by poddać się temu ciepłu, przytulić się do lorda Wingate i zapomnieć o wszystkich i wszystkim...

I wtedy, oczywiście, przerażenie, że w ogóle mogła pomyśleć o czymś takim, połączyło się z oburzeniem, że to wszystko jego wina. Zupełnie podobnie zareagowała kilka dni temu, co doprowadziło do użycia atlasu...

I oto nagle niecały tydzień później ponownie czuła taką samą

fizyczną obecność tego mężczyzny jak wtedy, gdy się znajdowała w jego ramionach. Tyle że tym razem nawet się nie dotykali, męskie ramiona nie otaczały jej talii...

Nieoczekiwanie Kate z powrotem usiadła na fotelu, bo ugięły się pod nią kolana. Markiz pozostał jednak tam, gdzie stał. Nie była tego pewna, gdyż nie miała odwagi na niego spojrzeć, ale przypuszczała, że patrzy prosto na nią. I wtedy, tak jakby jego myśli podążały dokładnie tym samym torem, rzekł posepnie:

- Uważam, że winien jestem pani przeprosiny, panno Mayhew, za ten niefortunny incydent w bibliotece Sledge'ów.

Kate, pewna, że jej twarz jest purpurowa, natychmiast odwróciła głowę w stronę płonącego w kominku ognia.

- Oboje jesteśmy winni sobie przeprosiny - odparła sztywno. - Uznajmy więc, że jesteśmy kwita, i zapomnijmy o całej sprawie.

Ale to najwyraźniej nie zadowalało lorda Wingate.

- Obawiam się, że nie, panno Mayhew. To ja zachowałem się obrzydliwie. Miała pani pełne prawo do powstrzymania mnie.

- Ale powinnam była to zrobić w nieco delikatniejszy sposób. - Kate wciąż wpatrywała się w swoje kolana. - I za to właśnie chciałabym przeprosić.

Lord Wingate zakaszłał.

- W każdym razie czuję się w obowiązku, jako pani pracodawca, zapewnić panią, że takie zachowanie już nigdy się nie powtórzy.

Zaskoczona zarówno jego słowami, jak i tonem, zaryzykowała i spojrzała na niego. Wyglądało na to, że mówi naprawdę szczerze. Ale, oczywiście, nie było to możliwe. Szczerłość nie była zaletą prezentowaną przez ludzi jego pokroju. Mówił tylko to, co uważał za godne dżentelmena.

A może jednak nie?...

Może istnieli przywoici arystokraci?

Nie. A nawet jeżeli, to lord Wingate do nich nie należał. Nieprędko zapomni, w jaki sposób potraktował ją tamtego dnia w bibliotece, tak jakby istniała wyłącznie do zaspokajania jego egoistycznych potrzeb i do zabawiania go.

Nie chcąc jednak, by pomyślał, że nie jest w stanie zapomnieć o urazach, wstała i wyciągnęła w jego stronę prawą dłoń, po czym, patrząc mu prosto w oczy, rzekła:

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nie został pan dziadkiem, zanim nie będzie pan na to gotowy, lordzie Wingate.

Przez chwilę twarz jej chlebobdawcy miała dziwny wyraz. Kate cofnęła się o krok, ale on potrząsnął jej dłonią, po czym się odwrócił, mruczając coś o tym, że powinna się pospieszyć, gdyż nie zostało już dużo czasu do wyjścia na przyjęcie.

Zanim wyszedł z pokoju, zatrzymał się na chwilę, zauważywszy rozciągniętą na łóżku Lady Babbie.

- Dobry Boże - rzucił.

Kate poczuła, jak jej i tak niepewne poczucie bezpieczeństwa rozwiewa się. Zanim zdążyła zacząć przeproszać za obecność zwierzęcia, lord Wingate zadał jej ostatnie pytanie.

- To nie jest kotka, prawda?

Kate uniosła brwi.

- Jest. A dlaczego pan pyta?

- No cóż, to tłumaczy, dlaczego rudy kocur Vincennesa chodzi po całym domu z nosem przy podłodze. Proszę lepiej zamykać drzwi, panno Mayhew, chyba że to pani chce zostać babcią.

Powiedziawszy to, markiz wreszcie opuścił pokój Kate.

9

To wydawało się niewiarygodne, ale po sześciu bezgranicznie długich tygodniach Burke Traherne miał w końcu wieczór wyłącznie dla siebie. Mógł robić to, na co tylko przyjdzie mu ochota. Ledwie śmiał wierzyć w swoje szczęście.

Odkąd Isabel opuściła szkołę, był nękany i niepokojony na każdym kroku. Przypochlebiał się, straszył i wreszcie karał - wszystko na darmo. Na porządku dziennym były potoki łez. Markiz odkrył, że używa języka, którym nie posługiwał się od czasu szkolnych lat, kiedy to dyrektor stosował wymyślne kary za najmniejsze nawet przekleństwo, przez co ten brzydki nawyk zupełnie u Burke'a zanikł. A teraz przez tę siedemnas-toletnią dziewczynę kłął na nowo.

I nagle cisza. Wspaniała, idealna cisza.

To było niesłychanie dziwne uczucie. Wciąż nie mógł uwierzyć. Pod stanowczą, choć łagodną opieką panny Mayhew jego córka opuściła dom bez żadnej łzy ani wyrzutów. Nawet pocałowała go na do widzenia! Pocałowała go w policzek i roześmiała się, mówiąc:

- Dobranoc, staruszk. I dziękuję, że pozwoliłeś mi się spotkać z Geoffreyem. Miłej lektury.

Była zupełnie inną osobą, a panna Mayhew nic spędziła w ich domu nawet dwudziestu czterech godzin. Czy to możliwe, że gdyby pozwolił córce spotykać się z tym przeklętym Saundersem, mógłby się cieszyć taką ciszą już od kilku tygodni? Nie, niemożliwe, bo z innymi przyzwoitkami wszystko sprowadzało się do nieustannej batalii, począwszy od decyzji, jaką włożyć sukienkę, aż do fryzury Isabel. Dzisiejszego wieczoru nie miała miejsca żadna z tak doskonale mu znanych bitew. Suknia została zaakceptowana bez żadnych problemów, a włosy córki nigdy nie były ładniej ułożone - to także była niewątpliwie zasługa panny Mayhew.

Burke wreszcie był wolny. Mógł bez przeszkód rozkoszować się towarzystwem książki. I właśnie to miał zamiar robić: spędzić kilka przyjemnych godzin, czytając powieść, którą powinien był poznać jako chłopiec, ale przecież lepiej późno niż wcale. Zasiadł w wyłożonym poduszkami, niezwykle wygodnym fotelu tuż przy kominku, w którym wesoło syczał ogień. Dźwięk ten doskonale się komponował z odgłosem padającego nieprzerwanie deszczu. Na stojącym nieopodal niewielkim stoliku czekała na Burke'a szklanka ulubionej whisky, a Vincennes otrzymał jasne instrukcje, by pod żadnym pozorem nie niepokoić swego pracodawcy, w szczególności wiadomościami od pani Woodhart.

Jeżeli chodzi o nią, to ciągle czyniła wysiłki, których celem było odzyskanie lordowskich uczuć. Ostatnio miała zwyczaj o każdej porze dnia i nocy przysyłać listy z dopiskiem „ważne”, nakazując posłańcowi, by czekał na odpowiedź. Burke musiał więc albo oddawać je, nie otwierając, albo odpisywać kilka lakonicznych zdań. W listach nie było nic ważnego - zawierały jedynie długie i łzawe prośby o wybaczenie, a gdzieś tam atrament był rozmazany niczym przez prawdziwe łzy.

Markiz nie czuł się w obowiązku wybaczać cokolwiek.

Czasami uważał, że powinien wręcz podziękować Sarze za jej niestałość, gdyż dzięki niej dokonał w desperacji czegoś, co zapewniało mu spokój. Nie żałował ani przez moment pieniędzy, które płacił za ten błogi stan. Może niektórym suma trzystu funtów wydawała się oszałamiająca, ale dla człowieka posiadającego kilka tysięcy razy więcej była niczym. A mimo to pozwoliła mu kupić coś, co uważał za bezcenne: spokój.

Delektując się samotnością, Burke zatopił się w powieści, rozpoczynając od tego, od czego powinien, czyli od wstępu, który do tej pory miał zwyczaj omijać. Dzisiaj przecież nie musiał się śpieszyć. Miał przed sobą cały wieczór i noc, ba, wiele takich wieczorów, gdyż nie znalazł jeszcze nikogo na miejsce zdradliwej pani Woodhart. Lord Wingate nie odczuwał potrzeby natychmiastowego znalezienia sobie nowej kochanki. Owszem, kobiety są przyjemne - tak jak whisky, pieszcząca delikatnie jego podniebienie - i tak jak w przypadku whisky nadmiar przyjemności niekoniecznie musi być dobry.

Być może, pomyślał, unosząc wzrok znad książki i kierując go w stronę trzeszczącego ognia, w ogóle nie będę szukał nowej kochanki, tylko spróbuję dla odmiany życia w celibacie. To była zupełnie nieoczekiwana myśl, ale wydawała się pasować do jego nowego nastroju i tęsknoty za spokojem i ciszą. Dotychczas celibat był dla niego czymś zupełnie nieznanym. Nawet podczas okropnych miesięcy, które nastąpiły po nakryciu Elisabeth z tym przeklętym Irlandczykiem, kiedy to w pijackim zamroczeniu błędził po Europie, czuł żądzę i zaspokajał ją z balerinami i śpiewaczkami.

Lecz tak naprawdę kochanki go męczyły. Oczywiście, w pewien sposób były niezwykle mile i użyteczne. Ale nie można zaprzeczyć, że były także nieznośne, może dlatego, że ich uczucia się kupuje. I podczas gdy aktorki, takie jak Sara Woodhart, całkiem dobrze potrafiły udawać zainteresowanie

swoim „kupcem”, w żadnym wypadku nie można było tego powiedzieć o tancerkach i śpiewaczkach. Za bardzo przywykły do tego, że są uwielbiane, by zwracać uwagę na uczucia innych. A Burke'owi wydawało się, że skoro wydaje już na jakąś kobietę bądź co bądź dużo pieniędzy, to powinna przynajmniej umiejętnie udawać, że go lubi.

Dochodził do tego oczywiście fakt, że nie należał do mężczyzn o łagodnym usposobieniu. A kochanki niezmiennie – być może z powodu rodzaju ich pozycji w życiu markiza – budziły jego porywczą naturę. Czasem musiał się pojedynkować z rywalem, a innym razem bronić się przed krewnymi swych utrzymanek, którzy się czuli oburzeni jego odmową poślubienia ich siostry, córki, kuzynki, siostrzenicy bądź, w jednym pamiętnym przypadku, matki. Kiedy Burke przypomniał sobie te incydenty, postanowił za wszelką cenę unikać kochanek.

Pociągnął kolejny łyk whisky, odstawił szklanekę i popatrzył na stronę drugą wstępu do *Ostatniego Mohikanina*, rozkoszując się nowo odkrytym spokojem i ciszą.

Tyle że teraz, kiedy mógł się nimi cieszyć, pomyślał, że być może jest jednak trochę zbyt cicho. Nie znaczyło to, że brakuje mu napadów złego humoru Isabel. Nie tęsknił także za przyzwoitkami – mi, wpadającymi do pokoju i składającymi wymówienie dziesięć minut przed planowanym wyjściem na jakieś towarzyskie spotkanie. Dobry Boże, w żadnym wypadku nie brakowało mu tego rodzaju scen. Uświadomił jednak sobie, że w pewien sposób... cóż, przyzwyczaił się do nich i do panującego w domu hałasu. Isabel była wrzaskliwym niemowlęciem, które wyrosło na równie głośne dziecko. Życie Burke'a po rozwodzie pełne było rozgardiaszu, ale jedno zawsze pozostawało niezmiennie: Isabel i jej niesłychana umiejętność wypełniania domu, nieważne jak dużego, swoją osobą. Ile to razy krzyczał na nią, by wreszcie była cicho? Ile niań zwolnił za to, że nie były w stanie jej do tego zmusić?

A teraz, gdy jego marzenie wreszcie się spełniło, brakowało mu krzyków, kłótni i rozgardiaszu. Nagle było tak cicho, że ponad trzaskiem ognia słyszał odgłos zegara, tykającego stanowczo za głośno. Być może był popsuty; zegar nie powinien przecież tykać aż tak głośno.

No i ten deszcz. Całkiem porządnie hałasował, uderzając o futryny okien. Najwyraźniej nadciągnął huragan, skoro deszcz był aż tak ulewny.

Przypomniał sobie, że Isabel była tak uradowana jego nagłą zmianą postawy wobec Geoffreya Saundersa, że wyglądała prawie ładnie. W jednej z dziesiątek białych balowych sukien, które kupił córce, wbiegła do jego pokoju, by mu podziękować, podczas gdy jej przyzwoitka czekała na nią przy drzwiach. Panna Mayhew wyglądała – co natychmiast Burke zauważył – zupełnie inaczej niż kobieta, z którą przed zaledwie godziną odbył dość... interesującą rozmowę. Tamta, w prostej białej bluzce i kraciastej spódnicy, wyglądała ujmująco, ale nic poza tym. Ta wydawała się promieniować w jedwabiu – szarym jedwabiu, jeżeli chodzi o ścisłość, ale zadziwiająco dobrze skrojonym i zaprojektowanym najwyraźniej po to, by podkreślać kobiece kształty. Jej suknia nie była w żadnym wypadku nieprzyzwoita – nie odsłaniała ani kawałka dekoltu – ale mimo to Burke zdał sobie sprawę, że nieważne, czym kobieta taka jak panna Mayhew okrywała ciało; mężczyźni i tak zawsze wyobrażali ją sobie naga. W każdym razie mężczyźni jego pokroju. Nie znaczyło to oczywiście, że miał choćby najmniejszy zamiar, by ponownie poddać się emocjom, które wywoływał w nim jej wygląd. Wtedy u Sledge'ów trochę stracił głowę. To się więcej nie powtórzy. Za wysoko sobie cenił nowo zdobyty spokój i ciszę.

Musiał jednak przyznać, że nie jest mu obojętny wygląd panny Mayhew, wychodzącej gdzieś w jedwabnej sukni, choćby

i szarej. Skoro on uważał, że wygląda w niej atrakcyjnie, inni będą pewnie tego samego zdania.

Lord Wingate potrząsnął głową. Co on wyprawiał? Zamiast się cieszyć spokojnym wieczorem, rozmyślał o figurze przyzwoitki swojej córki! Duncan miał rację: starzał się.

Burke utkwiał wzrok z powrotem w książce. Ten wstęp był całkiem interesujący. Dlaczego do tej pory go omijał?

I czemu ten cholerny zegar chodził tak głośno? Zawsze uważał, że Isabel jest hałaśliwa, ale dopiero teraz przekonał się, że to jeszcze nic. Jutro każe pani Cleary wysłać zegar do naprawy.

Przyzwoitki, Burke był tego zupełnie pewien, nie miały w zwyczaju tańczyć na balach. Siadały za matkami, wdowami i starymi pannami, których nikt nie chciał, i obserwowały swoje podopieczne, upewniając się, czy nie czynione im są żadne nieodpowiednie awanse i czy się nie wymykają ze swymi partnerami do ogrodu bądź też do znajdujących się na górze sypialni. Nigdy nie słyszał o przyzwoitce tańczącej na balu, na którym towarzyszyła młodszej podopiecznej. Uświadomił sobie jednak, że etykieta nie zakazuje dżentelmenowi poproszenia przyzwoitki do tańca. Panna Mayhew była z pewnością na tyle młoda, że nikomu mogło nie przyjść do głowy, że pełni taką funkcję. Zakładając - tylko zakładając - że ktoś na tym balu, na który udała się z Isabel, zwróci uwagę na jasnowłosą młodą kobietę w szarej jedwabnej sukni?

A jeżeli ktoś wbię sobie do pustej głowy, by poprosić ją do tańca? Byłoby nieuprzejme ze strony panny Mayhew odmówić, skoro nie była z nikim zaręczona. Burke'a nie zraziła nieuprzejmość panny Katherine Mayhew, mimo że wobec niego zachowywała się naprawdę niegrzecznie, więc dlaczego inni mężczyźni mieliby zareagować inaczej? Jej nieprzystępność mogła być właśnie tym, co czyniło ją tak ponętną. I te małe różowe usta.

Mogła oczywiście powiedzieć natrętowi, że, niestety, nie może z nim zatańczyć, ponieważ jest zatrudniona przez lorda Wingate jako przyzwoitka jego córki. Właśnie to powinna zrobić, a nie tańczyć z wymoczkami, którym wpadnie w oko. Burke uznał, że byłoby to z jej strony najbardziej odpowiednie zachowanie. A panna Mayhew zachowywała się właśnie w taki sposób. Upewniła się przecież, że drzwi sypialni są prawie przez cały czas otwarte, kiedy u niej przebywał. Niewiele kobiet zwracałoby sobie głowę czymś takim. Zwłaszcza jeśli chodziłoby o tak bogatego i utytułowanego mężczyznę jak on. Wiele kobiet - wiedział to z doświadczenia - w podobnych okolicznościach rzuciłoby się na niego.

Ale nie panna Mayhew. Ona...

Ona zachowywała się tak, że mógłby podejrzewać, iż żywi wobec niego antypatię. Ale to niemożliwe. Wybaczyła mu przecież moment słabości w bibliotece Cyrusa Sledge'a. Nie czuła do niego niechęci. Ani trochę.

Chyba że...

A jeżeli ten mężczyzna nie będzie wymoczkami? To znaczy ten, który poprosi ją do tańca. Jeżeli będzie, na przykład, włoskim hrabią, dobrodusznym i czarującym, a pannie Mayhew przypadnie do gustu? Dżentelmen z odpowiednim akcentem i urodziwą twarzą nie miałby problemów z oczarowaniem dziewczyny takiej jak panna Mayhew, pod warunkiem, że nie zachowywałby się zbyt natrętnie. Ona musi z niecierpliwością czekać na szansę zmiany dotychczasowej egzystencji. Nawet teraz, w tej właśnie sekundzie, jakiś niegodziwiec mógł próbować się wkraść w łaski panny Mayhew, obiecując jej blask księżycy i Bóg jeden wie co jeszcze.

Burke odrzucił książkę i wyszedł na korytarz, by polecić Duncanowi, żeby bezzwłocznie przygotował mu wieczorowy strój. Wiedział, że zachowuje się niedorzecznie. Był dokładnie taki, jak nazwała go Isabel: stary głuptas. Panna Mayhew nie

miała zamiaru uciec od razu z jakimś hrabią, włoskim czy jakimkolwiek innym.

Ale Burke wiedział wystarczająco dużo o przedstawicielach własnej płci, by być przekonany, że okazji pannie Mayhew nie zabraknie. Jeżeli uda jej się opuścić ten lub inny bal bez zakochania się w jakimś łobuzie, to tylko dzięki temu, że ma ona nieco więcej rozumu niż przeciętna kobieta. To prawda, że do tej pory radziła sobie bez jego pomocy. Ale z pewnością nie obracała się nigdy w kręgach, w których znalazła się dzisiejszego wieczoru. Nie mogła wiedzieć, jak bezwzględni potrafią być dżentelmeni z najwyższych kręgów arystokracji, kiedy pojawia się nowa twarz. A skoro to on ją namówił do przebywania w tym towarzystwie, jego obowiązkiem było ją chronić. Inaczej mówiąc, powinien pełnić dzisiejszego wieczoru rolę przyzwoitki przyzwoitki.

Mógłby wstąpić tam tylko na moment, by rzucić okiem, jak panna Mayhew sobie radzi. Jeżeli wszystko będzie w porządku, uda się do swojego klubu. Na wszelki wypadek wcisnął do kieszeni płaszcza *Ostatniego Mohikanina*.

A jeżeli się okaże, że ta dziewczyna go potrzebuje, to pośpieszy jej z pomocą.

Poza tym będzie miał okazję sprawdzić, czy teoria o Isabel i młodym Saundersie jest właściwa. Gdy powóz ruszał, Burke uznał, że wieczór zapowiada się niezwykle ciekawie.

10

Kate czuła na sobie wzrok wpatrującego się w nią dżentelmena. Jego świdrujące spojrzenie towarzyszyło jej od chwili pojawienia się na sali balowej. Ale zdecydowanie odrzucała myśl, że jest to Daniel Craven. Nie. Nie zrobi z siebie idiotki po raz drugi tego samego wieczoru. Wystarczy, że przez tyle czasu prześladował ją w snach i że najmniejsza nawet myśl o nim przemieniała jej ciało w trzęsącą się galaretę. Nie mogła przecież chodzić i opowiadać, że widzi go także na jawie. Chyba że chciała, by uznano ją za wariatkę.

Doszła do wniosku, że wpatrujący się w nią człowiek jest prawdopodobnie kimś, kto sądzi, że ją zna. Wiedziała, że do tego musiało dojść. Nawet znajdując się z dala od parkietu, zauważyła przynajmniej tuzin znajomych twarzy. Udało jej się uniknąć spotkania z tymi ludźmi dzięki temu, że ukrywała się za ogromnymi palmami w donicach, ale dobrze wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś rozsunie gałęzie palmy i krzyknie: „Och, Kate Mayhew! Co ty tutaj robisz? Czy to nie twój ojciec...?”

Przysunęła swoje krzesło do siedzącej przed nią siwowłosej

wdowy. Nie dlatego, że miała ochotę, by ta rozpoczęła z nią rozmowę, lecz z nadzieją, że wysoka fryzura matrony będzie stanowić dodatki kamuflaż.

Zachowanie podopiecznej martwiło Kate. Było karygodne. Przy kolacji Isabel prawie nie odzywała się do stanowiących dobrą partię - i zupełnie przystojnych - dżentelmenów, siedzących przy niej za stołem. Jej dusza, jak później wyjaśniła, była zbyt przejęta, by dziewczyna mogła mówić, tak była podekscytowana otrzymaniem pozwolenia na spotkanie się z panem Saundersem. Kate zwróciła jej uwagę, że to świetnie, iż nie może się doczekać ujżenia go, lecz kiedy po jej prawej stronie siedzi książę, a po lewej baron, Isabel mogłaby przynajmniej spróbować zapytać, jak im smakuje bażant.

A później, gdy zjawiły się u baronowej, podopieczna Kate dosłownie rzuciła okrycie w stronę swej opiekunki, popędziła na salę balową i tam natychmiast przyłgnęła do wysokiego jasnowłosego dżentelmena, którego boku przez cały wieczór nie opuściła ani na chwilę. Tym dżentelmenem był właśnie Geoffrey Saunders. Owszem, był atrakcyjny. Musiał mieć sporo uroku, skoro Isabel lak się nim interesowała. Kate nie była pewna, ale wydawało się jej, że rozpoznaje go z własnego sezonu towarzyskiego, chyba że myliła go ze starszym bratem, o którym siedząca przed nią wdowa szeptała, że otrzymuje dwadzieścia tysięcy funtów rocznie.

Młodszy pan Saunders był najprawdopodobniej w wieku Kate i wszystko w nim wydawało się bańczuczne, od łobuzersko kręconych blond włosów aż do połyskującej przy biodrze szabli, która była o tyle dziwna, że nie był w mundurze i w ogóle nie był wojskowym. Kate rozumiała jednak, co taka młoda i niedoświadczona dziewczyna jak Isabel w nim widzi. Tym bardziej że inni mężczyźni najwyraźniej zupełnie się nią nie interesowali - chyba że wszystkich odstraszało i zniechęcało jej oczywiste uczucie do pana Saundersa.

Kate miała zamiar porozmawiać z podopieczną, gdy tylko się znajdą z powrotem w domu. Ta dziewczyna nie mogła się w ten sposób zachowywać. Robiła z siebie pośmiewisko. Nic dziwnego, że ojciec zabronił jej widywania się z tym młodym człowiekiem. Właśnie w tej chwili Isabel żartobliwie dotykała szabli ukochanego. Czy takie powinno być zachowanie córki markiza?

Ale był to przecież najbardziej znany markiz w Londynie. Być może dlatego nikt, nawet siedząca przed Kate wdowa, nie podnosił brwi, widząc skandaliczne zachowanie Isabel. Wydawało się, że akceptują je u dziewczyny, której rodzice, rozwodząc się, urządzili swego czasu przedstawienie na całe miasto.

- Witam. - Kate usłyszała głęboki męski głos. - Czy masz zamiar ignorować mnie przez całą noc?

Szybko się odwróciła.

- Freddy!

Ukłonił się z galanterią.

- Wciąż ten sam. Przez ostatnie dziesięć minut próbowałem przyciągnąć twoją uwagę. Dlaczego odwracałaś ode mnie wzrok? Wiem, że mnie widziałas.

Zaczerwieniła się. Nie mogła, oczywiście, wyznać mu prawdziwego powodu - że sądziła, iż to Daniel Craven. Jeszcze bardziej by się z nią drażnił. Nagle zdała sobie sprawę, że wdowa i jej przyjaciele z wielką uwagą przysłuchują się ich rozmowie. Kate wstała, chwyciła dłoń hrabiego i pozwoliła się poprowadzić przez morze fiołkoworóżowych i srebrnych sukien.

- Widziałam cię - przyznała się, kiedy już opuścili miejsce, które kiedyś, gdy była w wieku Isabel, nazywała „kącikiem starych panien”. Wtedy nawet nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia sama skończy pomiędzy siwowłosymi damami. - To znaczy wiedziałam, że ktoś się we mnie wpatruje,

ale zupełnie nie przyszło mi do głowy, że to możesz być ty. Co tutaj robisz, Freddy? Myślałam, że pogardzasz takimi zabawami.

- Wiesz, że tak. - Podciągnął z irytacją białe rękawiczki. - Matka kazała mi tu przyjść.

Kate rozejrzała się nerwowo.

- Ona jest tutaj? Och, Freddy, czy powinniśmy być widziani razem? Wiesz, co ona o mnie sądzi.

- Tfu! - Hrabia położył dłoń na ramieniu swojej towarzyszki. - Nie boję się jej.

- A powinieneś - odrzekła sucho. - To ona trzyma pieczę nad twoimi finansami, prawda?

- Tylko dopóki nie skończę trzydziestu lat. Wtedy będę mógł robić z pieniędzmi dziadka, co zechcę.

- Nie wiem sama, czemu się martwię. - Kate wzruszyła ramionami. - Nie chodzi o to, że mogłaby mnie rozpoznać. Przysięgam ci, Freddy, że jest dokładnie tak, jak ci mówiłam. Spotkałam tutaj z pół tuzina dziewcząt, które kiedyś znałam, i naprawdę mnie nie poznały.

Freddy popatrzył na nią sceptycznie.

- Przykro mi, Kate. Uważam, że wolały po prostu nie odnawiać z tobą znajomości. Nie zmieniłaś się ani trochę. Wciąż jesteś najładniejszą dziewczyną na sali.

- Freddy! - Kate dała mu kuksańca w bok. - Daj spokój. - Nagle wydała z siebie cichy pisk. - Dobry Boże! Czy to ona? Emmaline St. Peters? Czyżby jeszcze nie znalazła sobie męża?

Hrabia podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Stara Emmy? Oczywiście, że nie. Nikt nie jest dla niej wystarczająco dobry. Który to jest jej sezon towarzyski? Ósmy?

- Dziesiąty - odrzekła z naciskiem Kate. Jest dwa lata starsza ode mnie. Freddy, nie możemy o niej plotkować. To niegodziwe. Ale jak ona może nosić białą suknię?

- A tak przy okazji, czy ja już nie widziałem kiedyś sukni, którą masz dzisiaj na sobie, tyle że w innym wydaniu?

Oderwała spojrzenie od starzejącej się debiutantki i popatrzyła na swoją kreację.

- Co masz na myśli?

Hrabia ujął jej obie dłonie.

- Lady Ashforth - odpowiedział, przesuwając krytycznym wzrokiem w górę i w dół jej sukni. - Dwudziesty siódmy czerwca, tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci. Tańczyłaś ze mną tylko raz i powiedziałaś potem Amy Heterling, że depczę ci po palcach. Byłem zdruzgotany, gdy się o tym dowiedziałem.

Kate opadła szcęką.

- Tak - rzekł Freddy, puszczać jej dłonie. - Widzisz, kocham cię naprawdę szaleńczo. Wolałem, gdy była biała. I co zrobiłaś z jej przodem? Zniknęły wszystkie te małe, interesujące rzeczy.

- Te wszystkie małe rzeczy, jak je nazywasz, zostały przykryte wstawką. Nie przystoi, by suknia przyzwoitki miała większy dekolt niż jej podopiecznej.

Hrabia westchnął.

- Kaleczenie sukni od Wortha w taki sposób woła o pomstę do nieba.

- Uważam, że pan Worth byłby zachwycony, że jego suknia jest właśnie w takim stanie, gdyby poznał jej historię. Już prawie zupełnie nie czuć od niej dymu.

Na urodziwej twarzy jej rozmówcy pojawiło się przerażenie.

- Kate! - zawołał. - Jest mi tak bardzo, bardzo przykro. Nie miałem na myśli...

- Freddy! Co się z tobą dzieje? Ja tylko żartowałam.

- Wiem - rzekł z żalem. - Tylko że to nie był tak naprawdę żart. To znaczy, jestem pewien, że wszystkie twoje rzeczy okropnie śmierdziały po... po...

Kate rozłożyła wachlarz i zakryła nim twarz swego towarzysza, skutecznie mu przerywając.

- Przestań - nakazała mu z udawaną powagą. - Są ciekawsze rzeczy do robienia na parkiecie niż rozmawianie o takich sprawach. To obraża Bachusa.

Kiedy opuściła wachlarz, hrabia wyglądał na lekko zdezorientowanego.

- Pozwól mi w takim razie oddać należny hołd bóstwu zabawy, prosząc cię o ten taniec - powiedział.

Kate wyglądała na przerażoną.

- Oszalałeś? Chcesz napytać mi biedy w czasie mojego pierwszego wieczoru na nowej posiadzie? Oczekuje się ode mnie, że będę mieć oko na lady Isabel, a nie bawić się z dawnym adoratorem.

- Co masz na myśli, mówiąc „dawnym”?

- Wiesz, o co mi chodzi. - Kate usłyszała krzyk i rozpoznając głos Isabel, odwróciła się i popatrzyła na parkiet. Geoffrey Saunders właśnie odebrał dziewczynie swoją szablę i udawał, że chce ją zranić. Kate naprawdę nie mogła dłużej tolerować takiego zachowania.

- Wybacz mi, Freddy - rzekła, zaciskając usta. - Obawiam się, że muszę tam pójść i kogoś zamordować.

Zanim jednak zdążyła zrobić choćby jeden krok, hrabia przytrzymał ją za ramię.

- Hola. Nie tędy droga.

- O co ci chodzi? - syknęła. - Nie mogę pozwolić jej zachowywać się w taki sposób. Urządza scenę.

- Ale będzie gorzej, jeżeli nagle pojawi się jej przyzwoitka i odciągnie ją za ucho. - Kiwnął głową w stronę parkietu. - Znam lepszy sposób. Chodź. Ty podejdziesz z lewej strony, a ja pomogę ci z prawej.

Kate nie miała najmniejszego pojęcia, o czym on mówi, ale

poszła we wskazanym przez niego kierunku. Isabel znajdowała się w samym centrum dużej grupy młodych ludzi i nawet jeżeli nie była w niej najładniejszą dziewczyną, to zdecydowanie najbardziej ożywioną, a wiadomo, że dobry humor znaczy nieraz więcej niż piękna twarz.

Kiedy zauważyła swoją przyzwoitkę, miała ochotę natychmiast uciec; tak przynajmniej wydawało się Kate. Jednak Isabel, mimo dezaprobaty na twarzy opiekunki, podbiegła do niej, chwyciła za rękę i ignorując protesty Kate, pociągnęła ją do środka grupy.

- Geoffrey! - krzyknęła Isabel, prezentując opiekunkę swojemu adoratorowi, jakby była nagrodzonym okazem złapanej przez nią ryby. - To właśnie ona! Wspaniała panna Mayhew, która umożliwiła mi ponowne spotkanie z tobą! Czy nie jest najprawdziwszym aniołem, Geoffrey? Taka drobna i śliczna! Po prostu ją uwielbiam i ty także powinienes.

- Pani życzenie, lady Isabel, jest dla mnie jak zwykle rozkazem - odparł pan Saunders.

Ku przerażeniu Kate młody mężczyzna pochylił się, uniósł jej dłoń i złożył pocałunek.

- Czyż ona nie jest urocza, Geoffrey? - zapytała Isabel. - Och, panno Mayhew, tak się cieszę, że pani ze mną zamieszkała. Naprawdę. Jestem chyba najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem!

Jej adorator nie puścił jeszcze całowanej przed chwilą dłoni. Przyglądał się Kate z ogromną uwagą, a ona nie mogła nie zauważyć, że jego oczy są zadziwiająco niebieskie - pewnie dlatego Isabel tak za nim szalała. Kate odgadła, o co ma zamiar ją zapytać, zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno słowo.

- Czy ja pani skądś nie znam, panno Mayhew?

- Nie sądzę, by to było możliwe, panie Saunders - odpowiedziała z lekkim uśmiechem. Poruszyła dłonią i wreszcie

ją puścił. Odwracając się do swej podopiecznej wyszeptała: - Lady Isabel, czy mogłabym prosić panienkę na słówko?

- Nie teraz, panno Mayhew - odpowiedziała dziewczyna szeptem, który był prawdopodobnie słyszalny przez wszystkich w tej części sali.

- Nie - rzekła jej opiekunka z naciskiem. - Właśnie teraz.

W tej chwili pojawił się Freddy i dość mocno poklepał Geoffreya po plecach.

- Saunders, stary druhu! - zawołał. - Miło cię spotkać! Już dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Geoffrey wyraźnie zbladł.

- Lordzie Palmer. - Nagle stracił wiele z okazywanej przed chwilą przy Kate brawury. - Co za spotkanie!

- Posłuchaj, Saunders - Freddy otoczył ramieniem szyję młodszego mężczyzny - nie jestem pewien, czy pamiętasz ostatni raz, kiedy się widzieliśmy. To było w wiejskiej posiadłości starego Claymore'a. Padało przez cały weekend i wszyscy byliśmy zmuszeni do siedzenia w domu i grania w karty. Przypomina ci się? O ile dobrze pamiętam, skończyło się na tym, że do poniedziałkowego poranka byłeś mi winien całkiem sporą sumkę...

Ich głosy stały się nieco mniej wyraźne, gdyż hrabia odciągnął młodszego kolegę na bok. Isabel, przyglądając się, jak odchodzą, nie protestowała już, gdy opiekunka szybko powiodła ją do spokojnego kąta sali balowej.

- Lady Isabel - zaczęła szorstko Kate. - Jest panienka zdecydowanie zbyt swobodna w okazywaniu uczuć wobec tego młodego człowieka. Musi się panienka nauczyć większej powściągliwości.

- Nie muszę. - Oczywiście podopiecznej spoczywały na plecach ukochanego.

- Ależ tak, lady Isabel. - Kate podciągnęła jej stanik, który

opadł zdecydowanie zbyt nisko. - Ciągłe zapewnianie młodego mężczyzny o swoich uczuciach nie jest właściwe. Jeśli chce panienka go zdobyć, najlepszym sposobem jest utrzymywanie go w niepewności. - Przypomniała sobie, nie wiedzieć czemu, intensywnie zielone oczy markiza Wingate.

- Ale jeśli nie będzie pewien, czy go lubię, może się wcale o mnie nie starać - oznajmiła Isabel płaczliwie.

- Wprost przeciwnie. Będzie się starał jeszcze bardziej.

Dolna warga Isabel zdrzała.

- To bzdura. Jeśli się kogoś lubi, powinno mu się to okazać.

- Oczywiście, że tak. Ale dopiero po tym, jak on jasno określi swoje uczucia.

- Ale skąd on będzie wiedział, kiedy to zrobić, jeżeli w żaden sposób go nie zachęcę?

- Powinna go panienka zachęcać - tłumaczyła delikatnie Kate. - Powinna jednakże zachęcać również innych adoratorów. Sezon dopiero się zaczął i jest jeszcze zbyt wcześnie na faworyzowanie tylko jednego.

- Ale Geoffrey jest jedynym, który w ogóle zwraca na mnie uwagę, panno Mayhew!

- Ponieważ pokazała już panienka wszystkim, że faworyzuje pana Saundersa i że się nie interesuje nikim innym. Ale nie powie mi panienka, że jest on jedynym dżentelmenem, który poprosił ją dzisiejszego wieczoru do tańca.

- No cóż. - Isabel spuściła wzrok. - Nie. Ale on zarezerwował wszystkie tańce, gdy tylko mnie zobaczył, więc kiedy poprosił mnie hrabia William...

- Nie miała już panienka wolnych żadnych tańców. - Kate pokiwała głową. - W przyszłości powinna panienka rezerwować dla pana Saundersa pierwszy i ostatni taniec, ale pozostałe zostawić dla innych młodych mężczyzn, którzy mogą mieć ochotę z nią zatańczyć.

- Ale, panno Mayhew...
- Czy chce panienka, by pan Saunders poprosił ją o rękę?
- Och tak!

- W takim razie musi się panienka zmienić. Nie można mu wszystkiego ułatwiać. Jeżeli uzna, że już panienkę zdobył, to się znudzi. I wtedy poszuka kogoś, kto będzie stanowił dla niego większe wyzwanie.

- Znudzi się?! - krzyknęła Isabel, wyraźnie blednąc. - To straszne! - Jej spojrzenie pomknęło w kierunku pana Saundersa i hrabiego. - Nie zniosłabym, gdyby Geoffrey się mną znudził...

Kate widziała, że Freddy wciąż przyjaźnie z nim konwersuje, ale adorator jej podopiecznej miał niezwykle pochmurną minę. Zbliżywszy się do niej, hrabia rzucił jej żartobliwe spojrzenie, poklepał swego rozmówcę po plecach i rzekł radośnie:

- Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. To tylko małe nieporozumienie pomiędzy przyjaciółmi. Takie rzeczy się zdarzają, prawda, Kate?

Ta posłała mu bardzo surowe spojrzenie.

- Sądzę, lordzie Palmer - celowo unikała zwracania się do niego po imieniu, mając nadzieję, że on zrobi to samo - że nie wiem, o czym pan mówi.

Freddy zerknął na Isabel, która patrzyła na ukochanego. Na jej okrągłej twarzy malowało się coś, co mogło być określone jedynie jako ślepe uwielbienie.

- A więc, młoda damo - zaczął tak głośno, że dziewczyna aż podskoczyła - co pani powie na to, byśmy razem zakręcili się na parkiecie? Chętnie zrobię kółeczko albo dwa.

Zielone oczy Isabel rozszerzyły się, gdy przenosiła wzrok z Freddy'ego na Geoffreya, potem na Kate i ponownie na hrabiego.

- Och, ale... - wyjąkała. - Ale ja obiecałam... - Spojrzała

na swą opiekunkę, a ta nagle zacisnęła usta. - Och, tak, dziękuję bardzo, lordzie Palmer. Będę się czuła zaszczycona.

Kate miała przyjemność zobaczyć, jak szczęka pana Saundersa opada, gdy hrabia porwał Isabel na parkiet. Wyglądała nie tyle na zranionego, co zdumionego. Czując ogromne zadowolenie, rozłożyła wachlarz i zaczęła energicznie go używać.

- Piekielnie gorąco jest na tej sali - powiedziała. - Czy zgadza się pan ze mną, panie Saunders?

Geoffrey Saunders był przystojnym młodzieńcem - zdecydowanie przyjemnie było na niego popatrzeć - ale wygląd anioła, jak się wkrótce przekonała Kate, nie oznaczał anielskiego charakteru.

- Proszę posłuchać, panno Mayhew - rzekł z wyraźnym rozdrażnieniem, kiedy pozbierał się na tyle, aby znowu być zdolnym do mówienia.

Kate uniosła jedną brew.

- Tak, panie Saunders?

- Cóż. - Jego niebieskie oczy, co zobaczyła w chwili, gdy skierował na nią wzrok, były zacienione złotymi rzęsami, niezwykle długimi jak na mężczyznę. I umiał ich używać. Zatrzepotał teraz nimi zupełnie niewinnie. - Tak sobie właśnie myślę, że jest pani inna niż te wszystkie przyzwoitki lady Isabel. To znaczy, pomijając to, że jest pani młodsza i dużo ładniejsza... - Rzucił jej oceniające spojrzenie spod rzęs, co, Kate wiedziała to z doświadczenia, miało spowodować, że zarumieni się z zadowolenia. Nie tym razem. - Poza tym widzę, że ma pani dobrze poukładane w głowie. Tak się składa, że ja także.

Geoffrey zrobił pauzę, jakby oczekiwał, że jego rozmówczyni powie coś w rodzaju: „Ależ oczywiście, że tak, panie Saunders. Wszyscy to wiedzą”. Kate jednak milczała, nie chcąc mu dawać satysfakcji.

- Chodzi mi mianowicie o to - kontynuował więc - że... cóż, są pieniądze, które można zdobyć właśnie tutaj. I to w dodatku całkiem spore. Jestem przekonany, że jeśli połączylibyśmy nasze umysły, to wymyślilibyśmy plan satysfakcjonujący nas oboje.

- Naprawdę? - spytała z rezerwą.

- Naprawdę. - Obok nich przeszedł lokaj i pan Saunders wziął od niego dwa kieliszki szampana. Gdy Kate odmówiła wypicia, Geoffrey, wzruszając ramionami, wychylił obydwu. - Czy mogę zapytać o twoje zarobki, Kate? Mogę się tak do pani zwracać?

- Oczywiście, że nie - rzuciła ostro. - Nie widzę również żadnego powodu, dla którego miałabym z panem rozmawiać o moich dochodach.

Niezrażony jej tonem, ciągnął:

- Cóż, w takim razie mogę powiedzieć za panią. Dwadzieścia pięć funtów rocznie. Czy mam rację?

Kate przyglądała się, jak Freddy zgrabnie wiruje na parkiecie z lady Isabel. Wyglądało na to, że jej podopieczna jest tym zachwycona. Jej policzki zaróżowiły się i czasami nawet śmiała się radośnie do mówiącego coś hrabiego.

- Dwadzieścia pięć funtów rocznie - powtórzył pan Saunders, ignorując wymowne milczenie stojącej przy jego boku kobiety. - Czy ma pani pojęcie, panno Mayhew, jak wielka jest fortuna markiza Wingate? Najmniejsze choćby pojęcie?

- Nie. Ale mam za to przecucie, że pan mnie zaraz o tym poinformuje.

- Nie myli się pani. Prawie pół miliona funtów. - Odstawił puste kieliszki na tacę, niesioną przez przechodzącego obok lokaja. - Ma nieruchomości w Indiach Zachodnich, Afryce i Ameryce Południowej, wszystko warte przynajmniej pół miliona funtów, panno Mayhew. A pani zarabia dwadzieścia pięć funtów rocznie. Czy pani to nie denerwuje, panno Mayhew?

Taniec się skończył i hrabia nisko uklonił się lady Isabel, która całkiem zgrabnie dygnęła.

- To, co mnie najbardziej denerwuje, panie Saunders, to pańska impertynencja - rzekła Kate spokojnie.

Jej rozmówca, zamiast się obrazić, wyglądał na zachwyconego.

- Widzę, panno Mayhew, że ma pani charakter. Lubię takie dziewczyny. Ja i pani powinniśmy się dogadać.

Miała już na końcu języka odpowiedź, że nie ma zamiaru w ogóle się z nim dogadywać, bo nie widzi żadnego powodu podtrzymywania z nim znajomości. Powstrzymały ją jednak przed tym dwa wydarzenia, które miały miejsce jednocześnie i wkrótce wyparły z jej głowy wszystkie inne myśli.

Po pierwsze, Freddy, który odprowadził Isabel, nagle objął Kate w talii i okręcił ją, oznajmiając głośno wszem i wobec:

- Taniec mam we krwi, przysięgam! Musisz zatańczyć ze mną następnego walca, Kate!

Właśnie miała mu powiedzieć, żeby się nie wygłupiał, kiedy kątem oka zauważyła wysokiego, ciemnego mężczyznę, zmierzającego najwyraźniej w jej kierunku. Uznała, że jest tutaj przynajmniej jeden stary znajomy, który ją rozpoznał, uwolniła się z objęć Freddy'ego i odwróciła, by spotkać się twarzą w twarz z nadchodzącym mężczyzną.

Głos uwiązał jej w gardle. To nie był stary znajomy. Przed nią stał markiz Wingate.

11

.Lord Wingate. - Kate wypowiedziała nazwisko swego pracodawcy tak cichym i słabym głosem, że nie sądziła, by Freddy mógł je dosłyszeć, zwłaszcza przy akompaniamencie orkiestry, wynajętej przez baronową.

Ale Freddy musiał usłyszeć, gdyż puścił ją tak nieoczekiwanie, że aż się zachwiała. Choć szybko odzyskała równowagę, pasma włosów zdążyły opaść jej na oczy. Gdy je odgarnęła, zdała sobie sprawę, że coś musiało ją ominąć, ponieważ Freddy wpatrywał się w ojca Isabel... a on z kolei przypatrywał się jemu.

- Bishop - rzekł chłodno lord Wingate.
- Traherne - odpowiedział takim samym tonem Freddy.

Kate nie była pewna, z jakiego powodu nagle wtrąciła się między obu mężczyzn. Zrobiła to z bijącym w szaleńczym tempie sercem. Kiedy się jednak odezwała, jej głos brzmiał zupełnie spokojnie i serdecznie.

- Lordzie Wingate! Co za niespodzianka! Nie spodziewaliśmy się pana.
- Właśnie widzę - Markiz wpatrywał się ponad jej głową we Freddy'ego.

Kate nie mogła się powstrzymać od dodania czegoś, chociaż wiedziała, że jest to czcza gadanina.

- Wiem, że zna pan pana Saundersa. Ale nie miałam pojęcia, że również hrabia Palmer jest pańskim znajomym.

- W rzeczy samej - oświadczył markiz. - Lord Palmer i ja przeżyliśmy wspólnie kilka... -przerwał, zastanawiając się nad właściwym doborem słów - przygód.

Ku zdumieniu Kate, Freddy głośno się roześmiał.

- Przygody - rzekł, ciągle uśmiechając się. - Cóż, tak właśnie można to określić. - Po czym wyciągnął prawą dłoń. - Miło cię znowu widzieć, Traherne.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł lord Wingate, ściskając podaną dłoń w sposób, który wydawał się Kate bardziej bolesny niż przyjacielski.

Gdy mężczyźni puścili już swoje dłonie, zapadła niezręczna cisza. Kate, świadoma tego, że spoczywa na niej wzrok lorda Wingate, otworzyła torebkę i zaczęła udawać, że czegoś w niej szuka.

O Boże, myślała z wściekłością, zabiję Freddy'ego, naprawdę go zabiję! To wszystko jego wina. Mówiłam mu, że przyzwoitki nie tańczą. A teraz lord Wingate mnie zwolni i będę musiała zwrócić zaliczkę.

Niezręczną ciszę przerwała Isabel.

- Papo - rzekła z ożywieniem. - Czy wiedziałeś, że lord Palmer ma dwa konie, które w tym roku biorą udział w wyścigach w Ascot?

Lord Wingate, jak zauważyła Kate, uniósł wreszcie głowę i przyjął tę wiadomość z godnym podziwu spokojem.

- Naprawdę? - zapytał uprzejmie.
- Ależ tak - odparła Isabel. - Obydwa są rasy amerykańskiej.
- Zakładam więc, że lord Palmer ma coś przeciwko koniom czystej krwi angielskiej.

- Zdecydowanie nie! - krzyknął Freddy. - Tylko tak się składa, że znam w Kentucky doskonałego hodowcę, od którego pochodzi kilka wspaniałych koni wyścigowych moich znajomych, więc pomyślałem...

- Och - przerwała mu Isabel, zwracając wzrok na pana Saundersa. - Mówi mi pan, że właśnie kupił świetnego konia wyścigowego, panie Saunders? Czy on także pochodzi z Kentucky?

- W zasadzie - Geoffrey Saunders wyraźnie przeciągał głoski - preferuję rasę arabską.

- Arabską?! - zawołał Freddy. - Pan chyba żartuje. Saunders uniósł podbródek.

- Proszę mi wybaczyć, hrabio Palmer, ale nie.

Rozpoczęła się dyskusja na temat wyższości jednej rasy nad drugą. Kate, wdzięczna panu Saundersowi, wykorzystała sytuację i oddaliła się w poszukiwaniu szampana. Chciała się trochę wzmocnić przed czekającą ją jazdą do domu, która zdecydowanie nie zapowiadała się na przyjemną.

Ale okazało się, że lord Wingate nie ma najmniejszego zamiaru czekać z poważną rozmową. Najwyraźniej zamierzał zganić ją tutaj, w sali balowej, na oczach wszystkich gości. Poczuli na ramieniu uścisk silnych palców i, oczywiście, nie musiała się odwracać, by wiedzieć, czyja to dłoń. Cicho westchnęła i zwinęła kroku. Naprawdę zabije Freddy'ego, pomyślała.

- Lordzie Wingate - rzekła, odwracając się twarzą do niego. - Mogę to wytłumaczyć. To była raczej dziecinna...

Ale jej chlebodawca nawet na nią nie patrzył. Spoglądał w kierunku Freddy'ego.

- Panno Mayhew, czy ten dżentelmen zaczepiał panią?

Kate podążyła za jego spojrzeniem. Tak, to Freddy'ego markiz sztyletował wzrokiem. Starając się nie myśleć o tym, że męskie palce wciąż zaciskają się na jej ramieniu, odparła:

- Nie, to nie tak. Widzi pan...

- Owszem, widzę - przerwał jej markiz. - I prawdę mówiąc, bałem się, że właśnie coś takiego się wydarzy. - Nagle puścił jej ramię i powoli zaczął zdejmować rękawiczki.

- Lordzie Wingate - rzekła nerwowo Kate. - Myślę, że nie rozumie mnie pan...

- Rozumiem doskonale. I mam tylko nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny, panno Mayhew, za obraźliwe traktowanie, którego doświadczyła pani od tego właśnie dżentelmena. Sądziłem, że jego reputacja, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunek do słabszej płci, nie pozwoli żadnej gospodyni wpuścić go pod swój dach, ale widzę, że baronowa, która jest cudzoziemką, nie słyszała nic o jego ostatnich wybrykach...

Oczy Kate rozszerzyły się. Po pierwsze, zdziwiła się, słysząc o jakichś wybrykach Freddy'ego; po drugie, zaszokowały ją słowa markiza, który sam był tematem tylu plotek, a teraz określał czyjeś zachowanie jako naganne.

- Naprawdę? - zapytała. - Chodzi o jakąś damę z Londynu?

Markiz machnął zniecierpliwiony ręką, jakby ich rozmowa stała się nagle nudna.

- O sopranistkę z Wiednia.

Kate posłała w kierunku Freddy'ego spojrzenie pełne zaskoczenia. Sopranistka z Wiednia? A przecież nieustannie zapewniał ją o swojej miłości. A tymczasem zabawiał się z jakąś śpiewaczką z Wiednia? Nie, to niemożliwe.

- Musiał go pan z kimś pomylić, markizie. To nie mógł być Freddy - rzekła, potrząsając głową.

Jej chlebodawca przerwał ściąganie drugiej rękawiczki.

- Freddy? - powtórzył jak echo.

Kate zbyt późno uświadomiła sobie pomyłkę.

- To znaczy lord Palmer, oczywiście - dodała, a jej wargi zrobiły się dziwnie suche.

Markiz popatrzył na nią z uwagą. Kate wiedziała, że mogło jej się przytrafić coś gorszego niż to, że wpatrywał się w nią lord Wingate, tyle że nie była w stanie przypomnieć sobie co.

- Powiedziała pani „Freddy”. - Markiz wydawał się nie zauważać jej skrepowania, a nawet jeśli je widział, to musiało mu sprawiać przyjemność, gdyż ani na sekundę nie odwrócił wzroku. - Słyszałem to całkiem wyraźnie. To prawda, że w tej piekielnie nagrzej sali panuje nieznośny hałas, a ja nie młodnieję, lecz mój słuch jest wciąż doskonały. I chciałbym zaznaczyć, panno Mayhew, że w bibliotece Sledge'ów dała mi pani do zrozumienia, że nie jest z nikim związana.

Kate zamrugała, zaskoczona kierunkiem, w którym zmierza ta rozmowa.

- Oczywiście, że tak powiedziałam, lordzie Wingate, bo taka jest prawda.

Markiz ponownie spojrzął w stronę Freddy'ego. I nagle Kate zrozumiała, do czego jej pracodawca zmierza.

- Och - rzekła szybko, mając nadzieję, że jeśli zachowa się wystarczająco swobodnie, markiz Wingate porzuci temat. - Nie może mieć pan pretensji do Freddy'ego. Po prostu zachował się nieco nierozsądnie. Pomyślałam, że może się przydać przy przekonywaniu pańskiej córki, że Geoffrey Saunders nie jest jedynym mężczyzną na świecie. Tak uważałam, oczywiście, zanim wspomniał pan o jego... hmm... reputacji...

- No i znowu - przerwał jej markiz tonem człowieka, który słyszy jakiś dźwięk, ale nie potrafi zlokalizować jego pochodzenia.

- Co znowu?

- To imię. - Zniżył głos do pomruku. - Nazwała go pani „Freddy”, panno Mayhew. I to w dodatku dwa razy. I mówi mi pani, że nie jest z nim związana.

- Bo nie jestem - upierała się.

- Więc nie ma żadnego uczuciowego zaangażowania pomiędzy panią a lordem Palmer?

- Nie z mojej strony, lordzie Wingate - wyrzuciła z siebie, natychmiast tego żałując.

- Więc w takim razie istnieje możliwość, że to hrabia żywi wobec pani romantyczne uczucia?

- Nigdy nie odważyłabym się twierdzić, że jestem pewna, jakie są myśli i uczucia innej osoby - odrzekła Kate, wściekła na siebie. - Z całkowitą pewnością mogę mówić jedynie o swoich. I, jak już wspomniałam, w moich nie ma niczego poza sympatią i oddaniem, jakie się czuje wobec człowieka, którego się zna od lat. Znam hrabiego od dziecka. Nasi rodzice się przyjaźnili. Kiedy pan tutaj wszedł, Freddy właśnie się ze mną przekomarzał, takjak często to robił w dzieciństwie, kiedy byłam częstym gościem w Palmer Park...

Kate przerwała. Po wyrazie twarzy markiza widziała, iż nie wierzy w ani jedno jej słowo. Poczuli się urażona, nawet nie tym, iż posądza się ją o kłamstwo - przypuszczała, że mężczyzna, którego zdradziła żona, nie oczekuje od kobiety niczego poza kłamstwami - ale tym, że w jakiś sposób zmusił ją do mówienia tego wszystkiego. Dlaczego wyjawiała mu szczegóły ze swego życia? Zdecydowanie nie chciała, by je poznał, i czuła ulgę, że do tej pory nie zadawał jej pytań o rodzinę i przeszłość. To była taka smutna historia... W pewien sposób głupia. Gdyby to była powieść, nie przeczytałaby jej do końca, ponieważ wydawałaby się za bardzo przynębiająca, a bohaterzy zbyt żałośni. Nie miała zamiaru niczego mówić swemu chlebobodawcy, chyba że zostałaby do tego zmuszona. Ale, sądząc z jego miny, będzie musiała mu przedstawić przynajmniej skróconą wersję wydarzeń.

Ale zanim zdążyła dodać choć jedno słowo, podbiegła do nich Isabel, za którą powiewała rozwiązana szarfa.

- Panno Mayhew! - zawołała bez tchu. - Czy mogłaby pani zrobić coś z tym okropieństwem? Wciąż się rozwiązuje i ludzie po tym depczą. - Odwróciła się plecami do Kate, by ta mogła zawiązać szarfę.

- Wspaniały bal, prawda, papo? - zapytała Isabel. - Tak świetnie się bawię. A ty?

Kate była zajęta strojem podopiecznej, więc nie widziała twarzy lorda Wingate.

- Wyśmienicie - odparł sucho.

- Tyle że nie wydaje mi się, papo, abyś zachowywał się w bardzo uprzejmy sposób, stojąc bez ruchu, podczas gdy panna Mayhew nie ma w tej chwili partnera do tańca - oświadczyła Isabel. - Powinniście razem zatańczyć.

Kate zacisnęła szarfę nieco mocniej, niż to było konieczne.

- Wszystko w porządku, lady Isabel - odpowiedziała, starając się o przyjemny ton głosu. - Przecież nie jestem tutaj, by tańczyć, lecz aby się opiekować panienką.

Dziewczyna ją zignorowała.

- Lepiej ją poproś szybko, papo - poradziła ojcu. - W przeciwnym wypadku będzie miała zajęte wszystkie tańce.

- Naprawdę opowiada panienka bzdury - wtrąciła zirytowana Kate.

- Cóż, najpierw lord Palmer - ciągnęła niezrażona Isabel. - A teraz ten całkiem przystojny dżentelmen, stojący tam niedaleko. - Wskazała głową mężczyznę, który znajdował się kilka metrów od nich i bez żadnego skrępowania patrzył w ich kierunku. - Wpatruje się w panią od pięciu minut, przysięgam. Musi się mu pani bardzo podobać, panno Mayhew.

Kate popatrzyła we wskazanym kierunku... i zamarła.

Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Jej serce biło tak mocno, że nie słyszała nawet głośno grającej orkiestry. Tępo zastanawiała się, czy przypadkiem zaraz nie zemdleje.

W całym życiu zemdleła tylko raz i, o dziwo, wtedy również krótko przed tym, jak straciła świadomość, miała przed oczami tę samą twarz. A przynajmniej zawsze tak uważała. Później, kiedy już odzyskała przytomność, ci, którzy zebrali się wokół niej, twierdzili, że musiała się pomylić. Mówili, że Daniela Cravena nie było nigdzie w pobliżu, że nie miał nic wspólnego z pożarem, w wyniku którego zginęli rodzice Kate. I nawet teraz, siedem lat później, nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby im nie wierzyć.

Poza obrazem tej twarzy...

Ale dym, podobnie jak mgła, potrafi płatać wyobraźni figle - wszyscy jej to powtarzali. Cienista postać, którą przysięgłaby, że widziała, kiedy tamtej okropnej nocy otworzyła drzwi swego pokoju i ujrzała, że korytarz wiodący do sypialni jej rodziców jest wypełniony płomieniami, może była tylko wytworem wyobraźni, starającej się poradzić sobie ze straszliwym widokiem.

Dym. Dym i płomień - to właśnie widziała. Gęsty, duszący dym, który ją otaczał, gdy krzyczała do rodziców, zdesperowana próbując odnaleźć ich w oparach piekielnego gorąca. I czerwone płomień, wspinające się coraz wyżej, formujące masywną ścianę ognia pomiędzy Kate a pokojem rodziców. Nie była w stanie do nich dotrzeć. Kaszląc, upadła na podłogę. Czołgała się, dopóki coś... lub ktoś jej nie zatrzymał. Ktoś, kto znał jej imię i wypowiedział je, odwracając ją, podnosząc i odciągając od płomieni. Daniel Craven. Nie miała żadnych wątpliwości, że to był on.

Ale Daniel Craven, jak jej później mówiono, nie był nawet w Anglii w tym czasie - jego nazwisko znajdowało się na liście pasażerów statku, który tydzień wcześniej wyruszył do południowej Afryki - i nie mógł jej ocalić z pożaru. Nikt jednak nie był w stanie wytłumaczyć, w jaki sposób udało jej

się przedostać z przepęlnionego dymem i ogniem korytarza do przejścia dla służby, gdzie wkrótce została znaleziona.

Nigdy się tego nie dowie. Już dawno temu powiedziała sobie, że to się nie wyjaśni i że może lepiej się nad tym więcej nie zastanawiać.

A teraz Daniel Craven stał tutaj, wpatrując się w nią, jakby odrodziła się z popiołów niczym mityczny Feniks...

- Proszę spojrzeć - rzekła Isabel. - Idzie w naszą stronę. Nieziemsko przystojny, panno Mayhew. Kto to jest? Jeden z pani dawnych adoratorów?

- Niezupełnie - odpowiedziała Kate słabym głosem.

12

Niech mnie kule biją, jeżeli to nie jest Kate Mayhew.

Ten głos... Przebiegł ją nagły dreszcz odrazy. Jak on mógł? Jak mógł zbliżyć się do niej powolnym krokiem - Daniel Craven zawsze się poruszał w taki właśnie sposób, bo był zbyt leniwy, by chodzić szybciej - i wypowiadać jej imię tak, jakby nic się nie wydarzyło od ich ostatniego spotkania... Kiedy to było? Kolacja, pomyślała. Kolacja w jej własnym domu, zaledwie kilka dni przed pożarem...

- Powiedziano mi, że wyjechałaś lub coś w tym rodzaju - rzekł. - Ale jesteś tutaj i wyglądasz, co muszę przyznać, jak zawsze rozkosznie. - Pochylił się i chłodnymi ustami pocałował ją w policzek.

Nic nie odpowiedziała, ale w środku zatrzęsa się z wściekłości. To był on. To musiał być on, zawsze wtedy, gdy sądziła, że go widzi. Podążał za nią. Śledził ją!

Kate, która stała ze spuszczoneym wzrokiem, nie widziała wyrazu twarzy lorda Wingate, ale przypuszczała, że musiał wyglądać na bardzo zaskoczonego, gdyż Daniel zwrócił się do markiza w typowy dla niego sposób:

- Proszę się nie martwić. Kate i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Prawda? A teraz zachowaj się jak grzeczna dziewczynka i przedstaw mnie tym miłym ludziom.

Wtedy podniosła głowę. Spojrzała prosto w bladoniebieskie oczy i odezwała się głosem, którego chłód nawet ją zaskoczył.

- Nie wiedziałam, że wrócił pan do Anglii, panie Craven.

- Och - odrzekł, wzruszając ramionami. Był potężnym mężczyzną o wyglądzie prawie tak angielskim jak Freddy, mimo że jego włosy były nieco ciemniejsze. No i nie miał wąsów. Był jednak tak samo szczupły. Bardziej pasował do polowań niż sali balowej. Z całą pewnością powinien się teraz znajdować na końskim grzbiecie, goniąc za lisem. Albo w afrykańskim buszu, polując na nosorożce. A tymczasem był sprytnym człowiekiem interesu... i bystrym obserwatorem ludzkich zachowań.

- Tak, cóż - rzekł Daniel z beztroskim uśmiechem. - Właśnie wróciłem z Botswany. Tragicznie gorące miejsce ta Afryka. Po prostu okropne.

Geoffrey Saunders, który pojawił się za plecami Isabel, dosłyszał ostatnią część jego wypowiedzi.

- To znaczy południowa Afryka? A cóż pan tam robił?

Uśmiech Daniela poszerzył się, a spojrzenie, które spoczywało na Kate, nie pozbawione było ciepła. Wiedziała, że właśnie to jest w tym człowieku najbardziej niebezpieczne. Zwykłemu obserwatorowi mógł się przez to wydawać ludzki, zdolny do odczuwania takich uczuć jak współczucie i wyrzuty sumienia. Jednak ona wiedziała lepiej.

- Diamenty - odpowiedział. - A dokładniej ich kopalnia. - Rzucił Kate przepraszające spojrzenie. - Naprawdę tam była. Nie tam, gdzie początkowo sądziłem, ale bardzo blisko.

Przytaknęła. Oczywiście. Oczywiście, że kopalnia istniała. Blisko tej, w którą zainwestował jej ojciec i wszyscy jego przyjaciele, przekonani przez Daniela Cravena. Lecz wystar-

czając daleko, by znalezione w niej diamenty prawnie do nich nie należały.

- Ale co ty tutaj robisz, Kate? - zapytał, chwytając jej dłoń. - A może powinienem tytułować cię „lady”? Pamiętam, jak uparty był ten młody człowiek... Jak on się nazywał? Nieważne. Ten młody hrabia, który był tobą tak urzeczony. Na pewno jesteście już małżeństwem. - Przerwał i spojrzał na nią pytająco. - Kate, co się stało? Zrobiłaś się błada jak prześcieradło. Drżysz?

Ku jej zdziwieniu, lord Wingate delikatnie, ale stanowczo uwolnił jej dłoń z uścisku Daniela.

- Panna Mayhew nie czuje się najlepiej, jak pan zresztą widzi. Proszę nam wybaczyć.

Daniel wyglądał na zaskoczonego. Zauważył wcześniej obecność lorda Wingate, ale najwyraźniej ją lekceważył.

- Proszę zaczekać. - Zamrugął. - To znaczy ja i Kate właśnie...

Ale ona nie usłyszała już reszty jego wypowiedzi, gdyż markiz wyprowadził ją z sali balowej. Zrobił to szybko, z wprawą człowieka, mającego dużą praktykę w opuszczaniu zatłoczonych pomieszczeń. Pomyślała, że to dobrze, że trzyma ją za łokieć, gdyż w przeciwnym wypadku mogłaby się potknąć.

Gdy otworzył drzwi, poczuła na twarzy powiew chłodnego powietrza. Dopiero kiedy uniosła głowę, zorientowała się, że są na kamiennym tarasie, wychodzącym na otoczony ciemnością ogród. Ugięły się pod nią nogi i osunęła się na pobliską ławkę. Opuściwszy głowę, wciągała do płuc świeże powietrze, mając nadzieję, że nie brzmi to jak szlochanie.

Róże. Poczuła ich zapach. Gdzieś niedaleko tarasu musiał się znajdować klomb z różami. Deszcz przestał już padać, ale ławka wciąż była wilgotna.

- Proszę. - Lord Wingate trzymał przed jej nosem kieliszek z jakimś napojem. - Proszę to wypić.

- Nie, dziękuję. Czuję się dużo...
- Proszę to wypić.

Nie śmiała się sprzeciwić. Wzięła kieliszek i uniosła do ust. Czerwone wino, cierpkie i rozgrzewające. Wypiła do dna.

- Tak już lepiej. - Zabrał kieliszek i odstawił go na bok, po czym, zanim Kate zdała sobie sprawę z jego zamiaru, zdjął płaszcz i okrył nim jej ramiona.

- Och - rzekła, zaskoczona nagłym ciężarem, nie mówiąc już o niespodziewanym cieple. - Nie, nie mogę...

- Nonsens. - Usiadł na ławce obok niej, zachowując stosowną odległość. - Trzęsie się pani.

Oczywiście, że tak, ale miała nadzieję, że markiz nie zwrócił na to uwagi. Mimo że nie chciała tego przyznać, Kate bardzo potrzebowała ciepła, który dawał ten płaszcz, nawet jeżeli pachniał markizem; mydłem i tytoniem, co od razu przypomniało jej o tej krępującej chwili w bibliotece, kiedy ją objął...

Nie wyobrażała sobie co prawda, że to się zdarzy ponownie. Po dzisiejszym wieczorze markiz miał wręcz obowiązek ją zwolnić. Nie wystarczyło, że Daniel Craven już raz zniszczył jej życie. Nie, musiał to zrobić po raz kolejny.

Siedziała tak zasmucona, myśląc o tym i słuchając dobiegających z sali balowej odgłosów. Nawet z takiej odległości można było rozróżnić głos Isabel. Kate chciała wstać i przynajmniej spróbować wywiązać się z należących do przyzwoitki obowiązków, ale lord Wingate stanowczo położył na jej ramieniu dłoń i rzekł:

- Isabel nic się nie stanie, jeśli pobędzie chwilę z tym Saundersem. Dopóki ją słyszymy, dopóty wiemy, że nie dzieje się nic złego. A poza tym uważam, że ja i pani mamy teraz na głowie poważniejsze zmartwienia.

- Nie mogę oddać panu pięćdziesięciu funtów, które otrzy-

małam w formie zaliczki, lordzie Wingate - rzekła pośpieszenie. - Już je wydałam.

Spojrzenie, jakie jej posłał - a w świetle padającym przez wiodące na taras drzwi widziała jego twarz całkiem wyraźnie - było nieodgadnione.

- Nie przypominam sobie, bym prosił panią o zwrot zaliczki.

- Ale jeżeli ma pan zamiar mnie zwolnić...

- Nie przypominam sobie także, abym powiedział, że mam zamiar panią zwolnić.

- Ja po prostu... - wyjąkała dziewczyna. - Uznałam, że po...

- Przyznaję - przerwał jej markiz - że chciałbym się dowiedzieć, jak to możliwe, że młoda kobieta tak jak pani, która, jak sobie wyobrażałem, wiodła raczej spokojne życie, ma tylu znajomych wśród dżentelmenów na jednym tylko przyjęciu...

- Nie tak wielu - weszła mu w słowo Kate. - Dwóch. Dwóch dżentelmenów. I tłumaczyłam już panu, że jeden z nich, lord Palmer, jest starym przyjacielem rodziny...

- No tak. Tak właśnie pani mówiła. A ten drugi?

Nie spodziewała się, że pytanie będzie takie bezpośrednie.

- On... on był współnikiem w interesach - wyjąkała. - Wspólnikiem mojego ojca.

- Wspólnik w interesach - powtórzył powoli jej chlebobawca. - Pani ojca? - Gdy Kate energicznie przytaknęła, dodał: - Wspólnik pani ojca, w którego wpatrywała się pani tak, jakby był duchem.

Przełknęła ślinę.

- Minęło... minęło sporo czasu, odkąd ja i on... Zupełnie się nie spodziewałam, że go tutaj spotkam. Przez dłuższy czas nie było go w Anglii...

- Tak, zdaje się, że był w południowej Afryce. O ile dobrze pamiętam, doglądał tam kopalni diamentów - rzekł sucho. - Pani ojciec ma najwyraźniej doskonałe koneksje, panno May-

hew, jeżeli jego znajomymi są hrabiowie i właściciele kopalni diamentów.

Kate zerwała się na równe nogi, choć prawdę mówiąc, jej kolana wciąż się trzęsły. Jaka ona była głupia. Jak mogła choć przez chwilę pomyśleć, że markiz nie jest taki jak cała reszta? Otumaniła ją jego uprzejmość, kieliszek czerwonego wina i ciepło, płynące od męskiego płaszcza. No cóż, w każdym razie na pewno drugi raz nie popełni tego samego błędu.

- Będę wdzięczna, lordzie Wingate, jeżeli porzuci pan ten sarkastyczny ton - rzekła z taką godnością, na jaką tylko potrafiła się zdobyć. - Wbrew temu, co pan sądzi, nie kłamię. A jeżeli pan tak myśli, to pana...

- Proszę usiąść, panno Mayhew - przerwał jej markiz znużonym głosem.

- Nie. - Czuła, jak w kąciach jej oczu zbierają się łzy. - Nie mam zamiaru przebywać dłużej w towarzystwie osób, które wątpią w moją szczerość.

- Nie wątpię w pani szczerość, panno Mayhew. Wprost przeciwnie. Uważam, iż to zupełnie możliwe, że rodzice przyzwoitki, która przecież była guwernantką, gdy ją poznałem, mogli się przyjaźnić z hrabią.

Na jej twarzy musiało widnieć niedowierzanie, gdyż dodał:

- Cóż, przypuszczam, że tak jak pani, pani ojciec jest nauczycielem i dzięki temu zna wielu rodziców chłopców, których uczy. Ale po pani minie wnioskuję, że się myliłem.

- Nie, nie myli się pan - odparła nieco łagodniejszym głosem i wzruszyła ramionami. - A przynajmniej nie tak bardzo.

- Cieszę się. - Lord Wingate wstał. - Ale to w żaden sposób nie wyjaśnia przerażenia, które się pojawiło na pani twarzy, kiedy zbliżał się do nas ten dżentelmen.

Kate zaczęły piec policzki. Teraz, gdy nie było już w pobliżu Daniela Cravena, mogła zbesztać się w duchu za swoje dziecinne

zachowanie. Myśl, że ją śledził, że znalazł się w jej domu w dniu, kiedy zginęli rodzice, że w jakiś sposób odpowiadał za ich śmierć, była absurdalna. Daniel Craven to oszust, owszem, także flirtiarz i kobieciarz. Ale na pewno nie zabójca. Pomijając wszystko inne, był zbyt leniwy na coś tak skomplikowanego jak morderstwo.

- To... - Kate starała się wymyślić wytłumaczenie, które brzmiałoby prawdopodobnie. - To po prostu dlatego, że nie widziałam go... pana Cravena, od śmierci moich rodziców. To znaczy nie rozmawiałam z nim. On i mój ojciec byli sobie bliscy, ale on... pan Craven nawet nie zadał sobie trudu przyjscia na pogrzeb. Więc uznałam, że to impertynenckie z jego strony rozmawiać ze mną w tak swobodny sposób. No i robił to przy panu... Byłam pewna, że pan mnie natychmiast zwolni i... cóż, trochę się zdenerwowałam.

- Zdenerwowałam. - Markiz uniósł brwi. - Nie sądziłem, że należy pani do osób łatwo dających się wyprowadzić z równowagi, panno Mayhew. Nie jestem jednak potworem, za jakiego mnie pani uważa. Przykro mi słyszeć, że straciła pani rodziców. Kiedy to się stało?

- Siedem lat temu - odpowiedziała słabo.

- A mogę spytać, w jakich okolicznościach?

- Wybuchł pożar.

Wybuchł pożar. Dwa zupełnie proste słowa, ale dla Kate były najgorsze z możliwych. Słowa, które zawsze wywoływały dreszcz wzdłuż jej kręgosłupa. Odruchowo otuliła się nieco ciaśniej połamami płaszcza, jakby starała się ochronić przed zimnem. Nagle, zmieszana, poczuła, jak palce markiza dotykają jej podbródka i unoszą go, tak by mógł na nią spojrzeć.

- Tego jeszcze nie widziałem - rzekł tak cicho, jakby mówił sam do siebie.

Jego dotyk natychmiast sparaliżował Kate.

- Słucham? - Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- Ma pani zadziwiająco żywą twarz, panno Mayhew - odpowiedział niewiele głośniejsze. - I nie potrafi pani ukrywać uczuć. Zwykle ma pani dość pogodny wyraz twarzy i dlatego, kiedy wspomniała pani pożar... Cóż, zdziwiło mnie to, co zobaczyłem w pani oczach.

- A co takiego zobaczył pan w moich oczach, lordzie Wingate? - spytała miękko, nie będąc w stanie oderwać od niego wzroku. Nie miała zamiaru zachowywać się kokieteryjnie. Była zwyczajnie ciekawa. Czy wyglądała na przerażoną? Miała nadzieję, że nie. A może wyglądała po prostu na smutną? Bywały dni, kiedy jej tęsknota za rodzicami - a tak naprawdę za kimkolwiek, z kim znała się kiedyś, z kim mogłaby porozmawiać o swoim życiu sprzed pożaru - wydawała się większa, niż Kate była w stanie znieść. Co markiz dojrzał w jej oczach?

Ale nie dane jej było dowiedzieć się tego. Jej chlebodawca właśnie otwierał usta, by udzielić odpowiedzi, wciąż trzymając palce na jej podbródku, kiedy drzwi na taras otworzyły się i pojawiła się w nich Isabel.

- Tutaj jesteście! - zawołała. Jej policzki były wyraźnie zaróżowione. - Wszędzie was szukałam! Za chwilę się pojawi sir Roger. Idzicie?

Markiz opuścił dłoń Kate, a przywoitka jego córki pośpiesznie się odwróciła, tak że płaszcz zsunął jej się z ramion. Isabel przyglądała się im wyczekująco.

- Dziękuję za pożyczenie płaszcza, lordzie Wingate - rzekła Kate, zwracając go właścicielowi. - Czuję się już znacznie lepiej.

Lord Wingate wziął okrycie bez słowa, ale jego córka nie była aż tak taktowna.

- Och - rzuciła. - Proszę się nie martwić, panno Mayhew. Mężczyzna, przez którego pani tak zbladła, wyszedł tuż po tym, jak papa wyprowadził panią z sali. A tak właściwie kto

to był? Ktoś, kto kiedyś się w pani kochał? Jest bardzo przystojny. Nie rozumiem, dlaczego pani za niego nie wyszła.

- To nie był nikt ważny - rzucił lord Wingate, zanim Kate zdążyła udzielić odpowiedzi. Włożył płaszcz i położył dłoń na ramieniu córki. - Stary wspólnik w interesach ojca, którego panna Mayhew długo nie widziała. No więc co z tym sir Rogerem?

- Zaraz się zacznie - odpowiedziała z podekscytowaniem Isabel. - Za pięć minut. Wszyscy muszą wziąć udział, inaczej nici z dobrej zabawy. Ty też, prawda? Panno Mayhew, a pani? Proszę...

- Dobrze panienska wie, że nie mogę się przyłączyć. Ale będę zachwycona, mogąc siedzieć i się przyglądać, jak panienska tańczy z ojcem.

Isabel skrzywiła się, wchodząc razem z nimi na salę balową.

- Ja i papa? Tańczyć razem? Nie, dziękuję. Geoffrey już mnie poprosił. Papo, jeśli nie zatańczy z tobą panna Mayhew, będziesz musiał poszukać innej partnerki.

Lord Wingate uśmiechnął się enigmatycznie.

- Zobaczę, co się da zrobić - odpowiedział.

I wtedy wchłonął ich wypełniający salę tłum. Isabel odnalazła w nim wzrokiem ukochanego i pośpieszyła w jego stronę, a jej ojciec, co nie umknęło uwagi Kate, został natychmiast zaczepiony przez postawną, obwieszoną biżuterią kobietę, która się odwróciła w jego stronę, gdy ją nieumyślnie potracił, starając się wydostać z tłumu.

- Wingate! - wykrzyknęła. - Nie miałam pojęcia, że pan tutaj jest! Widziałam co prawda uroczą lady Isabel, ale nie pana. Kiedy pan przybył? Jak mógł pan się pojawić i mnie nie poszukać?

Kate nie czekała, by się przekonać, jak markiz poradzi sobie z powitaniem tej potężnej kobiety. Ich wcześniejsza rozmowa na tarasie, a w zasadzie cały wieczór, krępowaty ją, więc

z wielką ulgą się oddaliła, z nadzieją, że jej pracodawca jest zbyt pochłonięty swoją wielbicielką, by zwrócić na to uwagę. Ale kiedy kilka minut później opadła z powrotem na swoje krzesło w „kąciku starych panien”, ponownie go dojrzała i odkryła, że spogląda w jej kierunku, nie zwracając uwagi na otaczający go wianuszek wystrojonych kobiet. Patrzył ponad głowami swoich adoratek, które najwyraźniej nie przejmowały się jego fatalną reputacją, i podniósł dłoń.

Kate zalała nagła fala ciepłych uczuć. Zarumieniła się z powodu absurdalności swojej reakcji. Przecież on tylko dał znak, że wie, iż odeszła i gdzie jej szukać. Ale dla niej było to coś więcej niż tylko uniesiona dłoń. To był znak, że po raz pierwszy od dłuższego czasu nie jest sama. Co prawda nigdy nie była zupełnie sama - miała przecież Freddy'ego. Ale choć hrabia był dobrym przyjacielem, nie zawsze mogła na nim polegać. Teraz, gdy wiedziała już o tej jego sopranistce, zrozumiała dlaczego. Zdecydowanie nie należał do ludzi, którzy w otoczeniu wielbicielek zadaliby sobie trud poszukania jej i pomachania.

Zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę lord Wingate robi na tym balu. Wcześniej odniosła wrażenie, że nie przepada za tego typu rozrywkami. A więc dlaczego się tutaj zjawił? Na pewno nie z powodu Isabel, gdyż opieka nad nią należała teraz do obowiązków Kate. Czyżby lord Wingate miał jakieś wątpliwości co do jej umiejętności radzenia sobie z lady Isabel? Czy przybył na bal, by ją sprawdzić? A może istniał inny powód, dla którego wyszedł z domu w taki deszcz?

„Bałem się, że właśnie coś takiego się wydarzy”. Tak powiedział, gdy odciągnął ją na bok. Czy obawiał się, że ulegnie ona pokusie porzucenia swych obowiązków? A tak to właśnie wyglądało, kiedy się pojawił na sali i znalazł ją w ramionach Freddy'ego. Ale przecież nie skarcił jej. Właściwie przeprosił ją za niego, uważając, że to hrabia pozwolił sobie

na zbyt wiele. A kiedy zbliżył się do niej Daniel Craven, domyślił się, że Kate nie czuje się dobrze, i troskliwie wyprowadził ją z sali.

„Bałem się, że właśnie coś takiego się wydarzy”.

Dobry Boże. Kate wyprostowała się tak nagle, jakby na oparciu krzesła pojawiła się igła. Lord Wingate przyszedł tu za nią. Nawet teraz, mimo że opuścił dłoń, jego wzrok co chwila powracał w stronę Kate, nawet gdy wymieniał uściski dłoni ze znajomymi lub pił szampana. Miał także oko na córkę, lecz... częściej spoglądał w stronę jej przyzwoitki.

To było oczywiście niedorzeczne. Doprawdy śmiechu warte. Markiz był człowiekiem o reputacji najgorszej z możliwych: rozwiódł się z żoną i próbował zabić jej kochanka; odebrał jej córkę, karząc za pokochanie innego; pojedynkował się z tuzinami mężczyzn; romansował z kobietami w całej Europie i próbował pocałować Kate... A mimo to czuła przypływ ciepła, wdzięczności i - nie potrafiła temu zaprzeczyć - sympatii do swojego pracodawcy.

Jak ona mogła? Jak mogła lubić człowieka jego pokroju? Ona, Kate Mayhew, która tak pewnie stąpała po ziemi, polubiła kogoś takiego jak Burke Traherne, którego prowadzenie się pozostawiało - łagodnie mówiąc - wiele do życzenia! Co się z nią działo? Co chodziło jej po głowie. Doskonale wiedziała co. Nie mogła się powstrzymać przed tym, by myśleć, że już tyle czasu minęło, odkąd ktokolwiek się o nią naprawdę troszczył, choćby tylko w niewielkim stopniu.

Owszem, Freddy się o nią troszczył, kiedy tylko o tym pamiętał, co zdarzało się na ogół wtedy, gdy jego matka wyjeżdżała z miasta. Ale markiz przyszedł tu z własnej inicjatywy po to tylko, żeby zobaczyć, jak Kate daje sobie radę. Przeprosił ją nawet za to, co - w jego oczach - wyglądało na afront ze strony innego mężczyzny. A minęło już bardzo dużo czasu, odkąd ktokolwiek za coś ją przeproszał.

Nagle poczuła się tak, jakby znalazła swoje miejsce. Miała bliskich. Już nie tylko książki, o których opowiadała Isabel zaledwie kilka godzin wcześniej, ale ludzi z krwi i kości. Nigdy nie odczuwała przynależności do żadnej z rodzin, z którymi mieszkała od śmierci rodziców - do Piedmontów, do Heathwelłów ani też do Sledge'ów. Wiedziała, że guwernantce nie wypada zbliżać się za bardzo do pracodawców. Dzieci dorastały i wtedy nie była już potrzebna. Wtedy musiała przybierać obojętną minę i szukać kolejnej posady. Cóż innego mogła zrobić?

Mogła najwyżej wyjść za Freddy'ego, zakładając, że potrafiłaby się porozumieć z jego matką. I naturalnie z sopranistką. Ale Kate nie była gotowa na to, by się poddać, poślubienie Freddy'ego byłoby kapitulacją. Wierzyła, że gdzieś tam żyje męczyzna przeznaczony dla niej, i choć, mając dwadzieścia trzy lata, była już w dość zaawansowanym wieku, jeżeli chodzi o szanse na zamążpójście, nie miała zamiaru pozwolić sobie na poddanie się bez walki. Znała przecież kobiety dużo od niej starsze, które odnalazły prawdziwą miłość i dopiero wtedy wyszły za mąż. Dlaczego jej nie miałyby to spotkać?

Musiała więc dawać sobie radę, pracować, by zarobić na utrzymanie, i każdy następny dzień traktować jako kolejną szansę na odnalezienie miłości, która - była tego pewna - gdzieś na nią czekała. Wszystkie książki, jakie kiedykolwiek czytała, utwierdzały ją w przekonaniu, że miłość przychodzi do tych, którzy są cierpliwi i wytrwali. Kate miała nadzieję, że ona taka właśnie jest. Miłość na pewno czekała na Kate Mayhew tuż za rogiem.

A tymczasem znalazła rodzinę. Może nie tradycyjną, ale poczuła, że do niej należy. I to właśnie bardzo ją rozgrzewało.

Obawiała się jednak, że może się do tego za bardzo przyzwyczaić.

13

Nie - oznajmiła z rozdrażnieniem lady Isabel Traherne. - Nie o to prosiłam. Zamówiłam słodzone plastry pomarańczy, a nie brzoskwini. - Oparła się o stertę poduszek, podniosła koronkową chusteczkę do czerwonego ciekącego nosa i jęknęła. - Zabierz to i to szybko.

Brigitte, osobista pokojówka lady Isabel, posłała siedzącej nieopodal Kate zranione spojrzenie. Ciężko jej było znosić chorobę swojej pani. Robiła, co mogła, by tylko znaleźć sposób na rozerwanie i rozbawienie chorej.

Kate trudno było powstrzymać się od śmiechu, gdy obserwowała sztuczki Isabel. Teraz zachowała normalny wyraz twarzy tylko dlatego, że w ciągu ostatniego tygodnia miała okazję wielokrotnie go ćwiczyć. Lekarz zapewniał, że to tylko wiosenne przeziębienie, ale zmuszona do leżenia w łóżku młoda dama zachowywała się tak, jakby zapadła na co najmniej ciężkie zapalenie płuc.

Przekonanie Kate, że wreszcie znalazła swoje miejsce, nie osłabło nawet wtedy, gdy jej podopieczna stawała się coraz bardziej irytująca i mniej sympatyczna. Teraz, kiedy nie wy-

chodziły do opery, na bale albo przyjęcia, nie brały udziału w wyścigach konnych ani proszonych herbatkach, nie goniły od jednej modystki do drugiej w poszukiwaniu idealnego kapelusika, Kate całkiem dobrze poznała resztę służby i zapalała sympatią do prawie wszystkich mieszkańców Park Lane 21.

Gospodyni, pani Cleary, była rozsądną i sprytną kobietą, szanującą nową przyzwoitkę za jej umiejętność radzenia sobie z upartą i niemożliwą do tej pory do okiełznania Isabel. Kamerdyner, Vincennes, miał wszystkie cechy, których brakowało Philipsowi, a poza tym świetnie potrafił grać w szachy i wciąż się kręcił wokół Kate, namawiając na rozegranie małej partyjki. Nawet Brigitte, francuska pokojówka, której głowę wypełniało niewiele więcej niż śmiech i ploteczki, stanowiła miłe towarzystwo, mimo iż Kate podejrzewała, że jedynym powodem, dla którego pokojówka tak ją lubi, jest to, że mówiła trochę po francusku. Tęskniąca za ojczystym językiem Brigitte mogła więc znowu użyć go w rozmowie.

Jedyną osobą przy Park Lane 21, co do której Kate miała jakiegokolwiek obawy, był jej pracodawca. I to tylko dlatego, że tak rzadko go widywała. Jak na człowieka kochającego - według słów jego córki - ponad wszystko dobrą książkę, zadziwiająco rzadko przebywał w domu. Kate była zmuszona spędzać wiele czasu w bibliotece w poszukiwaniu lektury, która mogłaby zadowolić chorą dziewczynę, ale nigdy nie spotkała tam lorda Wingate. O wiele częściej widywała go, zanim Isabel się przeziębila, kiedy to ze swojego stanowiska w „kąciku starych panien” obserwowała go w tłumie, zerkającego zarówno na córkę, jak i na jej siedzącą samotnie przyzwoitkę. Kate nie miała nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, spotkanie z Danielem Cravenem całkowicie odebrało jej odwagę. Sama nie wiedziała dlaczego. Racjonalna część jej umysłu powtarzała, że ten człowiek w żadnym wypadku nie

mógł się przyczynić do śmierci jej rodziców. Ale druga, głębiej ukryta część nalegała, że było wprost przeciwnie. Kate wielokrotnie od siebie odpychała te myśli, lecz uparcie powracały, szczególnie w snach, które od momentu ponownego spotkania Daniela stały się jeszcze intensywniejsze.

Sądziła, że poradziła już sobie z koszmarami sennymi, które dręczyły ją prawie każdej nocy w ciągu pierwszego roku po śmierci rodziców. Po siedmiu latach prawie zupełnie przestały się pojawiać. To znaczy do czasu, kiedy wydało jej się, że na Park Lane zobaczyła Daniela Cravena, a potem naprawdę spotkała go na balu. Teraz koszmary powróciły, może nie na stałe, ale pojawiały się zdecydowanie częściej. Znowu szaleńczo próbowała się dostać do rodziców, starając się przedrzeć przez płonący korytarz i ponownie coś - ktoś - ją odciągał. W swoich snach nigdy nie widziała, kto to był. Jednakże budząc się, nie miała co do tego wątpliwości. Imię Daniel każdego ranka rozlegało się w jej głowie echem, głośnym niczym kościelne dzwony.

Na szczęście poza tym pierwszym wieczorem już go nie spotkała. Szukała go wzrokiem - teraz zawsze będzie to robiła, wiedząc, że Daniel Craven wrócił do Anglii. Wyglądało jednak na to, że nie jest zapraszany na większość przyjęć, w których uczestniczyła córka markiza Wingate. Co, oczywiście, było Kate bardzo na rękę. Mimo że uważała, iż podczas ich pierwszego spotkania nie zachowała się w najbardziej odpowiedni sposób, nie miała ochoty na poprawienie się podczas następnego. Im Daniel Craven znajdował się dalej, tym była szczęśliwsza i spokojniejsza.

Brakowało jej natomiast spotkań z Freddym, który najwyraźniej jej unikał. Doskonale wiedziała, że powinna zachować dla siebie wiadomości o sopranistce, ale pewnego wieczoru jakoś samo jej się to wymknęło. Stali razem, obserwując wirującą

na parkiecie Isabel, bynajmniej nie w ramionach Geoffreya Saundersa.

- Nie rozumiem tego. Gdy tylko się pojawiła, obiecała wszystkie tańce mnie, a teraz za każdym razem, kiedy spojrzę, widzę ją w objęciach innego typka - skarżył się Saunders.

Zadowolona, że widzi go zbitego z tropu, Kate wzięła kieliszek szampana z niesionej przez lokaja tacy.

- Kobiety to istoty płoche i niestałe.

Freddy posłał jej zaskoczone spojrzenie.

- Chyba nie Biblia, prawda, Kate?

- Dobry Boże, nie. - Pociągnęła mały łyk. - To Wergiliusz.

- Słuchaj - rzekł, przysuwając się bliżej. - Przy tej ogromnej palmie stoi Traherne i patrzy prosto na ciebie. Zastanawia mnie, co on tutaj robi. To do niego niepodobne. Czy sądzisz, że on cię śledzi?

Kate wzruszyła ramionami.

- Wolałabym, żeby to ciebie sztyletował spojrzeniem. To w końcu ty wciąż porywasz jego córkę do tańca.

- Tylko dlatego, że ty nie chcesz ze mną zatańczyć - odrzekł Freddy zranionym głosem. Po czym dodał, jakby dopiero mu to przyszło do głowy. - Hej, Kate, czy on ci coś o mnie naopowiadał tego wieczoru, kiedy przyłapał nas razem?

- Nie.

Nie powiedziała nic też Freddy'emu o powrocie Daniela Cravena. Nie zauważył go tamtego wieczoru, wdając się z Saundersem w kolejną gorącą dyskusję o koniach. Była z tego zadowolona, gdyż Freddy był jedną z tych osób, które twierdziły, iż jej pewność, że podczas pożaru widziała Daniela, była spowodowana halucynacjami, towarzyszącymi nadmiernemu wdychaniu dymu. Fakt, że prawie zemdłała, widząc tego męczyznę siedem lat później, tylko upewniłby hrabiego w przekonaniu, że jej antypatia wobec byłego współnika ojca jest

chorobliwa. Bo przecież Daniel Craven tylko przywitał się z nią w najzupełniej cywilizowany sposób, a ona o mały włos nie zemdłała. Zamiast tego rzekła przebiegle:

- Zastanawiał się tylko, co robisz na balu, i doszedł do wniosku, że ona musiała być zajęta.

Freddy spojrzał zdziwiony na swoją towarzyszkę.

- Kto musiał być zajęty? Moja matka?

- Zdecydowanie nie. - Pociągnęła kolejny łyk szampana. - Oczywiście twoja wiedeńska sopranistka.

Freddy'emu opadła szczeka. Posłał markizowi spojrzenie, które powinno zabić go na miejscu.

- A to drań! - wybuchnął. - Posłuchaj mnie, Kate. Ona nie nie znaczy, przysięgam. Była tylko sposobem na... Cóż, nie dawałaś mi żadnej zachęty i... i... - znów rzucił markizowi mordercze spojrzenie. - Zabiję go! Przysięgam, że to zrobię.

Kate uderzyła go lekko wachlarzem w ramię.

- Och, Freddy, daj spokój. Jestem zachwycona, słysząc, że nie spędzasz każdej chwili, tęskniąc za moim towarzystwem. Przyznaję, że godzi to trochę w moją ambicję i jestem rozczarowana, iż nigdy mi o niej nie wspomniałeś. Myślałam, że wszystkim się ze sobą dzielimy. - Cóż, niezupełnie wszystkim, poprawiła się w duchu z poczuciem winy. - Ale sądzę, że to przeżyję.

Freddy był zbyt zatrwożony, by dodać choć jedno słowo. Musiał zresztą się obrazić na dobre, gdyż Kate nie miała potem od niego żadnych wiadomości. Unikał wszelkich przyjęć, w których mogła brać udział, i nie odwiedzał jej w niedzielę, kiedy miała wolne. Zdziwiona, podejrzewała, że sopranistka znaczy dla niego więcej, niż gotów był się przyznać.

O dziwo, mimo choroby córki - błahej, lecz jednak przykrej - lord Wingate rzadko był widywany we własnym domu. Zaraz po śniadaniu zaglądał, by zobaczyć, jak się czuje Isabel.

Czasami przychodził także wieczorem, ale nic poza tym. Kate podejrzewała, że znalazł sobie kogoś na miejsce pani Woodhart, z którą, jak się dowiedziała od swej podopiecznej - dziewczyna o życiu uczuciowym ojca wiedziała zdecydowanie zbyt wiele - definitywnie się rozstał. Isabel odrzuciła jednak tę tezę z oburzeniem. Nie znalazł nikogo na miejsce pani Woodhart i nie zrobi tego, jeżeli wie, co jest dla niego dobre. Czas już najwyższy, by się ożenił, a jego córka uważała, że im prędzej, tym lepiej, jako że lada dzień spodziewała się ona oświadczyć Geoffreya.

Jednak prawdopodobieństwo ponownego ożenku markiza, tak gorąco wyczekiwanego przez Isabel, przez resztę służby było oceniane z dużą dozą sceptycyzmu. Nieraz słyszano, jak lekceważąco wyraża się o samej idei małżeństwa, i zazwyczaj, gdy ktoś ze służby oznajmiał, że ma zamiar stanąć przed ołtarzem, markiz starał się go od tego odwieść. Jeżeli nie-szczęśnik upierał się przy tym, jego pan wzdychał smutno, ofiarowywał złotą monetę i szczerze życzył szczęścia, takim jednak tonem, jakby sam nie wierzył w spełnienie swoich życzeń.

Kate w końcu dowiedziała się od lokaja jego lordowskiej mości, że ostatnio markiz spędza praktycznie cały czas nie na poszukiwaniu nowej kochanki, ale w swoim klubie. A przynajmniej właśnie tam Duncan był często wysyłany z naręczem czystych koszul.

Kate wciąż nie lubiła plotek, tyle że gdy tylko zostało wspomniane imię jego lordowskiej mości, nie mogła się powstrzymać od słuchania. Na przykład historii pani Cleary o tym, jak pewnej Wigilii tak sypał śnieg w Wingate Abbey, że gospodyni, katoliczka, zrezygnowała z pójścia na mszę ze strachu, że ugrzęźnie w ogromnych zaspach. Łatwo wyobrazić sobie jej zaskoczenie, kiedy rankiem w Boże Narodzenie

obudził ją jakiś dźwięk. Wyrzała przez okno i ujrzała pana domu, który dał całej służbie wolny dzień, odśnieżającego dla niej drogę.

- I nie przyjął podziękowania - poinformowała Kate pani Cleary, gdy pewnego wieczoru popijały wspólnie herbatę, kiedy pociągająca nosem Isabel zapadła wreszcie w niespokojny sen. - Nawet nie chciał o tym słyszeć. A on przecież nawet nie chodzi do kościoła! Zawsze był taki, od małego, ten nasz pan Burke. Myśli najpierw o innych, ale robi to tak po cichu, że nigdy się o tym nie wie, chyba że przyłapie się go na gorącym uczynku. Słyszałam, że mówią, iż jego lordowska mość ma gwałtowny charakter. - Głos starszej pani zniżył się konspiracyjnie. - I nie będę panienki okłamywać, czasem jego temperament jest iście diabelski. Ale tylko wtedy, kiedy jest bardzo zdenerwowany. A tak w ogóle jest najlepszym z ludzi. Najlepszym.

Kate mogła uważać, że pani Cleary trochę przesadza, jak mają to w zwyczaju czynić starsze kobiety, szczególnie gdy opowiadają o swoich pracodawcach, jednak podobne historie słyszała także z ust innych służących lorda Wingate. Wyglądało na to, że ojciec Isabel jest niezwykle hojny, bardzo uprzejmy i uważany nie tylko przez panią Cleary za dobrego człowieka. Z wyjątkiem, oczywiście, jego temperamentu, co do którego wszyscy się zgadzali, że jest - łagodnie mówiąc - zmienny. Poradzono Kate, by w obecności markiza omijała z daleka tematy, które mogą wyprowadzić go z równowagi. Zapoznano ją nawet z listą tych tematów, które obejmowały, poza wieloma innymi sprawami, małżeństwo i kamizelki z flaneli.

Kate uczyła się tej listy na pamięć, choć szczerze mówiąc nie wierzyła, że z niej skorzysta, bo prawie nie widywała swojego chlebodawcy. Mieszkała w jego domu już od miesiąca, kiedy po raz pierwszy wspólnie usiedli do posiłku. Nie było

to zbyt miłe przeżycie, gdyż markiz, który zapewne spodziewał się, że spożyje śniadanie jedynie w towarzystwie gazety, daremnie starał się znaleźć jakiś wspólny temat do rozmowy. W końcu, wymyśliwszy jakąś mało prawdopodobną wymówkę, odszedł od stołu. Kate, naturalnie, nie byłaby kobietą, gdyby nie zrobiło jej się z tego powodu przykro. Nie miała wątpliwości, że lord Wingate jej unika, tak jak wcześniej była pewna, że szuka jej towarzystwa. Dziwne, ale świadomość, że jej unika, była gorsza niż ta, że ją śledzi. Tego, co się wydarzyło w bibliotece Sledge'ów, Kate bynajmniej nie tłumaczyła sobie miłością hrabiego do niej, ale sądziła, że raczej ją lubi. Przynajmniej trochę. Ale najwyraźniej się myliła.

Inni mężczyźni nie byli tak zmienni w uczuciach. Geoffrey Saunders pozostał stałym wielbicielem Isabel i właśnie teraz Brigitte, zabierając wzgardzone brzoskwinie, wskazała na leżący na srebrnej tacy list.

- Być może to wywoła u panienki uśmiech - rzekła z silnym francuskim akcentem. - Przed chwilą został dostarczony. Myślę, że to kolejny list miłosny.

Isabel jęknęła i zamknęła oczy.

- Och, jak strasznie boli mnie głowa! Nie mam siły go przeczytać. Panno Mayhew, proszę go położyć na stole razem z innymi.

Kate odłożyła na bok książkę, którą czytała na głos - *Emmę* Jane Austen, *Dumę i uprzedzenie* skończyła dzień wcześniej - wstała i zabrała ze srebrnej tacy list. Rozpoznając charakter pisma na kopercie, rzuciła niedbale:

- Och, proszę spojrzeć, kolejny list od pana Saundersa.

Jej podopieczna usiadła z taką energią, jakby ktoś powiedział, że poduszka zajęła się ogniem.

- Od Geoffreya?! - zawołała. - Naprawdę? Proszę mi go dać natychmiast, panno Mayhew!

Kate podała jej list, a Isabel chwyciła go i z podekscytowaniem rozerwała kopertę.

- Och! Tęskni za mną, panno Mayhew! Píše, że usycha z tęsknoty.

- Tak jak powinien - stwierdziła spokojnie Kate.

- A jeśli zrobi sobie coś złego z tej ogromnej tęsknoty? Píše, że może do tego dojść. Mówi, że nie jest w stanie obiecać, że tego nie zrobi. Panno Mayhew, nie mogłabym odpowiedzieć na ten list? - Isabel spojrzała na opiekunkę błagalnym wzrokiem. - Proszę, mogę na niego odpowiedzieć?

- No nie wiem. - Kate zmarszczyła czoło, udając, że się zastanawia. - Ile jest ich razem w tym tygodniu?

- Cztery, panno Mayhew! Z pewnością mogę mu odpowiedzieć po czterech listach, w których błaga o wyjaśnienie, dlaczego nie odpisałam na poprzednie, i straszy, że zrobi sobie krzywdę, jeżeli nie odpowiem i na ten.

Kate westchnęła.

- Przypuszczam, że może mu panienka wysłać krótki liścik, tłumaczący, że jest chora i... - Widząc, że Isabel zrywa się z łóżka i śpieszy w stronę biurka, przerwała i krzyknęła: - A gdzie to się wybieramy, moja panno?! Natychmiast proszę wracać pod kołdrę. Słyszała panienka, co powiedział lekarz.

- Jak mogę myśleć o zaleceniach lekarza, kiedy mój kochany Geoffrey usycha za mną z tęsknoty? - wybuchnęła dziewczyna.

- Powinna panienka myśleć - odpowiedziała ostro Kate. - W przeciwnym wypadku złapie panienka coś znacznie poważniejszego niż przeziębienie i długo nie zobaczy pana Saundersa. Proszę tylko pomyśleć, jaką on wtedy może sobie zrobić krzywdę.

Isabel natychmiast zaprzestała walki.

- Och. - Wsunęła się z powrotem pod kołdrę. - Ma pani rację. Kochana panno Mayhew, co ja bym bez pani zrobiła? Pani ma zawsze rację.

- To prawda. I dobrze byłoby, gdyby panienka o tym nie zapomniała. Teraz proszę zaczekać, a ja przyniosę coś do pisania. Znajac panienki szczęście, znów poplami panienka kołdrę atramentem. - Ale ledwie zrobiła dwa kroki w kierunku biurka podopiecznej, zatrzymała się, słysząc przestraszony głos Brigitte.

- Och, panienko! - zawołała pokojówka, gdy kula szarobiałego futra przemknęła tuż obok jej spódnicy i uciekła przez otwarte drzwi na korytarz. - *La chatte! La chatte!*

Kate zaczęła biec, zanim Brigitte zdążyła to do końca wypowiedzieć. Isabel traktowała ostatnio Lady Babbie jak własnego kota, a kotka przekupiona częstymi poczęstunkami, składającymi się ze śledzi i śmietanki, w pełni ją zaakceptowała. Nawet spała w łóżku Isabel zamiast z Kate. Jej pani nie miała nic przeciwko temu, bo wiedziała, że gdy tylko jej podopieczna poczuje się lepiej, szybko zapomni o Lady Babbie i kotka powróci do pokoju swej pani. Ale tymczasem sporo się musiała natrudzić, by zwierzę nie wydostało się z pokoju chorej, gdyż drzwi były ciągle otwierane, co umożliwiało mu zwiedzanie zakamarków, w których niekoniecznie było miłym gościem. Tym razem Kate zobaczyła, że Lady Babbie zmierza w stronę prywatnych apartamentów lorda Wingate, pomieszczeń, do których zdecydowanie nie miała prawa wstępu. Serce Kate gwałtownie przyspieszyło. Pochyliła się, by złapać kotkę, lecz ta wymknęła jej się na progu pokoju.

Dziewczyna się nie zawahała. Drzwi były lekko uchylone; najprawdopodobniej nie domknął ich lokaj, który przeprowadzał dzisiaj przegląd wszystkich kamizelek lorda Wingate, wydawało mu się bowiem, że jednej brakuje. Tej z flaneli. Podejrzewał, że została zniszczona przez samego markiza, ale nie chciał zostać posądzony o zaniedbanie i przekopywał się przez wszystkie szafy, należące do jego lordowskiej mości.

Kate szerzej uchyliła drzwi, po czym wsunęła głowę do pokoju, mając nadzieję dojrzeć od razu Lady Babbie i zabrać ją, zanim Duncan zauważy jej obecność. Lokaja nie było jednak w zasięgu wzroku. Po raz pierwszy miała szansę znaleźć się w tym pomieszczeniu, więc zamarła, zaskoczona jego wielkością. Stała, rozglądając się i mrugając, zupełnie zapomniawszy o Lady Babbie.

Pokój był trzykrotnie większy od jej sypialni. Przed potężnym kominkiem ustawione były wygodne skórzane fotele i sofa. Nad nim wisiała kolekcja groźnie wyglądających szabli. W drugim końcu pomieszczenia stało ogromne łóże, otoczone ze wszystkich stron ciemnoniebieskimi kotarami. Podobnego koloru były zasłony na niezwykle wysokich oknach z widokiem na park. Dywan pod stopami Kate również był ciemnobłękitny.

Kate nagle zrobiło się żal markiza. Ten pokój był zdecydowanie zbyt duży dla jednej osoby. Lord Wingate musiał się tu czuć nieco samotny, nic więc dziwnego, że tyle czasu spędzał poza domem.

Nagle usłyszała odgłosy pluskania. Odwracając się, zobaczyła uchylone drzwi, za którymi stało ogromne lustro.

- Duncan?

Kate zamarła. To był głos lorda Wingate.

- Duncan, gdzie położyłeś ręczniki?

I wtedy, ku swojemu przerażeniu, kątem oka dojrzała w lustrze coś tak wstrząsającego, że bez chwili namysłu odwróciła się i wybiegła z pokoju. Nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się w swojej sypialni. Zdyszana, zatrzasnęła za sobą drzwi. Wkrótce jednak zmuszona była je otworzyć, słysząc pełne irytacji słowa:

- Panno Mayhew? Panno Mayhew, czy jest tam pani?

Kate zebrała się w sobie, podeszła do drzwi i minimalnie je uchyliła. Na korytarzu stał lokaj jego lordowskiej mości,

trzymając w ramionach niesłychanie poirytowaną i wyraźnie wilgotną Lady Babbie.

- Panno Mayhew - rzekł z godnością Duncan, wręczając jej kotkę. - Czy mógłbym prosić, by na przyszłość nie wypuszczała pani swojego kota? Znalazłem go przed chwilą, chłepczącego wodę z wanny jego lordowskiej mości.

Kate bez słowa wzięła zwierzę i zaczęła zamykać drzwi, ale powstrzymał ją zatroskany głos lokaja:

- Panno Mayhew? Czy dobrze się pani czuje? Może chce pani, bym zawołał panią Cleary? Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pani tak, jakby właśnie zobaczyła ducha.

Lecz to, co zobaczyła Kate, nie było duchem. Wprost przeciwnie, było bardzo żywe. Tak żywe, że nie mogła o tym zapomnieć. Uśmiechnęła się słabo do lokaja i rzekła:

- Nie, dziękuję. Czuję się zupełnie dobrze.

Zamknęła drzwi i stała przez chwilę, zupełnie nieświadoma tego, że Lady Babbie szaleńczo walczy, by się wyrwać z jej ramion.

14

Znowu znajdowali się w bibliotece Sledge'ów. Mieli na sobie te same ubrania co tego dnia, kiedy lord Wingate przedstawił swą zaskakującą propozycję. Przez okna, tak jak wtedy, wpadały blade promienie światła. I, podobnie jak tamtego dnia, lord Wingate nagle i bez ostrzeżenia objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Tyle że Kate tym razem go nie powstrzymała. Nie zacisnęła palców na leżącym tuż obok atlasie. Nawet nie spojrzała na grubą księgę. Zarzuciła ręce na szyję markiza i uniosła głowę, nadstawiając się w skandaliczny sposób do pocałunku.

Nic jej to jednak nie obchodziło. I wtedy lord Wingate ją pocałował, co wydało jej się jak najbardziej naturalne, tak jakby zrobił wreszcie to, o czym ona marzyła przez ostatnie kilka tygodni. I kiedy objął ją jeszcze mocniej, przyciskając do swego silnego, muskularnego ciała, również nie miała nic przeciwko temu. Bez skrępowania zaczęła gładzić jego napięte mięśnie; najpierw te pod rękawami męskiego płaszcza, następnie te pod koszulą, aż w końcu jej dłonie dotarły do płaskiego brzucha. Chwilę później opuściła je jeszcze niżej, tak nisko, że czuła twardość odzianych w bryczesy ud...

Nagle się okazało, że lord Wingate jest zupełnie nagi. Ona zresztą także. Razem opadli na skórzaną kanapę Cyrusa Sledge'a..

W tym momencie Kate się obudziła. Dyszała, a jej dłoń między udami była wyraźnie wilgotna. Kiedy usiadła, starając się złapać oddech, zdała sobie sprawę, że całe jej ciało jest mokre. Strumyczki potu spływały pomiędzy piersiami.

Rozejrzała się po ciemnej sypialni. Wszystko wyglądało tak samo jak kilka godzin temu, kiedy kładła się spać. Ale mimo to wydawało się, że coś jest nie tak. I wtedy sobie przypomniała. To ona się zmieniła.

Nie była z tego zadowolona. Kate nie była w stanie wyrzucić z pamięci tego, co zobaczyła w pokoju lorda Wingate. Zresztą trudno się dziwić. Nigdy w życiu nie widziała nagiego mężczyzny, chyba że na obrazach lub czasami w formie rzeźb. Ale teraz dowiedziała się, że obrazy i rzeźby nie pokazują całej prawdy. Rzeźby, po pierwsze, nie mają włosów, a obrazy... cóż, jedyne, co przychodziło jej do głowy, to fakt, że większość malarzy to mężczyźni, którzy mając przed sobą modela podobnego do lorda Wingate, niewątpliwie z czystej zazdrości pomniejszają pewne... rzeczy, bo zdają sobie sprawę, że przynajmniej pod tym względem nie mogą się z nim równać.

Tak przynajmniej przypuszczała Kate. On miał to coś ogromne. Lord Wingate był potężnym mężczyzną; zwróciła na to uwagę od razu. Ale widziała mnóstwo obrazów i rzeźb, przedstawiających potężnych mężczyzn, a ich... organy nigdy nie były tak duże jak u jej pracodawcy.

Kate nie mogła przestać myśleć o nagim ciele lorda Wingate, a teraz okazało się, że zawładnęło ono także jej snami. Kilka godzin spędzonych na głośnym czytaniu chorej Isabel nic nie pomogło. Nawet podczas lektury Dickensa nie mogła się powstrzymać od myślenia o tym, co niedawno zobaczyła. Jego

ramiona są tak szerokie, jak przypuszczałam, powtarzała w duchu. Niepotrzebnie się dziwię, że ma takie silne uda. Przecież codziennie jeździ konno. I tak dalej, i tak dalej.

Wielokrotnie Isabel zwracała jej uwagę, że chyba ominęła jakąś stronę. Ku konsternacji Kate, okazywało się, że to prawda.

- Dobrze się pani czuje, panno Mayhew? - zapytała w końcu jej podopieczna.

- Oczywiście - odpowiedziała Kate, może trochę zbyt szybko. - Dlaczego panienka pyta?

- Nie wygląda pani tak jak zwykle. Ma pani zaczerwienione policzki.

Kate przycisnęła do nich dłonie. Wyglądało na to, że Isabel ma rację.

- Och - rzuciła niedbale. - To nic takiego. Wieczór jest wyjątkowo ciepły, a okna są pozamykane, by panienka jeszcze bardziej się nie przeziębiła.

- Może pani także będzie chora. - Isabel była najwyraźniej uradowana taką perspektywą. - I wtedy ja będę miała okazję, by panią pielęgnować, panno Mayhew. Czyż to nie będzie wyśmienita zabawa?

Kate uznała ten pomysł za niezwykle zabawny. Udało jej się jednak powstrzymać od śmiechu.

- Bardzo to miłosierne z panienki strony - powiedziała.

Później, kiedy przygotowywała się do spania, popatrzyła na swe odbicie w lustrze i pomyślała, że Isabel miała rację. Jej policzki były zaróżowione, a oczy nienaturalnie błyszcząły. Są błyszczące z powodu nowo odkrytej wiedzy, pomyślała, robiąc kwaśną minę. Zastanawiała się, jak teraz spojrzy lordowi Wingate w oczy, wiedząc, w jaki sposób na jego klatce piersiowej układają się ciemne włosy, pamiętając, że dochodzą aż do miejsca pomiędzy udami. Jak będzie w stanie siedzieć

naprzeciwko niego przy stole w jadalni i brać udział w rozmowie, wyobrażając go sobie zupełnie nagiego?

A teraz, kilka godzin później, obudziła się spocona i bez tchu, tak jakby długo i daleko biegła. Usiadłszy, potrząsnęła głową, starając się wyrzucić z myśli ten niesłychanie krępujący sen.

Nagle coś uderzyło w szybę i Kate aż podskoczyła ze zdumienia. Szkło się nie potłukło, ale kiedy sekundę później trafił w nie następny pocisk, zdała sobie sprawę, że właśnie taki dźwięk ją obudził. Jej pierwszą myślą były nietoperze. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że to ktoś rzuca w jej okno kamykami. Natychmiast się zerwała, by to sprawdzić. Podbiegła do okna, które zostawiła uchylone, jako że noc była wyjątkowo ciepła.

Wszystkie okna - a były ich trzy - wychodziły na tył domu oraz niewielki ogród, w którym były nie tylko klomby z kwiatami, ale także altanka i mały rybny staw z fontanną. Było to przyjemne miejsce na delektowanie się śniadaniem lub popołudniową herbatą i Kate spędzała tam sporo czasu, gdy podopieczna jej nie potrzebowała.

Nie była dla niej zupełna niespodzianka, gdy wychyliwszy się z okna, dojrzała jasnowłosego mężczyznę, stojącego przy niewielkiej gruszy, która rosła tuż przy altanie. Kate nie była zaskoczona, ale poczuła ukłucie strachu. Z szybko bijącym sercem natychmiast odeszła od okna; uznała bowiem, że musi to być Daniel Craven.

Bo któż by inny? Jej wszyscy inni znajomi - to znaczy jej jedyny znajomy, Freddy - skontaktowałiby się z nią w tradycyjny sposób. Kto, z wyjątkiem Daniela Cravena, niepewnego po jej zachowaniu na balu, jak zostanie przyjęty, miałby powód, by rzucać kamykami w okno? Nie mogła przestać myśleć o tym, skąd Daniel wiedział, które okna są jej, a także o tym,

w jaki sposób dostał się do ogrodu lorda Wingate. Tak czy inaczej znalazł ją. I znajdzie sposób na to, by ją zniszczyć.

Z drugiej jednak strony jej kontakty z Danielem Cravenem zawsze były poprawne - oczywiście aż do dnia, kiedy uciekł ze wszystkimi pieniędzmi. I do nocy, gdy wybuchł pożar.

Czego on chciał? Był taki okres - bardzo jednak krótki i na dodatek siedem lat temu - kiedy Kate, podobnie jak wiele jej przyjaciółek, podziwiała przystojnego młodego współnika ojca. Bardzo schlebiało jej wtedy, że Daniel lubi z nią flirtować. Czy właśnie dlatego ją odszukał? Czy sądził, że po siedmiu długich latach będzie mógł ponownie z nią flirtować, zupełnie jakby nic się tymczasem nie wydarzyło? Jeżeli tak, to przeżyje spore rozczarowanie. Kate nie tylko przestała go podziwiać, ale podejrzewała go o zabicie jej rodziców...

Jeśli nie chodziło mu o flirtowanie, to o co? Z pewnością nie o pieniądze. Była przecież bez grosza. Chyba że chciał wyłudzić pieniądze od lorda Wingate, tak jak to zrobił z jej ojcem, i miał nadzieję, że ona mu w tym pomoże? Niedoczekanie!

Kolejny kamyk uderzył w szybę, tym razem mocniej. Kate podskoczyła, myśląc, że hałas może obudzić służbę, a nawet Isabel, której pokój znajdował się tuż obok. Jeżeli lord Wingate dowie się o tym, nie pozostanie mu nic innego, jak zwolnić Kate. Nie wypadało, aby przyzwoitce jego córki jakiś dżentelmen składał nocną wizytę...

Następny kamyk prawie rozbił szybę.

Dosyć tego. Nie było innego wyjścia. Jeżeli nie zejdzie na dół, by zobaczyć, czego ten intruz może chcieć, obudzi się cały dom. Kate przełknęła głośno ślinę i odwróciła się po nocne pantofle i peniuar. Następnie otworzyła drzwi i wyrzała na korytarz. Oczywiście, o tej porze był zupełnie pusty. Przy odrobinie szczęścia powinno jej udać pozbyć się Daniela Cravena i wrócić do łóżka, zanim ktoś się obudzi...

Do ogrodu wiodło dwoje drzwi. Jedne z biblioteki, drugie z pokoju, w którym jadało się śniadania. Zdecydowała się na skorzystanie z tych pierwszych. Mimo że cały dom pogrążony był w ciemności, nie potrzebowała świeczki, gdyż księżyc oświetlał jej drogę wystarczająco. Przeszła obok ogromnego cienia, którym było biurko lorda Wingate, i otworzyła wiodące do ogrodu podwójne drzwi. Przez szybę całkiem wyraźnie dostrzegła jasnowłosego mężczyznę i zawahała się. To nie był Daniel Craven, lecz...

- Pan Saunders!

Kate stała w księżycowej poświacie z dłońmi opartymi na biodrach, przypatrując się młodemu człowiekowi, który właśnie się przygotowywał do rzucenia w jej okno kolejną partią kamyków. Słyszac jej głos, podskoczył i upuścił kamienie.

- Panna... panna Mayhew? - wyszeptał. - Czy to pani?

- Oczywiście, że ja - odparła z ulgą. To nie Daniel Craven. Dzięki Bogu, to nie on. Serce zaczęło jej bić w normalnym rytmie i zganiła się za swoje podejrzenia. Daniel Craven nie miał najmniejszego powodu, dla którego miałby jej szukać, i nie będzie tego robił.

Z drugiej jednak strony Geoffrey Saunders... Cóż mogło być celem jego niespodziewanej nocnej wizyty? Kate zeszła po schodkach do ogrodu.

- Panie Saunders, co, na miłość boską, pan tutaj robi?

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Był przystojnym mężczyzną, ale z takim wyrazem twarzy wyglądał wyjątkowo nieinteligentnie.

- Ja... - wyjąkał. - Ja...

- Jeżeli pańskim zamiarem było wywołanie lady Isabel, to muszę przyznać, że celność pana rzutu pozostawia wiele do życzenia - rzekła Kate ściszoneg głosem.

Spojrzał w stronę jej okien.

- Och - odrzekł, biorąc się w garść. - A więc trafiłem w niewłaściwe okno?

- Zdecydowanie tak. - Może nie byłaby wobec niego tak surowa, gdyby początkowo nie wzięła go za Daniela Cravena i rzucane przez niego kamyki nie zbudziły jej w samym środku tamtego szczególnego snu. Zniecierpliwiona, nie miała nastroju na towarzyskie pogawędki z tym uwodzicielem od siedmiu boleści.

- Panie Saunders - oznajmiła władczym głosem. - Powinien się pan wstydić. Jak pan śmie pod osłoną ciemności zakradać się do posiadłości lorda Wingate niczym jakiś złodziej?

Uśmiechnął się do niej trochę głupawo, ale mimo to uroczo. Był naprawdę bardzo czarującym młodym człowiekiem.

- Cóż mogę powiedzieć? - Wzruszył szerokimi ramionami. - Jestem zakochany, panno Mayhew. Zdaję się na pani łaskę. Już prawie tydzień minął, odkąd miałem od niej jakieś wiadomości. Czy zostałem zapomniany, panno Mayhew? Czy zostałem wyrzucony jak zniszczona rękawiczka?

Kate prychnęła.

- Chyba pan dzisiaj nadużył alkoholu. Proszę mi oszczędzić swych poetyckich wynurzeń. Od pięciu dni lady Isabel leży przeziębiona w łóżku.

Jego twarz rozjaśniła się.

- Przeziębienie? Serdeczne dzięki, panno Mayhew. To bardzo miłe z pani strony, że od razu mi pani o tym powiedziała, zamiast zwodzić mnie, jak z pewnością zrobiłyby inne kobiety. - Jego uśmiech się poszerzył. - Mówiłem już pani, że moglibyśmy się dogadać, pani i ja, panno Mayhew. - Jego spojrzenie przesunęło się po peniuarze Kate. - I jeśli wolno mi dodać, uważam pani strój za wspianiały. Ogromna szkoda, że u baronowej nie była pani ubrana w taki właśnie sposób. Nie mogłaby się pani wtedy opędzić od adoratorów.

Kate marzyła o spoliczkowaniu go, lecz tylko chłodno skrzyżowała ręce na piersiach. Najprawdopodobniej to jej dekolt przyciągał wzrok nieproszonego gościa. We wszystkich sukniach balowych miała wszyte wstawki, ale nie przyszło jej do głowy, że ktoś może ją zobaczyć w koszuli nocnej, stanowczo za wyzywającej dla przyzwoitki.

- Panie Saunders, proszę natychmiast stąd odejść - zażądała stanowczo. - Jeśli jeszcze raz złapię pana na próbie kontaktu z lady Isabel w taki właśnie sposób, udam się prosto do lorda Wingate.

- Mam nadzieję, że nie w takim stroju. W przeciwnym wypadku obawiam się, że lord Wingate nie będzie w stanie uważnie pani wysłuchać, tak jak ja teraz...

- W takim razie - zaróżowiona Kate opuściła ramiona - posłucha się pan tego. - Z całej siły nadepnęła na stopę młodego dżentelmena. A że jej pantofle miały obcasy, z satysfakcją ujrzała, jak pan Saunders łapie oddech i chwytą się za stopę.

- Proszę to uznać za próbkę tego, co najprawdopodobniej otrzymałby pan od lorda Wingate, jeżeli usłyszałby on o pańskim zachowaniu dzisiejszej nocy - powiedziała z taką wyniosłością, na jaką ją tylko było stać, - Bardziej prawdopodobne jest to, że posłałby w kierunku pana głowy ołowianą kulkę, a ja z pewnością nie uroniłabym ani jednej łzy na pańskim pogrzebie.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Za jej plecami nieszczęsny Romeo podskakiwał, powstrzymując się od okrzyków bólu z wysiłkiem, który go musiał dużo kosztować. Kiedy już była bezpieczna w środku, przez chwilę obserwowała jego pełne bóleści podrygi. Miała nadzieję, że napędziła mu porządnego stracha przed lordem Wingate i że bezzwłocznie opuści ogród. Z drugiej jednak strony zdesperowani ludzie nie zawsze po-

stępują w najmądrzejszy sposób. Zdecydowała się więc zostać i poobserwować, czy intruz na pewno odejdzie.

I właśnie wtedy usłyszała odgłos przekręcanej gałki przy drzwiach do biblioteki. Pośpiesznie się odwróciła, a sekundę później w pokoju znalazł się lord Wingate z kandelabrem w dłoni.

15

Lord Wingate - odezwała się Kate, gdy minęło osłupienie wywołane widokiem wchodzącego do biblioteki mężczyzny.

Markiz posłał w jej kierunku spojrzenie pełne zaskoczenia. Nie widział jej i zbyt późno uświadomiła sobie, że mogła odejść niezauważona, gdyby tylko trzymała buzię na kłódkę. Z drugiej jednak strony, gdyby ją zobaczył, wymykającą się ukradkiem, mógłby pomyśleć, że próbuje coś zataić. Co zresztą byłoby zgodne z prawdą.

- Panna Mayhew? - Lord Wingate, którego wzrok nie był przyzwyczajony do ciemności, zmuszony był unieść kandelabr wyżej, by móc dojrzeć nocnego intruza, który zakradł się do jego biblioteki. Kiedy zobaczył Kate, jego oczy wyraźnie się rozszerzyły, a dłoń wreszcie puściła gałkę przy drzwiach. - Panno Mayhew - rzekł głosem pełnym zdumienia, choć przecież zatrudniał ją już od kilku tygodni, jej widok nie powinien go więc zaskoczyć aż tak bardzo. - Co...

Co pani robi w mojej bibliotece o trzeciej nad ranem - tak zapewne miało brzmieć pytanie. Jednak markiz był najwyraźniej zbyt zaskoczony, by je dokończyć, i wyglądało na

to, że jest w stanie jedynie stać i wpatrywać się w nią szeroko otwartymi oczami. Ich spotkanie było, oczywiście, krępujące, zważywszy na ich stroje: Kate miała na sobie peniuar, a on szlafrok. Mimo wszystko - doszła do wniosku - nie powinien być tak zdumiony. Przecież nie była naga. I nagle przypomniała sobie, kiedy go widziała po raz ostatni, i zarumieniła się. Dobry Boże! Jej sen! Zupełnie zapomniała o swoim bezwstydnym śnie. A teraz oboje stali w bibliotece. Nie tej samej, która jej się przyśniła, ale jednak w bibliotece. Co gorsza, ich stroje były teraz zdecydowanie mniej przyzwoite. Nic dziwnego, że lord Wingate wyglądał na tak speszzonego.

Kate wreszcie zdała sobie sprawę, że pracodawca oczekuje od niej jakiegoś wyjaśnienia, więc wykorzystała to, które przyszło jej do głowy:

- Moja kotka.

Lord Wingate wyglądał, jeśli to w ogóle było możliwe, na jeszcze bardziej zdumionego.

- Pani kotka, panno Mayhew?

Starła się udzielić tak sensownej odpowiedzi, na jaką była w stanie się zdobyć.

- Tak, moja kotka. Usłyszałam, że w ogrodzie walczą koty, i pomyślałam, że Lady... - Przerwała, przypomniawszy sobie, że nigdy nie mówiła lordowi Wingate o idiotycznym imieniu jej pupilki, a doprawdy nie widziała powodu, dla którego miałaby to robić teraz. Zakaszłała. - Myślałam, że moja kotka jest wśród nich.

W blasku świec dojrzała, że brwi markiza się unoszą. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się na tym, ale teraz nagle uświadomiła sobie, że wygląd jej pracodawcy jest nieco diaboliczny. Przypomniała sobie widziane kiedyś obrazy, przedstawiające Lucyfera. Z tych rozważań wydarł ją rozkazujący głos markiza.

- I?

- Co? - wyjąkała tępo.

- I czy był tam pani kot? - spytał z zaskakującą cierpliwością.

Kate zerknęła przez ramię i z trudem udało jej się powstrzymać jęk. Ten idiota Geoffrey właśnie usiadł na kamiennej ławce, zdjął but i masował palce, na które nadepnęła zaledwie kilka minut wcześniej. Sprawdzał z pewnością, czy są całe. Głupiec! Czy naprawdę chciał mieć przestreloną głowę? A niewątpliwie tak właśnie się stanie, jeśli markiz Wingate go tam zobaczy...

- Och - odpowiedziała z beztroskim śmiechem, odwracając głowę. - Nie, mojej kotki na szczęście tam nie było. Ale co... - Odsunęła się od drzwi wychodzących do ogrodu z nadzieją, że odwróci uwagę lorda Wingate od tego, co dzieje się na zewnątrz. - Co pana sprowadza do biblioteki o tak późnej porze?

Tak jak się spodziewała, wzrok markiza podążył za nią. Przyglądał się jej z rezerwą, jakby był przekonany, że jest obłąkana i w każdej chwili może złapać za pogrzebacz i zaatakować go tym niebezpiecznym narzędziem.

- Zszedłem na dół - zaczął ostrożnie - ponieważ miałem trudności z zaśnięciem, a książka, którą właśnie czytam, zdecydowanie nie zalicza się do zbyt... uspokajających.

- Tak? - Kate, ciągle zaniepokojona tym, co dzieje się w ogrodzie, szybko do niego podeszła i zerknęła na książkę, wystającą z kieszeni szlafroka. - Ach, *Ostatni Mohikanin*. Doskonale rozumiem, co chciał pan przez to powiedzieć.

Spojrzenie chlebodawcy cały czas było utkwione w jej twarzy, co - zważywszy na okoliczności - w ogóle jej nie przeszkadzało. Markiz odchrząknął.

- Mam trochę trudności z przebrnięciem przez nią. Nie skończyłem jeszcze nawet wstępu.

Kate zmarszczyła nos.

- Wstępu? A dlaczegoż pan się w ogóle za niego zabrał?

Wydało jej się, że słysząc te słowa, lord Wingate przybrał jeszcze bardziej zaskoczony wyraz twarzy. Ale, przekonana, że teraz z pewnością odwróciła jego uwagę od wiodących do ogrodu drzwi, nie dbała o to, że uważa ją za plebejuszkę, omijającą w książkach wstępy. Wyciągnęła rękę i z kieszeni jego szlafroka wyciągnęła nieszczęsny tom, mówiąc uprzejmie:

- To, czego pan teraz potrzebuje, to czegoś, co pana uspi. Mam doskonałą propozycję. Gdzie pan trzyma esy?

Wciąż bacznie ją obserwował. W bladym świetle jego oczy wydawały się bardziej zielone niż zwykle.

- Gdzie trzymam co?

- Esy. - Wskazała dłonią na wypełnione książkami półki. - Zakładam, że są ułożone według nazwisk autorów?

- Ach. - Skinął głową w stronę ściany po prawej stronie kominka. - Tam są.

- Świetnie.

Kate zdecydowanie ujęła łokieć jego lordowskiej mości - śmiałe posunięcie, ale uznała, że w tym przypadku niezbędne - i zaczęła go popychać w tamtym kierunku. Nie stawiał oporu i pomyślała, że mimo wszystko ta noc nie zakończy się morderstwem.

- Niech no popatrzę... - Zmrużyła oczy i przyglądała się grzbietom książek, stojących na zajmujących całą ścianę półkach. - Czy mógłby pan unieść kandelabr nieco wyżej? Dziękuję bardzo, teraz jest znacznie lepiej. Co więc tutaj mamy? Sab, Sal, Saw... Och, jest i Sc. Tam wyżej. O rety! Widzę, że czeka nas nieco wspinaczki.

Puściła łokieć pracodawcy i sięgnęła po drabinę na kółkach, którą ktoś zostawił dosłownie na wyciągnięcie ręki.

- Przytrzyma pan to przez chwilę? - zapytała uprzejmie, oddając lordowi *Ostatniego Mohikanina*, chwyciła skraj koszuli

nocnej i nie czekając na odpowiedź, zaczęła się wspinać po niewielkich szczeblach.

- Panno Mayhew - rzekł z niepokojem lord Wingate, pośpiesznie odkładając książkę i chwytając ją za ramię. - Panno Mayhew, zapewniam panią, że sam jestem w stanie znaleźć sobie odpowiednią lekturę...

- Proszę się nie martwić - przerwała mu Kate. Ze swej nowej pozycji ukradkiem zerknęła przez znajdujące się nad drzwiami niewielkie okno i, ku swojej uldze, zobaczyła, że pan Saunders włożył już but i jest zajęty poprawianiem kape-lusza. Głupiec. Z powrotem odwróciła się do książek. - Zupełnie nie mam lęku wysokości - zapewniła swego pracodawcę.

- Właśnie widzę - odrzekł sucho lord Wingate. Wciąż trzymał jej ramię, tyle że teraz, kiedy znajdowała się dosyć wysoko, udawało mu się to z niemałym wysiłkiem. - Mimo to czułbym się zdecydowanie lepiej, gdyby pozwoliła mi pani...

- Ach. - Kate znalazła to, czego szukała. Zdjęła książkę z jednej z najwyższych półek. - A oto i ona. - Odwróciła ją tak, by markiz mógł przeczytać tytuł. - *Ivanhoe* Waltera Scotta. Potrafi uśpić każdego. Te fragmenty z Rebeką są całkiem niezłe, ale poza tym wszystko wywołuje jedynie niemożliwe do opanowania ziewanie.

- Tak - odrzekł nieco niecierpliwie lord Wingate. - Czyta-łem to, panno Mayhew. A teraz proszę zejść, zanim pani spadnie z tej drabiny.

Kate ponownie zerknęła do ogrodu; na szczęście pana Saun-dersa już tam nie było. Wydała westchnienie ulgi. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się starała chronić tego głupiego młodzień-ca. Ale wiedziała, że jeśliby się okazało, że markiz Wingate zastrzelił w swoim londyńskim ogrodzie konkurenta córki, to plotkarze nie zostawiliby go w spokoju, a i tak krążyło o nim wystarczająco wiele pogłosek...

Co prawda nie obchodziło jej za bardzo to, co inni mówią o jej pracodawcy. Troszczyła się tylko i wyłącznie o jego córkę. Jakichkolwiek niewłaściwych czynów dopuści się lord Wingate, Isabel nie powinna cierpieć z tego powodu. Tym właśnie przejmowała się Kate, a nie reputacją markiza. Albo przynaj-mniej tak sobie wmawiała.

- Tym lepiej - powiedziała, zaczynając schodzić z drabiny. - Mam na myśli to, że już ją pan czytał. W ten sposób jeszcze szybciej pan zaśnie.

- Dziękuję pani za troskę. - Lord Wingate zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Proszę uważać, panno Mayhew. Prawie nastąpiła pani na... eee... szlafrok.

- Ależ nie - zapewniła go wesoło Kate. I dokładnie w tym momencie nadepnęła na peniuar.

Starała się chwycić wyższych szczebli, ale ponieważ nie chciała upuścić książki, która wyglądała na oryginalne wydanie, z pewnością bardzo drogie, wyciągnęła tylko jedną rękę i, niestety, nie udało się. Serce podskoczyło jej do gardła. Miała czas jedynie na pomodlenie się w duchu o to, by nie wylądowała na podłodze z koszulą na głowie, bo nie miała nic pod spodem.

W ostatnim dosłownie momencie lord Wingate rzucił kan-delabr i ją złapał. Kiedy zgasł płomień świec, Kate musiała odczekać chwilę, aż jej wzrok przyzwyczai się do światła księżycowego, lecz nawet wtedy wiele nie widziała. Twarz miała przyciśniętą do klatki piersiowej lorda Wingate - tej, której odbicie kilka godzin temu podziwiała w lustrze. A teraz, z bliska, wydawała się o wiele bardziej interesująca. To prawda, nic nie widziała, ale za to czuła i było to w równym stopniu pociągające.

Jej chlebobawca miał na sobie satynowy szlafrok, a pod nim koszulę z równie delikatnego materiału. Kate była jednak w stanie wyczuć pokrywające męską pierś włosy. Czuła także

bicie jego serca. Policzką dotykała twardych mięśni. Otaczały ją podziwiane od tak dawna ramiona. Były tak silne, jak podejrzewała. Gdy poruszyła nogą, trafiła na twarde męskie udo i... coś jeszcze, coś miękkiego. Na czole czuła gorący oddech markiza. Spojrzała w górę i odkryła, że widzi lepiej, niż początkowo sądziła. Usta chlebobawcy dzieliła od jej warg odległość nie większa niż kilka centymetrów. Kiedy spojrzała mu w oczy, była zgubiona.

Wystarczyłoby, że uniosłaby nogi i objęła go nimi w pasie, a byłoby dokładnie tak jak w jej śnie. Tyle że nie byli jeszcze nadzy...

Dobry Boże! O czymże ona myślała? Tej policzki zarumieniły się i miała tylko nadzieję, że w świetle księżycy tego nie widać. Kate zaczęła gorączkowo myśleć o tym, co zrobi, jeśli markiz ją pocałuje, bo była przekonana, że do tego dojdzie. A w pobliżu nie było żadnych atlasów.

A jeżeli nie skończy się na pocałunku? Poczwała nagle wilgoć i dziwne pulsowanie między nogami, coś, co znała już ze swego snu. Kiedy lekko się poruszyła, znów poczuła to coś, lecz teraz nie dość, że było znacznie większe, to zdecydowanie stwardniało i napierało na jej biodro.

Nagle Kate wydało się, że sen za chwilę się spełni. Nie była tylko pewna, czy pragnie tego, czy nie. Część jej - szczególnie ta u zbiegu ud - pragnęła do szaleństwa. Ale...

Ale wtedy przestało to mieć znaczenie, gdyż lord Wingate bez słowa postawił ją na podłodze i puścił.

- Czy dobrze się pani czuje, panno Mayhew? - zapytał uprzejmie.

Dobrze? Otępiła Kate nie wiedziała, o co mu chodzi. Dobrze? Całe jej ciało, wszędzie tam, gdzie go dotykało, płonęło. Dobrze? Miałeś mnie zamiar pocałować. Miałeś mnie zamiar pocałować i nie zrobiłeś tego. Nie, nie czuję się dobrze!

- Tak - odpowiedziała. - Świetnie, dziękuję.

- Naprawdę nie powinna się pani wspinać na drabinę w takim stroju.

- Tak - zgodziła się z nim. - Naprawdę nie powinnam.

- W takim razie - wziął książkę z jej dłoni, po czym podniósł leżący na ziemi kandelabr - dziękuję za propozycję lektury. A teraz sądzę, że lepiej będzie, jeśli wrócimy do naszych pokoi. Jest bardzo późno. Albo bardzo wcześnie, zależnie od tego, jak się na to spojrzysz.

Kate przytaknęła bez słowa, po czym ruszyła do drzwi. Nie miała pojęcia, w jaki sposób znalazła się w swoim pokoju. Wydawało jej się, że przez całą drogę lord Wingate stara się podtrzymać rozmowę, prawiając jej komplementy za wyraźną poprawę w zachowaniu córki i pytając, czy dobrze jej się mieszka w tym domu i czy czegoś nie potrzebuje.

Tak, odpowiedziała w myślach Kate. Pana.

- Nie - odrzekła głośno. - Dziękuję.

Po chwili znalazła się w swojej sypialni, drzwi się zamknęły, a jej chlebobawca poszedł dalej. Została sama, z wyjątkiem skulonej na łóżku Lady Babbie. Mechanicznie rozwiązała peniuar i zrzuciła go z ramion. Gdy znalazła się pod kołdrą, zaczęła się zastanawiać, co ją, do diabła, naszło. Jak mogła tak się zapomnieć? Jak mogła pragnąć go tak desperacko? Tego mężczyzny nie obchodziło przecież, czy złamie jakiejś kobiecie serce. Czyż Freddy nie zapewniał jej o tym? Cóż więc robiła, nadstawiając się niemal do pocałunku? Czy ona zupełnie postradała zmysły?

Najwyraźniej. Oszalała na widok nagiego ciała markiza. Oto, co jej się stało. Aż do dzisiejszego popołudnia zachowywała się przecież najzupełniej normalnie. Jedno spojrzenie na to, co skrywały jego satynowe kamizelki i dopasowane spodnie, a spokojna, chłodna Kate Mayhew stała się rozwiązłą kobietą.

Co więcej, nawet nie była pewna, czy go w ogóle lubi.

Nawet jeśli go lubiła, to z pewnością nie była w nim zakochana. Najwyczejniej w świecie go pragnęła.

Kate z westchnieniem naciągnęła kołdrę na głowę. Wiedziała, że szybko nie zaśnie.

16

Jest po prostu urocza, markizie. - Baronowa uniosła do oczu lornetkę. - Naprawdę, jest najbardziej uroczą dziewczyną na sali.

Burke, patrzący w tym samym kierunku co starsza pani, mógł jedynie przytaknąć. To prawda. Była najbardziej uroczą dziewczyną na balu. Zresztą nie tylko tu. Gdziekolwiek się pojawiła, wzbudzała podziw.

- Taki wdzięk - kontynuowała baronowa. - Długo nie nacieszy się wolnością, wspomni pan moje słowa, lordzie Wingate.

Ba!

- I wie pan - ciągnęła starsza pani - nie mogę przestać myśleć o tym, że mój syn, Headley, stanowiłby dla niej znakomitą partię. Wydaje mi się, że żadne z nich nie przepada za książkami. Wątpię, czy któreś z nich otworzyło książkę od momentu ukończenia szkoły.

Burke posłał swej rozmówczyni pełne zdumienia spojrzenie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że baronowa mówi o Isabel, a nie o Kate Mayhew. Dama taka jak baronowa Childress nie zabawiałaby się w swatanie zwykłej przyzwoitki. To o wirującej

na parkiecie Isabel rozprawiała z takim przejęciem. To Isabel nazwała najbardziej uroczą dziewczyną na sali. Ta kobieta była najwyraźniej szalona.

Co prawda Burke nie odmawiał córce swego rodzaju uroku, ale baronowa musiała być ślepa - albo on szalony - jeśli nie widziała, że jedyną kobietą na tej sali, zasługującą na podobne zachwyty, jest przyzwoitka Isabel.

- Uważam, że pasowaliby do siebie doskonale - oznajmiła starsza pani. - I nie musi się pan martwić, lordzie Wingate, że przejmuję się pańską reputacją, tak jak niektórzy z moich mniej oświeconych znajomych. Uważam, że rozwód w pańskiej sytuacji był posunięciem jak najbardziej rozsądnym.

Nie. To zdecydowanie on był szalony.

To szaleństwo zbliżało się powoli, ale teraz przejęło nad nim pełną kontrolę. Bo czy w innym wypadku byłby obecny na tym balu? Przecież zatrudnił pannę Mayhew, by towarzyszyła Isabel w trakcie wszelkiego rodzaju u spotkań towarzyskich. A więc po co im towarzyszył? To było szaleństwo, które miało swój początek tamtej deszczowej nocy, kiedy po raz pierwszy zjawił się na balu, by się upewnić, że panny Mayhew nie zaczepiają żadni nieodpowiedzialni mężczyźni. I co? Przekonał się tylko, że nie jest pierwszym, który ją podziwia. I z całą pewnością nie ostatnim.

- Mój mąż, oczywiście, ma nieco inne plany, jestem pewna, że jest pan tego świadom. Myślę jednakże, że zaryzykuję stwierdzenie, że ja popieram Headleya we wszystkich jego zamierzeniach i że mój mąż z pewnością wkrótce podzieli moją opinię.

Burke pomyślał, że tego wieczoru powinien odczuwać satysfakcję, że jego obawy się potwierdziły. Co więcej, musiał ostudzić zapał nie jednego, ale dwóch dżentelmenów. Lecz zamiast satysfakcji poczuł nieprawdopodobną wprost wściekłość. Czegoś takiego nie doświadczył już od bardzo dawna.

Nawet nie śmiał się zastanawiać, dlaczego się pojawiła wtedy, gdy okazało się, że panna Mayhew jest równie atrakcyjna dla reszty przedstawicieli jego płci, jak i dla niego. Tłumaczył sobie, że chodzi wyłącznie o to, iż jako przyzwoitka jego córki, zaczepiana przez każdego lubieżnego, pajacowatego londyńczyka, nie będzie w stanie wywiązać się ze swego zadania. Zdawał sobie jednak sprawę, że się oszukuje.

- Lordzie Wingate. - Baronowa położyła dłoń na jego ramieniu, jakby czując, że jej rozmówca nie poświęca jej osobie całej uwagi. - Proszę posłuchać o tym, co dziedziczy Headley. Po moim zmarłym ojcu otrzymuje trzy tysiące funtów rocznie. Cóż, wiem, że nie jest to dużo, ale mąż planuje przekazać mu pewną sumę, gdy tylko Headley znajdzie sobie rozsądną żonę. A pańska córka jest, oczywiście, jak najbardziej odpowiednią kandydatką...

Czy to możliwe, że panna Mayhew mówiła prawdę, twierdząc, że hrabia Palmer jest jedynie przyjacielem rodziny? Nie wydawało mu się, by należała do kobiet, które się posuwają do kłamstwa. Ale mimo wszystko stwierdzenie, że jej rodzice - którzy mogli być jedynie kupcami, a w najlepszym wypadku nauczycielami - przyjaźnili się z hrabią, było nieco niezwykle. Burke, markiz, nie miał poza własnym kręgiem żadnych przyjaciół.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że nawet w tym kręgu miał ich niewielu.

A ten drugi... jak mu tam, chyba Craven, tak się do niego zwracała. Wspólnik w interesach jej ojca? Bzdura! Dlaczego tak zbladła przy powitaniu z byłym wspólnikiem ojca? Burke był przekonany, że coś się musiało za tym kryć. I miał zamiar dowiedzieć się co.

Na razie cieszył się, że wyciągnął z panny Mayhew prawdę o jej znajomości z hrabią Palmer. Był przyjacielem rodziny,

to na pewno prawda. Ale z pewnością stał się nim tylko dlatego, że widok ponętnych ust Kate budził w nim zachwyt. Burke robił wszystko, co w jego mocy, by tylko oderwać się od rozmyślania o tych kuszących ustach. Starał się przebywać jak najdalej od przyzwoitki córki. Całe dni - a czasem i noce - spędzał w klubie, którego nigdy nie odwiedzał tak często, mając od zawsze awersję do przybytków, które wpuszczały do swego wnętrza mężczyzn takich jak on. Ale teraz wolał klub niż dom, gdzie stanowczo zbyt często mógł się natknąć na pannę Mayhew, kobietę, która go coraz bardziej pociągała i rozpałała w nim ogień. Nie starał się gasić go na siłę. Prawdę mówiąc, nawet mu to nie przyszło do głowy, chociaż okazji mu nie brakowało. Sara Woodhart była bardzo wytrwała w staraniach o odzyskanie względów dawnego kochanka. Było także wiele innych kobiet - żona pewnego parlamentarzysty, balerina, nawet samowzająca rosyjska księżniczka o gorącej krwi. Mógł mieć każdą z nich, lecz nie wiedzieć czemu, nie był tym w ogóle zainteresowany. Sam siebie nie poznawał.

Właśnie ten brak zainteresowania uciechami cielesnymi martwił go bardziej niż cokolwiek innego. Nie przestał pragnąć kobiecego ciała. Chodziło o to, że pragnął ciała jednej kobiety, a tej nie mógł mieć. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet mężczyzna z tak zszarganą reputacją jak on nie może sprowadzić na drogę rozpusty przyzwoitki własnej córki, choćby nie wiadomo jak uwodzicielsko wyglądała w koszuli nocnej.

Burke nie miał wątpliwości, że to wyłącznie wygląd panny Mayhew tak go pociąga. Na pewno nie jej wspaniałomyślność, cecha ostatnio tak bardzo niemodna u młodych kobiet. Markiz wiele razy miał okazję obserwować, jak przyzwoitka jego córki wsuwa monetę w dłoń żebrzących na ulicy dzieci albo - ku jego przerażeniu - pomaga starszym w niesieniu ciężkich pakunków.

Nie chodziło także o anielską wprost cierpliwość wobec wszystkich istot, począwszy od Sledge'ów - których, według Burke'a, powinno się wysłać do Nowej Gwinei i zmusić do pozostania tam - a skończywszy na jego własnym, tak przecież krnąbrnym i upartym dziecku.

Nie miało to także nic wspólnego z jej manierami, które były bez zarzutu - panna Mayhew okazywała taką samą uprzejmość służbie, jak i sąsiadom, wśród których był nawet książę - ani także z jej ujmującą szczerością.

I zdecydowanie nie pożałował jej dlatego, że kiedy do niej mówił, był pewny, że go naprawdę słucha. I udziela szczerych i konkretnych odpowiedzi. Trudno mu było w to uwierzyć po tym, jak przez tyle lat okłamywało go tak wiele kobiet, począwszy od jego żony.

Nie. To był tylko i wyłącznie jej wygląd. Co prawda nigdy dotąd nie pociągały go kobiety tak filigranowe i jasnowłose oraz tak... niewinne. Ale w tej dziewczynie było coś, co sprawiało, że pragnął jej bardziej niż tamtych. Jej usta. Rzadko kiedy był w stanie wyrzucić je ze swych myśli. A jej zwyczaj biegania po domu w środku nocy w prześwitującym koronkowym szlafroczk i wydekoltowanej, właściwie przezroczystej koszuli nocnej wcale mu nie pomagał. Do tej pory nie miał pojęcia, jak udało mu się powstrzymać od ułożenia jej na biurku i kochania się z nią na dziesięć różnych sposobów. Musiał najwyraźniej wciąż zachować odrobinę samokontroli.

Ale to nie było proste. Wiele go kosztowało postawienie przyzwoitki córki na podłodze, kiedy tak nieoczekiwanie wyładowała w jego ramionach. Gdy jej usta - o których nie potrafił przestać myśleć - znalazły się tak blisko jego warg, niewiele brakowało, a spełniłby dręczące go przez ostatnie kilka tygodni pragnienie, które stało się obsesją.

Ona także tego pragnęła. Burke był przekonany o tym.

Trzymała książkę - wielkie, solidne wydanie jakiegoś dzieła Scotta - i nie próbowała jej użyć. Była w pełni przygotowana na to, że on ją pocałuje. A jednak tego nie zrobił. W ostatniej sekundzie puścił ją i pozwolił odejść.

Dlaczego?

Ponieważ był szalony.

- I nie musi się pan martwić, lordzie Wingate - zapewniała go baronowa. - To prawda, że ostatnio mieliśmy trochę finansowych problemów. Kilka lat temu mój mąż zainwestował w te afrykańskie kopalnie diamentów, z którymi wszyscy wiemy, co się stało, lecz każda suma, jaką przekazałby pan swojej córce, pozostałaby, oczywiście, w jej posiadaniu. Myślimy przyszłościowo. Nawet mój mąż zaczyna powoli dochodzić do wniosku, że kobieta może być w stanie zarządzać swoimi finansami... to znaczy oczywiście z pomocą dobrego księgowego.

Burke odwrócił głowę i rzekł:

- Baronowo Childress.

Starsza pani uśmiechnęła się z pewnością siebie.

- Tak, markizie?

- Jeżeli pański syn... Headley, o ile dobrze pamiętam? No więc jeżeli Headley znajdzie się w pobliżu mojej córki, baronowo Childress, osobiście wypruję mu wątrobę. Czy rozumie mnie pani?

Baronowa wyraźnie zbladła.

- Lordzie Wingate... - wyjąkała, ale jej rozmówca nie został, by tego wysłuchać.

Odszedł, łokciami torując sobie drogę w tłumie, bo zauważył, że panna Mayhew nie siedzi już samotnie. Przysiadł się do niej młody jasnowłosy mężczyzna. I nie był to - ku jego rozczarowaniu - hrabia Palmer, którego z największą przyjemnością wdeptałby w parkiet. Nie, to był ten drugi, Craven, ten, który tak bardzo ją zdenerwował.

Burke nie znał go, nigdy nawet o nim nie słyszał. Nie było w tym niczego niezwykłego, gdyż po prostu nie znał wielu ludzi, a poza tym, odkąd to sam był wielokrotnie głównym tematem krążących po mieście plotek, nie zwracał na nie uwagi.

- Och tak - mówiła właśnie panna Mayhew tym swoim interesująco gardłowym głosem, który wydawał się zbyt niski jak na osobę jej postury i który niejednokrotnie wywoływał u Burke'a gęsią skórę. Jej głos nie odzwierciedlał zdenerwowania, jakie, sądząc po bladości policzków, musiała odczuwać. - Lady Babbie przeżyła. Znalezione ją, ukrywającą się w szafie, w dniu, w którym pożar został wreszcie ostatecznie ugaszony.

Craven zauważył go pierwszy.

- Witamy! - zawołał trochę za bardzo entuzjastycznie. - Co za niespodzianka. Popatrz, Kate. Twój przyjaciel przyłączył się do nas.

Kate zaskoczona szybko odwróciła się na krześle.

- Och. - Na jej policzki wróciły kolory.

Markiz musiał przyznać, że nad wyraz intensywnie. Przyglądał się temu z zaskoczeniem, które na moment odebrało mu głos. Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Kate pośpiesznie wstała z krzesła, owijając wokół palca grubą tasiemkę, która służyła jako pasek do torebki.

- Och - powtórzyła. - Ja... Ja...

Chlebodawca zignorował ją - na tyle, na ile był zdolny zignorować tę kobietę - i wyciągnął prawą dłoń do uśmiechającego się lakonicznie Cravena.

- Skoro wygląda na to, że nasze spotkania stają się zwyczajem - odezwał się sztucznie serdecznym głosem - przypuszczam, że się powinienem przedstawić. Burke Traherne, markiz Wingate.

Craven uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Daniel Craven - powiedział z uprzejmym uśmiechem. - Bez tytułu.

Cofając dłoń i zerkając w stronę Kate, co zdenerwowało Burke'a bardziej niż jego lewa ręka na oparciu jej krzesła, rzekł:

- Wspinasz się coraz wyżej, Kate? Dlaczegoż wychodzić za hrabiego, skoro można zdobyć markiza?

Panna Mayhew ponownie zbladła. Przez chwilę wydawało się, że się zachwiała, tak jakby niegrzeczność Cravena zbiła ją z nóg. Lecz zanim Burke zdążył wyciągnąć dłoń, by uderzyć nicponia, odezwała się słabym głosem:

- Lord Wingate jest moim pracodawcą, Danielu. Zatrudnił mnie jako przyzwoitkę swojej córki, lady Isabel.

Craven przeniósł wzrok z jej pobladłej twarzy na zaciśniętą pięść Burke'a.

- Nie chciałem nikogo obrazić, markizie. Kate i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Trochę się z nią przekomarzałem.

- Nie uważam, aby pannie Mayhew podobało się pańskie przekomarzanie, panie Craven - oświadczył Burke ostrym głosem. - Podobnie jak mnie. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli w przyszłości znajdzie sobie pan do tego kogoś innego.

Craven nie należał do drobnych mężczyzn. Był prawie tak wysoki jak lord Wingate i najwyżej kilkanaście funtów lżejszy. Gdyby doszło do walki, trudno byłoby przewidzieć, kto zwycięży. Co prawda Burke w całym swoim życiu nie przegrał żadnego pojedynku. Miał teraz nadzieję, że Craven rozpocznie walkę, mimo że bitwa na pięści w sali balowej lady Tetmiller nie była z pewnością najlepszym sposobem na zapewnienie Isabel odpowiedniego męża. Mogła jednak bardzo pomóc w uwolnieniu chociaż części napięcia, które nagromadziło się w lordzie Wingate w ciągu ostatnich kilku tygodni...

Ale Craven nie ruszył nawet palcem. Ze skruszoną miną rzekł:

- Bardzo przepraszam. Nie wiedziałem. Proszę mi wybaczyć,

jeżeli wydałem się nieuprzejmy. - Po czym przybrał taką minę, jakby nieoczekiwanie dojrzał w tłumie ludzi kogoś znajomego. - Widzę Barnesa. Proszę mi wybaczyć, jeżeli państwa opuszczę...

I, ku rozczarowaniu Burke'a, oddalił się.

Ale Kate nie wyglądała na ani trochę rozczarowaną. Wręcz przeciwnie, jego odejście sprawiło jej wyraźną ulgę. Tak wielką, że Burke nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Panno Mayhew, kim jest dla pani ten mężczyzna?

Ulgą zniknęła z jej oczu, na jej miejsce zaś sekundę później pojawiło się zniecierpliwienie.

- Mówiłam już panu - odpowiedziała. - Był współnikiem...

- W interesach pani ojca - dokończył za nią markiz. - Tak, właśnie to pani powiedziała. - Zdał sobie sprawę, że nie wyciągnie z niej niczego więcej na ten temat. - Cóż, w takim razie jeżeli będzie znowu panią niepokoił, proszę dać mi znać.

Oczy Kate rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Dać panu znać? - powtórzyła. - Ale co pan mógłby na to poradzić?

Lekko się uśmiechnął, myśląc o jej naiwności.

- Proszę zostawić to mnie - odrzekł.

Ale ona nie była tak naiwna, jak przypuszczał.

- Nie może go pan zabić - oświadczyła z pewną szorstkością. Zmierzył ją wzrokiem.

- Nie mogę? A dlaczegoż to? Mam nadzieję, że nie ma pani zamiaru powiedzieć mi, że jest w nim zakochana i że nie mogłaby znieść widoku jego krwi, skoro widać, że ten człowiek wprost nieprzytomnie panią przeraża.

- Nieprawda - odparła, nieustępliwie wysuwając podbródek. - I to nie dlatego nie może go pan zabić.

- Tak? - Nie mógł nie zwrócić uwagi na to, że z tą niesfornością jest jej nawet do twarzy.

Mając na uwadze liczbę obecnych na sali młodych dziewcząt

strojnych w koronki i brylanty - nie wspominając już o ich starszych siostrach i matkach w jedwabiach i rubinach - nie wydawało się możliwe, by niedawna guwernantka, a obecnie przyzwoitka, mająca na sobie prostą szarą sukienkę z jedwabiu, bez żadnych koronkowych ozdób ani biżuterii, była najładniejszą kobietą na sali. Tak jednak było. Pewnie trafiłyby się mężczyzna, który miałby co do tego wątpliwości, lecz Burke'a obchodziła tylko własna opinia. A według niego, Kate Mayhew była najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek miał okazję widzieć. I właśnie dlatego tego wieczoru, gdy ją poznał, wtedy gdy groziła mu parasolką, powinien był uciekać od niej jak najdalej.

- Dlaczego więc nie wolno mi go zabić? - ponowił pytanie.

- Ponieważ wywołałoby to niepotrzebny skandal - odpowiedziała Kate z niecierpliwością. - Pańska córka nie miałaby innego wyjścia i musiałaby przyjąć oświadczyny Geoffreya Saundersa, bo nikt inny nie zgodziłby się na poślubienie córki markiza z reputacją zabijaki.

Burke zastanawiał się nad jej słowami, podczas gdy jego rozmówczyni nagle wydała się ogromnie zainteresowana zawartością swojej niewielkiej torebki i zaczęła energicznie w niej czegoś szukać. Uświadomił sobie, że jest to ich pierwsze spotkanie od nocnego spotkania w bibliotece, które miało miejsce prawie tydzień temu. Przypuszczał, że jego obecność nieco odbiera dziewczynie odwagę. Przy jej wieku i całkowitym braku doświadczenia było to zupełnie naturalne. Uznał więc, że to on powinien przywrócić ich stosunkom choćby odrobinę normalności i pokazać jej, że jeżeli o niego chodzi, to ten nocny incydent niczego nie zmienił.

To znaczy prawie niczego.

- Zakładam - obserwował, jak panna Mayhew wyciąga z torebki mały złoty zegarek i marszczy czoło, próbując

odczytać godzinę - że Isabel dobrze się czuje. Czy za bardzo nie męczy się, tańcząc tak wiele?

- Och nie. - Panna Mayhew schowała zegarek do torebki i konsekwentnie unikała wzroku swego chlebodawcy. - Czuje się już zupełnie dobrze. Dziś po południu doktor ocenił, że jest całkowicie zdrowa. Obawiam się, że wróciła do wielbienia pana Saundersa z bliska.

- No tak.

Burke pragnął, by wreszcie spojrzała mu w oczy. Nie mógł znieść tego przekłętego skrępowania. Szkoda, że tamtej nocy znudził mu się *Ostatni Mohikanin*. Żałował, że nie został w swoim pokoju. Nie natknąłby się wtedy na pannę Mayhew w nocnej koszuli i nie przekonałby się, że noszony przez nią gorset jest całkowicie zbędny. Jej talia była wystarczająco szczupła i bez niego, a piersi, zakryte teraz jedwabiem, miała małe, lecz tak bliskie ideału.

Kate, która na jednej ze swoich rękawiczek znalazła luźną nitkę, najwyraźniej użyła jej teraz jako pretekstu, by unikać wzroku markiza. Czy była na niego zła, czy jedynie zawstydzona? Czy możliwe, że się mylił, sądząc wtedy, w bibliotece, iż dziewczyna pragnie, by ją pocałował? Że schlebiał tylko swojej próżności?

Burke był jednak pewien, że nikt jej jeszcze nie całował, tak samo jak tego, że jest dziewczicą. Nie miał natomiast pojęcia, jak uwieść dziewczicę. W żadnym wypadku nie chciał jej przestraszyć. Nie mógł skorzystać z doświadczeń swej nocy poślubnej, bo Elisabeth, choć do ołtarza szła w białej sukience, nie była tak niewinna, jak mu się wcześniej wydawało.

- Panno Mayhew - zaczął, podejmując nagle decyzję - chcę, by pamiętała pani o tym, że jeżeli ten człowiek, albo jakikolwiek inny, będzie panią niepokoił, będę bardziej niż szczęśliwy, jeśli zostanie o tym poinformowany.

Przyglądała mu się tak, jakby była przekonana o jego niepełnej pocztytalności.

- Lordzie Wingate, mówiłam już, że pan Craven nic dla mnie nie znaczy, jest jedynie starym...

Burke niemal zgrzytnął zębami.

- Może to i prawda - przerwał jej. - Ale jestem przekonany, że jego intencje wobec pani są nieco inne niż tylko przyjaciel-skie...

Zanim zdążyła otworzyć swe urocze usta, by wejść mu w słowo, ktoś złapał go za ramię.

- Lordzie Wingate? - rozległ się znajomy głos.

Potrząsnął głową, nie chcąc, by ktokolwiek przerywał jego rozmowę z panną Mayhew. Ale kobieta, dotykająca teraz jego łokcia, była niezwykle uparta.

- Markizie? - powiedziała, po czym dodała miękko i kusząco: - Burke?

Poczuł, że cały się spina. Co ona tutaj robiła? Z pewnością nie otrzymała zaproszenia. Bal debutantek nie był dla niej właściwym miejscem. Choć z drugiej strony niektóre organizatorki tak pragnęły, by ich przyjęcie zostało odebrane jako udane, że zapraszały na nie praktycznie każdego, kogo można było zaliczyć - choćby nieco na wyrost - do tak zwanego towarzystwa. Nawet aktorki.

- Nie masz zamiaru przedstawić mnie swojej nowej przyjaciółce, Burke? - Sara zniżyła głos do kociego pomruku i przesunęła dłonią po męskim ramieniu.

Burke przyjrzał się jej uważnie. Jak zwykle, miała staranny makijaż i była doskonale ubrana. Patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że pod jej obfitym biustem - w dużej mierze odkrytym zresztą - bije serce, które, jak zapewniała w swoich kolejnych listach, jest ciągle złamane po tym, jak ukochany mężczyzna okrutnie ja porzucił.

Burke ani trochę nie wierzył w jej gorące listowne zapewnienia.

- Nie - odpowiedział krótko i wyszarpnął ramię z jej uścisku.

Jego była kochanka zamrugała, wyglądając niczym zraniona łania. Tę minę doprowadziła do perfekcji, ćwicząc ją przez wiele godzin przed lustrem. Burke wiedział o tym, gdyż był czas, kiedy z przyjemnością obserwował te próby.

- Lordzie Wingate - odezwała się urażonym głosem. - Czy w taki sposób powinno się traktować starą przyjaciółkę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się panna Mayhew:

- Oczywiście, że nie, pani Woodhart. Ale widzi pani, nie jestem nową przyjaciółką lorda Wingate. Nazywam się Katherine Mayhew i jestem przyzwoitką córki jego lordowskiej mości.

Zraniona mina zniknęła z pięknej twarzy pani Woodhart, a na jej miejscu pojawił się wyraz czegoś, co markiz uznał za podejrzliwość.

- Och - rzuciła znacząco. - Przyzwoitka.

- Kilka miesięcy temu widziałam plakat z panią jako lady Makbet - kontynuowała Kate. - Rozpoznałam panią.

- Rozumiem. - Sara uniosła brwi.

Burke wiedział, że nie zwiastuje to niczego dobrego. Jego była kochanka miała zamiar powiedzieć coś impertynenckiego. Aby ochronić pannę Mayhew i nie dopuścić do jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji, szybko wyciągnął dłoń i uściśnął pulchne ramię Sary.

- Pani Woodhart, czy zechciałaby pani ze mną zatańczyć? - spytał z desperacją.

- Oczywiście, Burke.

Ale nie udało mu się odprowadzić jej wystarczająco szybko, bo zanim znaleźli się na parkiecie, Sara oświadczyła:

- Cóż, teraz już wiem, co pochłaniało cały twój czas w ciągu ostatnich kilku tygodni, Burke.

Kate, oczywiście, usłyszała to. Każdy zresztą słyszał. Właśnie o to Sarze chodziło. Uważała się za pokrzywdzoną, choć Burke wiele razy podkreślał, że to on nakrył ją z innym. Zawsze szczyił się tym, że wszystkie jego poprzednie związki - z wyjątkiem małżeństwa - kończyły się we względnie przyjaznej atmosferze. Jednak najwyraźniej nie w przypadku Sary Woodhart.

Przekonał się o tym ostatecznie, gdy kilka minut później tańcząca z nim kobieta, poinformowana o tym, że w jego życiu nie ma już dla niej miejsca, spoliczkowała go. Burke zagroził wtedy Sarze, że jeśli jeszcze raz odezwie się do niego na przyjęciu, na którym będzie razem z córką, osobiście dopilnuje, by jakiegokolwiek teatralne przedsięwzięcie z jej udziałem nie otrzymało żadnego wsparcia finansowego.

Większość gości, z pewnością także gospodyni, widziało, albo przynajmniej słyszało, co się stało, w każdym razie wszyscy ujrzeni, jak Sara opuszcza salę balową, a jej suknia kołysze się wściekle na boki.

Kate Mayhew nie była wyjątkiem.

17

Panno Mayhew, Geoffrey mówi, że musi mnie o coś zapytać - oznajmiła marzycielsko Isabel, siedząc w kącie powozu.

Kate, która zajęła miejsce w drugim kącie, nic nie odpowiedziała. Była zbyt zajęta innymi sprawami, by zwracać uwagę na paplaninę podopiecznej.

- Czy słyszała mnie pani, panno Mayhew? - Isabel pochyliła się w jej stronę. - Powiedziałam, że Geoffrey mówi, że musi mnie o coś zapytać.

- Pan Saunders - poprawiła ją Kate automatycznie. - Nazywanie młodych mężczyzn po imieniu jest wulgarne, chyba że są z panienką spokrewnieni.

- Dobrze więc. Pan Saunders mówi, że musi mnie o coś zapytać.

- Cóż. - Kate uznała, że jeśli nie wykaże teraz zainteresowania, jej podopiecznej może się to wydać dziwne i choć jej myśli błądziły gdzie indziej, zapytała: - Dlaczego pan Saunders nie zadał tego pytania dzisiejszego wieczoru, jeżeli jest ono tak ważne? Nie mógł przecież narzekać na brak sposobności. Ile przetańczyliście razem tańców?

- Cztery -- odpowiedziała Isabel wciąż marzycielskim głosem.
 - W takim razie miał wiele okazji. Czasami nie potrafię się powstrzymać od myślenia, że intelektowi pana Saundersa czegoś brakuje.

Jej podopieczna ani trochę się nie obraziła na tak jawną krytykę ukochanego.

- Przypuszczam, że nie zadał mi tego pytania na dzisiejszym balu, ponieważ potrzebuje do tego nieco bardziej romantycznej atmosfery - rzekła. - U lady Tetmiller jej nie było, prawda, panno Mayhew?

Kate nie od razu udzieliła odpowiedzi. Atmosfera romantyzmu - a raczej jej brak - nie była tym, co w tej chwili zaprzętało jej głowę. Nie, myślała o czymś, co się wydarzyło tuż przed opuszczeniem przez nie balu: o Danielu Cravenie, który przez cały wieczór zostawił ją w spokoju po ostrzeżeniu, jakiego udzielił mu lord Wingate, by na samym końcu nagle pojawić się przy niej, chwycić ją za rękę, poprowadzić za filar i zapytać zatroskanym głosem:

- Kate? Czy wszystko w porządku? Przy lordzie Wingate odniosłem wrażenie, że być może...

Tym razem była przygotowana lepiej niż przed godziną, kiedy to pojawił się znikąd i zaczął uprzejmie rozprawiać o ich dawnej znajomości. Teraz nawet nie zbłądła, lecz przerwała mu spokojnie:

- Wszystko w porządku, panie Craven. Życzyłabym sobie jedynie...

- Panie Craven? - Wyglądał na zbitego z tropu. Ściskając jej dłoń, dodał: - Pamiętam, że kiedyś zwracałaś się do mnie po imieniu.

Spoglądając na ich złączone dłonie, Kate odpowiedziała:

- Też to pamiętam, panie Craven. Ale to było dawno temu. Przed pożarem...

- Do diabła z pożarem! - zawołał porywczo Daniel. - Czy jeden przeklęty pożar zmienił wszystko tak bardzo, że już nie masz czasu dla dawnych przyjaciół?

Zamrugła ze zdumieniem.

- Oczywiście, że tak, panie Craven. Pożar zmienił wszystko. Powinien pan to wiedzieć. Był pan tam przecież.

Daniel puścił jej dłoń tak gwałtownie, jakby zaczęła nagle parzyć.

- Co masz na myśli? - zapytał nieco zbyt szybko, wpatrując się w nią bladoniebieskimi oczami. - Co chciałaś powiedzieć? Nie było mnie tam, Kate. Nie było mnie nigdzie w pobliżu...

Nie dosłyszała reszty jego wypowiedzi, ponieważ Isabel zaczęła ją wołać, szalejąc z powodu zawieruszonej gdzieś rękawiczki. Ale teraz, podskakując w wiozącym je do domu powozie, była na siebie zła. Dlaczego wspomniała o jego obecności w domu jej rodziców tamtej nocy? Co jej znowu przyszło do głowy? Przecież jego tam nie było, przekonywała się w duchu.

- A więc? - Isabel przywołała ją do rzeczywistości. - Zgadza się pani ze mną, panno Mayhew? Że atmosferze na balu lady Tetmiller brakowało romantyzmu?

Kate, starając się odzyskać równowagę, odparła ze śmiechem:

- Romantyzm? Uważam, że nie jestem upoważniona do odpowiadania na tego typu pytania, bo, według pani, jestem o wiele za stara na marzenie o tym, że zechce mnie jeszcze jakiś mężczyzna.

- Och. - Isabel machnęła niedbale ręką. - Znam przynajmniej jednego mężczyznę, który bardzo pani pragnie, panno Mayhew. Ale teraz rozmawiamy o mnie. Jestem przekonana, że Geoffrey zamierza mnie spytać, czy za niego wyjdę.

- A z czego zamierzacie żyć? Blaskiem księżycy i poranną rosą? Wie przecież pani, że pan Saunders ma więcej długów niż możliwości ich spłacenia.

- Będę po prostu musiała przekonać papę, by spłacił jego długi - odrzekła Isabel, wzruszając ramionami. - A wtedy razem zaczniemy wszystko od początku.

- Ojciec panienki prędkiej zaakceptuje Papuasa z Nowej Gwinei jako kandydata na zięcia niż Geoffreya Saundersa.

- Nie martwię się papą - oświadczyła Isabel, znów machając ręką. - Uważam, że zrobi wszystko, o co go tylko poproszę po tej dzisiejszej, niezmiernie krępującej scenie.

Kate udawała, że wygląda przez okno.

- Nie rozumiem, o czym panienka mówi - skłamała.

- Och, panno Mayhew, proszę nie udawać, że pani tego nie widziała. Pani Woodhart uderzyła go tak mocno, że słychać to było pewnie aż w Newcastle. Nigdy w życiu nie poczułam się tak upokorzona. Naprawdę. Wszyscy moi przyjaciele są przekonani, że papa powiedział coś lubieżnego, by ją obrazić.

Kate, wpatrując się w swoją podopieczną, uniosła z zaskoczeniem brwi.

- Lubieżnego?

- Tak. Czy to nie fantastyczne słowo? Wyczytałam je w jednej z pani książek. Nie pamiętam już w której.

Kate odwróciła głowę do okna.

- Jestem pewna - odezwała się po chwili ciszy - że się tylko pokłócili. Pani Woodhart jest aktorką i najprawdopodobniej dzisiaj za bardzo się wczuła w rolę. Jestem pewna, że nie chodziło o nic lubieżnego.

- Oni się nie kłócili - oświadczyła Isabel tonem osoby dobrze poinformowanej. - Papa rzucił ją wiele tygodni temu. Nie ma kochanki, odkąd pani, panno Mayhew, pojawiła się w naszym domu.

Jej opiekunka udawała, że podziwiała przejeżdżający tuż obok mały powozik.

- Nigdy nie zrozumieję, skąd panienka o tym wszystkim wie - mruknęła.

- To nic trudnego. Duncan mi powiedział.

Kate potrząsnęła z dezaprobatą głową.

- Nie powinna panienka słuchać plotek służby, lady Isabel. Powinna o tym panienka pamiętać.

- E tam. Każdy w naszym domu, jeśli nie cały Londyn, wie, że papa jest teraz zakochany w pani, panno Mayhew.

Kate natychmiast odwróciła głowę od okna i spojrzała z przerażeniem na swoją podopieczną.

- Lady Isabel! - zawołała łamiącym się głosem. Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Kiedy to prawda. - Isabel, przypominając nieco Lady Babbie, która właśnie złapała szczególnie tłustą mysz, skuliła się na swoim siedzeniu z zadowoloną miną. - Z pewnością zauważyła pani, że on pani unika, kiedy jesteśmy w domu. Ale potem udaje się za nami wszędzie, dokąd tylko jesteśmy zaproszone. Nic na to nie może poradzić. Jestem przekonana, że codziennie rano, budząc się, powtarza sobie: „Muszę dzisiaj za wszelką cenę unikać panny Mayhew”. - Zniżyła głos, fantastycznie naśladowując głęboką barwę głosu ojca. - Ale do wieczora z jego postanowienia nic nie pozostaje, ponieważ naprawdę trudno się pani oprzeć, panno Mayhew. Tak jak czekoladzie.

- Lady Isabel - rzuciła Kate z całą surowością, na jaką ją tylko było stać. - Musi panienka natychmiast przestać. Nie okazuje panienka należnego ojcu szacunku, dla mnie natomiast także nie jest to miłe.

Isabel ją zignorowała.

- Nawet pani Cleary coś o tym kiedyś wspomniała. Powiedziała: „To nie w stylu jego lordowskiej mości nie przychodzić na kolację. A przecież w ciągu ostatnich trzech miesięcy praktycznie nigdy nie ma go w domu”. I właśnie od trzech

miesiący jest pani u nas, panno Mayhew. Unika pani prawdopodobnie dlatego, że sam pani widok doprowadza go do szału pożądania.

Kate, uświadamiając sobie, że im bardziej będzie protestować, tym dłużej dziewczyna będzie roztrząsać ten temat, rzekła tylko:

- Ciekawajestem, gdzie panienka znalazła takie wyrażenie. Na pewno nie pochodzi z żadnej z moich książek.

- Papie nie zdarzyło się jeszcze przez trzy miesiące nie mieć kochanki - kontynuowała niestrudzona Isabel. - Raz wytrwał przez sześć tygodni, ale tylko dlatego, że podczas jazdy konnej zranił sobie nogę. Jednak gdy tylko doktor pozwolił mu wychodzić z domu, znalazł sobie następną. Musi naprawdę być w pani zakochany, panno Mayhew, w przeciwnym wypadku już dawno znalazłby sobie kogoś na miejsce pani Woodhart.

- Proszę spojrzeć - bąknęła Kate. - Jesteśmy już w Park Lane.

Dzięki Bogu.

- Być może moglibyśmy mieć podwójne wesele - powiedziała zamyślona Isabel. - Pani z papą i ja z Geoffreyem. Czyż nie byłoby wspaniale, panno Mayhew? Tak ładnie wyglądalibyśmy razem. Pani z papą bardzo do siebie pasujecie. Pani ma takie małe urocze usta, a on jest taki duży i groźnie wyglądający.

Kate nie mogła dłużej ignorować tego tematu.

- Lady Isabel! - wybuchnęła. - Mam nadzieję, że nie mówi panienka poważnie. Nie może panienka sądzić, że mężczyzna z pozycją lorda Wingate rozważałby możliwość poślubienia kogoś takiego jak ja.

Wyglądało jednak na to, że jej podopieczna mówi jak najbardziej poważnie.

- Dlaczego nie, panno Mayhew? Nie jest pani przecież aktorką albo... albo jakąś tancerką.

- Markizowie - zaczęła powoli Kate, mając nadzieję, że

zakończy tym tę bezsensowną rozmowę - nie żenią się z przyzwoitkami ich córek.

Isabel uniosła wysoko podbródek.

- A właśnie, że tak, jeżeli tym markizem jest mój ojciec, a przyzwoitka pani, panno Mayhew - stwierdziła nieustępliwie.

Powóz zatrzymał się. Kate wydała westchnienie bezgranicznej ulgi. Gdy lokaj pomagał jej wysiąść, ledwie śmiała spojrzeć mu prosto w oczy. Dobry Boże, myślała, czy Bates też uważa, że lord Wingate jest we mnie zakochany?

W korytarzu, kiedy Vincennes wyszedł, by zapytać, czy może mają jakieś życzenia przed położeniem się spać, nie mogła się powstrzymać od podobnych myśli. A gdy znalazła się wreszcie w swoim pokoju, ściągnęła sukienkę i usłyszała dochodzący z sąsiedniego pokoju śmiech pokojówki Isabel, pomyślała: o nie, nie Brigitte...

Wczołgując się pod kołdrę, po raz tysięczny zapytała siebie, dlaczego nie rzuciła tego wszystkiego i nie zgodziła się wyjść za Freddy'ego. Wszystko byłoby prostsze, gdyby tak zrobiła. To prawda, nie kochała go, ale zaczynała uważać, że miłość to nic przyjemnego. Freddy co prawda ostatnio nie ponowił swojej propozycji - ich przyjaźń zawisła najwyraźniej na włosku przez wiedeńską sopranistkę - ale Kate była przekonana, że Freddy nie odmówiłby, gdyby z nim o tym porozmawiała.

Słabym punktem takiego planu - oczywiście poza matką Freddy'ego - był fakt, że chociaż fizycznie oddaliłoby to Kate od lorda Wingate, nie było żadnych gwarancji, że wyrzuciłaby go także ze swych myśli, w których pojawiał się bez przerwy od tamtej pamiętnej nocy w bibliotece. Nie byłoby z jej strony uczciwie wychodzić za Freddy'ego, skoro wiedziała, że jest zakochana w kimś innym... Jeżeli to, co czuła do markiza, było rzeczywiście miłością. Nie była do końca przekonana, że to

najodpowiedniejsze słowo. Bardziej właściwe byłoby wyrażenie Isabel: „Szał požądania”.

Sen, który ostatnio bardzo lubił się spóźniać, dzisiejszej nocy okazał się dość szybkim gościem. Jak zwykle śniła o swoim pracodawcy - tym razem oboje znajdowali się na drabinie w bibliotece, oczywiście nago - kiedy nagle zbudził ją dobrze znany dźwięk. Natychmiast usiadła i z niedowierzaniem popatrzyła w stronę okna. I wtedy dźwięk się powtórzył. Uderzenie kamyka o szybę. Ten idiota zrobił to po raz drugi. Po jej groźbach nie bał się przyjść ponownie, by niewątpliwie zadać Isabel to przekłete pytanie, o którym tak długo trajkotała.

Tym razem tego pożałuje. Zawoła lorda Wingate. Zobaczmy, kto wygra.

Odrzuciwszy kołdrę, Kate pośpiesznie naciągnęła na siebie peniuar. Jednak gdy się znalazła na korytarzu, uświadomiła sobie, że nie może iść i obudzić pracodawcy. To by oznaczało pojedynek, bo mężczyznę z jego temperamentem nie usatysfakcjonowałyby słowna reprimenda. A wieści o pojedynku szybko się roznoszą, pojawiłyby się niemożliwe do uniknięcia plotki. Kate była pewna, że na tym by się nie skończyło, że ludzie rozpowiadaliby o tym, jak to ojciec Isabel znalazł pana Saundersa w sypialni córki i wyrzucił go przez okno...

Nie. Nie mogła obudzić markiza. Musiała sama poradzić sobie z tą sytuacją. Da Geoffreyowi Saundersowi kolejny pokaz tego, jaka potrafi być, gdy zostanie do tego odpowiednio sprowokowana.

Kiedy otworzyła szeroko drzwi do ogrodu, zdała sobie sprawę, że się myliła. To nie Geoffrey Saunders był w ogrodzie, lecz Daniel Craven.

- Wreszcie jesteś - rzekł, opuszczając dłoń z kamykiem, który najwyraźniej za chwilę miał trafić w jej okno. - Dzięki Bogu. Już się martwiłem, że celuję w niewłaściwe okno.

Kate, której zupełnie odebrało mowę, była w stanie jedynie stać w bezruchu i wpatrywać się w intruza. Uznała, że musi być pijany. Nie istniało inne wytłumaczenie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła. - Craven upuścił kamyk i wytarł dłoń o spodnie. - Spytałem tego chłopaka, tego, z którym tak zaprzyjaźniona jest ta twoja mała lady Isabel, jaki jest najlepszy sposób, by się do ciebie zbliżyć, bez towarzyswa twego potężnego pracodawcy, i polecił mi właśnie to. Chyba nie jesteś na mnie zła, Kate?

Potrząsnęła głową. I bynajmniej nie w odpowiedzi na jego pytanie; po prostu nie mogła do końca uwierzyć w to, co właśnie widzi.

- Co ty tutaj robisz? - wyszeptała chrapliwie.

- Czy to nie oczywiste, Kate? - Uśmiechnął się do niej. Wiedziała, że ten uśmiech miał rozwiać jej obawy, lecz wywołał wzdłuż jej kręgosłupa dreszcz strachu. - Musiałem przyjść. Po tym, co powiedziałaś dzisiaj na balu...

Zamrugwała.

- Co ja powiedziałam? Co, do diabła, mogłam takiego powiedzieć, że skłoniło cię to do zrobienia czegoś tak... tak głupiego?

- Głupiego? - Nie wyglądało na to, by spodobało mu się to słowo. Z jego twarzy zniknął uśmiech. - Co jest głupiego w tym, Kate, że się pragnąłem z tobą zobaczyć?

- Możesz się spotkać ze mną rano - odpowiedziała. - Jak normalny człowiek, pukając do frontowych drzwi. Ale to... to jest szaleństwo, Danielu. Tak się składa, że potrzebuję tej pracy. Kto jak kto, ale ty powinienes wiedzieć jak bardzo. Chcesz, żebym została zwolniona?

Wydawało się, że się trochę odprężył.

- Oczywiście, że nie - rzekł. - Jak mogłaś w ogóle pomyśleć o czymś takim? Chodzi o to, że nie wygląda na to, by twój

lord Wingate zbyttnio mnie lubił. Nie byłbym pewny, czy pozwoliłby mi się z tobą spotkać w normalny sposób. Jak mogłaś się zgodzić pracować dla kogoś takiego?

- Mój pracodawca jest bardzo miłym człowiekiem - odrzekła wojowniczo Kate. - I będę ci wdzięczna, jeżeli opinie o nim zachowasz dla siebie. Pomijając wszystko inne, nie miałam zbyt dużego wyboru. Niektórzy muszą pracować na swoje utrzymanie. Nie wszyscy jesteśmy w posiadaniu kopalni diamentów.

Wzdrygnął się, jakby otrzymał od niej policzek.

- Kate - rzekł głosem, który, jak podejrzewała, miał być czuły i pełen troski.

Natychmiast mu przerwała.

- Danielu, myślę, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast stąd odejdziesz.

Wyglądał na jeszcze bardziej zranionego.

- Kate - rozpostarł ramiona - jak możesz tak mówić? Mamy sobie tyle do powiedzenia, ty i ja. Wciąż nie powiedziałem ci, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło... wiesz, pomiędzy twoim ojcem a mną. To, co o mnie opowiadał, nie było prawdą. To znaczy wiem, że prędzej uwierzysz w jego słowa niż w moje, ale naprawdę przysięgam, że nie przywłaszczylem sobie niczych pieniędzy. Nie winię go za szukanie kozła ofiarnego, lecz...

Kate zimno mu się przyglądała.

- Sugerujesz, że zabrał je mój ojciec? - spytała spokojnie.

- Boże, nie, Kate. Nie wiem, co się z nimi stało. Przysięgam, że to prawda. Przypuszczam, że to było tchórzostwo z mojej strony wyjeżdżać w taki sposób, ale... cóż, wtedy wydawało mi się to najwłaściwszym rozwiązaniem. Wciąż tego żałuję. Nawet nie wiesz jak bardzo. Tak jak tego, że nie byłem z tobą wiesz, po... po pożarze. Po tym strasznym pożarze. Twój ojciec

był wspaniałym człowiekiem, Kate. Dobrym człowiekiem, mimo tego... mimo tego, co myślą inni. Ty i ja znamy prawdę.

Kate zauważyła, że mówiąc, Craven zbliża się do niej stopniowo. Ona z kolei powoli się cofała, aż poczuła za sobą drzwi do biblioteki.

- Sądzę, że powinieneś już pójść, Danielu - rzekła ostrożnie.

- Czułem się tak okropnie - kontynuował, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Nie miałem pojęcia, że twój ojciec tak się tym wszystkim przejmie. Nigdy nie sprawiał wrażenia, że jest typem człowieka, który jest w stanie zabić siebie, nie mówiąc już o pociągnięciu za sobą twojej biednej matki...

Kate już chciała powiedzieć o podejrzeniach, które żywiła od tamtej okropnej nocy, choć wszystko wewnątrz niej krzyczało, że popełni okropny błąd. Nagle dostrzegła, że z twarzy Daniela odpłynęła cała krew.

Sekundę później odwrócił się i ruszył biegiem w stronę otaczającego ogród muru. Nie miała najmniejszego pojęcia, z jakiego powodu tak łatwo się poddał i dlaczego nagle wyglądał na przerażonego, dopóki nie poczuła, że gałka w drzwiach za jej plecami się przekręca. I wtedy usłyszała głęboki głos swego pracodawcy, w którym niezaprzeczalnie pobrzmiwał gniew.

- Panno Mayhew, czy mogę panią prosić na słówko?

18

Markizie - Kate pospiesznie się odwróciła - mogę wyjaśnić...

Ale nie otrzymała na to szansy. Jej głos załamał się, gdy spojrzała na twarz swego chlebobdawcy. Nawet jeśli nigdy nie wydał jej się wyjątkowo urodziwym mężczyzną, to nie odmawiała mu męskiego uroku. Są ludzie, którym gniew przydaje wdzięku, lord Wingate jednak zdecydowanie do nich nie należał. Jego twarz była siną maską, usta miał ściągnięte, a zielone oczy gniewnie lśniły w panującej w bibliotece ciemności, bo tym razem nie przyniósł ze sobą świecy.

Kate przełknęła z trudem ślinę i zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, coś wystrzeliło z otaczającej mężczyznę ciemności i zacisnęło się na jej nadgarstku. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że to ręka markiza i że gdyby miała choć trochę rozumu, pobiegłaby za Danielem Cravenem, by w ten sposób ocalić życie. Tymczasem wpatrywała się w swego pracodawcę, który mimo że wciąż miał na sobie wyjściowy strój, rozluźnił fular i rozpiął większość guzików koszuli, tak że jego szeroka, pokryta włosami klatka piersiowa była doskonale widoczna.

Kate, stojąc bez ruchu, zastanawiała się, jakie to byłoby uczucie przesunąć dłonią po jego umięśnionym brzuchu, kiedy nagle odkryła, że jest stanowczo za blisko niego, markiz bowiem gwałtownie pociągnął ją za sobą w ciemność.

Kate, która nigdy dotąd nie miała najmniejszego problemu ze znalezieniem odpowiednich słów, tym razem zaniemówiła na dobre. Gdy znaleźli się w bibliotece, jej pracodawca kopnął drzwi, a kiedy te zamknęły się z trzaskiem, chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Kate doszła do wniosku, że jego furia jest jednak nieco nieadekwatna do sytuacji.

- Czy towarzyszył pani w ogrodzie pani kot, panno Mayhew? - zapytał ostro. - Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że taką wymówką nie wykpi się pani po raz drugi. Widziałem go całkiem wyraźnie, więc proszę nie obrażać mojej inteligencji próbą kłamstwa.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Markiz niewątpliwie pił, gdyż w jego oddechu wyczuwała zapach whisky. Jednak nie wyglądał na zamrozonego alkoholem. Nie mówił bełkotliwie, pewnie się trzymał na nogach. Tylko dlaczego zachowywał się jak opętany zazdrością mąż?

- Powinna była pani dać mi znać, że brak pani męskiego towarzystwa, panno Mayhew - syknął. - Może nie jestem tak przystojny jak lord Palmer, ale byłoby pani wygodniej, bo żeby się ze mną spotkać, nie musiałaby pani wykradać się po północy do ogrodu. Moja sypialnia znajduje się przecież na drugim końcu korytarza.

Powoli Kate zaczęła wszystko rozumieć. Lord Wingate sądził, że w ogrodzie był Freddy, a nie Daniel Craven. Zobaczył, że rozmawia ona z jasnowłosym mężczyzną, i uznał... O rety! Zdążyła tylko pomyśleć, że skoro jej pracodawca jest tak rozwścieczony, to z pewnością nie uwierzyłby jej, gdyby

powiedziała prawdę. Wtedy lord Wingate przyciągnął ją do siebie i rozpląszczył jej usta swoimi wargami.

Spędziła więcej godzin, niż przyznawała się do tego przed sobą, na fantazjowaniu o tej właśnie chwili. Ale żadne z jej marzeń nie przygotowało jej na to, co się działo naprawdę. Ponieważ w jej wyobraźni markiz nie miał kłujących jej delikatną skórę bokobrodów. Jego wargi nie były też tak silne, tak nieustępliwe. Nie wdzierał się tak gwałtownie do jej ust.

I w snach Kate, oczywiście, nigdy nie trzymał jej tak mocno, nie przyciągał z taką siłą do swej klatki piersiowej. Jego dłonie nie przesuwają się w górę i w dół po cienkim materiale peniuaru. I nigdy żadna z nich nie zbliżyła się tak bardzo do jej piersi.

Jednak rzeczywistość była zdecydowanie przyjemniejsza.

W chwili gdy Kate poczuła na piersi palce lorda Wingate, jej zamknięte do tej pory oczy szeroko się otworzyły. Co on wyprawiał? Odpowiedź powinna być oczywista, nawet dla kobiet tak niedoświadczonych jak ona. Pragnął się z nią kochać gwałtownie i namiętnie.

A jej się to podobało, i to bardzo.

Kate całowała się już, ale, oczywiście, nie w taki sposób; wtedy jednak nie czuła nawet w przybliżeniu tego co w tej chwili. Nigdy jednak nie pozwoliła mężczyźnie dotykać jej w sposób, w jaki teraz robił to markiz. Szczerze mówiąc nawet nie chciała, by ktokolwiek jej tak dotykał. A teraz pragnęła tego doprawdy bezwstydnie. Gdy męska dłoń ujęła jej pierś, Kate wspięła się na palce i zarzuciła ramiona na szyję markiza. Jaka kobieta zachowuje się w taki sposób? Jakiej kobiecie podoba się coś takiego?

Najwyraźniej Kate Mayhew.

A co tam, pomyślała. A potem nie była już w stanie myśleć, ponieważ jej peniuar opadł nagle na podłogę, a po chwili obie

dłonie markiza zamknęły się na jej piersiach. Wciąż ją całował, tak że w pewnej chwili zabrakło jej tchu.

Lord Wingate był tak wysoki, że musiała wspinać się na palcach. Dostrzegłszy to, puścił jej piersi, a chwycił za pośladki i ją uniósł. Zrobiła to, co w jednym ze swoich snów: owinęła nogi wokół jego pasa. Tyle że we śnie zaraz po tym się obudziła, zanim miała okazję poczuć napierającą na nią twardość.

Nie mogła zobaczyć, dokąd markiz ją niesie, ale kiedy poczuła pod sobą coś płaskiego i twardego, zdała sobie sprawę, że posadził ją na brzegu drewnianego biurka. Nie tam, pomyślała, gdzie kochali się w jej śnie, ale zaczynała uważać swoje sny za niezwykle blade w porównaniu z tym, co działo się naprawdę. Zwłaszcza kiedy, wciąż całując Kate, lord Wingate zdjął z niej na wpół przezroczystą koszulę nocną.

Wtedy, ku jej rozczarowaniu, przestał ją całować. W pomieszczeniu głośnym echem rozległ się dźwięk oddzielających się od siebie ust. W bibliotece było ciemno, mimo to Kate widziała, że jej pracodawca stoi w bezruchu, wpatrując się w nią. Przypuszczała, że powinna starać się czymś natychmiast zakryć - była przecież zupełnie naga. Ale uznała, że skoro ona miała już okazję widzieć go niczym nie okrytego, powinna się odwdziżyć w podobny sposób. Poza tym całkiem podobało jej się to, że markiz nie może oderwać od niej wzroku. Oparła się więc na łokciach i pozwoliła mu patrzeć, aż z jękiem upuścił na podłogę jej koszulę nocną i z powrotem przyłgął do jej ciała, tym razem przywierając ustami nie do jej warg, lecz do brodawki piersi.

Było to dla Kate coś tak nieoczekiwanego, że ze zdumienia prawie zsunęła się z biurka. Fala gorąca, która ją zalała, gdy całował jej piersi, nie mogła się równać z niczym, co czuła wcześniej. Ale to było nic w porównaniu z tym, czego doświadczyła, gdy palce markiza nagle wsunęły się między jej

nogi. Zaczął ją gładzić w miejscu, które dotykała nocami prawie od tygodnia.

Wsunęła dłonie pod jego koszulę i zaczęła głaskać napięte ramiona. Zdziwiło ją to, co poczuła. Jego ciało było tak silne i twarde, jak zawsze sądziła, ale tam, gdzie nie było owłosione, skórę miał bardzo delikatną. Markiz chyba odgadł jej ciekawość, bo natychmiast ściągnął przeszkadzającą jej koszulę. Po chwili znowu przywarł całym ciałem do Kate, tyle że teraz między udami nie czuła już jego palców, ale napierającą przez gruby materiał spodni męskość. Zapragnęła nagle ją uwolnić, lecz nie miała pojęcia, w jaki sposób mężczyźni zapinają spodnie. Markiz ją w tym wyręczył; pośpiesznie oderwał się od niej i zdjął je niecierpliwie, po czym ponownie przytulił się do Kate.

I wtedy zrozumiała, skąd się brał ból oraz pustka, które odczuwała od pierwszego pamiętnego snu z lordem Wingate w roli głównej. Nie mogła się doczekać, kiedy bohater jej snów wreszcie ją sobą wypełni.

Nagle, zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, dłonie markiza ponownie zacisnęły się na jej pośladkach. Przesunął ją na sam brzeg biurka, wciąż całując.

Nagle przeszył ją ból. Z jękiem oderwała usta od warg markiza i zatopiła paznokcie w ramionach, które podziwiała od tak dawna. Musiała zagryźć dolną wargę, by się powstrzymać od głośnego krzyku.

Ale było za późno. Została rozerwana; Kate była o tym święcie przekonana. Rozerwał ją na pół i teraz prawdopodobnie umierała. Przyłgnęła do męskiego ciała, czując, jak z jej oczu zaczynają spływać łzy. Umrze tutaj, w jego ramionach...

Cóż, sama się o to prosiła.

Ale po chwili ból nieco się zmniejszył.

- Panno Mayhew? - odezwał się cicho markiz.

Z jakiegoś powodu rozśmieszyło ją to, chociaż trudno jej było się śmiać w takim momencie.

- Sądzę, że w tej sytuacji lepiej będzie, jeśli będzie się pan zwracał do mnie po imieniu - powiedziała.

- Dobrze, Kate. - Uniósł głowę, by na nią spojrzeć. Musiał dojrzeć łzy, bo ujął jej twarz i wytarł je kciukami. - Piękna Kate - wyszeptał, ponownie opuszczając głowę.

Po chwili wymówił jej imię po raz trzeci, tym razem z porbrzmiewającą w głosie desperacją. I wtedy, tak jakby nie mógł się dłużej powstrzymać, jakby bardzo się starał, ale nie był w stanie, zatopił się w niej jeszcze głębiej...

Ale jej to już nie bolało. Tak naprawdę było jej zupełnie przyjemnie. Ba, czuła się tak, jakby tęskniła za tym przez całe życie i wreszcie to otrzymała.

Może jednak nie umrze.

Po chwili, gdy markiz zaczął się w niej poruszać, najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej, wiedziała już na pewno, że nie umrze. Chyba że już nie żyła, nie wiedząc o tym, i teraz znalazła się w niebie, ponieważ czuła się doprawdy rozkosznie. Jak w raj. Ponownie objęła go nogami w pasie i przyłgnęła do niego z taką mocą, jakby nie miała zamiaru więcej go puścić.

I wtedy stało się to, co się działo przez cały tydzień, kiedy tylko wsuwała dłoń między uda i myślała o nim. Tyle że jeszcze nigdy to doznanie nie było tak intensywne. Nagle wydało jej się, że cały świat rozpryskuje się na miliony złocistych drobinek, a ona jest jedną z nich...

Kiedy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że znajduje się na biurku w bibliotece lorda Wingate, a on opadł na nią i ciężko oddycha.

19

Oczywiście nie będziesz już przyzwoitka Isabel - rzekł lord Wingate znad poduszki.

Kate popatrzyła na ciemnoniebieski baldachim nad jej głową. Wydawał się jej tak odległy. Sufit w sypialni lorda Wingate był bardzo wysoko, a baldachim prawie go dosięgał.

- Tak? - spytała. - A dlaczego?

Zadawała sobie to pytanie już od wielu godzin, po tym, jak zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła.

- Nie chciałaś mieć wolnych wieczorów? - zapytał markiz leniwie. - Żeby spędzać je ze mną?

- Oczywiście.

- Tak wiele chciałbym ci pokazać - dodał.

Leżał obok Kate, opierając się na łokciu. Drugą ręką gładził gładką białą skórę na jej biodrze. Nie przestawał jej dotykać - bawił się jej włosami, głaskał po twarzy, trzymał za rękę - od chwili, gdy w bibliotece podniósł głowę z jej szyi i rzekł bez tchu:

- Jesteś moja.

I to wszystko. Dwa słowa: jesteś moja.

Kate nie oczekiwała wprawdzie propozycji małżeństwa, zapewnienia o miłości czy podziękowania. Nie miała może wielkiego doświadczenia, ale nie była także zupełnie naiwna. Mimo to, słowa markiza wydały jej się dziwne. Ton, w jakim zostały wypowiedziane, pasowałby raczej do barbarzyńcy, zadowolonego z wyniku polowania. Rozumiała, iż markiz może czuć pewnego rodzaju satysfakcję. Sama doznawała czegoś podobnego, w każdym razie jeśli chodziło o jej ciało. Bo z drugiej strony była przekonana, że właśnie popełniła najgorszy błąd w życiu.

Lord Wingate jednak nie wydawał się mieć podobnych obaw. Od chwili, kiedy triumfalnie ogłosił ją swoją własnością, rozprawiał o ich wspólnej przyszłości. Przyszłości, w której - jak szybko się upewniła - Kate nie będzie już zatrudniona jako przyzwoitka jego córki. Teraz czekało ją nowe, bardziej dostatnie życie: zostanie utrzymanką lorda Wingate.

- Zaraz po śniadaniu - ciągle gładził jej biodro - pojedziemy oglądać domy. Wydaje mi się, że słyszałem, iż w Cardington Crescent są urocze posiadłości do wynajęcia. Czy chciałaś tam zamieszkać?

- Dlaczego nie mogę dalej mieszkać tutaj? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ponieważ ludzie będą plotkować. I Isabel nie powinna się o niczym dowiedzieć.

Kate ponownie popatrzyła na baldachim. Bolało ją przyglądanie się markizowi, szczególnie nagiemu, tak jak w tej chwili. Wciąż ją niezwykle pociągał, mimo że kochali się... och, wiele razy, tak że straciła już rachubę. Po tym, jak wypowiedział to tajemnicze: „Jesteś moja”, delikatnie, jakby była dzieckiem, wziął ją na ręce i zaniósł po schodach, by położyć nie, jak sądziła wcześniej, w jej własnym łóżku, ale w swojej sypialni.

Potem przygotował dla niej gorącą kąpiel i delikatnie pomógł zmyć dowody ich przestępstwa... Jednak gdy tylko owinał ją ręcznikiem i zaniósł do łóżka, przestępstwo zostało popełnione ponownie, tym razem już nie na twardym stole. Boże, jak on ją całował! Tak jakby nie był w stanie przestać, jakby jej usta zostały stworzone tylko i wyłącznie na użytek jego lordowskiej mości. Jak więc mogła mu się oprzeć?

Ale to, co mówił teraz, nie było miłe. Temu mogła się oprzeć bez żadnego wysiłku.

Przekręciła się na brzuch.

- A więc mówi pan, lordzie Wingate, że już więcej nie spotkam się z pańską córką?

- Na miłość boską, Kate - rzekł, owijając wokół palca pasmo długich, jasnych włosów. - Mów mi po imieniu. Mów mi Burke.

- Dobrze. - Wciąż czuła się nieco dziwnie. - Burke w takim razie. Nie będę mogła jej odwiedzać? Nawet na krótko?

Ale on już jej nie słuchał. Dźwięk jego imienia w jej ustach tak na niego podziałał, że ponownie przyciągnął do siebie i zaczął całować.

- A więc nie wolno mi się już spotkać z twoją córką. Czy tak? - spytała, gdy wreszcie ją puścił.

- Cóż, nie uważam tego za właściwe w zaistniałych okolicznościach. Ale nie musisz się martwić o Isabel. Znajdę jej nową przyzwoitkę, a my będziemy mieli wolne wieczory na to.

Kate nie musiała pytać, co miał na myśli, mówiąc „to”, gdyż od razu jej zademonstrował. Ponownie popatrzyła na baldachim i rzekła:

- A więc mam cały dzień siedzieć w moim nowym domu i czekać, aż wieczorem przyjdiesz się ze mną zobaczyć?

Powiedział coś, co zabrzmiało jak potwierdzenie, ale Kate nie była pewna, bo mówił z pełnymi ustami.

- Myślę, że zanudziłabym się. Nie mówiąc już o poczuciu osamotnienia.

Burke uniósł głowę i uśmiechnął się tak, że serce Kate ścisnęło się. Dla niej był to najpiękniejszy uśmiech na świecie.

- Samotność? - powtórzył. - Nie będziesz samotna. Zatrudnię dla ciebie najlepszą pokojówkę w Londynie. Nie mówiąc już o kucharce, kamerdynerze, lokaju, woźnicy... Już widzę, jak udajesz się na przejażdżkę po parku w czarnym powoziku z żółtymi ozdobami. Chciałabyś taki powóz, Kate? Z parą szarych koni, tak by pasowały do koloru twoich oczu?

- Chyba tak - odpowiedziała. - Nie będę miała nic innego do roboty.

- Czy to właśnie tak cię martwi? - Pocałował ją. - Będziesz miała dużo pracy, młoda damo. Już ja się o to postaram. Wiesz, będziesz miała obowiązek uszczęśliwiania mnie tak, jak zrobiłaś to dzisiejszej nocy, a to będzie zajęcie pochłaniające mnóstwo czasu. A jeżeli chodzi o samotność, to udam, że tego nie mówiłaś. Przecież obiecałem ci już, że będę z tobą tak często, jak to tylko możliwe. Ale - dotknął czubka jej nosa - jeżeli naprawdę tak cię martwi ewentualna nuda, to myślę, iż mógłbym otworzyć dla ciebie sklep. Może kwaciarnię. Albo jeszcze lepiej księgarnię! Wiem, jak bardzo kochasz książki. Chciałabyś tego, Kate? Chciałabyś być właścicielką księgarni?

Popatrzyła na niego uważnie. Nie mogła mu szczerze odpowiedzieć. Gdyby to zrobiła, usłyszałaby: „Nie, dziękuję. W ogóle nie mam ochoty być właścicielką księgarni. To, czego chcę, to ciebie jako mojego męża”. Ale oczywiście nie mogła tego powiedzieć, bo Burke nie miał najmniejszego nawet zamiaru jej poślubić. Ani teraz, ani nigdy.

Kate doskonale o tym wiedziała. Kilka miesięcy temu Freddy powiedział jej, że markiz Wingate wyrzekł się małżeństwa i że nie zamierza ponownie się żenić. Co więcej, nawet gdyby

naprawdę jej się oświadczył, nie mogłaby się zgodzić na jego propozycję. A mimo to zrobiła rzecz najgłupszą z możliwych. I nie chodziło tu o to, że mu się oddała. To, co zrobiła, było dużo gorsze.

Ona się w nim zakochała.

Głupia, głupia dziewczyna!

Przez lata trwała w przekonaniu, że nie jest zdolna do zakochania się w kimkolwiek. Wątpiła nawet, czy coś takiego jak miłość w ogóle istnieje. Oczywiście, że kochała rodziców, na swój sposób także Freddy'ego. I, podobnie jak inne dziewczęta, cierpiała czasami z powodu złamanego serca, kiedy sądziła, że ktoś bardzo jej się podoba. Ale to omdlewające, nieprzytomne uczucie, o którym mówiła Isabel, ten gorączkowy przymus napisania marnego, miłosnego wiersza albo, co gorsza, skomponowania piosenki... Nie, Kate była w stu procentach pewna, że jej się coś takiego nie przytrafi. Zbyt pewnie stąpała po ziemi. Była zbyt rozsądna, a także - w wieku dwudziestu trzech lat - zdecydowanie za stara na takie głupstwa. Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. Ale w prawdziwym życiu? To przytrafia się jedynie wyjątkowym szczęściarzom.

Ale teraz przydarzyło się jej i w żadnym wypadku nie uważała siebie za szczęściarę. Tak naprawdę była przekonana, że jest teraz najbardziej nieszczęśliwą istotą na świecie.

- Taka poważna - rzekł markiz. Dotknął końcem palca jej ust, uśmiechając się do niej z zadumą. - Tak poważny wyraz twarzy. Nie widziałem cię jeszcze tak pełnej zadumy. O czym myślisz?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Była zbyt wielkim tchórzem. Wiedziała jednak, że gdyby mu wyznała, iż nie może z nim zostać, nie może zrobić tego, o co ją prosi, starałby się ją przekonać... A nie musiałby jej przekonywać zbyt długo. Wystarczyłoby, że ponownie by ją pocałował. Zrobiłaby wszystko w zamian za jego pocałunki.

Na szczęście nie musiała odpowiadać.

- Jaki ja jestem głupi. Musisz być wyczerpana. Pewnie się zastanawiasz, czy wreszcie pozwolę ci zasnąć? Pozwolę. Tutaj. - Usiadł i zgasił świecę, po czym położył się i przyciągnął ją do siebie, wtulając twarz w jej gorącą szyję. - A teraz śpij. - Pocałował ją, ale tym razem łagodnie i delikatnie i tylko w czubek głowy. - Tak dużo spraw mamy jutro do załatwienia, ty i ja, Kate.

Leżała wtulona w jego ciało, ale nie mogła zasnąć. Nie była nawet w stanie zamknąć oczu. Nawet wtedy, gdy leżący obok mężczyzna, zasypiając, przytulił ją jeszcze mocniej, wyszeptał jej imię i delikatnie pocałował w policzek.

Kate zebrało się na płacz. Starała się go powstrzymać, żeby markiza nie obudzić, ale z jej oczu zaczęły spływać gorące łzy.

Po upływie około kwadransa Kate uniosła obejmując ją ciężkie ramię, by sprawdzić, czy mężczyzna się obudzi. Na szczęście twardo spał. Wymknęła się z łóżka i nago, nie mogąc znaleźć koszuli ani peniuaru, przemknęła przez korytarz do swojego pokoju.

Już prawie świtało, więc niedługo wstanie kucharz, by przygotować pyszne śniadanie dla jego lordowskiej mości: szynkę, bekon, wędzonego łososa, placuszki z jęczmiennej mąki i kawę ze śmietanką. Kate wiedziała, że nie ma dużo czasu. Pośpiesznie się ubrała i spakowała tylko to, co była w stanie ze sobą zabrać. Później przyśle kogoś po resztę rzeczy. Lady Babbie, oczywiście, nie była szczęśliwa, gdy pani wkładała ją do koszyka. Zwierzę wyraźnie się denerwowało, gdy Kate opuszczała pokrywę. Ale jego pani nie mogła na to nic poradzić. Modliła się tylko, by nikt nie dosłyszał miauczenia, gdy cicho przemykała się po schodach.

Na progu domu odwróciła się, by spojrzeć na niego po raz ostatni. Na łóżku, w którym nie spała tej nocy, zostawiła list -

tylko jeden, zaadresowany do lady Isabel. Podejrzewała, że dziewczyna znajdzie go, kiedy przyjdzie do jej pokoju, by się dowiedzieć, jakie mają plany na ten dzień. Na tę myśl oczy Kate ponownie wypełniły się łzami, więc szybko zamknęła za sobą drzwi.

Na ulicy, mimo że nie było jeszcze piątej, panował spory ruch, więc nie miała najmniejszego problemu ze znalezieniem wolnej dorożki.

CZĘŚĆ DRUGA

Burke usiadł na swoim miejscu na końcu stołu i wziął do rąk gazetę, którą zostawił dla niego Vincennes. Jak zwykle była otwarta na stronie poświęconej sportom, jedynej, którą pan lego domu miał ochotę czytać. Inne wiadomości były zazwyczaj niewesołe i wolał ich nie znać.

Dzisiaj jednak miał uczucie, że byłby w stanie poradzić sobie z nimi, otworzył więc gazetę na stronie tytułowej. Spokojnie zaznajamiał się z najświeższymi wiadomościami, kiedy do pokoju weszła Isabel i usiadła na krześle po przeciwnej stronie stołu. Burke z szybkim biciem serca czekał na Kate, która miała zwyczaj przychodzić na śniadanie tuż po jego córce. Ale kiedy mijała minuta za minutą, a Isabel, najwyraźniej w gorszym humorze niż zwykle o tej porze dnia, z rozdrażnieniem dopytywała się, dlaczego nie ma śledzia w śmietanie, nie mógł się powstrzymać od pytania:

- Czy panna Mayhew jeszcze śpi?

To oczywiście jego wina, że Kate mogła być zmęczona, lecz nie było mu ani trochę przykro z tego powodu. Nie

wyobrażał sobie także, by ona mogła żałować tego, co stało się w nocy.

- A skąd mam wiedzieć - odrzekła zimno Isabel. - Panny Mayhew nie ma tutaj.

Burke o mały włos nie zakrzusił się przełykaną właśnie kawą.

- Nie ma tutaj? - powtórzył jak echo, kiedy już był w stanie mówić. - Co masz na myśli?

Isabel przyjrzała się tacy ze śledziem, którą postawił przed nią Vincennes.

- To, co powiedziałam. Nie ma jej tutaj. Musiała nas opuścić. Nie, nie chcę jednak śledzi. Poproszę o jajko.

Burke, wciąż trzymając gazetę, przyglądał się córce z trudnym do opisanego zdumieniem.

- Musiała nas opuścić? Co chcesz przez to powiedzieć, Isabel?

- Nie zostawiła ci listu? - zapytała dziewczyna, gdy kamerdyner nakładał na jej talerz jajka. - A mnie tak.

- Nie. - Burke zaczynał czuć lekki niepokój. - Nie otrzymałem żadnego listu.

Zresztą go nie oczekiwał. Kiedy się obudził, a Kate przy nim nie było, uznał, że się wymknęła do swojego pokoju, by uniknąć plotek ze strony służby. Nawet nie przyszło mu do głowy... A dlaczego w ogóle powinno? Jak mogła po prostu wyjechać? Nie, to niemożliwe!

- Och. - Isabel posmakowała jajko, skrzywiła się i odłożyła widelec na talerz. - No więc w liście do mnie panna Mayhew wyjaśniła, że musi nas na trochę opuścić, ponieważ właśnie otrzymała wiadomość, że jej krewny jest bardzo chory. Ale - kontynuowała, ponownie biorąc do ręki widelec i nakładając na talerz plaster szynki - w jaki sposób otrzymała wiadomość o chorobie krewnego przed nadejściem porannej poczty, nie mam doprawdy najmniejszego pojęcia.

Burke spojrzął na kamerdynera.

- Vincennes, czy z samego rana był tu jakiś posłaniec z wiadomością dla panny Mayhew?

- Nie, panie markizie - odpowiedział kamerdyner, nie unosząc głowy znad herbaty, którą nalewał do filiżanki jego córki.

- Co dziwniejsze - dodała Isabel - panna Mayhew nigdy nie wspominała mi o żadnych krewnych. Zawsze powtarzała, że jedyną jej rodziną są książki.

- Co?

- Książki. Twierdziła, że wszyscy jej krewni nie żyją i dla tego jej rodzinę stanowią książki. Nie mam zielonego pojęcia, skąd się wziął ten jej chory krewny. Czy jest mleko, Vincennes? Nie, nie chcę śmietany. Chcę mleka.

- Czy Ka... panna Mayhew pisze, kiedy spodziewa się wrócić od tego chorego krewnego? - zapytał Burke ze spokojem. - który nieco go przerażał.

- Nie, ale nie sądzę, by to szybko nastąpiło - odparła dziewczyna. - Zabrała ze sobą Lady Babbie.

Lady jaką? - spytał jej zdezorientowany ojciec.

Isabel przyjrzała mu się. po czym przewróciła oczami.

- Naprawdę, papo, czy ty w ogóle nie wiesz niczego o pannie Mayhew?

Markiz uniósł brwi. Czy było coś, czego nie wiedział o Kate Mayhew? Oczywiście, że wiedział wszystko, co było ważne. Wiedział, w jaki sposób podnosi wzrok, by na niego popatrzeć, jak wyczytać w jej szarych oczach obietnicę nieustającej namiętności. Wiedział, że gdy całuje jej usta, które fascynowały go od miesięcy, otwierają się one w niezwykle zapraszający sposób. I jak wciąga powietrze, gdy on w nią wchodzi... Wiedział też, że gdy wypowiedziała wreszcie jego imię, w jednej chwili zapomniał o całym świecie poza pragnieniem, by usłyszeć je z jej ust jeszcze raz...

- Lady Babbie - ciągnęła Isabel, na szczęście nie mając pojęcia, o czym myśli ojciec - to oczywiście kotka panny Mayhew. A jeśli panna Mayhew zabrała ją ze sobą, to sędzę, że trochę potrwa, zanim wróci. I muszę przyznać, że nie winię jej za to. Jestem pewna, że byłeś dla niej okropny.

Ta uwaga wytrąciła Burke'a z jego przyjemnych wspomnień o tym, co robił z panną Mayhew tej nocy. Przestraszony nie na żarty, potrząsnął głową.

- Kiedy? Kiedy byłem dla niej okropny?

- W nocy oczywiście. Kiedy wystraszyłeś w ogrodzie pana Cravena, a potem na nią nakrzyczałeś. Ale to nie była wina panny Mayhew, że on przyszedł i rzucał kamieniami w jej okno.

- Pan Craven? - Burke rzucił gazetę na podłogę i wstał, opierając się pięściami o stół, jakby bał się, że może chcieć użyć ich do czegoś innego. - Daniel Craven? Co, do diabła, Daniel Craven ma z tym wszystkim wspólnego?

- Papo - Isabel potrząsnęła głową, aż zakołysały się jej czarne loki - wiesz przecież doskonale. Słyszałam wszystko. Hałas uderzanych w okno kamieni zbudził także i mnie. Ale panna Mayhew kazała mu natychmiast odejść. Wiesz, papo, że ona go nie lubi. Uważam za bardzo brzydkie z twojej strony, że tak na nią nakrzyczałeś. To przecież była tylko i wyłącznie jego wina...

- Daniel Craven? - Burke nie ruszył pięści ze stołu, bojąc się, że skończyłoby się to połamaniem krzesła. - To Daniel Craven był zeszłej nocy w ogrodzie z panną Mayhew?

- Oczywiście, że tak - odparła Isabel. - A ty myślałeś, że kto?

Poczuł się tak, jakby jego kręgosłup zmienił się w trzęsącą się galaretkę. Szybko opadł na krzesło, bo obawiał się, że za chwilę się przewróci.

Daniel Craven. A on był przez cały czas przekonany, że to Bishop był w ogrodzie. Oskarżył ją o... Cóż, tak naprawdę nie

miał pewności, o co ją oskarżył. Tej części nocy nie pamiętał zbyt dokładnie. Ale oskarżył ją o nocne spotkanie z hrabią Palmer. A tymczasem był tam Daniel Craven, człowiek, który - jeśli Burke się nie mylił - napawał Kate panicznym wprost strachem. A on, beznadziejny głupiec, miał czelność posadzać ją o...

Nie miała do niego o to pretensji. Tyle jeszcze pamiętała. Nie miała mu za złe jego pomyłki, nawet o tym ponownie nie wspomniała, kiedy już zaczęła ją całować...

Ale pomyślał o niej coś haniebnego, podczas gdy ona była zupełnie niewinna. Nic dziwnego, że uciekła.

- Nie musisz mieć takiej miny, wiesz? - oznajmiła Isabel.

Burke zerknął na córkę. Siedziała, opierając jeden łokieć na stole i popijając herbatę. Na jej twarzy widniał miły uśmiech - najmiłszy, jaki u niej widział.

Jestem przekonana, że cokolwiek powiedziałaś w nocy pannie Mayhew, ona ci wybaczy, papo. Czasami, zwłaszcza rano, jestem wobec niej naprawdę okropna, a ona nigdy się na mnie długo nie gniewa.

Burke uświadomił sobie, że nie jest w stanie nic powiedzieć. Czuł się tak, jakby ktoś właśnie wydarł mu serce i rzucił je na podłogę. A przecież jeszcze wczoraj był przekonany, że go nie ma.

- Panna Mayhew niedługo wróci - rzekła Isabel głosem pełnym wiary. - Przecież zostawiła swoje książki.

Ale panna Mayhew nie wróciła. Nie przysłała także żadnej wiadomości o tym, gdzie pojechała i jak długo będzie zmuszona tam zostać. Przez cały dzień Burke czekał w domu na pocztę. I za każdym razem, kiedy Vincennes przynosił mu srebrną tacę z listami, nie było wśród nich wieści od Kate Mayhew. Następnego dnia także. I jeszcze następnego. Wtedy Burke, który do tej pory czuł się zraniony i zbity z tropu, zaczął się denerwować.

Był przekonany, że Kate go nie zdradziła, uciekając z innym mężczyzną. Ona po prostu zniknęła. Rozpłynęła się bez słowa,

i to w dodatku po takiej nocy. Nocy, jakiej Burke nigdy dotąd nie przeżył, a przecież podobne uciechy nie były dla niego nowością. Jak więc ona mogła po prostu odejść? Nie miał pojęcia, dlaczego wyjechała, gdzie popełnił błąd. Pomylił się wprawdzie co do tożsamości mężczyzny w ogrodzie, ale w końcu to mu wybaczyła. Był pewien, że wybaczyła mu w chwili, gdy ich usta się spotkały. Więc dlaczego? Dlaczego?!

Starał się przecież być czuły, zdając sobie sprawę z jej niewinności braku doświadczenia. Bardzo uważał, by jej nie zranić ani nie przestraszyć. A teraz odeszła, mimo przyjemności, jaką dzielili, troski, którą wykazywał, nawet mimo jego propozycji kupna domu i powozu, a nawet księgarni. Nigdy nie był tak hojny dla żadnej ze swoich kochanek. Ale nigdy też - musiał to przyznać - nie żywił podobnych uczuć wobec swoich wcześniejszych utrzymanek. Ani nawet, prawdę mówiąc, wobec żony.

Piątego dnia nieobecności Kate Burke wezwał do siebie całą służbę i po kolei wyciągał z nich wiadomości o tym, gdzie przyzwoitka jego córki może się teraz znajdować. Ale mimo widocznej troski o zaginioną młodą kobietę, nikt nie był w stanie mu powiedzieć, dokąd mogła się udać. Nie, nigdy nie wspominała w ich obecności o żadnym chorym krewnym. Ba, twierdziła, że wszyscy członkowie jej rodziny nie żyją. Następnym krokiem Burke'a było wysłanie pani Cleary do Sledge'ów, by zadać im - i ich służbie - te same pytania. Zdawał sobie sprawę, że to niedorzeczne chodzić po sąsiadach i wyciągać z nich informacje o osobie, którą zatrudnił, ale nie widział innego sposobu na poradzenie sobie z tą przerażającą go coraz bardziej sytuacją. Nawet jeśli Cyrus Sledge uważał takie zachowanie za dziwne, Burke'a nic a nic to nie obchodziło.

Nie chciał alarmować córki, więc na ile tylko był w stanie, ukrywał przed nią swoje zatroskanie, związane ze zniknięciem jej przyzwoitki. A Isabel, niezwykle pochłonięta romansem z Geoff-

reyem Saundersem, tylko czasami mówiła coś w stylu: „Bardzo chciałabym, by panna Mayhew się pośpieszyła i wróciła do domu. Mam jej tyle do opowiedzenia” czy też „Gdyby tylko ten okropny krewny panny Mayhew wreszcie umarł, to mogłaby od razu do nas wrócić”. Jedyne, za co Burke mógł dziękować Bogu, to to, że podczas nieobecności panny Mayhew Isabel nie wykazywała wielkiego zainteresowania uczestniczeniem w dziesiątkach spotkań towarzyskich, na które była zapraszana, i w związku z tym nie prosiła ojca, by jej towarzyszył. Dziewczyna uważała, że nie ma sensu iść na bal bez panny Mayhew, która zawsze pomagała jej odpowiednio ułożyć włosy. Przecież Geoffrey mógłby się zniechęcić, widząc bocianie gniazdo na głowie Isabel.

Dziesiątego dnia po nagłym i tajemniczym wyjeździe panny Mayhew Burke szedł korytarzem na piętrze i przechodząc obok jej pokoju zauważył, że drzwi są uchylone. Ze środka dobiegały odgłosy, świadczące o czyjejs obecności. Z mieszaniną uczuć - ulgą, że nareszcie wróciła do domu, obrazą, że zostawiła go lak bez słowa, i zachwytem na myśl, że znowu usłyszy swoje imię. wypowiedane przez te cudowne usteczka - wszedł do pokoju, ale zobaczył jedynie panią Cleary i lokaja, układających w kartonie książki Kate. Słyszając jego kroki, pani Cleary podniosła wzrok i nieoczekiwanie zacerwieniła się. Burke, który nigdy nie widział swojej gospodyni rumieniającej się, wpatrywał się w nią z zaskoczeniem.

- Och, panie markizie -- odezwała się starsza pani. - Ogromnie przepraszamy, jeśli przeszkodziliśmy w czymś panu.

Przyglądała się kartonowi i książkom w rękach lokaja oraz rumieńcowi na twarzy pani Cleary.

- Gdzie ona jest? - spytał. Nie podniósł głosu, nie rzucił niczym o podłogę. Po prostu zadał pytanie, jak sądził, spokojnym, cichym głosem.

~ Och, panie markizie! - Pani Cleary zerwała się z kolan i zawołała, wymachując pulchnymi dłońmi: - Dziś rano otrzymałam list. Natychmiast pokazałabym go panu...

- Tak? - powiedział wciąż spokojnym, według niego, głosem.

Pani Cleary chyba była jednak innego zdania, gdyż pośpiesznie wsunęła dłoń do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej zgniecioną kartkę.

- Oto on. - Podsunęła ją swemu pracodawcy. - Proszę. Widzi pan, on nie jest od panny Mayhew. Ale jest w nim napisane, że ona nie sądzi, by mogła szybko wrócić do Londynu, i błaga, by poinformować jego lordowską mość, że najlepiej będzie, jeśli zatrudni pan nową przyzwoitkę...

Burke wziął list i zaczął go uważnie czytać.

- Wahałam się tylko, czy powiedzieć o tym, panie markizie - kontynuowała gospodyni. - Wiem, jak bardzo zmartwiłoby to biedną lady Isabel. Ona tak bardzo lubiła pannę Mayhew, a jestem pewna, że ta sympatia była wzajemna. Panna Mayhew nigdy nie powiedziała do panienki Isabel żadnego ostrego słowa, a wie pan, lordzie Wingate, równie dobrze jak ja, jak ona potrafi być... krnąbrna. Uważam, że młode dziewczęta często są takie, to leży po prostu w ich naturze. Ale nigdy nie widziałam, żeby czyjeś zachowanie poprawiło się tak bardzo, jak lady Isabel, odkąd zamieszkała u nas panna Mayhew. Prawie tak, jakby się stała zupełnie innym człowiekiem.

Ale Burke doszedł do części listu, w której podany był adres, na jaki pani Cleary miała przesłać resztę rzeczy panny Mayhew. Przez prawie minutę wpatrywał się w niego, podczas gdy gospodyni ciągnęła swój monolog.

- Obawiam się, że lady Isabel nie za dobrze przyjmie tę wiadomość.

Jej chlebodawca jednak już tego nie słuchał; odwrócił się i zmierzał w kierunku drzwi.

21

Służąca, która otworzyła drzwi, bardzo długo wpatrywała się w otrzymaną od Burke'a kartę wizytową.

Lord Wingate chce się widzieć z lady Palmer - powtórzyła za nim. - Tak, panie markizie. Zaraz pójde i sprawdzę, czy pani jest w domu.

Z powiewającym wokół niej fartuchem pomknęła w głąb domu. Burke'owi, który został w bawialni, ogromną przyjemność sprawiła myśl o rozebraniu tego domu, kamień po kamieniu, aż znajdzie Kate. Ale pomyślał też od razu, że takie postępowanie nie pomogłoby mu wkraść się ponownie w jej łaski.

Kilka minut później drzwi do pokoju otworzyły się i ukazała się w nich starsza, jednak w żadnym wypadku niewątpliwie kobieta. Szyję i dłonie obwieszzone miała biżuterią, a jej suknia modna była w zeszłym sezonie. Ale przecież kiedy jest się po siedemdziesiątce, nie myśli się już tyle o modzie.

- Lordzie Wingate. - Wdowa po lordzie Palmer podeszła do gościa. - Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy Virginia podała mi pańską kartę wizytową. Ma pan ogromny

tupet, młody człowieku, przychodząc tutaj z wizytą. Jest pan ciągle w niełasce po tym skandalu z pańskim rozwodem. Niektórzy pochlebcy może i panu wybaczyli, szczególnie że zdarzyło się to tak dawno temu. Ale nie ja. Uważam, że rozwód jest grzechem, młody człowieku. Grzechem śmiertelnym. I nie obchodzi mnie, ilu pańska żona miała kochanków.

Usta Burke'a rozchyliły się. To, co się z nich wydobyło, bardziej przypominało niedźwiedzi pomruk niż ludzką mowę.

- Gdzie ona jest?

- Gdzie jest kto? - Wdowa machnęła laską, na której się podpierała. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Doskonale pani wie o czym, a właściwie o kim mówię. - Miałby wielką ochotę, mimo płci i wieku stojącej naprzeciwko niego osoby, owinać dłonie wokół jej szyi i mocno je zacisnąć. - Katherine Mayhew. Wiem, że tutaj jest. Widziałem list, w którym było napisane, by jej rzeczy przesłać właśnie na ten adres. Żądam więc, by pozwoliła mi się pani z nią zobaczyć.

- Katherine Mayhew? - Starsza pani wyglądała na prawdziwie zaszokowaną. - Czy naprawdę jest pan tak głupi, by myśleć, że skoro rozmawiam z kimś takim jak pan, to wpuszczałbym do mojego domu córkę człowieka winnego przedwczesnej śmierci mojego męża? Pan musi być szalony, lordzie Wingate. W każdym razie na takiego pan wygląda. Nigdy nie widziałam żadnego dżentelmena wyglądającego tak niechlujnie jak pan w tej chwili. Kiedy się pan po raz ostatni golił?

- Wiem, że ona tutaj jest - rzekł, nie zwracając uwagi na jej uszczypliwe pytanie. - Jeżeli będę musiał, to rozbiorę ten dom na kawałki, aż ją znajdę. Naprawdę to zrobię.

Lady Palmer parsknęła.

- Zobaczmy jeszcze. Virginia! Virginia! - Ładna służąca wsunęła głowę przez drzwi. - Zawołaj natychmiast Jacobsa. Chcę, by wyrzucił z mojego domu tego szaleńca.

Jednak zaraz po tym, jak służąca zamknęła drzwi, otworzyły się ponownie i do środka wpadł wyraźnie zirytowany hrabia Palmer.

- Co to za piekielne wrzaski, matko? Ledwie słyszę własne myśli. Kiedy jego wzrok spoczął na markizie, oczy mu się rozszerzyły.

Burke się nie zawahał. Przemknął przez pokój jak strzała, z całą siłą uderzając rywala pięścią w twarz. Hrabia upadł, pociągając za sobą mały stolik i stojący na nim wazon z kwiatami. Wdowa krzyknęła, po czym nagle osunęła się zemdlna na dywan. Ale Burke nie zwrócił na to najmniejszej nawet uwagi. Pochylił się i chwycił jej syna za poły surduta, po czym podciągnął go na nogi.

- Gdzie ona jest? - Burke potrząsnął nim.

Ale hrabia, który wcześniej udawał, że jest nieprzytomny, zamachnął się i jego pięść wylądowała na szczęce markiza. ten zachwiał się i poleciał do tyłu, prosto na półkę z porcelanowymi pasterkami. Wszystkie figurki spadły z hałasem na podłogę.

- Nie ma jej tutaj, ty draniu - rzekł Bishop. - A nawet gdyby była, ty bybyś ostatnią osobą, której bym to powiedział.

Burke, podnosząc się wśród skorup, które jeszcze przed chwilą były dreздеńskimi pasterkami, uderzył z całej siły w nos przeciwnika. Jego pięść musiała dobrze trafić, gdyż na blade niebieską sofę polała się krew.

- Ona jest tutaj - upierał się Burke. Ciężko oddychał, ale zdecydowanie nie był wyczerpany. Może i był dziesięć lat starszy od hrabiego, ale kondycję wciąż miał doskonałą. - Moja gospodyni otrzymała dziś rano list od ciebie z prośbą o przestanie rzeczy Kate do twojego domu.

- Oczywiście - odrzekł Bishop, okrążając markiza ostrożnie. - Bo właśnie dzisiaj rano dostałem od niej list, w którym

pyta mnie, czy byłbym tak dobry i przechował jej rzeczy u siebie przez jakiś czas...

- Całkiem prawdopodobna historyjka - stwierdził kwaśno Burke. Od hrabiego oddzielała go teraz otomana, popchną ją więc, by mu nie przeszkadzała. Wylądowała tuż przy kominku. - Uważam, że powiedziałałbyś wszystko, byle tylko zachować ją dla siebie.

Bishop wciąż siedział na podłodze, przykładając końce fularu do krwawiącego nosa.

- To prawda, zrobiłbym to. Powiedziałbym wszystko, gdybym tylko sądził, że to ją uchroni przed taką bestią jak ty.

To stwierdzenie kosztowało hrabiego kolejny cios w głowę; runął na poplamioną jego własną krwią niebieską sofę. Burke podszedł do niego, ale szybko tego pożałował, gdyż Bishop kopnięciem zwałił go z nóg.

- Prawda jest taka - odezwał się hrabia, zaciskając dłonie na szyi przeciwnika - że jej tutaj nie ma. Jesteś szalony, uważając, że ona tutaj przebywa. Moja matka prędzej wpuściłaby do swego domu wodza Hunów, Attylę, niż Kate Mayhew.

Burke, walcząc, by uwolnić się z uścisku hrabiego, przerwał na chwilę swoje wysiłki i zapytał:

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Bishop zgrzytał zębami, próbując udusić markiza. - Jak możesz o to pytać? Wiesz przecież dlaczego.

Burke, zmęczony już tą grą, uderzył klęczącego nad nim mężczyznę w skroń, odrzucając go pod ścianę. Hrabia upadł, krwawiąc i chrapliwie oddychając. Markiz, mniej ranny, lecz także obolały, przyczołgał się, by osunąć się tuż przy nim i oprzeć o ścianę.

Podczas gdy obaj starali się złapać oddech, drzwi do pokoju otworzyły się i ukazał się w nich kamerdyner, a tuż za nim dwaj potężni lokaje.

- Panie hrabio - rzekł kamerdyner, omiółszy najpierw wzrokiem pomieszczenie, które kiedyś było bawialnią lady Palmer czy potrzebuje pan wsparcia?

Bishop spojrział na Burke'a.

- Whisky? - zapytał. Markiz skinął głową. - Whisky, Jacobs.

Kamerdyner przytaknął i jeszcze raz popatrzył na potłuczone pasterki. Wzdrygnął się i opuścił pokój, a za nim lokaje, zabierając ze sobą wciąż nieprzytomną wdowę.

- Dlaczego twoja matka tak nienawidzi Kate? - zapytał Burke, kiedy jego oddech już się trochę unormował.

Jaki z ciebie głupiec! - Bishop ze wstrętem otarł rękawem krew z nosa. - Czy ty w ogóle znasz Kate?

- Oczywiście, że ją znam. - Burke'a kusiło, by powiedzieć siedzącemu obok mężczyźnie, jak bardzo dobrze ją zna, ale uznał, że nie byłoby to właściwe posunięcie. - Wiem o niej wszystko, czego potrzebuję.

- Cóż, sądziłem, że zapoznasz się nieco z jej przeszłością, zanim ją zatrudnisz.

Markiz spojrział na swego rozmówcę spode łba.

- Jeżeli masz zamiar powiedzieć mi, że Kate jest złodziejką - czuł, jak ponownie wzbiera w nim przemożny gniew - wtedy ci powiem, że to ty jej w ogóle nie znasz.

- Oczywiście, że nie jest złodziejką. W przeciwieństwie do jej ojca.

Burke popatrzył uważnie na hrabiego.

- Jej ojca?

Drzwi ponownie się otworzyły i tym razem do pokoju wszedł sam kamerdyner, niosąc srebrną tacę, na której stała kryształowa karafka wypełniona płynem w kolorze bursztynu, a także dwie szklanki. Widząc, że podczas szamotaniny wszystkie stoły w pokoju zostały przewracane, przyklęknął na jedno kolano i postawił tacę na podłodze tuż obok hrabiego. Po chwili nalał

do szklanek trunek i podał jedną Freddy'emu, a drugą Burke'owi.

- Dziękuję, Jacobs - rzekł hrabia. - Czy z moją matką wszystko w porządku?

- Zemdlała tylko, panie hrabio - odpowiedział kamerdyner. - Zanieśliśmy lady Palmer do jej pokoju, gdzie pokojówka aplikuje pani sole trzeźwiące.

- Świetnie. To wszystko, Jacobs. Możesz zostawić tacę.

- Oczywiście, sir. - Kamerdyner wstał i rzuciwszy ostatnie spojrzenie w kierunku bezgłowych pasterek, wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Ojciec Kate - przypomniał Burke, gdy wypił prawie całą zawartość swojej szklanki.

- Aha. - Bishop pił whisky z większą ostrożnością niż jego gość. - No tak. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, kim był jej ojciec?

Burke oparł głowę o ścianę, pokrytą tapetą w kwiatki. Siedzieli pod oknem i właśnie usłyszał przez nie pogwizdującego drozda.

- Nie - przyznał.

- Czy w takim razie mówi ci coś nazwisko Peter Mayhew?

- Peter Mayhew? - powtórzył markiz, próbując coś sobie przypomnieć. - Właściwie tak. Coś mi świta w głowie.

- Coś ci świta. - Bishop przewrócił oczami. - Jakieś siedem lat temu to nazwisko było na ustach wszystkich, tak jak kilkanaście lat temu twoje.

- Dlaczego? - zapytał sarkastycznie Burke. - Czyżby także się rozwiódł ze zdradzającą go żoną, a jej kochanka wyrzucił przez okno?

Hrabia spojrzął na niego z dezaprobatą.

- Oczywiście, że nie. Peter Mayhew był znanym londyńskim bankierem. Mieszkał z żoną i córką w Mayfair.

- Mayfair? - Burke uniósł brwi.

- Tak, właśnie tam. - Bishop wyglądał na zadowolonego z siebie, a przynajmniej na ile jest to możliwe w przypadku człowieka, któremu właśnie złamano nos. - Przy Pall Mall. Jeżeli chodzi o ścisłość, to tuż obok mojego domu.

- Więc - markiz starał się powstrzymać niewytłumaczalną ochotę na przyciśnięcie twarzy hrabiego do podłogi - ty i Kate naprawdę razem dorastaliście.

- Brawo. - Bishop pochylił się i dolał whisky do kieliszka gościa. W banku jej ojca miało konta wiele bardzo zamożnych osób nie wyłączając moich rodziców. Osiem lat temu Mayhew miał tego pecha, że poznał młodego człowieka, który twierdził, że jest właścicielem kopalni diamentów w Afryce. Jedynym powodem, według tego człowieka, dla którego nie rozpoczął jeszcze wydobycia cennych kamieni, był brak odpowiedniego zaplecza finansowego. Ja osobiście nie miałem okazji poznać tego dżentelmena, ale Mayhew wydawał się wierzyć w jego zapewnienia wystarczająco mocno, by przekonać swoich przyjaciół i sąsiadów do zainwestowania w tę kopalnię.

- Która nie istniała - domyślił się Burke.

- Oczywiście. Uprzejmy młody człowiek zabrał wszystkie pieniądze klientów pana Mayhew, wśród których była znaczna część także i jego fortuny, po czym zbiegł. A przynajmniej taka była wersja ojca Kate.

- Czy istniał jakiś powód, by w nią wątpić?

- Powiedzmy, że było wystarczająco dużo powodów do powątpiewania w nią, by wielu ludzi, którzy stracili swoje pieniądze, włączając w to mego ojca, poczuło się w obowiązku pozwać Petera Mayhewa do sądu.

Burke oblizał wargi; były słone. Dopiero teraz uświadomił sobie, że krwawią.

- I?

Bishop wyglądał na zdziwionego.

- Co masz na myśli?
- Chodzi mi o to, kto wygrał?

Hrabia zamrugał.

- Nie wiesz? Kate nic ci nie powiedziała?

Markiz głęboko wciągnął powietrze. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

- Nie - rzekł, kiedy był już pewny, że ponownie się nie rzuci na swego rozmówcę. - Nie powiedziała mi.

- No tak. Nie doszło do procesu, bo pozwany, Peter Mayhew, zmarł na dzień przed jego rozpoczęciem.

- Zmarł? - Burke wytarł rękawem zakrwawioną wargę. - To znaczy zginął w pożarze?

Bishop zmierzył go wzrokiem.

- Kate powiedziała ci o nim, tak?

Markiz przytaknął.

- Mówiła, że zginęli w nim jej rodzice.

- To prawda. Zginęli. Nie było mnie tutaj tamtej nocy. Studiowałem wtedy na uniwersytecie. Ale niektórzy służący mówią o tym pożarze do tej pory. Płomienie były podobno wysokie na dziesięć, piętnaście metrów. To cud, że ktokolwiek przeżył, a udało się to wszystkim, oprócz rodziców Kate. Cała służba i Kate wydostali się. Nawet ten przeklęty kot przeżył. Pożar strawił tylko jedną część domu. Nie widać jej od ulicy, a nowi właściciele dokonali cudów przy odbudowie. Tylko sypialnia rodziców Kate była kompletnie zniszczona. Trochę to tajemnicze, nie sądzisz?

Burke uniósł brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, wydawałoby się, że w tak potężnym pożarze powinien spłonąć cały dom, ale ogień rozprzestrzenił się raczej powoli. Dość szybko udało się go ugasić.

- O czym ty mówisz? Nie mam czasu na gierki, wiesz o tym, Bishop. Jeżeli jest coś, co chciałbyś powiedzieć, to mów.

- W porządku. - Hrabia skrzywił się. - Zawsze brakowało ci cierpliwości, Traherne. Próbuję ci wyjaśnić, że po pożarze pojawiło się sporo podejrzeń, iż ogień podłożono celowo. Czuć tam było naftę, dużo bardziej niż po przewróceniu jednej lampy...

- Chcesz powiedzieć, że ktoś zamordował rodziców Kate?

- Na Boga, nie. - Bishop potrząsnął głową. - Nie, podejrzewano, że to Peter Mayhew sam podłożył ogień, by uniknąć upokorzenia związanego z procesem.

Burke z zaskoczeniem wpatrywał się w siedzącego tuż przy nim mężczyznę.

- Samobójstwo?

- Dokładniej mówiąc samobójstwo i zabójstwo, gdyż nie sądzę, by jego żona miała coś w tej sprawie do powiedzenia. Znaleziono ją w łóżku. To znaczy w tym, co z niego pozostało. Wątpliwe, by się w ogóle obudziła...

- Dobry Boże - rzekł Burke zdrętwiałymi wargami. - Ja... Ja nie miałem pojęcia.

- Nie. - Bishop miał dość pociągania whisky ze szklanki, podniósł więc karafkę i napił się bezpośrednio z niej. - Nie mogłeś mieć. Pisały o tym gazety, ale...

- Czytam tylko informacje o sporcie - przyznał się markiz.

- Ach tak. W takim razie skąd mogłeś wiedzieć. A Kate nie powiedziałaaby ci o tym. Nigdy o tym nie mówi, co uważam za całkowicie zrozumiałe. Ale też... cóż, sądzę, że wolałaby o tym zapomnieć. Zresztą kto nie chciałby? Wątpię, czy ktokolwiek z jej pracodawców, a miała ich kilku, wiedział, kim ona jest, i zdawał sobie sprawę, że był czas, kiedy cieszyła się tymi samymi przywilejami co i oni.

Burke zabrał z rąk rozmówcy karafkę i pociągnął spory łyk.

- Po pożarze nigdy już nie była taka jak przedtem. Służący znaleźli ją zupełnie nieprzytomną na schodach. Nie była w stanie powiedzieć, w jaki sposób się tam znalazła. Są tacy, co wierzą, że zaniósł ją tam jej ojciec przed podłożeniem ognia, by zapewnić możliwość ucieczki. Ale Kate...

- Tak?

- Ona ciągle się upierała, że miało miejsce coś zupełnie innego... Nie można jej za to winić. Myśl, że własny ojciec zabił siebie i żonę po to, by uniknąć więzienia i publicznego upokorzenia, na pewno nie jest przyjemna. Kate wymyśliła więc historię, w którą, jak sądzę, wierzy do dziś.

- To znaczy? - naciskał Burke, chociaż wydawało mu się, że już zna odpowiedź.

- Ona uważa, że ten młody mężczyzna, ten, który podawał się za właściciela kopalni diamentów, wrócił pod osłoną nocy i podłożył ogień, by powstrzymać Petera Mayhewa od zeznawania. Bo oczywiście on i jego prawnicy byli przekonani, że potrafią dowieść swojej niewinności, jeżeli tylko uda im się znaleźć tego młodego człowieka, który uciekł ze wszystkimi pieniędzmi...

Daniel Craven... Co powiedziała Kate, gdy Burke ją zapytał, dlaczego wyglądała na tak wytrąconą z równowagi obecnością tego człowieka? Że miała do niego żal o to, iż nie pojawił się na pogrzebie jej rodziców? Boże, jakim on był głupcem. Kate podejrzewała, że to Craven zamordował jej rodziców. Nic dziwnego, że tak bladła, gdy tylko zjawiał się w pobliżu...

A on, niesłyszany głupiec, oskarżył ją tamtej nocy w ogrodzie o bratanie się - bardzo łagodne słowo na określenie tego, o co ją podejrzewał - z tym mężczyzną. Z człowiekiem, co do którego była przekonana, że spalił żywcem jej ojca i matkę.

Burke popatrzył na hrabiego. Wiedział, że jest trochę pijany. Było dopiero południe, a on wypił już więcej niż ćwiartkę

whisky. To jednak nie tłumaczyło wkradających się nieproszenie do jego głowy rzewnych myśli.

- Więc - wymawiał słowa bardzo powoli, bo wiedział, że kiedy jest zamroczony alkoholem, ma tendencję do bełkotania - ściśle mówiąc, ojciec Kate nie był tak naprawdę złodziejem.

- Nie, tylko głupcem.

- Głupcem, ale także dżentelmenem.

- Głupim dżentelmenem.

- Mimo wszystko był dżentelmenem - upierał się Burke. - To znaczy, że Kate jest córką dżentelmena.

- Tak - potwierdził hrabia po krótkim namyśle. - Ale co to za różnica? Córka dżentelmena czy też nie. mężczyzna ma obowiązek traktować każdą kobietę z szacunkiem.

Markiz zmierzył go groźnie wzrokiem.

- Czyżbyś sugerował, że ja tego nie robiłem? To znaczy nie traktowałem Kate z szacunkiem? Czy to właśnie napisała ci w liście?

- Nie. Napisała tylko, że nie może pozostać w Londynie, i spytała, czy byłbym tak uprzejmy i przesłał jej resztę rzeczy. - Hrabia odebrał z rąk Burke'a karafkę i przyłożył ją do ust. - Wiesz, tylko tym dla niej jestem. Adresem, pod którym może przechować swoje rzeczy. - Zmrużył oczy. - A co ty sobie właściwie myślisz, mówiąc o niej po imieniu? Dla ciebie, Traherne, ona jest panną Mayhew. Chyba że jest jakiś powód, o którym ja nie wiem, dla którego tak nagle opuściła twój dom.

Markiz zignorował tę uwagę.

- A gdzie przesłać jej rzeczy? - spytał.

Bishop zachichotał.

- Myślisz, że jestem głupi, Traherne? Sądzisz, że powiedziałbym ci? Nawet gdyby Kate nie zastrzegła w swoim liście, bardzo wyraźnie, muszę dodać, bym ci tego nie zdradził, bez względu na to, jak silne będą twoje ciosy?

Burke roześmiał się razem z nim.

- Ależ oczywiście, że masz zamiar mi powiedzieć, ponieważ jesteśmy teraz całkiem dobrymi przyjaciółmi, a poza tym wiesz o tym, że moim pragnieniem jest tylko i wyłącznie troska o dobro Kate.

- Nieprawda - przerwał mu Bishop. - Nieprawda i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Masz do Kate ten sam interes co i ja. Różnica polega tylko na tym, że ja chcę się z nią ożenić.

- Skąd wiesz, że ja nie? - Burke spojrział groźnie na rywala.

- Ty? - Hrabia zaśmiał się rubasznie. - Ożenić się z Kate? Niemożliwe!

- Dlaczego? - Markiz aż się zjeżył. - Dlaczego jest to niemożliwe?

- Wszyscy wiedzą, że na zawsze wyrzekłeś się małżeństwa po rozwodzie. Nawet Kate to wie.

Burke spojrział na niego z uwagą.

- A skąd ona może o tym wiedzieć? Nigdy jej o czymś takim nie wspominałem.

- Nie musiałeś. Ja to zrobiłem. Powiedziałem jej, że najprawdopodobniej sprowadzisz ją na drogę rozpusty, a potem ją rzucisz, kiedy ci się znudzi. - Bishop o mały włos nie upuścił karafki, kiedy się odwrócił, by spojrzeć oskarżająco na swojego nowego kompana do picia. - Czy nie dlatego wyjechała? Uwiodłeś ją, ty łajdaku?

Burke nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Przecież tak naprawdę, jak to określił hrabia, sprowadził ją na drogę rozpusty, mimo że wtedy tak to nie wyglądało. I właśnie z tego powodu Kate uciekła. Ale, oczywiście, nie zamierzał przyznać się do tego hrabiemu Palmer. Uważał, że nie może winić Bishopa za to, co się stało. To w końcu on, Burke, całkiem entuzjastycznie przedstawił Kate szczegóły ich przyszłego życia w grzechu, podczas gdy powinien się oświadczyć. Ale skąd miał to wie-

dzieć? Nigdy nie wspomniała nawet słowem o swoim pochodzeniu. Skąd mógł wiedzieć, że jest córką dżentelmena?

To, oczywiście, nie było wytłumaczenie. Nie powinien był traktować żadnej kobiety w podobny sposób jak Kate. Ale przez siedemnaście lat nawet przez myśl nie przeszedł mu pomysł ponownego ożenku.

przed ucieczką z panem Saundersem. Kiedyś mi wspomniała o takiej ewentualności.

Niech Bóg Pana błogosławi i proszę wiedzieć, że zawsze będę o Panu pamiętać.

Kate Mayhew

22

Drogi Lordzie Wingate, tak się rozpoczynał ten krótki list.

No tak, oczywiście. A czego on oczekiwał? Że zwróci się do niego po imieniu? Zrobiła to tylko raz i tylko dlatego, że ją o to poprosił. Nie powinien się spodziewać, że zrobi to ponownie w liście, tłumaczącym, dlaczego nie może się z nim spotkać.

Drogi Lordzie Wingate!

Wiem, że najprawdopodobniej jest Pan na mnie zły, ale czułam, że muszę wyjechać. Niestety, nie mogę być Pana utrzymanką. Bardzo chciałabym spróbować, lecz wiem, że nie jestem ulepiona z tego rodzaju gliny i że to unieszczęśliwiłoby nas oboje. Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan i nie ma nic przeciwko temu, że wysyłam ten list do lorda Palmer, by go Panu przekazał. Uważam, że będzie dla mnie dużo lepiej, jeżeli przez jakiś czas Pana nie zobaczę ani nie otrzymam od Niego żadnej wiadomości. Proszę przekazać Isabel pozdrowienia ode mnie i postarać się, by zrozumiała, dlaczego musiałam wyjechać, bez wyjawiania jej, oczywiście, prawdy. I proszę ją powstrzymać

Burke, po przeczytaniu całego listu, przyjrzał się górze kartki - jeśli można to było nazwać kartką. Było to zaledwie pół strony papieru kancelaryjnego, takiego, który można kupić w każdym sklepie. Cóż, Kate nie była głupia. Przeczytał go ponownie.

Ale bez względu na to, jak wiele razy to robił, słowa pozostawały takie same.

Żadnego obwiniania. W ogóle nie miała do niego pretensji. Nigdzie nie było najmniejszego nawet śladu, że płakała podczas pisania. Atrament był rozmazany. Zastanawiał się, ile kopii napisała, zanim się zdecydowała na wysłanie właśnie tej. Sprytnie nie zawarła w liście żadnej wskazówki, dzięki której byłby w stanie ją wytropić. I nie wyraziła także najmniejszej nawet nadziei, że będzie próbował to zrobić.

Uważał, że to i tak więcej, niż zasługiwał. Nie spodziewał się przecież od niej listu. Ledwie był w stanie uwierzyć własnym oczom, kiedy Bishop położył go na jego dłoni, gdy późnym popołudniem - ciągle krwawiący i pijany - zbierał się do wyjścia. Pomyślał, że to pewnie pośpieszne zestawienie szkód, wyrządzonych w pokoju lady Palmer, za które będzie musiał zapłacić.

- To od Kate - oznajmił niewyraźnie hrabia, jako że do nosa wciąż przykładał kawałek materiału. - Przysłała to razem z listem do mnie. Na początku zupełnie nie miałem zamiaru ci go przekazać, ale... myślę, że lepiej będzie, jak go dostaniesz.

Burke odruchowo odwrócił list, sprawdzając pieczęć. Bishop, ciągle pod wpływem whisky, zaśmiał się gorzko.

- Nie martw się - rzekł. - Nie czytałem go. Nie chciałem. Cokolwiek się wydarzyło między wami... Po prostu nie chcę o tym wiedzieć.

Burke w tej kwestii całkowicie się z nim zgadzał. On także nie chciał wiedzieć. Pragnął zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się od tamtego mglistego wiosennego wieczoru, kiedy ją poznał. Dlatego właśnie sześć godzin później siedział w swoim gabinecie, a nie w bibliotece. Nie był w stanie wejść do niej od tamtej nocy, kiedy on i Kate... No tak, o tym też chciał zapomnieć.

Siedział, popijając tym razem własną whisky i czytając list po raz nie wiadomo który. Wiedział, że w ten sposób nie zapomni o Kate, lecz nie potrafił go odłożyć. Była to jedyna pamiątka po niej. Z wyjątkiem nocnej koszuli i peniuaru, które usunął z podłogi w bibliotece, zanim zostały znalezione przez którąś ze służących, i teraz trzymał zwinięte pod poduszkami w swoim ogromnym łóżku.

Sentymentalne? Tak. Nieznośnie cklive? Na to wygląda.

Ale za żadne skarby nie był w stanie rozstać się z nimi i z listem.

Czytał go po raz chyba setny, mając nadzieję, że któraś linijka zmieniła się od ostatniego razu, kiedy drzwi do jego gabinetu otworzyły się gwałtownie.

- Przepraszam bardzo - zagrział Burke, nie podnosząc głowy - ale miałem powód, by zamknąć te drzwi.

- A ja miałam powód, by je otworzyć. - Isabel, ubrana w wieczorową suknię, stanęła przed nim, a w jej oczach błyszczały łzy. Włosy miała za bardzo ściągnięte do tyłu, gdzie wybuchały nagle kaskadą drobnych loczków. Nie było jej do twarzy z taką fryzurą. W takim uczesaniu Kate nie wypuściłaby jej z domu. - Przed chwilą weszłam do pokoju panny Mayhew. - Głos Isabel przepełniony był czymś, co najwyraźniej ledwie

udawało jej się powstrzymać. - Chciałam oddać książkę, którą mi pożyczyła, i co tam znalazłam, jak sądzisz? No, co tam znalazłam?

Burke podniósł do ust szklanekę i pociągnął spory łyk burztynowego płynu.

- Ona odeszła! - Głos jego córki zadrżał. - Papo, ona odeszła! Nie ma jej książek! Panna Mayhew odeszła od nas!

- Tak. - Markiz po raz kolejny napełnił szklanekę. - Wiem.

- Wiesz?! - zawołała dziewczyna. - Wiesz?! Co masz na myśli, mówiąc, że wiesz?

- Panna Mayhew uznała, że jej krewny, ten, który jest chory, potrzebuje jej bardziej niż my, więc z żalem przysłała swoją rezygnację.

Zerknął na córkę, by się przekonać, czy jego kłamstwo zabrzmiało przekonująco. Uznał, że chyba tak. Isabel wyraźnie zbladła, a w kącikach jej oczu zaczęły się gromadzić łzy. Nie wyglądała na zagniewaną, przynajmniej na razie.

- Ale ja tego nie rozumiem. - Potrząsnęła głową; loczki z tyłu jej głowy zatrzepotały. - Papo, panna Mayhew nie ma rodziny. Sama mi o tym mówiła. Kim jest w takim razie ten jej chory krewny?

Burke pociągnął kolejny łyk. Niewątpliwie whisky miała coś w sobie. Czyniła go przyjemnie odrętwiałym. A kiedy budził się rankiem z bólem głowy, jedyne, czego potrzebował, to kilka łyków trunków. Ból głowy mijał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeżeli jego gardło będzie miało zapewnioną stałą dostawę tego dobroczynnego płynu, może to wszystko przetrwa.

- Poczekaj chwilę. - Zielone oczy Isabel nieoczekiwanie się zwęziły, ale jej ojciec był zbyt zamroczony alkoholem, by w porę dojrzeć niebezpieczeństwo. - Poczekaj chwilę - powtórzyła. - Kłamiesz.

Uniósł jedną brew.

- Słucham?

- Słyszałaś, co powiedziałam. Okłamujesz mnie, papo. Panna Mayhew nie wyjechała do żadnego chorego krewnego.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Isabel. Sama przecież ci napisała...

- Kłamała - upierała się dziewczyna. - Nikt nie pisze w liście, że krewny jest chory. Pisze się „moja ciotka” albo „mój kuzyn”, albo „żona brata mojego dziadka”. Nie pisze się „mój krewny”. Panna Mayhew kłamała i ty również kłamiesz.

Burke oparł głowę o zagłówek skórzanego fotela i głośno westchnął.

- Isabel.

- Powiedz mi prawdę - zażądała jego córka. - Musisz to zrobić. Nie jestem już dzieckiem. Jestem dorosłą kobietą, właściwie zaręczoną i niedługo wychodzącą za męż...

- Nie jesteś - przerwał jej z naciskiem Burke - właściwie zaręczoną i niedługo wychodzącą za męż dorosłą kobietą, dopóki ja tego nie stwierdzę.

- Dobrze więc, nie jestem w takim razie zaręczona i nie wychodzę wkrótce za męż. Ale mimo to jestem dorosła i żądam, byś mi powiedział. Gdzie ona jest, papo?

Jej ojciec uważnie wpatrywał się w sufit.

- Nie wiem - rzekł krótko.

- Jak to nie wiesz? - Dziewczyna podniosła głos. - Dokąd zostały wysłane jej książki?

- Do lorda Palmer - powiedział Burke do sufitu. - On wyśle je do niej, gdziekolwiek się teraz znajduje.

- Co to znaczy: gdziekolwiek się teraz znajduje? Naprawdę nie wiesz, gdzie jest panna Mayhew?

Potrząsnął głową.

- Nie, już to przecież mówiłem. - Wtedy wreszcie spojrzął

na córkę. Widząc wyraz jej twarzy, wyciągnął do niej rękę i dodał: - Przykro mi, Isabel.

- Tobie jest przykro? - Głos dziewczyny podniósł się jeszcze wyżej. Emocje coraz bardziej zaczynały brać w niej górę. Burke uznał, że jest bliska hysterii. - Tobie jest przykro? Co ty jej zrobiłeś, papo? Co ty jej takiego zrobiłeś?

Nie mógł córce, oczywiście, tego powiedzieć. Mógł jedynie ponownie potrząsnąć głową. Wtedy, ku jego zaskoczeniu, Isabel upadła na kolana przy jego fotelu i rozdzierając zasłochłała.

- Zrobiłeś coś - rzekła przez łzy, uderzając pięścią w jego udo. - Tamtej nocy w ogrodzie, kiedy przyszedł pan Craven, zrobiłeś coś pannie Mayhew. Straciłeś nad sobą panowanie. Straciłeś je, prawda? To przez ciebie wyjechała. Przez ciebie. - Potrząsnęła głową z taką siłą, że burza loczków opadła na jej ramiona. - Jak mogłeś, papo?

Burke przyglądał jej się żałośnie.

- Isabel - odezwał się wreszcie. - Przepraszam. Powiedziałem już, że jest mi przykro.

Uniosła dłoń i nadgarstkiem otarła spływające po policzkach łzy.

- Oczywiście, że jest ci przykro - powiedziała nieco spokojniejszym tonem. - Biedny papa. - Pociągnęła nosem, po czym zerknęła na ojca. - Czy bardzo jesteś smutny? Wyglądasz tak, jakbyś był.

Był, ale pijany. Nie mógł jej jednak tego powiedzieć. Tak jak nie mógł wyjawić prawdziwej przyczyny nagłego wyjazdu Kate.

- Bardzo mi cię żal, papo. - Isabel wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku. - Papo, kiedy się ostatni raz goliłeś?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze.

- Jesteś strasznie zaniedbany. - Dziewczyna spróbowała

poprawić mu fular. - I jak to się stało, że masz skaleczenie nad okiem? Znowu z kimś się biłeś?

- Tak. - Wzruszył ramionami.

- Jesteś bardzo niegrzecznym papą. - Jego córka wyciągnęła z kieszeni męskiej kamizelki chusteczkę i przyłożyła ją delikatnie do niewielkiej rany. - Niedobrze, że się o siebie nie troszczysz. Co by sobie o tobie pomyślała panna Mayhew, gdyby teraz wróciła?

- Ona nie wróci, Isabel.

- Nie możesz tego wiedzieć, papo. Panna Mayhew twierdzi tak teraz, ponieważ jest na ciebie zła. Jestem zresztą przekonana, że słusznie. Potrafisz być naprawdę okropny, kiedy tracisz nad sobą panowanie. Ale ona cię kocha, papo. Na pewno wróci.

Burke pochylił się i energicznie chwycił córkę za ramiona.

- Powiedziała ci to? Powiedziała ci, że mnie kocha?

- Nie - odrzekła Isabel, a kiedy ją puścił i opadł z powrotem na fotel, dodała, śmiejąc się cicho: - Niemądry papo. Nie musiała mi mówić, że cię kocha. Każdy rozumny człowiek mógł to zobaczyć. Kocha cię prawie tak bardzo jak ty ją.

Burke zmierzył ją wzrokiem.

- Dlaczego uważasz, że jestem zakochany w pannie Mayhew? - spytał ostrożnie.

Isabel przewróciła oczami.

- Oj, papo. Oczywiście, że się w niej kochasz. Wszyscy o tym wiedzą.

- Kim są ci wszyscy? - dopytywał się podejrzliwie.

- Na miłość boską! - Isabel odrzuciła na bok zakrwawioną chusteczkę, uniosła brzeg sukni i podniosła się. - Próbujesz mi wmówić, że nie jesteś zakochany w pannie Mayhew? Bo jeżeli tak, to z przyjemnością podam ci dziesiątki przykładów, które wskazują na to, że jest wprost przeciwnie. Po pierwsze, zgodziłeś się jej zapłacić horrendalną sumę, byle tylko została moją przyzwoitką...

- Zrobiłem to - Burke zerwał się z fotela i stanął naprzeciwko córki - tylko dlatego, że doprowadzałaś mnie do szaleństwa tym swoim ciągłym zrządzeniem. - Podniósł głos, starając się ją naśladować. - Chcę pannę Mayhew za przyzwoitkę. Dlaczego panna Mayhew nie może być moją przyzwoitką? - Po chwili dodał: - Nie pozostawiłaś mi żadnego wyboru.

- A jak - Isabel skrzyżowała ramiona na piersi i z lekkim uśmiechem obserwowała ojca - wytłumaczysz fakt, że po tym, jak ją zatrudniłeś, wciąż chodziłeś na wszystkie bale i przyjęcia, których ponoć tak bardzo nie znosisz, tylko po to, by móc stanąć w kącie i ją szpiegować?

- To nie było szpiegowanie. Troszczyłem się tylko o jej bezpieczeństwo. Pannę Mayhew cechuje dziecięca wprost naiwność, jeżeli chodzi o mężczyzn.

- Proszę, papo. Przyznaj to. Kochasz ją. Dlatego, odkąd wyjechała, zachowujesz się niczym zraniony niedźwiedź, ciągle na wszystkich warczysz. Dlatego nie goliłeś się, nie myłeś ani nawet nie zmieniałeś ubrania od tego ranka, kiedy odkryłeś, że jej nie ma. Dlatego też wdajesz się w bójki i tak dużo pijesz. Kochasz ją i wiesz, że to tylko i wyłącznie twoja wina, że panna Mayhew wyjechała, a twoje serce jest złamane.

- Nieprawda - odpowiedział Burke z taką godnością, na jaką tylko potrafił się zdobyć, będąc, jak stwierdziła jego córka, nieogolony, nieumyty, w brudnym ubraniu i zdecydowanie pijany. - Moje serce nie może być złamane, ponieważ go nie mam.

Isabel przewróciła oczami.

- Tak, tak, wiem. Nie masz serca, bo siedemnaście lat temu złamała je mama. Słyszałam również plotki, papo. Tyle że w przeciwieństwie do ciebie, ja w nie nie wierzę. Masz serce, które w tej chwili bardzo cię boli. Zasługujesz na to. Jestem pewna, że zachowałeś się okropnie. Ale, papo, zapewniam cię, że panna Mayhew wróci. Musi wrócić.

Burke z ciekawością przyjrzał się córce.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeżeli kocha cię choć w przybliżeniu tak jak ja, nie będzie w stanie nie wrócić - odparła Isabel, wzruszając ramionami.

Z szerokim uśmiechem dziewczyna odwróciła się i wyszła z pokoju, zostawiając ojca samego z tym zupełnie niesatysfakcjonującym go stwierdzeniem.

23

Freddy Bishop, dziewiąty hrabia Palmer, lubił swój klub. Było to miejsce niezwykle prestiżowe, gdzie przyjmowano do swego grona najbardziej uprzywilejowanych dżentelmenów. Tylko utytułowani mężczyźni - ci pochodzący z najstarszych, najlepszych rodzin - przechadzali się wykładanymi boazerią korytarzami i delektowali się lunchem, złożonym najczęściej z pieczonej wołowiny. Politycy i intelektualiści nie mieli tutaj wstępu, więc tematy rozmów nie wychodziły nigdy poza sport, cygara i... no cóż, sport. Członkostwo było tak trudne do zdobycia, że Freddy mógł zasiąść w jednym z głębokich skórzanych foteli stojących przy kominku w głównej sali i przez wiele godzin cieszyć się samotnością. Miało to ogromne znaczenie dla kogoś, kto mieszkał z kobietą taką jak jego matka.

Dlatego bardzo się zdziwił, kiedy zbliżył się do niego jeden ze służących, pochylił i rzekł cicho:

- Najmocniej przepraszam, panie hrabio, ale w korytarzu jest człowiek...

Freddy, świadomy nieprzyjemnych spojrzeń, rzucanych mu przez innych dżentelmenów, wyszeptał pospiesznie:

- No i? Co to ma wspólnego ze mną?

- Ten człowiek, panie hrabio, nalega na zobaczenie się z panem. Mówi, że jeżeli pan się z nim nie spotka, to podłoży ogień pod to miejsce. Zdażył już pobić trzech ludzi, których wysłałem, by się go pozbyli. Jest bardzo natrętny, panie hrabio... i, jeśli wolno mi dodać, sądzę, że także trochę pijany.

Freddy, ciekawy, kto pobił trzech pracowników klubu - z których wszyscy byli zatrudniani ze względu na ich potężne wymiary - zastanawiał się, dlaczego, do diabła, ten człowiek nalegał na spotkanie właśnie z nim. Podniósł się więc z wygodnego fotela i wyszedł za służącym na korytarz. A tam ujrzał, jak markiz Wingate metodycznie niszczy wszystko wokół, głównie poprzez podnoszenie członków obsługi klubu i rzucanie nimi o ścianę. Wiszące na niej portrety szacownych założycieli klubu niebezpiecznie się chwiały.

- Na miłość boską! - rzucił Freddy z niesmakiem. - Traherne, czy ty naprawdę musisz urządzać scenę wszędzie, dokąd tylko się udasz?

Markiz spojrział na niego.

- Dobry Boże - wybuchnął hrabia. - Czy to w ogóle ty, Traherne? Wyglądasz doprawdy wstrętnie. Puść natychmiast tego nieszczęsnego chłopaka i podejdź do mnie. - Zauważył zaskoczone spojrzenia służących. - Tak, tak, znam tego pana. Nie uwierzylibyście, patrząc na niego w tej chwili, ale jest markizem i zazwyczaj wygląda nieco porządniej. Wpuście go więc, na niebiosa, i niech jeden z was przyniesie trochę whisky.

Polecenia hrabiego Palmer zostały bezzwłocznie spełnione. Burke'a poprowadzono do niewielkiego, prywatnego gabinetu, w którym członkowie klubu mieli w zwyczaju wypisywać comiesięczne czeki dla właściciela klubu, swoich rządców, utrzymanek i dostawców cygar. Tam, czując się nagle dziwnie wyczerpany, spoczął na skórzanej, bardzo wygodnej sofie.

Wydawała się otulać jego ciało, obejmując swoją niezwykłą miękkością. Markiz nakazał sobie nie poddawać się tej miękkości. Nie miał wątpliwości, że został posadzony właśnie tutaj, by zapomnieć o przyczynie, dla której się znalazł w tym klubie.

- Masz - rzekł Palmer, podając mu alkohol przyniesiony przez jednego ze służących. - Wypij to.

Burke przyjrzał się podejrzliwie kolorowi napoju.

- To nie jest whisky - stwierdził.

- Nie, to brandy. Ale co cię to, do diabła, obchodzi? To też alkohol, staruszku. Wyglądasz tak, jakbyś go bardzo potrzebował.

Markiz z niechęcią wziął od niego ogromny pękaty kieliszek, w którym znajdowało się doprawdy niewiele trunku i wypił do dna. Brandy. Tak. Pił już kiedyś brandy. Właściwie kiedyś często ją pił, zanim jego życiem nie zawładnęła whisky. Poczul w przełyku uspokajające ciepło. Cóż, Bishop co do jednego się nie mylił - to także był alkohol. Wyciągnął w kierunku hrabiego pusty kieliszek.

- Już dobrze, już dobrze. - Freddy nalał mu trochę brandy. - Nie tak szybko. Policzą mi za całą butelkę, a to paskudztwo ma dwadzieścia lat.

Burke pociągnął jeszcze jeden łyk.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co powiem - Bishop usiadł na skórzanym fotelu naprzeciwko - ale twoje wpadanie gdzieś i rzucanie ludźmi staje się nudne. Myślałem, że ustaliliśmy to podczas naszego ostatniego spotkania. Kiedy to było? Dwa miesiące temu, prawda? Jak widzisz, mój nos całkiem ładnie się zagoił. - Odwrócił się do niego bokiem, by Burke mógł spojrzeć na jego profil. - Widzisz chyba to zgrubienie. Wszyscy je widzą. Ale wiesz, mnie się ono nawet podoba. Uważam, że zanim złamałeś mi nos, moja twarz była trochę za bardzo kobieca. Jestem nieco rozczarowany,

widząc, że ja nie byłem w stanie wyrządzić twojemu obliczu żadnej szkody. Ale i bez tego wyglądasz wystarczająco pas-kudnie. - Pociągnął łyk ze swojego kieliszka. - A więc przy-puszczam, że teraz powiesz mi, dlaczego się tutaj znalazłeś. Tylko błagam, nie prosz mnie, bym powiedział ci, gdzie jest Kate. Wciąż nie otrzymałem od niej pozwolenia na to.

- Nie ma jej - rzekł Burke i poczuł się tak, jakby na jego sercu zaciskała się jakaś niewidzialna obręcz.

Bishop zakaszłał.

- No tak, oczywiście, że jej nie ma, chłopie. Rozmawialiśmy już o tym podczas twojej wizyty u mnie, pamiętasz?

- Nie Kate - rzucił krótko markiz. - Isabel.

- Isabel? - Szczeka jego rozmówcy opadła. - Lady Isabel? Twojej córki?

- Nie. - Burke zerwał się ze zbyt wygodnej sofy i szybko podszedł do kominka, w którym wesoło trzaskał ogień, mimo że na zewnątrz nie było zimno. - Nie - powtórzył z ledwie powstrzy-mywaną wściekłością. - Lady Isabel, mały tańczącej na lodzie, ty głupcze. Oczywiście, że mojej córki. Nie ma jej. Opuściła mnie.

Bishop zagwizdał.

- Wydaje się, że wszystkie ci to robią, co? To znaczy zostawiają cię.

Sekundę później żałował zarówno tego, że gwizdnał, jak i swojego lekceważącego tonu, bo markiz chwycił go za poły surduta i uniósł z fotela.

- A teraz mi powiesz, gdzie ona jest. - Burke powoli wymawiał słowa, tak by hrabia na pewno go zrozumiał.

Stopy Freddy'ego znajdowały się jakieś pół metra nad podłogą. Przyjrzał się im z zalem, tak jakby zatęsknił nagle za twardym podłożem.

- Traherne - odrzekł równie wyraźnie jak markiz. - Skąd, do diabła, mam wiedzieć, dokąd uciekła twoja córka?

- Nie Isabel - sprostował markiz. - Kate.

Hrabia zakaszłał.

- Ale, naprawdę, Traherne, nie rozumiem... - Urwał, gdy markiz ścisnął go mocniej.

- Ona uciekła! - Głos Burke'a przekształcił się w groźny ryk. - Isabel uciekła z tym łajdakiem Cravenem!

- Z Cravenem? Z Danielem Cravenem?

- A znasz jakiegoś innego?

- Ale... - Bishop potrząsnął głową, prawdziwie oszołomio-ny. - A co z Saundersem?

Co z Saundersem? Nawet stojąc i trzymając w powietrzu wcale nielekkiego hrabiego, Burke wracał myślami do po-przedniego wieczoru, kiedy córka pojawiła się w jego gabinecie. Siedział w fotelu przed kominkiem ze szklanką whisky, co stało się jego codziennym zwyczajem. Słyszał, jak wchodzi do pokoju, ale nie sądził, że powinien się przygotować na kon-frontację, która miała mieć za chwilę miejsce.

W ciągu tygodni, które upłynęły od okrutnej - teraz Burke tak to traktował - dezercji Kate, Isabel zachowywała się wobec niego bardzo współczująco. Spodziewał się więc, że córka powie mu coś miłego i pocieszającego albo zasugeruje - jak już to miało miejsce kilkakrotnie - by wreszcie obciął włosy. Zupełnie nie oczekiwał, że jego dziewczyna nakrzyczy na niego tak, jakby był chłopcem na posyłki.

- Znowu pijany - rzuciła z odrazą, kiedy podeszła wystar-czająco blisko, by dojrzeć butelkę, która była już prawie pusta. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyż Vincennes przynosił mu następną, kiedy Burke tylko o nią poprosił. - Czy tak właśnie będzie już zawsze? Masz zamiar zapieć się na śmierć?

Popatrzył na nią przekrwionymi oczami.

- To jedyne, co do tej pory przyszło mi do głowy. Masz może jakieś inne propozycje?

- Tak. Akurat tak się składa, że mam. Dlaczego nie ruszysz swojego tyłka i nie zaczniesz jej szukać?

Burke przyjrzał się córce z wyraźną dezaprobatą.

- Nie używaj takiego języka w moim domu.

- Bo co? - Isabel, ubrana wyjściowo, potrząsnęła głową. - Co mi zrobisz?

- Przełożę cię przez kolano.

Dziewczyna zaśmiała się. Nie był to przyjemny śmiech; pobrzmiwała w nim pogarda.

- Bardzo chciałabym to zobaczyć - rzekła. - Wątpię, czy w swoim obecnym stanie uniósłbyś nawet mysz. Kiedy ostatni raz jadłeś przyzwoity posiłek? Albo wyszedłeś na spacer?

Burke popatrzył tylko spode łba w stronę buzującego w kominu ognia. Wiedział, że nie ma sensu przekonywanie Isabel, że jedzenie ma dla niego smak trocin, a powietrze, bez względu na to, czy w domu, czy na zewnątrz, bynajmniej nie pachnie przyjemnie.

- Jestem jednak wystarczająco silny, by ukrócić twoje wydatki - oświadczył.

- Oczywiście, że tak - przyznała sucho Isabel. - Tyle że następnym razem, kiedy będziesz nieprzytomny od whisky, przeszukam twój portfel. Co, sądząc po ilości pozostałego w butelce alkoholu, powinno mieć miejsce nie później niż za kwadras.

- Isabel - rzekł niecierpliwie Burke. - Czego ty właściwie chcesz? Pieniądzy? Jak widzę, wychodzisz gdzieś?

- Tak, wychodzę. Sama, powinnam dodać. Stałam się bohaterką niezłego skandalu, chodząc wszędzie bez przyzwoitki. A to wszystko dzięki tobie.

- Dzięki sobie samej - poprawił ją. - To nie ja spędziłem ostatnie trzy miesiące uwieszony na szyi tego młodego nic...

Isabel uniosła odzianą w rękawiczkę dłoń.

- Nie ubliżaj Geoffreyowi. Doskonale zdaję sobie sprawę, co o nim myślisz.

- Naprawdę? Więc dlaczego mam przecucie, że wciąż się z nim widzisz za moimi plecami?

- Chodź więc dzisiaj ze mną i przekonaj się. Myślę, że będziesz mile zaskoczony. Nie interesuję się już prostymi młodzieńcami w stylu Geoffreya Saundersa. Sądzę, że będziesz pozytywnie zaskoczony, gdy zobaczysz, kto mi teraz dotrzymuje towarzystwa.

Burke przyjrzał się córce. Nie wyglądała tak ładnie jak wtedy, gdy Kate troszczyła się o jej strój i fryzurę. Pozostawione samym sobie, siedemnastoletnie dziewczęta czasami dokonują chybionych wyborów. Dzisiejszego wieczoru nad czołem Isabel powiewała puszysta grzywka, której - jeśli dobrze pamiętał - nie było, gdy widział ją ostatnim razem. Może taka fryzura była modna, ale jego córce zdecydowanie nie było w niej do twarzy. Zastanawiał się nawet, czy to jej własne włosy, i zapragnął wyciągnąć rękę, by to sprawdzić. Uznał jednak, że wymagałoby to od niego zbyt dużego wysiłku.

Tak jak pójście z Isabel.

- Nie, dziękuję - rzekł, odwracając się w stronę ognia.

- Och! - zawołała dziewczyna, tupiąc nogą. - Naprawdę, papo! Co się z tobą stało? Jestem pewna, że kiedyś nie siedziałbyś z założonymi rękami i nie pozwalał jakiejś kobiecie, by traktowała cię w taki sposób. Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie udasz się do niej i nie...

- Ponieważ - Burke, zazgrzytał zębami - nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

- Aha, i człowiek z twoimi pieniędzmi i pozycją nie potrafi znaleźć sposobu, by się tego dowiedzieć?

- Nie widzę sensu w szukaniu jej, skoro dała mi wystarczająco jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty ponownie się ze mną spotkać.

- Papo, ona była rozgniewana, gdy to pisała. Jestem pewna, że kiedy się uspokoiła i wszystko sobie dokładnie przemyślała, zmieniła zdanie. Pewnie siedzi teraz gdzieś i myśli, że to ty nie masz ochoty jej więcej oglądać.

- I ma całkowitą rację - odparł, pociągając spory łyk burztynowego, dobroczynnego napoju.

- Nieprawda. Gdyby panna Mayhew pojawiła się teraz w tym pokoju, papo, upadłbyś i całował jej stopy. - Isabel ściągnęła rękawiczkę, a na jej twarzy widać było odrazę. - Chociaż, prawdę mówiąc, wątpię, by cię w ogóle poznała, widząc cię w takim stanie. A ja nie miałabym do niej o to najmniejszej nawet pretensji. Zmieniłeś się w prawdziwą bestię. Daniel mówi...

- Daniel? - przerwał jej natychmiast. - Kim jest Daniel?

- Daniel Craven - odparła Isabel.

Burke zerwał się na równe nogi. I dziwne, ale poczuł się nagle zupełnie trzeźwy. I nie marzył już o Kate. Gniew przyćmiewa wszystkie inne uczucia i sprawia, że inne rzeczy wydają się mało ważne.

- Jeszcze raz znajdziesz się w pobliżu tego człowieka, a obiecuję, że skręcę ci kark - zagroził.

- On nie jest taki, za jakiego go uważasz, papo - upierała się Isabel. - Jest także inny, niż sądziła panna Mayhew. On jest naprawdę czarujący. Po prostu niewłaściwie go oceniono. Jest mu bardzo przykro, że...

- Nie wolno ci się do niego zbliżać! - krzyknął Burke. - Nie masz prawa z nim rozmawiać ani tańczyć, ani nawet patrzeć w jego kierunku, rozumiesz?

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia, by się z nim spotykać - odparła zimno Isabel. - Jestem pełnoletnia. Jeżeli będę chciała, to mogę nawet za niego wyjść. I nie będziemy się także martwić o żadne zapowiedzi. Jedyne, co musimy zrobić, to przekroczyć granicę i...

Dał w jej kierunku duży krok. Nigdy nie uderzył córki i teraz także nie miał takiego zamiaru. Ale ona tego nie wiedziała i instynktownie się cofnęła.

- Isabel, ostrzegam cię. Jeżeli zbliżysz się do tego mężczyzny, zabiję go. Najpierw jego, a potem ciebie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Daniel przewidział, że właśnie taka będzie twoja reakcja. Mówiłam mu, że się myli, ale wygląda na to, że miał rację. Uważam, że jesteś po prostu straszny. Kocham go, papo, i mam zamiar za niego wyjść, bez względu na to, czy ty wyrazisz zgodę, czy nie.

Był tak bliski uderzenia jej jak jeszcze nigdy, więc rzucił w okno szklanką z whisky. Na podłogę posypało się szkło. Dziewczyna, która wcześniej się skuliła, teraz wyprostowała się i popatrzyła na ojca. Burke wiedział, że nigdy nie zapomni spojrzenia, jakie mu posłała.

- Isabel - rzekł desperacko.

Ale było już za późno. Odwróciła się na pięcie i bez słowa opuściła jego gabinet. Więcej już jej nie widział. Następnego ranka szlochająca pani Cleary przyniosła mu list. Isabel pojechała z Cravenem do Gretna Green. Wróci, jak zapewniła, jako mężatka. I jeżeli jej ojciec chce zobaczyć kiedyś swoje wnuki, nie zrobi nic, by ich powstrzymać.

- O rany! - powiedział Bishop, który cierpliwie wysłuchał skróconej wersji niedawnych wydarzeń, wisząc ciągle w powietrzu. - Niedobrze, chłopie. Może więc teraz postawisz mnie na podłodze i razem zastanowimy się, co zrobić?

Burke wreszcie go puścił i, prawdę mówiąc, nie zrobił tego zbyt delikatnie.

- Rozmyślałem już nad tym. - Przechesał dłonią zbyt długie włosy. - I jedynym rozwiązaniem wydaje mi się odnalezienie

Kate. Musi pojechać ze mną do Szkocji. Isabel mnie nie posłucha, ale jej na pewno.

Hrabia poruszył ramionami. Wiszenie w powietrzu najwyraźniej nie przysłużyło się jego surdutowi.

- Cóż, jestem pewien, że to prawda, stary - rzekł. - Ale zapominasz o jednej dość ważnej rzeczy. Kate nie życzy sobie, bym ci powiedział, gdzie ona jest. Przecież pamiętasz o tym, prawda?

- Ale to jest sytuacja krytyczna.

- Nie wątpię, musisz jednak zrozumieć, że nie jest w moim interesie ani, jak jestem przekonany, w interesie Kate, abyś ją odnalazł.

Burke spojrział na niego spode łba.

- Racja - przyznał. Jego usta były prawie białe. - Chcesz ją przecież dla siebie.

- Chyba tak. To znaczy ona na razie nie chce nawet o tym słyszeć, ale za jakiś czas...

- A twoja sopranistka? - zapytał uprzejmie markiz, choć nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany życiem uczuciowym hrabiego.

- Tak... cóż, ona stanowiłaby pewien problem. Ale Kate jest kobietą bardzo wyrozumiałą...

- Nie tak wyrozumiałą, jak przypuszczasz.

Bishop rzucił mu uważne spojrzenie.

- No tak, może i masz rację. Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę mam związane ręce. Dałem jej słowo, że nic ci nie zdradzę.

Burke nabrał głęboko powietrza.

- Bishop. Moja córka jest niedoświadczoną siedemnastolatką. Rzuciła się w ramiona drania, który w najlepszym wypadku jest złodziejem, a możliwe, że spalił dwoje ludzi żywcem w ich łózkach. I on ma być moim zięciem, ojcem moich wnuków.

Hrabia zmarszczył czoło.

- To jeszcze nie jest pewne... - zaczął, ale Burke mu przerwał.

- Pomyśl o Kate - rzekł, podejmując ostatnią, desperacką próbę. - Pomyśl, co by powiedziała, gdyby o tym wiedziała. Gdyby wiedziała, że Isabel znalazła się pod wpływem Daniela Cravena? Jak myślisz, co by wtedy zrobiła?

Wyraz twarzy hrabiego nagle się zmienił. Rozłożył ramiona i rzekł:

- Na Boga, masz rację. Wybacz, powiem ci. Oczywiście, że ci powiem. Jestem pewien, że Kate nigdy nie wybaczyłaby mi, gdybym w zaistniałych okolicznościach tego nie zrobił. - Odetchnął głęboko. - Kate jest w Lynn Regis. Jej stara niania wynajmuje tam domek. White Cottage, chyba taka jest jego nazwa. Nie mam przy sobie dokładnego adresu, ale jeśli zaczekasz chwilę, wyślę chłopca...

Bishop urwał, ponieważ odkrył, że poza nim w pokoju nie ma nikogo.

24

White Cottage znajdował się na samym końcu drogi, którą chadzały chyba owce. Burke'owi ta droga spodobała się bardziej niż większość ulic w Lynn Regis, miasta pełnego ludzi, nie zwracających najwyraźniej uwagi na ogromne deszczowe chmury, gromadzące się nad morzem i zbliżające w bardzo szybkim tempie.

White Cottage był niewielkim domkiem, wokół którego rosły późno kwitnące róże. Gdyby Burke nie był tak poruszony ważniejszymi sprawami, z przyjemnością zatrzymałby się, by podziwiać starannie utrzymany ogród i skrzynki na parapetach, wypełnione chryzantemami i innymi jesiennymi kwiatami.

Przed zapukaniem do drzwi udało mu się przeczesać palcami włosy. Uległ namowom swego lokaja, by się ogolić przed wyjazdem z Londynu, ale zrezygnował z obcięcia włosów. Mimo że Duncan starał się go do tego przekonać, markiz uznał, że nie ma na to czasu i że Kate nie obchodzi przecież to, jak on wygląda. Na pewno go nienawidziła - zresztą zupełnie zasłużenie. Jaka więc różnica, czy miał obcięte włosy, czy nie?

Tyle że teraz, kiedy za kilka sekund miał ją zobaczyć, żałował, że nie poprosił Duncana chociaż o szybkie podcięcie. Ale były rzeczy, których żałował bardziej, więc szybko przestał zwracać sobie tym głowę i energicznie zapukał do drzwi.

- Już idę! - usłyszał z głębi domu nieznamy głos.

Minęła prawie minuta, zanim ktoś znalazł się wreszcie przy drzwiach. Minuta, podczas której Burke co chwila się odwracał i spoglądał na pozostałego przy powozie woźnicę.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich stara, opierająca się na drewnianej lasce kobieta.

- A, to pan - rzekła, gdy jej bladoniebieskie oczy zmierzyły uważnie Burke'a, jego zbyt długie włosy i znajdujący się w pobliżu powóz. - Pewnie przyjechał pan do Kate.

Burke poczuł, jak zaciskająca się na jego sercu obręcz nieco się rozluźnia. Jego ulga była ogromna.

- Tak - odrzekł. - Tak, to ja. Czy ona jest tutaj, proszę pani?

- Proszę pani. - Staruszka uśmiechnęła się. Dzięki temu, że wciąż miała zęby, był to uśmiech bardzo przyjemny. - Już od tak dawna nikt mnie tak nie nazwał. Nazywam się Hinkle.

Burke odmówił bezgłośnie modlitwę, by Bóg dał mu wystarczająco cierpliwości.

- Tak. - Starał się, by w jego głosie nie pobrzmiwała targająca nim niecierpliwość. - Pani Hinkle, czy zechciałaby mi pani powiedzieć, czy Kate jest w domu? Widzi pani, to bardzo ważne, bym...

- Panno Hinkle - przerwała mu staruszka z iskrą w oku. - I muszę panu powiedzieć, młody człowieku, że wciąż potrafię niejednemu zawrócić w głowie po niedzielnej mszy.

- Panno Hinkle. - Udało mu się powiedzieć to normalnym tonem. - Gdzie mógłbym znaleźć pannę Mayhew?

- Z tyłu - odpowiedziała kobieta, wskazując palcem na coś, co znajdowało się za domem. - Zbiera pranie. Wie pan, znosi

się na deszcz. Zrobiłabym to sama, tylko że moja noga znowu zaczęła dokuczać i...

Jej głos rozplątał się w powietrzu. Nie dlatego, że przestała mówić, ale Burke odszedł od niej, zmierzając przez ogród w stronę tylnej części domu. Za White Cottage znajdowała się łąka, a za nią spienione, ciemnoszare i złowieszcze morze, nad którym wisały nisko ciemne burzowe chmury. Niedaleko domu, pośrodku łąki, rosło drzewo z powykęcanyimi konarami, od którego biegł sznur do następnego drzewa. Zwisało z niego kilka białych prześcieradeł, poszewek na poduszki i sporo ręczników. Bielizna powiewała na wszystkie strony, gdyż wiatr zrobił się naprawdę silny. Za prześcieradłami Burke dostrzegł szczupłą kobiecą sylwetkę, a tuż obok jej stóp stał kosz na bieliznę. Ściągała właśnie klamerki, które przytrzymywały pranie na miejscu. Zdarzało się, że musiała wspiąć się na palce, by ich dosięgnąć. Ale mimo że nie widział twarzy kobiety, nie miał najmniejszych nawet wątpliwości, że jest to Kate.

Zbliżył się do sznura z praniem i stanął po jednej stronie powiewającego prześcieradła. Tuż za nim Kate walczyła z jakąś wyjątkowo upartą klamerką. Kiedy wreszcie usunęła ją z rogu prześcieradła, biały materiał opadł.

Nic się nie zmieniła. Najwyżej była jeszcze piękniejsza, niż pamiętał. Wiatr zaróżowił jej policzki i nawet szok, który musiał towarzyszyć ujrzeniu stojącego tuż obok Burke'a, nie pozbawił ich zdrowych rumieńców. Jeżeli markiz miał nadzieję, że Kate cierpiała tak samo jak on od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, przeżył rozczarowanie. Była nadał bardzo szczupła, ale w jej sylwetce widoczna była nowo odkryta pewność siebie, na twarzy malowała się łagodność, a szare oczy pełne były blasku. A jej usta - te, które prześladowały go w snach przez, jak mu się wydawało, wieczność - były pełniejsze i, jeśli to w ogóle możliwe, ciemniejsze, jeszcze bardziej zachęcające do całowania.

Wreszcie je otworzyła, po tym, jak przez około minuty wpatrywała się w niego bez słowa, i wydobył się z nich niski, tak dobrze mu znany głos:

- Wygląda pan okropnie.

Burke zamrugał. Przez całą, nieskończenie długą, jazdę z Londynu wyobrażał sobie, co powiedzą, kiedy się wreszcie spotkają. Oczami wyobraźni widział wszystko, począwszy od tego, że Kate rzuca mu się na szyję i przywiera ustami, za którymi tak bardzo tęsknił, do jego warg, aż do podnoszenia przez nią ciężkich przedmiotów i rzucania nimi w jego głowę. Jednak nawet mu do głowy nie przyszło, że jakby nic się między nimi nie wydarzyło, będzie komentować jego wygląd.

Uświadomił sobie, że nie wie, co odpowiedzieć. Wydawało mu się, że nagle zapomniał, jak się w ogóle mówi. Stał więc, intensywnie myśląc nad czymś, co mógłby rzec, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wpatrywał się w nią, zapamiętując każdy szczegół, zaczynając od tego, że miała na sobie biało-niebieską bawełnianą sukienkę, której wcześniej nie widział, a przez jej ramiona przerzucony był zielony wełniany szal, do sposobu, w jaki wiatr rozwiewał jej jasne włosy, które wymknęły się z koka na czubku głowy i powiewały wokół jej twarzy.

- Cóż... - odezwała się Kate, gdy upłynęła następna minuta, po czym uniosła dłoń, by odgarnąć pasmo włosów. - Proszę tak nie stać. Zaraz będzie padać. Proszę pomóc mi zebrać pranie.

Zaczęła ponownie odpinać kolejne klamerki.

Burke może i nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, ale przekonał się, że może się poruszać. Pomógł więc jej zdejmować klamerki, do których nie mogła dosięgnąć, a potem składać prześcieradła, trzymając je za przeciwległe rogi. Nie było to takie proste z powodu wiatru i czasami ich palce się stykały. Oboje unikali patrzenia na siebie.

Ale mimo to za każdym dotknięciem wydawało im się -

a przynajmniej Burke'owi - że na koniuszkach ich palców przeskakuje jakaś iskra. Widział, że to objaw słabości, nie był jednak w stanie nic na to poradzić. Modlił się tylko, by Kate czuła to samo. Po kilku sekundach z obezwładniającym wprost uczuciem ulgi przekonał się, że ona również musi to czuć. Drżała, choć przecież, mimo zbliżającej się burzy, nie było tak zimno.

Tylko co miał zrobić, żeby przyznała się do tego, iż nie jest jej obojętny.

Jest zła, pomyślał, i to wszystko. Miała prawo się gniewać, obraził ją przecież. Nawet więcej, niż obraził - upokorzył ją swoim głupim założeniem, że powita z otwartymi ramionami szansę zostania jego utrzymanką. Nie mówiąc już o tym, co myślał o niej i Cravenie. Miała święte prawo być bardzo zagniewana.

- Poradzę sobie z tym sama - powiedziała, kiedy Burke schylił się i zabrał od niej pełny kosz.

- Chyba jednak nie, jeżeli twoje ręce będą się tak trzęsły.

W obronnym geście skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Jest mi zimno.

- Może włożysz mój płaszcz?

Kate napotkała jego spojrzenie i pośpiesznie odwróciła wzrok, jakby przypomniała sobie o dawnej podobnej sytuacji.

- Nie - odrzekła słabo. - To nie jest konieczne. Dziękuję.

Burke nie sądził, by mógł znieść tę zimną, obojętną Kate, nawet jeżeli była to tylko celowo przybrana przez nią poza.

- Jak udało się panu skłonić Freddy'ego, by powiedział, gdzie jestem? - zapytała matowym głosem, wbijając wzrok w ziemię. - Groźbą, że powie pan jego matce o sopranistce?

Potrząsnął głową.

- Wyznałem mu prawdę - odpowiedział. -- Że cię potrzebuję.

Powinien był, oczywiście, poprzestać na tym, ponieważ oczy Kate nagle nieco złagodniały.

- Widzisz, chodzi o Isabel.

- Isabel? - powtórzyła. - A co się stało? Czy z nią wszystko w porządku?

Burke ponownie potrząsnął głową.

- Kate, ona uciekła.

Wpatrywała się w niego, nie zwracając uwagi na to, że wiatr rozwiewa jej włosy.

- Uciekła - powtórzyła za nim. - Uciekła? Dokąd?

- Do Szkocji. Z Danielem Cravenem.

- Z Danielem? - W jej głosie było słychać przerażenie. - Ale jak to? Co się stało z...

- Musisz mi pomóc, Kate - przerwał jej desperacko. - Tylko ty jesteś w stanie przekonać ją do powrotu do domu. Wiem, że nie mam prawa prosić cię o to... Tylko że nie mam pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Musisz mi pomóc. Choćby przez wzgląd na Isabel.

Kate spuściła wzrok, nie mógł więc już rozpoznać uczuć w jej oczach.

- Tak. Tak, oczywiście - mruknęła.

Po chwili szła tuż obok niego, śpiesząc do domu.

Ale Burke myślał już tylko o tym, że zgodziła się z nim pojechać. Nie dojrzał tego, co Kate pośpiesznie przed nim ukryła. Wmawiała sobie, że łzy w jej oczach to skutek silnego wiatru. Czego ona się spodziewała? Dotarcie do niej zajęło lordowi Wingate prawie trzy miesiące, a znalazł się tu tylko dlatego, że Isabel wpadła w tarapaty. I wyglądało na to, że poważne. Daniel Craven. Co on. do diabła, knuł?

Idąc krok za nią. Burke trzymał kosz z praniem i myślał: gniewa się. Oczywiście, że wciąż się gniewa. Ale mogę jej wszystko wytłumaczyć. Dopóki nie wyjdzie za Bishopa, nie jest jeszcze za późno. Na razie ciągle mam szansę.

Jednak niania Hinkle miała zupełnie inne zdanie na ten temat.

- A więc to pan - rzekła dziesięć minut później, gdy Burke siedział naprzeciwko niej przy kuchennym stole.

Kate poszła na górę, by - jak to określiła - pozbiierać kilka rzeczy. Oznajmiła staruszce, że lord Wingate i ona wyjadą na parę dni w pilnej sprawie, a potem ona wróci. Te ostatnie słowa powiedziała, zerkając na Burke'a, tak jakby mógł zaprotestować. I rzeczywiście nabrał już powietrza, by to zrobić, ponieważ jeśli tu kiedyś przyjadą - jak zdecydował podczas krótkiej drogi z łąki - to tylko z wizytą, może razem z ich dziećmi, po tym, jak już się pobiorą. Teraz, gdy odnalazł Kate, nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić jej ponownie zniknąć z jego życia.

Ale nie mógł powiedzieć tego na głos, dopóki miała do niego żal. Zwrócił się więc do niani Hinkle, której, jak mu się wydawało, nie zadowoliło wyjaśnienie dziewczyny:

- Panna Mayhew stara się być dyskretna. Ale jest to sekret, którym spokojnie mogę się z panią podzielić, panno Hinkle. Widzi pani, chodzi o moją córkę. Uciekła z pewnym mężczyzną i potrzebuję pomocy panny Mayhew w przekonaniu jej do powrotu do domu.

- Och - westchnęła staruszka.

W chwili, gdy wszedł do domu za Kate, postawiła na piecu dzbanek z herbatą, a na stole czekały już placuszki z jęczmiennej mąki. Wyglądało prawie tak, jakby się go spodziewała, co, oczywiście, było niemożliwe.

Gdy tylko Kate zniknęła na górze, kobieta przeszyła Burke'a spojrzeniem wyblakłych oczu i rzekła:

- To się panu nie uda.

Burke odstawił filiżankę z herbatą. Od dwudziestu czterech godzin nie miał w ustach ani kropli whisky, ale to nie znaczyło, że był przygotowany na to, by w zastępstwie alkoholu raczyć

się napojem hołubionym przez starsze panie. Postanowił udawać, że nie rozumie, o czym mówi niania Hinkle.

- Niestety, nie wiem, o co pani chodzi - stwierdził uprzejmie.

- A ja sędzę, że pan wie. - Staruszka wsypała wcześniej do swojej filiżanki cztery czubate łyżeczki cukru, a teraz, ku odrazie Burke'a, popijała parujący płyn z taką miną, jakby smakował wprost nieziemsko. - Wychowywałam Kate od maleńkości i byłam z nią aż do czasu, kiedy skończyła szesnaście lat. I nigdy w życiu nie spotkałam osoby bardziej od niej upartej.

Na zewnątrz błysnęło, a po chwili w oddali rozległ się grzmot. Burke rozejrzał się po niewielkim domu. Było to całkiem przyjemne miejsce, mimo że sufity znajdowały się zdecydowanie za nisko jak dla kogoś jego wzrostu. Podobała mu się myśl, że właśnie ten dom, w przeciwieństwie do jego dzikich wyobrażeń, był miejscem, gdzie Kate przebywała w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Tu było miło. Bezpiecznie. Mimo że ta stara kobieta... Cóż, nie była ona typem dobrodusznej niani, co do tego nie miał wątpliwości.

- Myślę, że przekona się pani, panno Hinkle - popatrzył na znajomo wyglądającego burego kota, który rozłożył się na czystych prześcieradłach w koszu - że ja także potrafię być bardzo uparty.

- Ale nie w takim stopniu jak ona - odparła staruszka. - W przeciwnym razie nie byłoby pana tutaj.

Burke przyglądał się, jak kot wygodnie się mości.

- Może i nie. Ale przecież jedzie ze mną, prawda?

- Przez wzgląd na pańską córkę. - Kobieta ugryzła jeden z placuszków. Kiedy znów się odezwała, posłała w kierunku gościa sporo drobnych okruszków, ale wydawało się, że nie dba o to. - To wszystko.

- Nie wierzę - odrzekł Burke, zirytowany nie tylko z powodu okruszków. - Nie wierzę, że to wszystko. Nie wierzę, że robi to tylko dla Isabel.

- To już pański problem. - Niania wzruszyła kościstymi ramionami.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Nie zniechęci mnie pani, panno Hinkle - oznajmił. - Może sobie pani mówić, jak bardzo uparta jest Kate, a ja uprzejmie przytaknę, ale nie zdoła mnie pani zniechęcić.

- Czyżby? - Spojrzała na niego, po czym uśmiechnęła się. - No tak, wygląda na to, że raczej nie. Wielka szkoda, bo czeka pana jedynie rozczarowanie.

Z góry dobiegł pełen podejrzliwości głos Kate:

- Nianiu! - zawołała. - O czym ty tak rozprawiasz?

- O niczym ważnym, kochanie! - odkrzyknęła staruszka, po czym zwróciła się do Burke'a, zniżając głos: - Pamiętam, jak o twoim rozwodzie pisali we wszystkich gazetach.

Markiz zeszczywniał.

- Tak? - bardziej stwierdził, niż spytał.

- To był spory skandal. - Stara kobieta machnęła żylastą dłonią.

- Panno Hinkle, czy próbuje pani dać mi do zrozumienia, że nie jestem wystarczająco dobry dla Kate?"

Popatrzyła na niego uważnie.

- Wie pan o jej rodzicach oczywiście?

Burke, zdziwiony łątwością, z jaką jego gospodyni skacze z tematu na temat, przytaknął.

- Ludzie również to nazywali skandalem - oznajmiła niania Hinkle. - I pisali o tym w gazetach, tak jak o pana rozwodzie. - Napiła się herbaty. - Przyjaciele, ludzie pańskiego pokroju, opuścili ich. Gdziekolwiek się pojawiali, towarzyszyły im szepty i drwiny. Szepty i drwiny tych, którzy kiedyś nazywali

siebie przyjaciółmi Mayhewów. Coś takiego może na zawsze pozostawić niezablźnione rany.

- Oczywiście - zgodził się Burke, nie mając pewności, do czego zmierza staruszka.

- U pana również pozostawiło to ślady. Jednak innego rodzaju niż u Kate.

- Co próbuje mi pani powiedzieć? - Burke stracił wreszcie cierpliwość.

- Ona nie wróci.

Markiz uznał, że staruszka wie, do czego doszło między nim a Kate. Świadomość tego była dla niego oczywiście krępująca. Jednak nie zamierzał się tak szybko poddać. Odchylił się na krzesło i powiedział:

- Myślę, że nie docenia mnie pani.

Niania Hinkle parsknęła.

- A ja myślę, że to pan nie docenia Kate. Ale po co mam o tym panu mówić? Dlaczego miałby pan mnie słuchać? Jestem starą kobietą, a takich nikt nie słucha.

Na schodach pojawiła się ubrana w podróżny strój Kate;niosła niewielką torbę.

- Ja cię słucham - rzekła. - A więc, nianiu, dasz sobie radę, gdy mnie nie będzie? Po drodze zatrzymam się u pani Barrow i poproszę, by do ciebie zajrzała. I nie zapomnij, że w spiżarni są klopsiki z soboty. Mleko zostanie dostarczone jutro...

Kiedy dziewczyna weszła do pokoju, wyraz twarzy jej dawnej opiekunki się zmienił. Niania Hinkle ponownie stała się miłą, dobrotliwą staruszką, a nie wszechwiedzącym inkwizytorem, którego rolę grała dosłownie przed chwilą.

- Och - powiedziała, gdy Burke podniósł się z krzesła i pośpiesznie odebrał z rąk Kate torbę. - Ale jest coś, o czym zapomniałaś, prawda, kochanie? Co z Lady Babbie?

- Nianiu, za kilka dni będę z powrotem - odparła Kate,

wiążąc tasiemki przy czepku. - Na pewno nie zejdzie nam dłużej.

Staruszka posłała Burke'owi spojrzenie, które on ocenił jako triumfujące. Gdy Kate uściskała ją na pożegnanie i wzięła z jej rąk naprędce zapakowane placuszki, zatrzymał się, by ucałować dłoń starszej kobiety.

- Wrócimy niedługo - rzekł z ogromną pewnością siebie, którą tak naprawdę czuł tylko połowicznie. - Po kota.

- Ona wróci - odparła staruszka, zerkając w stronę Kate, która zdążyła już wyjść na zewnątrz.

- Nie sądzę.

- W takim razie powinien się pan przygotować na to, że będzie miał złamane serce.

25

***W** takim razie powinien się pan przygotować na to, że będzie miał złamane serce.*

Słowa staruszki ciągle rozbrzmiewały w głowie Burke'a. Kilka godzin później wciąż je słyszał. A co ona mogła o tym wiedzieć? To prawda, znała Kate od zawsze, ale co z tego? Nie wiedział, jak dużo Kate opowiedziała niani o tym, co się wydarzyło pomiędzy nią i jej pracodawcą. On jednak wiedział o niej wiele rzeczy, o których niania Hinkle nie miała pojęcia.

Wiedział na przykład, że kiedy jej usta są zaciśnięte - tak jak przez większość podróży, gdy siedziała naprzeciwko niego w niewielkim powozie - nie musi być koniecznie zagniewana. Czasami oznaczało to po prostu, że o czymś intensywnie myśli. Burke podejrzewał, że jej myśli wypełniał teraz Daniel Craven. Zapytała go wcześniej o wydarzenia, które doprowadziły do ucieczki Isabel, i z uwagą wysłuchiwała ich okrojonej wersji, ponieważ nie mógł przecież jej powiedzieć, co córka mówiła o związku ojca z jej byłą przyzwoitką. Kate zgodziła się z nim, że Isabel, zostawiając liścik z wiadomością, że jadą do Gretna Green, z pewnością miała nadzieję, że ją znajdą, zanim odbędzie się ślub.

- Po co wspomniałyby, dokąd się udają - powiedziała.

Burke widział jej twarz bardzo dobrze, mimo że deszczowe chmury zasłoniły niebo i zrobiło się tak ciemno, jak o zmierzchu. Według jego kieszonkowego zegarka było jednak dopiero po czwartej. Kate miała na sobie prosty brązowy płaszcz i w takim samym kolorze czepek. Musiał przyznać, że jest jej w tym stroju bardzo do twarzy. A jej policzki, mimo że nie smagał ich już wiatr, wciąż były różowe, tak samo jak usta.

Burke'owi wydawało się, że przez całą podróż będzie trzymała je zamknięte. Nigdy nie była gadułą, ale także nie należała do osób małomównych.

Ona się gniewa, powtórzył w myślach, i ma do tego święte prawo.

Ta cisza była wyłącznie jego winą. Musiał coś z tym zrobić, w przeciwnym wypadku oszaleje.

- Przepraszam cię, Kate - rzekł głośno, tak by było go słychać poprzez zgrzyt kół i rytmiczne uderzanie o ziemię końskich kopyt.

Oderwała spojrzenie od krajobrazu za oknem.

- Słucham? - spytała z zaskoczeniem.

- Przepraszam. Za to, co się stało. Tamtej nocy w Londynie. Nie miałem pojęcia... Sądziłem, że w ogrodzie z tobą był Bishop. Nie wiedziałem, że to Daniel Craven...

Gdy tylko wypowiedział te słowa, pożałował, że to w ogóle zrobił. Przysiękł przecież sobie, że nie powie nic, co mogłoby ją zranić.

Policzki Kate płonęły. Odwróciła pośpiesznie wzrok.

- Proszę po prostu o tym zapomnieć - odezwała się zduszonym głosem.

- Nie potrafię tego zrobić. - Burke pragnął, by na niego spojrzała. - Jak mogę zapomnieć, Kate? Od tamtego czasu jestem w stanie myśleć jedynie o tym. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Potrząsnęła głową, a jej wzrok był ciągle wbity w szybę.

- Nie zrobiliby to żadnej różnicy - odrzekła.

- Dlaczego tak sądzisz? Zrobiliby, i to kolosalną. Kate, gdybyś tylko opowiedziała mi choć trochę o swojej przeszłości...

Dopiero teraz na niego spojrzała.

- Ależ zrobiłam to. Powiedziałam o pożarze.

Markiz zerwał się ze swojego miejsca naprzeciwko i usiadł tuż przy niej, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

- Ale nie opowiedziałas mi całej historii. - Sięgnął po jej dłoń. - O tym, co się wydarzyło, kim byłaś...

- Co by to zmieniło? - zapytała, zaciskając palce.

- Gdybym wiedział, kim był twój ojciec...

Kate otworzyła i usta i ponownie je zamknęła.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że gdybyś wiedział, iż mój ojciec był dżentelmenem, nie doszłoby...

- Nie - przerwał jej pośpiesznie. - Nie, jestem pewien, że też... Ale, Kate, gdybym wiedział, już wtedy zrobiłbym to, co mam zamiar uczynić teraz.

Zmierzyła go wzrokiem.

- To znaczy co?

- Poprosiłbym cię, byś za mnie wyszła.

Wydawało się, że z twarzy Kate odpłynęła cała krew. Po chwili spróbowała wyszarpnąć dłoń z jego rąk.

- Proszę mnie puścić - rzekła głosem, którego nie poznawał.

- Nie. Posłuchaj mnie, Kate... - zaczął, nie wypuszczając jej dłoni.

- Słyszałam już. - Burke zdał sobie sprawę, że nie poznawał jej głosu, ponieważ przepełniony był łzami. - Proszę puścić moją rękę i wrócić na swoje miejsce.

- Kate - rzekł, starając się być delikatny. - Wiem, że gniewasz się na mnie, i rozumiem to. Ale sądzę...

- Jeśli nie puści pan mojej ręki i nie wróci na swoje

miejsce, powiem woźnicy, by wysadził mnie na najbliższym rozstaju dróg.

- Kate. Nie sądzę, byś mnie rozumiała. Ja...

- Nie, to pan nie rozumie - odrzekła drżącym głosem. - Otworzę drzwi i wyskoczę, jeżeli nie zrobi pan tego, o co proszę.

Burke przez chwilę sam miał ochotę otworzyć drzwi i wyskoczyć. Albo przynajmniej czymś rzucić. Ale ponieważ nic by tym nie wskórał, zrobił to, o co prosiła Kate, i usiadł z powrotem naprzeciwko niej. Skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się jej z zakłopotaniem.

Co, na Boga, się z nią działo? Właśnie z całych swoich sił próbował wszystko naprawić, a ona zareagowała tak, jakby... jakby ponownie zaproponował jej, by została jego utrzymanką. Kate miała prawo gniewać się na niego o to. Ale skoro teraz poprosił ją o rękę... Czy miała mu za złe, że nie dał jej pierścionka zaręczynowego? Nie miał okazji, by wybrać się do jubilera. Był w trakcie próby powstrzymania swojej córki przed małżeństwem z tym łotrem i nie miał czasu, by wszystko dokładnie przemyśleć.

Kate wtuliła się w róg powozu i odwróciła głowę najbardziej, jak tylko była w stanie, starając się ukryć łzy. Zaczął padać deszcz, któremu towarzyszyły błyskawice i coraz głośniejsze grzmoty. Po szybko spływały duże krople deszczu. Ale to i tak nie miało znaczenia, gdyż Kate nic nie widziała z powodu łez. Zastanawiała się, co ona najlepszego robi. Przecież Burke zrobił to, na co czekała przez ostatnie trzy miesiące. A ona mu odmówiła. Dlaczego? Dlaczego?

Oczywiście wiedziała dlaczego. Ponieważ była głupia. Była głupia już wtedy, kiedy zgodziła się zostać przyzwoitką jego córki. Od początku wiedziała, że to nie jest dobry pomysł. Wystarczyło tylko spojrzeć na markiza. Czyż nie przedstawiał sobą wszystkiego, czym tak pogardzała? Bogaty, arogancki

i z całą pewnością niesłuchanie pewny siebie... I miała rację, bo oto proszę, co się stało. Powtarzała sobie, że jedyna rozumna rzecz, którą zrobiła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, to opuszczenie go, nim jej uczucia stały się widoczne i niemożliwie poplątane.

Nie znaczy to, że teraz takie nie były. Kiedy zdjęła ze sznura prześcieradło i zobaczyła, że Burke tam stoi, wydało się jej, jakby widzieli się przed trzema minutami, a nie miesiącami. Nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, że markiz miał teraz wygląd człowieka zranionego i wrażliwego. Ale to było wywołane troską o Isabel, a nie, jak początkowo pomyślała z nadzieją, rozpaczą z powodu jej odejścia. Z całej siły musiała się powstrzymać przed rzuceniem mu się na szyję i pokryciem jego twarzy tysiącem pocałunków, tak jak marzyła każdej nocy, odkąd wyjechała z Londynu.

Ale wtedy wróciła jej pamięć.

Gdy się zjawiła wieczorem na progu domku niani Hinkle po nocy, którą spędziła z markizem Wingate, czuła jedynie smutek. Ale kiedy kolejno mijające dni zmieniały się w tygodnie, a te w miesiące, a on się nie pojawiał... Wtedy zdała sobie sprawę, że o mały włos nie wpakowała się w coś, co mogło się skończyć jedynie fatalnie.

I wtedy on się zjawił. Tak nagle, jakby przywiał go wiatr. Ale to nie był wiatr. To Daniel. Boże, co on knuł? Niemożliwe, żeby zakochał się w Isabel. Mężczyźni tacy jak Daniel nie są w stanie kochać nikogo prócz siebie. A więc o co mu chodziło? Co chciał przez to osiągnąć? Isabel była bogata, to prawda, ale jemu nie brakowało pieniędzy, skoro kopalnia prosperowała. Więc jeśli nie wyjechał z Isabel z miłości ani dla pieniędzy, to w takim razie dlaczego?

Coś zimnego zaciskało się wokół serca Kate od chwili, gdy Burke wypowiedział jego imię. Miała przecucie, że wie, o co

mu chodzi, a jednocześnie nadzieję, że się myli w swych domysłach. Nie przychodziło jej jednak do głowy żadne inne wyjaśnienie. Nie podzieliła się swymi obawami z siedzącym naprzeciwko niej mężczyzną. Nie, on już miał wystarczająco dużo zmartwień. Lepiej niech sądzi, że Daniel naprawdę ma zamiar ożenić się z jego córką...

Odkrył już prawdę - przynajmniej jedną - i teraz chciał posłubić Kate. Tylko dlatego, że dowiedział się, kim był jej ojciec. Z córką dżentelmena mógł się ożenić i to zabiło Kate najbardziej.

Nie wolno mi zapomnieć o tym bólu, powtarzała sobie w myślach Kate, choć wiedziała, że nie będzie to takie proste. Nawet teraz nie mogła nie zauważać wierzchów jego dłoni, pokrytych takimi samymi czarnymi włosami jak te, które porastały również te części ciała, które widziała tylko ona - no i może jeszcze połowa londyńskich aktorek. Myśl ta przywołała niechciane wspomnienia spędzonej wspólnie nocy, kiedy Kate po raz pierwszy czuła, że żyje pełnią życia. Dzięki niemu odkryła doznania, których już nigdy nie doświadczy. Na tę myśl jeszcze bardziej zachciało jej się płakać.

- Kate - odezwał się nagle Burke.

Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, gdyż deszcz stawał się coraz bardziej ulewny. Powóz zwolnił, bo drogę pokrywało błoto, a woźnica miał bardzo ograniczoną widoczność.

Kate nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Cicho płakała, mając nadzieję, że zrobiło się na tyle ciemno, że markiz nie zobaczy jej łez. Nie mogła się odezwać, gdyż głos by ją zdradził.

- Nie rozumiem - kontynuował, ignorując brak odpowiedzi - dlaczego poczułaś się zmuszona do wyjazdu. Jeżeli nie chciałaś... jeżeli nie chciałaś być moją utrzymanką, dlaczego tego po prostu nie powiedziałaś? Nie miałem przecież zamiaru

do niczego cię zmuszać. Nie myślisz chyba, że potrafiłbym być aż tak nikczemny.

Zagryzła dolną wargę. Jego dochodzący z ciemności głos był delikatniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

- Rozumiem twój gniew - ciągnął, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Proszę cię tylko o to, byś spróbowała mnie także zrozumieć. Tamtej nocy nie wiedziałem, co mówię. Nie robię tego teraz dlatego, że wiem, iż jesteś córką dżentelmena. Powiniennem być powiedzieć ci to tamtej nocy. Zrobiłbym to następnego ranka, przysięgam, gdybyś tylko została. Gdy wyjechałaś, uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem w tobie zakochany...

Mówił dalej, lecz ona już nie słuchała. Wypowiedział jedyne słowa, które były w stanie roztopić jej gniew! Skąd on o tym wiedział? I jak teraz miała mu się oprzeć? To nie była prawda. To nie mogła być prawda. On po prostu wiedział, jak na kobietę działa takie wyznanie ukochanego mężczyzny. Sięgnął po srodek, wobec którego była bezbronna.

- Wiem, że powinienem uświadomić to sobie wcześniej - mówił właśnie Burke, kiedy Kate skupiła się ponownie na jego słowach. - Ale tyle czasu upłynęło, odkąd czułem cokolwiek, cokolwiek poza gniewem, że na początku nie rozpoznałem, co to jest i... Kate, wiesz przecież, jak się skończyło moje pierwsze małżeństwo. Nie miałem specjalnej ochoty, by ponawiać ten eksperyment. Ale... Odkąd wyjechałaś, robiłem wszystko, by tylko przyspieszyć koniec mojego pustego, durnego życia...

Pamiętaj, powtarzała sobie w duchu, starając się przywołać ten rodzaj oburzenia, który powinna czuć. Przecież on jest wrogiem. Należy do sfery, która zdradziła twoją rodzinę i pozwoliła bezkarnie uciec mordercy matki i ojca. Nie można mu ufać.

- Czarny powóz z żółtym obramowaniem - rzekła głośno przez zaciśnięte gardło.

- Kate! - Zerwał się z siedzenia i tym razem nie chwycił dłoni Kate, ale ją cała. Wzięła ją w ramiona, jakby ważyła tyle co lalka. - Co mam zrobić, byś zapomniała, że kiedykolwiek powiedziałem coś takiego? Co chcesz, bym zrobił? To?

I wtedy zaczął ją całować. Po prostu, całował ją, a ona... Cóż, cała stopniała.

Burke Traherne potrafił wspaniale całować. Kate wiedziała o tym doskonale. Pamiętała jego pocałunki aż za dobrze. A on wyraźnie chciał jej o nich przypomnieć, delikatnie przesuwał wargami po jej ustach, jakby zadawał pytanie, na które tylko ona znała odpowiedź.

Gdy poczuła, że do jej ust wdzierają się język Burke'a, zdała sobie sprawę, że właśnie odpowiedziała na jego pytanie. Po chwili dotarło do niej także, że to nie jest taki zwykły pocałunek i że chyba straciła kontrolę nad tym, co się dzieje. Mimo że wzbraniała się przed tym nagłym, oszałamiającym atakiem na jej zmysły, nie była już w stanie uwolnić się od hipnotyzującego czaru jego ust i stalowego uścisku całującego ją mężczyzny. Zarzuciła mu ręce na szyję. Przez grubą warstwę krynoliny napierała na nią nabrzmiała męskość. Burke jęknął głośno i jeszcze mocniej przywarł do jej ust. Kate zdała sobie sprawę, że jego palce zbliżają się niepokojąco do jej piersi. Wiedziała, że jeśli tam pozwoli się dotknąć, będzie zgubiona. Musiała go powstrzymać, ponieważ nie była Sarą Woodhart, kobietą na tyle rozwiązłą, by bez skrupułów cieszyć się pieścizotami mężczyzn, którzy nie mieli najmniejszego zamiaru jej poślubić. Ona, Kate Mayhew, musiała dbać o swoją reputację. Co prawda, na tej reputacji były pewne rysy, ale poza nią Kate nie miała nic...

I wtedy silne, choć niesamowicie delikatne palce zamknęły się wokół jednej z jej piersi, której brodawka już dawno stwardniała niczym mały kamyk.

Odrywając usta od warg Burke'a i kładąc dłoń na jego szerokiej klatce piersiowej, Kate podniosła oskarżycielski wzrok na jego twarz i zaskoczyło ją to, co zobaczyła: usta rozszerzone z pożądania i zielone oczy wypełnione... właśnie, czym? Nie potrafiła nazwać tego, co w nich ujrzała, ale napawała ją to przerażeniem na równi z podnieceniem. Musiała powstrzymać to szaleństwo, zanim ponownie posuną się za daleko.

- Burke - rzekła zdrętwiałymi wargami. - Puść mnie.

Uniósł głowę, a jego twarz miała taki wyraz, jakby Kate właśnie wyrwała go z głębokiego snu. Zamrugał i wydawało się, że usłyszał, co do niego powiedziała, a mimo to jego dłoń zacisnęła się na jej piersi, tak jakby nie miał najmniejszego zamiaru jej puścić.

- Nie. Ostatnim razem, kiedy to zrobiłem, odeszłaś i minęły trzy miesiące, nim zobaczyłem cię ponownie.

Ujęła jego twarz i przyciągnęła, aż ich usta ponownie się spotkały. Kto mógłby ją za to winić? Kate nic nie mogła na to poradzić, choć wcale nie podobało jej się to, że wystarczył jego najmniejszy dotyk, by poddawała mu się bez reszty. Szczególnie gdy dotykał ją w taki sposób jak w tej właśnie chwili. Podczas gdy jedna ręka Burke'a otaczała jej szyję, druga ciągle pieściła przez cienki materiał jedną z piersi.

Ale wtedy woźnica zapukał do drzwi z wiadomością, że drogi są zbyt błotniste na dalszą podróż, i pytaniem, czy jego lordowska mość miałaby coś przeciwko temu, gdyby przeczekali burzę w zajeździe, przed którym właśnie się zatrzymali.

26

Obudził ją odgłos grzmotu. Był tak głośny, że aż zadrzała szyba w oknie tuż obok jej łóżka.

Kate usiadła i wyciągnęła rękę, by odsunąć na bok zasłonę. Na zewnątrz panowała ciemność, przetykana jedynie strumieniami spływającej z nieba wody. Wiedziała, że musi być bardzo późno, ponieważ w oknach gospody po przeciwnej stronie drogi nie widać było żadnych świateł. Mała wioska, w której musieli zrobić nieprzewidziany postój, pogrążona była we śnie. Cała Anglia spała.

Oprócz niej. Kate dziękowała Bogu, że burza ją obudziła, tkwiła bowiem w pułapce kolejnego ze snów - tych okropnych, cudownych snów, które miewała od tamtego pamiętnego dnia, kiedy przypadkowo ujrzała markiza w jego łazien-ce. Te sny nie opuściły jej, mimo że wyjechała z Londynu; zawsze budziła się spocona i bez tchu, z dłońią pomiędzy udami. To było doprawdy szokujące. I zdecydowanie niegodne lady.

Wyglądało jednak na to, że nie jest w stanie powstrzymać tych snów, tak jak nie potrafiła przestać oddychać. No i wreszcie

zaniechała prób. Nawet nie trudziła się, by wkładać koszulę nocną, ponieważ doskonale wiedziała, że i tak obudzi się naga. Kiedy więc budziła się z ręką między udami, nie zabierała jej stamtąd. Wydawało się, że był to najlepszy sposób na poradzenie sobie z tą sytuacją. Zdecydowanie lepszy niż zrobienie tego, czego pragnęła: wrócić do Londynu, zapukać do drzwi lorda Wingate i błagać o przyjęcie jej z powrotem.

Ale teraz on nie był w Londynie, znajdującym się mile stąd. Był w pokoju tuż za ścianą, pogrążony w głębokim śnie, jak każdy porządny brytyjski obywatel o tak późnej porze. Podczas kolacji zachowywał się wobec niej niezwykle uprzejmie i nie powtórzył uczynionej w powozie szalonej propozycji. Prawdopodobnie miał czas do przemyślenia i zdał sobie sprawę, że poślubienie córki okrytego niechlubną sławą Petera Mayhewa nie jest najmądrzejszym pomysłem. Kate uważała, że nie może go za to winić.

Nagle jej pokój rozświetliła błyskawica. Po dziesięciu sekundach ponownie zagrzmiało, lecz nie tak głośno jak poprzednio. Wyglądało na to, że burza, podążająca za nim od Lynn Regis, wreszcie przechodzi. Przy odrobinie szczęścia do rana nie będzie po niej śladu i będą mogli spokojnie kontynuować podróż do Szkocji. Kate uznała, że zachowuje się bardzo niemądrze, siedząc i mrugając w całkowitych ciemnościach, zamiast spróbować ponownie zasnąć. Czekał ją długi, ciężki dzień jazdy powozem.

Zdażyła przyłożyć głowę do poduszki, kiedy usłyszała coś, co nie było ani grzmotem, ani deszczem. Otwierając oczy, usiadła i rozejrzała się po ciemnym pokoju. W zajazdach zazwyczaj są szczury. Tu co prawda widziała kręcące się wokół koty. Wiedziała jednak także, że nawet Lady Babbie nie jest w stanie złapać tych największych sztuk. Opuściła rękę na

podłogę, chwyciła jeden ze swoich butów i rzuciła nim w kierunku, z którego dochodziły hałasy.

Kate, która zawsze miała dobry cel, wiedziała, że udało jej się trafić, gdy usłyszała: „Au!”.

Ale szczury nie mówią „Au!”

Po chwili ciemność przeciął głos lorda Wingate:

- Do diabła, Kate - wyszczał. - To tylko ja.

Otwierał właśnie niewielkie drzwi, łączące ich pokoje. Kate, oczywiście, nie pomyślała, żeby je zamknąć przed położeniem się spać. Ale nie przyszło jej nawet do głowy, że markiz może być na tyle śmiały, by nachodzić ją w nocy. Trochę nerwowo poprosiła o oddzielne pokoje, a on nie miał co do tego żadnych obiekcji. Teraz już wiedziała dlaczego. Owszem, mieli osobne pokoje, tyle że połączone drzwiami.

Usłyszała trzask zapalanej zapałki, a po chwili pokój rozjaśniło słabe światło. Burke przyniósł ze sobą świeczkę i uniósł ją, by przyjrzeć się Kate. A ona zbyt późno przypomniała sobie, że śpi bez koszuli nocnej. Szybko podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Czego pan chce? - Odwróciła wzrok od tego, co widziała w blasku świecy, czyli pokrytej czarnymi włosami klatki piersiowej, ukazującej się pomiędzy połamami szlafroka.

- Wydawało mi się, że słyszałem, jak mnie wołasz - odrzekł.

- Nie wołałam.

Ale nawet w chwili, gdy wypowiadała te słowa, Kate nie miała pewności, czy to prawda. Śniła przecież o nim zaledwie kilka minut temu i całkiem możliwe, że zupełnie nieświadomie wołała jego imię.

- Kate - Burke ustawił świecę na niewielkim stoliku obok jej łóżka - słyszałem cię całkiem wyraźnie. Właśnie czytałem i...

- Może i wołałam pana przez sen. Przepraszam, jeżeli to panu przeszkodziło.

Niestety, lord Wingate zamiast poczuć się urażonym i odejść,

usiadł na jej łóżku, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

- Nic się nie stało. I tak nie mogłem spać. Nie ma sposobu, Kate, byśmy dojechali na czas. Nie przy takiej pogodzie.

Isabel. Tego od niej chciał. Porozmawiać o córce.

- Ależ skąd - odparła z udawaną pewnością. - Oczywiście, że ją znajdziemy.

- Nie. - Siedział odwrócony plecami do niej, twarz miał ukrytą w dłoniach, lecz mimo to Kate wyczuwała emanujący z niego ogromny ból i poczucie winy. - Nie uda nam się. Przyjdziemy za późno. A wtedy nie będzie już miała innego wyjścia, niż poślubić go.

Kate wbrew sobie wyciągnęła rękę i położyła ją współczująco na jego szerokich, silnych plecach. Sytuacja była dużo poważniejsza, niż on sobie wyobrażał. Daniel Craven nigdy nie ożeniłby się z Isabel, była o tym przekonana. Ale nie mogła tego powiedzieć ojcu tej nieszczęsnej dziewczyny.

- Niekoniecznie - odparła z udawanym optymizmem. - To znaczy Isabel jest uparta, to prawda, ale nie jest głupia, lordzie Wingate.

- Na miłość boską, mów do mnie po imieniu, Kate. Kiedy zwracasz się do mnie: „lordzie Wingate”, brzmi to tak zimno, że nie mogę tego znieść.

Zawahała się.

- No dobrze - zgodziła się wreszcie. - Rozmawiałeś ze swoją córką o... o tym, co się dzieje pomiędzy mężczyzną i kobietą, prawda?

Wciąż siedział odwrócony do niej plecami.

- Oczywiście, że nie - odparł gorzko. - Myślałem, że ty to zrobiłaś.

- Ja? - Kate uniosła brwi. - Dlaczego przypuszczałaś...

- Uczyłaś ją wszystkiego. Nauczyłaś ją, jak się ubierać, jak układać włosy. Uznałem więc...

- Ale lordzie, to znaczy Burke, przecież to do rodzica należy rozmowa z dzieckiem o takich sprawach...

- A ja tego nie zrobiłem, w porządku?

Wtedy odwrócił się do niej twarzą. Kate od razu tego pożałowała, gdyż wydał jej się bardziej atrakcyjny niż kiedykolwiek.

- Tak naprawdę nigdy mi to nie przyszło do głowy - rzekł. - Wychowywałem ją od małego dziecka, Kate. To ja przyglądałem się, jak Isabel się kąpie, ubiera i je. Nie mogłem zrobić wszystkiego. Wiesz, jaka ona jest. Jedyne, co mogłem, to dopilnować, by codziennie wkładała coś na siebie. To nie był temat, który by ją szczególnie interesował. Zresztą gdyby było inaczej, pewnie nie wiedziałbym, co jej powiedzieć. Są sprawy, niewiele, ale są, których ojcowie po prostu nie są w stanie wyjaśnić córkom.

Kate opuściła wzrok. Musiała to zrobić. Pamiętaj, powtarzała sobie w myślach, pamiętaj.

- No tak. W takim razie możliwe, że jeśli będzie czegoś próbował, Isabel będzie tak zaszokowana, że go zostawi.

Czuła na sobie spojrzenie Burke'a, mimo że nie miała odwagi popatrzeć mu prosto w oczy.

- To był Craven - rzekł nieoczekiwanie.

Kate zamrugła.

- Słucham?

- To był Craven - powtórzył Burke. - Isabel powiedziała mi, że tamtej nocy w ogrodzie był Daniel Craven, a nie lord Palmer. Dlaczego nie wyprowadziłaś mnie z błędu?

Kate, zaskoczona tą nagłą zmianą tematu, przełknęła głośno ślinę, ale wciąż nie podnosiła wzroku, który miała utkwiony w kocu.

- To nie ma znaczenia - rzekła szybko. - Już nie.

- To ma znaczenie - odparł równie szybko Burke. - To ma niezwykle duże znaczenie. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Oblizła wargi. Nagle zaschło jej w ustach.

- Cóż - zaczęła. - Myślę... Myślę, że nie chciałam, byś go zabił. Sądziłam... Sądziłam, że to wywołałoby tylko kolejny skandal, a wydawało mi się, że i tak masz wystarczająco zszarganą reputację...

- Próbowałaś mnie chronić? - zapytał z niedowierzaniem. - Wołałaś, żebym pomyślał o tobie coś złego, byle tylko mnie chronić?

Wtedy Kate popełniła błąd i spojrzała na niego.

- I Isabel. - Nie chciała, by uważał, że zrobiła to tylko dla niego. Wtedy mógłby sądzić, że jej na nim zależy.

Kiedy jednak Burke spojrzał w jej oczy, zrozumiała, że nie uwierzył w jej wersję. Była pewna, że przejrzał ją na wylot.

- A więc musiałaś mnie trochę lubić. Kate. Skoro chciałaś uchronić mnie przed skandalem.

Nie mogła odwrócić od niego wzroku. Wydawało się, że jedyne, do czego jest zdolna, to siedzieć i wpatrywać się w jego oczy.

- Chyba tak - odparła. - Wtedy.

- Ale teraz już nic? - zapytał Burke, sięgając do trzymanej przez nią kołdry.

- Właśnie. - Kate mocniej przycisnęła ją do siebie.

- A więc dlaczego jesteś tutaj ze mną?

- Mówiłam już - odrzekła. - Zgodziłam się pojechać z tobą dla dobra Isabel...

To było wszystko, co udało jej się powiedzieć, zanim przywarł do niej ustami. Nie był to władczy pocałunek, podobny do tych w bibliotece. Nie przypominał także tych słodkich i delikatnych, którymi obsypywał ją później w jego sypialni,

zanim zaczął rozprawiać z przejściem o powozach i księgar-
niach. Był podobny raczej do tego w powozie... Nie był jednak
zupełnie taki sam, ponieważ było w nim coś, czego Kate nie
potrafiła rozpoznać, coś, czego nie doświadczyła nigdy wcześ-
niej. Powoli jednak zaczynała uświadamiać sobie, co to takiego.
Pragnienie.

Była tego najzupełniej pewna, ponieważ sama je czuła,
zawsze wtedy, kiedy byli daleko od siebie. Jej ciało zachowy-
wało się tak, jakby wiedziało, że gdzieś tam istnieje inne ciało,
które kiedyś dało jej tyle rozkoszy. A teraz wszystko, czego
pragnęła, to ponownie jej doświadczyć.

To tłumaczyłoby, dlaczego Kate nie protestowała, kiedy
Burke energicznym ruchem wyrwał jej kołdrę i odrzucił na
bok. Dotknęła jego umięśnionej klatki piersiowej, a on ujął jej
ciepłą, nagą pierś.

Była zgubiona.

To było takie proste. Tak łatwo było mu się poddać, jego
pocałunkom, które wkrótce przepełniało nie pragnienie, lecz
dziki głód. Dużo prościej było mu się poddać, niż z nim
walczyć. Cóż bowiem osiągnęła walką? Nic, z wyjątkiem może
niewielkiej satysfakcji. Ale czym ona była w porównaniu
z palcami Burke'a, dającymi tyle przyjemności? To była
napaść i Kate wiedziała o tym. Zręczna napaść na wszystkie
jej zmysły.

Spróbowała rozchylić poły jego szlafroka, ale nie mogła
sobie poradzić z tasiecmkami, na które był zawiązany. Burke
nie miał tego typu problemów, bo ona była naga.

Kate jeszcze raz próbowała rozchylić szlafrok, ale kiedy
i tym razem nie udało jej się, wsunęła dłoń pod materiał
i zacisnęła ją na szybko twardniejącej męskości. Syknął i uniosł
głowę. Przeszył Kate nieodgadnionym spojrzeniem, a ona,
ciekawa tego, co się stanie, ścisnęła jeszcze bardziej.

I przekonała się. Burke chwycił jej nadgarstek i przycisnął
go do poduszki pod jej głową.

- Co próbujesz zrobić? - wyszeptał chrapliwie. - Skończyć
to, zanim się w ogóle zaczęło?

Wolną ręką Kate wskazała na jego szlafrok.

- Zdejmij to - rzekła bez tchu.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Po kilku sekundach był
już zupełnie nagi. Rozdzielił udem jej nogi, tak by mógł się
ułożyć między nimi, pieszcząc jednocześnie obie piersi. Ciało
Kate, po raz kolejny, całkowicie niezależnie od jej umysłu,
przypomniało sobie, co zrobić, reagując instynktownie na
znajomy zapach i ciężar. Sekundę później uniosła biodra,
przyciskając się z całych sił do męskiego ciała.

Burke zanurzył się w niej z jękiem, tak głęboko, jak tylko
był w stanie. Gdy wchodził w nią, Kate głęboko wciągnęła
powietrze, zupełnie jak za pierwszym razem. Tyle że tej nocy
nie było łez, a jedynie głośny jęk rozkoszy.

Tamtej pierwszej nocy Burke uważał, by nie przestraszyć
jej intensywności swego pożądania. Tym razem jego pragnienie
było zbyt przemożne, by mógł je kontrolować. Zagłębiając się
w niej, czuł się tak, jakby zmierzał do upragnionego domu.

Kate dotarła do niego pierwsza. Puściła ramiona Burke'a
i pozwoliła sobie odpłynąć na falach rozkoszy, nie myśląc
o nikim i niczym innym. Ledwie zauważyła, że on po chwili
także wydał z siebie głośny jęk i opadł na nią.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że świeczka wypaliła się do
końca. Leżeli w całkowitych ciemnościach. Gdzieś w oddali
zagrzmiało, ale nie słychać już było uderzających o okno kropli
deszczu. Burza minęła, zarówno ta na zewnątrz, jak i w pokoju.
Burke chyba również to zauważył, bo zsunął się z Kate bez
słowa. Prawie krzyknęła, gdy jej ciało owiało zimne powietrze.
Ale nie opuścił jej na długo. Usiadł tylko, by znaleźć koc,

który wcześniej odrzuciła podczas snu. Przykrył ją i siebie, po czym otoczył ręką jej talię i mocno się przytulił.

Istniały sprawy, o których trzeba było porozmawiać. Kate pomyślała o nich sennie i nawet otworzyła usta, by przypomnieć leżącemu obok mężczyźnie, żeby nie myślał sobie, iż to, że ich ciała ponownie się połączyły, nie znaczy jeszcze...

Ale Burke, jakby czując, co ona chce powiedzieć, pochylił się i wyszeptał:

- Szysz...

Odgarnął z jej policzka pasmo włosów i pocałował na dobranoc.

A Kate była naprawdę za bardzo zmęczona, by się kłócić.

27

Burke śnił. Wiedział, że to sen, czuł bowiem na piersi jakiś ciężar, a kiedy otworzył oczy, by sprawdzić, co to takiego, ujrzał Kate. Leżała z policzkiem przyciśniętym do jego klatki piersiowej, a jej włosy rozsypały się wokół jego ramion. Jeden kosmyk łaskotał go nawet w brodę.

Wtedy Burke zdał sobie sprawę z tego, że jednak nie może mu się to śnić, ponieważ nie znajdowali się w jego ogromnej sypialni w domu przy Park Lane, ale w niewielkim pokoju w zajeździe na obrzeżach jakiejś małej wioski. Słyszał dochodzący gdzieś z dołu głos żony właściciela gospody, która właśnie zaczęła przygotowywać śniadanie. Widział też, że za niewielkim oknem powoli świta. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo przez, gęstą mgłę ciężko było cokolwiek dojrzeć. Deszcz już nie padał, ale na zewnątrz wciąż było szaro i ponuro. Jesień zawitała na dobre. Burke pomyślał, że jest to jeszcze jeden powód, dla którego miło byłoby pozostać w łóżku.

Nie mogli jednak tego zrobić. Musieli przecież myśleć o Isabel. O jego córce, która z każdą upływającą minutą coraz bardziej wymykała im się z rąk.

Ale... Ale prawdopodobieństwo, by Isabel udawała się dokądkolwiek tak wczesnym, mglistym rankiem, było znikome. A on miał w ramionach Kate. Nie zanościło się na to, by w najbliższym czasie opuścić ciepłe łóżko.

Jej piękno wciąż napełniało go zdumieniem. Nie była to uroda w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, taka, jak na przykład Sary Woodhart. Pomijając te niewiarygodnie duże, szare oczy, twarzy Kate nie można było nazwać klasycznie piękną. A jej włosy nie były wystarczająco jasne, by uznać ją za blondynkę, ani na tyle ciemne, by mogła być nazywana brunetką. Była też bardzo drobna, chyba zbyt drobna.

Piersi miała jednak doskonałe, być może za doskonałe, bo kiedy ich dotknął, poczuł nagle, jak jego męskość zaczyna twardnieć. Zaświtało mu jednak, że w przeciwieństwie do innych poranków, kiedy to budził się z podobną potrzebą, dzisiaj mógł coś na to poradzić.

I tak właśnie uczynił. Tyle że zamiast przekręcić Kate i ułożyć się na niej, jak zamierzał na początku, z małym tylko wysiłkiem podciągnął ją w górę, tak że usadowił ją na sobie okrakiem. To oczywiście ją obudziło. Sennie podniosła głowę i zamrugała w szarym świetle poranka.

- Co się dzieje? - zapytała niewyraźnie.

Położył dłonie na jej biodrach i wślizgnął się w nią powoli. Wciąż była wilgotna po ich nocnych igraszkach, więc wiedział, że nie sprawi jej w ten sposób bólu. Kate otworzyła szeroko oczy i głośno wciągnęła powietrze.

- Co ty robisz? - spytała bez tchu.

Odpowiedział, poruszając jej biodrami w górę i w dół. Ponownie wciągnęła powietrze, ale tym razem z innego powodu. Próbowwała sama poruszać biodrami tak, jak zademonstrował jej to przed chwilą Burke, za co została nagrodzona przeciągłym jękiem. Chciał dotknąć jej sterczących brodawek, lecz dłonie

miał zajęte trzymaniem jej bioder. Po chwili nie potrafił dłużej leżeć bez ruchu i uniosł biodra z taką siłą, że obawiał się, iż Kate nie sprawi to przyjemności.

Ale ona nie była taka krucha, na jaką wyglądała, i odpowiedziała równie energicznie, szybko dostosowując się do jego szaleńczego tempa. Odrzuciła głowę do tyłu i rozkoszowała się nowymi dla niej doznaniem. Po chwili wciągnął ją wir przyjemności pomieszanej z bólem i chwycił ją dłoni Burke'a, potem jego ramienia; potrzebowała czegoś, co utrzymałoby ją na tej granicy trochę dłużej... ale było za późno. Dla niego również.

Kiedy Kate doszła do siebie, odkryła, że leży na klatce piersiowej kochanka. Uniosła głowę. Jej włosy rozsypały się wokół ich głów, tworząc coś w rodzaju miękkiego namiotu. Poruszyła się, by je odgarnąć, ale Burke chwycił jej dłoń i rzekł:

- Nie rób tego. Mnie się podoba.

I wtedy musiała go pocałować.

Kiedy pół godziny później wrócił od woźnicy, z którym rozmawiał na temat stanu dróg, Kate była w zupełnie innym nastroju. Miała mdłości, tak gwałtowne, jakby od kilku dni nic nie jadła.

- Kate? Nie wstajesz? - spytał Burke.

- Wyjdź stąd - rzuciła.

Nie posłuchał jej. Stał w drzwiach i wyglądał na niewiarygodnie zdrowego i wypoczętego, podczas gdy ona walczyła z kolejną falą mdłości.

- Kate - zaczął. Był wyraźnie zdenerwowany, lecz starał się to ukryć. - Naprawdę musimy niedługo wyjeżdżać.

- Wyjdź stąd! - Tym razem jej prośba, jeśli można było to tak nazwać, została poparta butem, rzuconym w jego kierunku.

Burke pośpiesznie zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół, by zamówić śniadanie. Zastanawiał się, jak bardzo jej fanaberie opóźnią wyjazd. Według woźnicy, droga do Szkocji nie była dobra, ale mimo wszystko przejezdna. Jeżeli będą jechać szybko, do wieczora powinno im się udać przejechać większość, a może i nawet całą odległość. Ale jeżeli wyjadą za późno, nie będą mieli czasu.

Burke dopijał właśnie kawę, kiedy jego towarzyszka podróży pojawiła się w jadalni. Ani słowem nie wytłumaczyła swojego dziwnego zachowania. Odmówiła zjedzenia jajek na bekonie, które jej zaproponował, ale zgodziła się na kanapkę i filiżankę herbaty. Kiedy skończyła, oznajmiła, że jest gotowa do wyjazdu. Wypowiedziała to jednak głosem, któremu brakowało przekonania. Burke przypuszczał, że jest po prostu zakłopotana. Pół nocy spędziła przecież na czymś, co wywołałoby rumieniec na twarzy każdej przyzwoitej żony. A teraz musiała spojrzeć w oczy innym gościom, którzy, śpiąc pod tym samym dachem, byli w pewnym sensie mimowolnymi świadkami jej niegodnego zachowania.

Pośpiesznie zapłacił właścicielowi zajazdu i kazał Kate wsiadać do powozu, byle tylko nie przedłużać jej zakłopotania. Ale jeśli spodziewał się, że ona zauważy jego szarmanckie zachowanie, srodze się rozczarował. Gdy tylko opadł na siedzenie tuż przy niej i objął ją ramieniem, Kate zesztyniała i wskazała drugą ławkę.

- Nie - oświadczyła. - Sądzę, że powinienesz siedzieć tam.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Kate, chyba nie zaczniesz tego od początku? Myślałem, że wszystko już ustaliliśmy.

- To znaczy co? - chciała wiedzieć Kate. - Nie sądzą, byśmy cokolwiek ustalili. Zgodziłam się jechać z tobą, by pomóc w odnalezieniu Isabel. To wszystko.

- Jeżeli to prawda, to dlaczego wołałaś mnie w nocy? - zapytał prowokacyjnie Burke.

- Mówiłam ci już - odparła, odwracając się w stronę okna. - To był sen.

- Cóż, może w takim razie powinnaś uważniej przyjrzeć się swoim snom. Może próbują ci coś przekazać. Może chcą powiedzieć to, czego ty najwyraźniej nie potrafisz, to znaczy, że mnie kochasz i chcesz za mnie wyjść...

Ciągle nie patrząc w jego kierunku, Kate szybko potrząsnęła głową.

- Chcesz mi powiedzieć - zaczął ostrożnie - że nawet po zesłej nocy, nie wspominając już o ranku, wciąż nie masz zamiaru zostać moją żoną?

- Tak.

Nigdy nie czuł takiej ochoty rzucenia czymś jak właśnie teraz.

- Ty mała hipokrytko!

Kate wreszcie odwróciła głowę. Jej szare oczy rozszerzyły się, gdy usłyszała taką bezczelność.

- Hipokrytko? - powtórzyła.

- Cóż - odparł Burke ze spokojem, który zrobił wrażenie nawet na nim. - To raczej łagodne określenie.

Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Łagodne określenie czego?

- Kobiety, która zachowuje się tak jak ty, Kate. Twierdzisz, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, a mimo to kochałaś się ze mną tak, jakby sprawiało ci to ogromną przyjemność. Skoro nie płacę ci za tego rodzaju usługi, mogę tylko założyć, że zrobiłaś to dlatego, że mnie przynajmniej trochę lubisz. A to z kolei oznacza, że twoje zachowanie... nie gniewaj się, jest obłudne.

Z twarzy Kate odpłynęła cała krew. Wpatrywała się w niego bez słowa, tak jakby była niezdolna do mówienia. Po chwili

na jej policzki wróciły kolory, i to w dodatku niezwykle intensywnie.

- Ja... To wszystko przez ciebie. Gdybyś nie... - Wściekła na siebie, że tak się jąka, odwróciła głowę i z płonącymi policzkami wpatrywała się w podłogę. - To wszystko twoja wina. Gdybyś tylko wyszedł wtedy, kiedy ci kazałam... Nie rozumiem, jak mogłabym ci się oprzeć, kiedy jesteś tak... - ściszyła głos aż do szeptu - ...niemożliwy do odparcia.

- Kate... - Nagle przyczyna jej niechęci stała się dla niego jasna. Przynajmniej tak sądził. - Kate - powtórzył, pragnąc dotknąć jej dłoni, ale powstrzymując się, gdyż uznał, że i tak odniósł wystarczające zwycięstwo, zmuszając ją do wyznania tak wiele. - Posłuchaj sama siebie. Słyszałaś, co przed chwilą powiedziałaś? Jeżeli to wszystko prawda, to jak w ogóle możesz nie myśleć o ślubie ze mną?

Ku jego niesłychanemu zdumieniu, Kate - ta spokojna, racjonalnie myśląca Kate - zaszlochała. Odwróciła się, tak że nie widział jej twarzy, ale był w stanie dojrzeć drżenie szczupłych ramion. Ale kiedy instynktownie pochylił się w jej stronę, drżące ramiona natychmiast zeszywniały. Po chwili Kate przysunęła się do ściany powozu, jak najdalej od niego, i zawołała, konsekwentnie unikając patrzenia w jego stronę:

- Na miłość boską, czy nie możesz po prostu siedzieć na swoim miejscu i zostawić mnie w spokoju?!

Burke zrobił to, o co prosiła, ale tylko dlatego, że widział, iż nie jest ona w nastroju na racjonalne dyskusje. Oparł się wygodnie i obserwował ją, zastanawiając się, czy to możliwe, że w nocy - albo raczej wczesnym rankiem, być może wtedy, gdy wyszedł porozmawiać z woźnicą - ktoś przyszedł i zabrał słodką, rozsądną Kate, którą znał, a zamiast niej zostawił kobietę zachowującą się irracjonalnie i nielogicznie. Długo uważał ją za najmniej zmienną dziewczynę, jaką miał kiedykol-

wiek okazję poznać, nieskorą do dąsów i napadów złego humoru, w przeciwieństwie do kobiet, które go otaczały, rozpoczynając od jego własnej córki.

Jednak teraz przekonywał się, że każdą, nawet te najrozsądniejsze, dotyczą nagłe i całkowicie niewytłumaczalne wahania nastroju. Chyba że istniał inny powód tego niecodziennego zachowania Kate.

No cóż, podejrzewał, że w końcu jej przejdzie. Kiedy wszystko się uspokoi - to znaczy z pomocą Bożą odnajdą Isabel, a Kate odwiedzie ją od szalonego pomysłu wyjścia za Cravena - już on się o to postara.

Zanim dotarli do Gretna Green, było już dobrze po północy. Kate jakiś czas temu zapadła w niespokojny sen i kiedy powóz wreszcie się zatrzymał, nie obudziła się. Wygodnie umościła się na siedzeniu, najwyraźniej zadowolona, że kołysanie i ciągłe podskakiwanie nareszcie się skończyło. Ale nie pozwolono jej długo tak spać. Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu.

- Kate, obudź się. - Policzek owiewał jej ciepły oddech markiza. - Jesteśmy na miejscu.

Przekręciła się, tak że leżała odwrócona do niego plecami. Nie było to łatwe, ponieważ siedzenie było wąskie, a jej krynolina dosyć szeroka. Mimo to było jej w miarę wygodnie i nie dopuszczała do siebie myśli o ruszeniu się stąd.

- No to co - mruknęła, zaciskając powieki, tak jakby dzięki temu budzący ją intruz mógł się stać niewidzialny. - Daj mi spać.

- Nie możesz spać w powozie, Kate.

Głos Burke'a przepełniony był czymś trudnym do zdefiniowania. W sennym otumanieniu Kate uznała, że jest to pełne pobłażania rozbawienie, i chciała powiedzieć: „Nie jestem

dzieckiem", choć wiedziała, iż właśnie tak się zachowuje. Ale była tak zmęczona... Dlaczego on po prostu nie mógł odejść i dać jej spać?

Markiz wsunął jedno ramię pod jej plecy, drugie pod kolana i powoli wyniósł z powozu. Niezadowolona, od razu się rozbudziła i wyraziła swoją niechęć, waląc pięścią w klatkę piersiową niosącego ją mężczyzny.

- Postaw mnie na ziemi - zażądała. - Nie jestem kaleką. Mogę iść sama.

Markiz popatrzył na ziemię.

- Ale, Kate...

- Postaw mnie.

Westchnął i spełnił jej życzenie. Natychmiast znalazła się aż po kostki w olbrzymiej, pełnej błota kałuży.

- Och... - Przerażona, uniosła skraj sukni i przyjrzała się swoim przemoczonemu butom.

- Próbowałem ci powiedzieć - rzekł Burke. W jego głosie nie było już słyhać pobłażania, ale rozbawienie zdecydowanie pozostało. - Ale skoro mnie uderzyłaś...

- Wiem - odparła krótko.

- Gdyby moja bliskość nie wzbudziła w tobie takiej odrazy, z przyjemnością zaniósłbym cię aż do pokoju.

- Wiem - powtórzyła, tym razem przez zaciśnięte zęby. Woda w kałuży była naprawdę zimna.

Markiz westchnął, po czym schylił się i ponownie wzięła ją na ręce. Tym razem nie protestowała. Zrzuciła mu ramiona na szyję i mocno się go trzymała, gdy niósł ją po schodach do drzwi zajazdu, a potem do jasno oświetlonej sali.

Kiedy Kate zobaczyła, że wpatrują się w nich siedzący przy stolikach ludzie, natychmiast ukryła twarz na ramieniu Burke'a, tak by nie musiała napotykać ich spojrzeń. Zauważył to i znowu poczuł rozbawienie. Słyszała, jak dusi w sobie śmiech.

- To nie jest śmieszne - odezwała się głosem, stłumionym przez materiał płaszcza.

- To prawda - zgodził się z nią, wchodząc po schodach na piętro. - Ale ty jesteś.

- Nie jestem. Jestem po prostu zakłopotana. I zmęczona, i głodna, i mokra, i nieszczęśliwa, to wszystko. Nie potrzebuję, by ludzie się na mnie gapili.

- Nie musisz się o to martwić. Oni sądzą, że jesteśmy małżeństwem.

Kate szybko podniosła głowę.

- Co takiego? Dlaczego?

- No cóż, musiałem tak powiedzieć, kiedy się dowiedziałem, że jest tylko jeden wolny pokój. - Nagle się zatrzymał. - A oto i on.

Otworzył drzwi bez upuszczania Kate, po czym posadził ją delikatnie na wyłożonej poduszkami ławeczce, stojącej obok kominka, w którym wesoło trzaskał ogień. Dziewczyna poczuła przyjemne ciepło na mokrych stopach i uświadamiała sobie, że jest nie tylko zmęczona i głodna, i mokra, i nieszczęśliwa, ale także zmarznięta.

- Zaraz będzie kolacja - rzekł Burke, prostując się i zdejmując rękawiczki oraz płaszc. - Nie jestem w stanie ręczyć, że o tak późnej porze będzie się nadawała do jedzenia, ale gospodarz zapewnił mnie, że jego żona ma jeszcze w spiżarni jakąś pieczeń. Jeżeli tylko nie będzie ze starego barana, to na pewno wszystko będzie w porządku.

Płynące z kominka ciepło rozgrzewało twarz, dłonie i stopy Kate. To było niezwykle rozkoszne uczucie, nagle pławić się w takim luksusie. No, może niepełnym. Musiała jeszcze ściągnąć buty, co nie będzie czynnością prostą, bo całe były przemoczone.

- Aha - rzekł Burke, słysząc pukanie do drzwi. - To na pewno nasze jedzenie.

Zniknął na chwilę, a Kate została sama. Nie miała nic przeciwko temu, znów bowiem ogarniała ją senność. Nie widziała powodu, by się kłócić, że Burke znowu urządził nocleg tak, że jeszcze raz mieli dzielić łóżko. Mogła przecież spać tutaj, na tej miękkiej ławie. Byłoby jej całkiem wygodnie. Właśnie tak robi, nawet nie będzie się trudzić ściąganiem butów. Przez noc zdążą wyschnąć. A jutro rano, kiedy znowu ogarną ją mdłości, nie będzie się musiała martwić przynajmniej o ubieranie się...

- Proszę. - Markiz podał jej coś parującego. - Wypij to.

Kate musiała przyznać, że pachnie wspaniale.

- Co to jest? - spytała, chwytając kufel i przechylając go do ust.

- Gorący rum z masłem.

Skrzywiła się i bez słowa oddała mu naczynie.

- Może ci pomóc - rzekł z przekonaniem Burke.

- Czuję się dobrze, jeżeli to wypiję, jutro będę chora.

Niezadowolony, odstawił kufel na bok. Kiedy Kate znów zaczynała się odprężyć, przykleknął koło ławy i ujął kostkę lewej nogi dziewczyny.

- Co ty robisz? - Kate natychmiast się wyprostowała.

- Nie możesz siedzieć w mokrych butach. - Uniósł jej stopę i ułożył sobie na udzie, po czym zaczął rozwiązywać sznurówki, nie patrząc na nią, najwyraźniej bardzo pochłonięty swoim zajęciem. - Przeziębisz się.

Widziała, że Burke ma rację i że to, co robi w tej chwili, jest zdecydowanie bardziej niewinne od tego, czym zajmowali się ubiegłej nocy. Mimo to poczuła się oburzona.

- Nie możesz tak po prostu... - Zdała sobie sprawę, że mówi tak głośno, iż na pewno słyhać ją na korytarzu, a może nawet na parterze, i zniżyła głos. - Nie możesz tak po prostu zdejmować mi butów.

- Oczywiście, że mogę - odparł z przekonaniem.
 - Nie, nie możesz - upierała się Kate. - I nie możesz opowiadać, że jesteśmy małżeństwem, skoro bardzo dobrze wiesz, że tak nie jest.

- Co zatem miałem zrobić? - zapytał spokojnie.
 - Czy to jedyny zajazd w Gretna Green? Nie mogliśmy poszukać takiego, w którym byłyby wolne dwa pokoje?
 - W środku nocy? Przy takiej pogodzie? O tej porze roku, kiedy trwa sezon na polowania? - Połaskotał ją pod kolanem. - A poza tym jaki miałoby to sens? Dobrze wiesz, że i tak skończyłoby się to ponownie spaniem w jednym łóżku.

- Burke - syknęła. - Ostatnia noc była...
 - Pomyłką - dokończył, wracając do rozsznurowywania mokrych butów. - Tak, tak, wiem. Dzisiejszy ranek także. Powiedziałaś mi już to wystarczająco jasno. Przekręć troszeczkę swoją stópkę, dobrze, kochanie?
 - I jeszcze coś. Nie nazywaj mnie swoim kochaniem, bo nim nie jestem.

Ściągnął lewy but. Jego palce zaczęły się wspinać w górę nogi, aż pod spódnicę. Kate natychmiast się cofnęła.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała, wciągając powietrze.
 - Zdejmuję pończochę - odparł, mocno trzymając jej kostkę. - Jest zupełnie przemoczona.

Miał rację. Powinna sama ją zdjąć, ale była zbyt zmęczona. A on miał takie ciepłe palce... O czym ona przed chwilą mówiła? Ach, tak. Po raz kolejny przypominała mu - i sobie - jak daremne są marzenia o tym, że mogą być razem szczęśliwi.

- Nie jestem twoim kochaniem - powtórzyła. - Jestem byłą przyzwoitką, którą uwiodłeś i...
 - Nie zrobiłem tego - przerwał jej Burke, koncentrując się

na odpinaniu guzików, a tak się akurat złożyło, że znajdowały się one głęboko pod spódnicą i krynoliną, tuż nad kolanem. - To ty mnie uwiodłaś.

Kate czuła na udach jego gorący oddech, mimo to starała się mówić dalej:

- Chciałabym ci przypomnieć, że byłam dziewicą. Dziewice nie są w stanie nikogo uwieść.

- Jaka dziewica - poradził sobie z maleńkimi guzikami i zsuwał właśnie pończochę w dół jej łydki - chodzi po domu w środku nocy ubrana tak jak ty wtedy?

- Chcesz powiedzieć, że nie byłam dziewicą?
 - Nie. Chodzi mi po prostu o to, że ktoś, kto strzeże swojej niewinności, wybrałby jako nocny strój coś mniej... podniecającego.

Odłożył jej lewą stopę, teraz już zupełnie naga, na poduszki, po czym sięgnął po drugą nogę.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką słyszałam w życiu - stwierdziła Kate.

- Ktoś, kto kusi - kontynuował Burke, odsznurowując drugi but znacznie szybciej niż pierwszy - i namawia do grzechu, jest uwodzicielem. A więc to pani, panno Mayhew jest winna temu, co się stało. A tak przy okazji, to nie tylko mnie uwiodłaś, ale także następnego ranka porzuciłaś.

- Bo próbowałeś zrobić ze mnie swoją utrzymankę.
 - A potem - ciągnął, ignorując jej słowa - kiedy się oświadczyłem, zostałem ponownie zimno odrzucony.

- Poprosiłeś mnie o rękę tylko dlatego, że się dowiedziałeś, iż pochodzę z rodziny, która kiedyś była zamożna.

- Nie obraż się, Kate. - Powoli uniosł spódnicę i zabrał się za drugą pończochę. - Wiem, że bardzo kochałaś ojca i z pewnością był on kiedyś dżentelmenem, to umarł on jednak w zupełnie innych okolicznościach...

- To nieprawda - oznajmiła wojowniczo. - To, co wszyscy o nim mówią, nie jest prawdą.

- ...a ja, znając bardzo dobrze wszystkie te okoliczności, wciąż chcę się z tobą ożenić. Jak więc możesz to wytłumaczyć?

- Obłąkanie? - zasugerowała.

Ale po chwili mówienie okazało się czynnością zbyt trudną, ponieważ palce Burke'a ponownie znalazły się na jej nodze. Kate nie mogła się skoncentrować na rozmowie.

~ Zachowałem wystarczająco dużo rozsądku, by w rekordowym czasie znaleźć się w Szkocji, prawda? - zauważył Burke.

- Tylko ze strachu, że twoją córkę może spotkać to samo co mnie.

- Niezupełnie - odparł, zsuwając pończochę w dół łydki. - Gdybym był przekonany, że Daniel Craven kocha Isabel choć w połowie tak mocno jak ja ciebie, w ogóle nie sprzeciwiałbym się ich małżeństwu.

Kate nagle zaschło w gardle. Odkaslnęła.

- To... - Zakaszła ponownie. - To...

- To prawda - dokończył za nią. Przejechał dłonią po skórze, którą jeszcze przed chwilą okrywała mokra pończocha. - Wiesz, że to prawda.

- Nie... Ja nie mogę...

Nie była w stanie dodać niczego więcej, ponieważ Burke uklęknął pomiędzy jej nogami. Kate podskoczyła, kiedy poczuła na udzie kolące bokobrody, a po chwili dużo delikatniejszy dotyk warg. Wyciągnęła rękę, ale sama nie była pewna, co ma zamiar zrobić: powstrzymać go czy wręcz przeciwnie. Kiedy jednak dotknęła jego gęstych ciemnych włosów, wiedziała już, że na pewno nie chce go odepchnąć.

- Burke...

Markiz podciągnął obszyte koronką pantalon, aż znalazły

się w połowie jej ud. Po chwili na ich miejscu były już jego gorące wargi... Kate wydało się, że zaraz spłonie. I nie było to nieprzyjemne uczucie, o nie. Wtedy palce Burke'a wsunęły się pod materiał pantalonów. Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy poczuła je tam, gdzie - wbrew sobie - najbardziej tego pragnęła.

Ale kiedy po chwili palce zastąpiły usta i język, przeżyła szok. To było grzeszne. To musiało być złe, skoro dawało aż tyle rozkoszy.

Kate chciała mu powiedzieć, żeby przestał. Przecież wciąż miała na głowie czepkę. Żeby leżeć w czepku, z głową mężczyzny pomiędzy nogami! Ale usta i język Burke'a wyczytniały takie cuda, że nie była w stanie się odezwać.

Po chwili Burke uniósł głowę, wziął Kate na rękę i zaniósł na łóżko. Nie minęło kilka sekund, nim ponownie znalazł się między jej nogami i wtedy wszystko potoczyło się tak szybko jak nigdy dotąd. Razem przekroczyli granicę rozkoszy, razem wydali z siebie przeciągły jęk.

Kate, czując się zdecydowanie lepiej niż podczas reszty dnia, wyglądała na nieco zawstydzoną.

- Nawet nie zdążyłam zdjąć czepki - powiedziała, gdy wreszcie była w stanie mówić.

Zabrzmiało to tak, jakby fakt, że miała go cały czas na głowie, był dużo bardziej szokujący niż to, co właśnie zdarzyło się między nimi. Burke uniósł głowę i popatrzył na opuchnięte wargi i szare oczy dziewczyny. Długie pasmo włosów wysunęło się spod nieszczęsnego czepka. Uniósł się na łokciach i odgarnął je.

- Nad wyraz niewłaściwe - rzekł. - Na przyszłość postaram się pamiętać, by zawsze najpierw zdejmować twój czepkę.

- Mam nadzieję - odpowiedziała sennie Kate, zupełnie zapominając, że wspólna przyszłość jest ostatnią rzeczą, której pragnie.

A może to było jedyne, czego pragnęła?

29

Kiedy następnego ranka Kate obudziła się, nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie jest ani jak się tu dostała. Wiedziała jedynie, że musi być bardzo wcześnie, bo nie czuła jeszcze młodości, które pojawiały się zawsze około ósmej.

Kiedy wyciągnęła rękę, spodziewając się poczuć jedwabiste futerko Lady Babbie, odkryła, że dotyka czegoś dużo bardziej szorstkiego. Wtedy dopiero uświadomiła sobie, że nie znajduje się w White Cottage. Gdy otworzyła jedno oko, by zbadać sytuację, zobaczyła, że jej ręka spoczywa na kępcie czarnych włosów. Pochyliła się, by uważniej się im przyjrzeć, i dotarło do niej, że obok leży zupełnie nagi lord Wingate.

Po chwili przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy i z jękiem opadła na poduszki. Oczywiście. Byli w Gretna Green. Przyjechali tutaj, by odnaleźć Isabel, która uciekła z Danielem Cravenem. Z człowiekiem, który odebrał Kate wszystko, co uważała za najcenniejsze, a teraz starał się, z powodów, których nie rozumiała, zrobić to samo Burke'owi.

Nocowali w zajeździe, którego właściciel sądził, że są małżeństwem. Cóż, tak się przecież zachowywali. Jeżeli oczy-

wście małżonkowie wyprawiają takie rzeczy, w co Kate śmiała wątpić. Ani przez chwilę nie wierzyła, że jej ojciec kiedykolwiek... Albo matka... Z płonącymi policzkami uznała, że lepiej będzie, jeśli przestanie myśleć o takich sprawach. To, co działo się w łóżku jej rodziców, nie miało z tym żadnego związku.

Burke dalej spał, oddychając równomiernie. Kate podciągnęła się na łokciach, by móc mu się dokładniej przyjrzeć, i z pewnym zaskoczeniem odkryła, że pomiędzy czarnymi włosami - zarówno na głowie, jak i na klatce piersiowej - ma kilka siwych. No tak, ale właściwie dlaczego miałoby ją to dziwić? Dawno już przekroczył trzydziestkę, miał dorosłą córkę. Ile on miał lat, gdy urodziła się Kate? Trzydzieście. Trzydzieście lat to nie jest jeszcze tak duża różnica wieku. A Burke zdecydowanie nie wyglądał na swoje lata. Był zbyt żywotny, zbyt krzepki jak na swój wiek. Nigdy nie sądziła, że trzydziestosześcioletni mężczyzna może być zdolny do tak częstego... Tak częstego sprawiania kobiecie przyjemności.

Trzeba natychmiast z tym skończyć, pomyślała, zabierając rękę z jego piersi. Naprawdę. Kiedy już odnajdą Isabel, a Kate powstrzyma Burke'a od zabicia Daniela Cravena, będą musieli to skończyć. Nie mogła za niego wyjść, nieważne, jak bardzo pragnęłaby tego.

Ponownie wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Odruch ten wydawał się silniejszy od jej woli. Ciągłe odczuwała potrzebę dotykania go. Dlatego właśnie kazała mu siedzieć w powozie na drugiej ławce. Teraz mogła tylko w jeden sposób temu zapobiec: powinna wstać i ubrać się, zanim on się obudzi... i zanim nadejdzie fala młodości.

Za późno. Zdażyła tylko odsunąć koc i postawić jedną stopę na lodowato zimnej podłodze, kiedy Burke otworzył oczy.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał takim tonem, jakby byli znów w jego domu przy Park Lane i mijali się przypadkowo na korytarzu.

- Eee... Nie - wyjąkała Kate.
 - Miło mi to słyszeć - odparł z uśmiechem. - Ponieważ budzenie się przy twoim boku jest czymś niezwykle przyjemnym. Tak naprawdę to chciałbym w ten sposób budzić się codziennie. - Ucałował jej dłoń.

Kate energicznie przekreśliła się, zahaczając niechcący nogą o jego męskość.

- Ostrożnie - ostrzegł ją. - W ten sposób możesz zaprzepaścić nasze nadzieje na pełną rodzinę.

- Nie sądzę, abyśmy musieli się o to martwić - odrzekła sucho, podciągając koc pod samą brodę.

Ale Burke nie rozumiał.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że ciągle nie masz zamiaru za mnie wyjść? Po ostatniej nocy?

- Nie uważasz, że powinieneś raczej martwić się teraz o Isabel, a nie o to, czy chcę za ciebie wyjść?

Otworzył usta, ale wyglądało na to, że nie wie, co powiedzieć. Puścił Kate i z niezadowoleniem zerwał się z łóżka. Jednak ona nawet wtedy nie mogła oderwać od niego wzroku, choć czuła, że za chwilę ogarną ją mdłości. Burke miotał się po pokoju, wkładając spodnie i koszulę, w ogóle przy tym nie patrząc w jej stronę.

No i bardzo dobrze. Ona wcale nie chciała, by się jej przyglądał. Im bardziej ją ignorował, tym łatwiej później będzie...

Pół godziny później Burke wrócił do pokoju, który opuścił w ogromnym pośpiechu. Przyniósł wielką tacę, z której dopływał zapach bekonu i kawy. W normalnych okolicznościach byłyby to aromaty przyjemne, ale nie w tej chwili.

- Śniadanie, Kate - rzekł, zamykając nogą drzwi. - Wziąłem je na korytarzu od pokojówki. Przypuszczałem, że jeszcze nie wstałaś. Zabawne, nie podejrzewałem nawet, że tak lubisz marnować czas. Wstawaj i zjedz coś.

Kate była w stanie jedynie nakryć głowę kocem. Burke'a nie śmieszyło to.

- Zbieraj się, Kate. Nie mamy wolnego całego dnia. Musimy znaleźć tego łotra Cravena. Czy wiesz, ile jest miejsc, w których mogli się ukryć? To prawda, Gretna Green nie jest dużym miastem, ale...

Tego już było dla niej zbyt wiele. Zapach, widok bekonu... Nagle odrzuciła koc, usiadła i przechyliła się za łóżko. Nie miała czym wymiotować. Przed spaniem nie jadła kolacji. Mimo to targały nią okropne mdłości. Płakała i nic nie mogła na to poradzić. Poczowała się kompletnie upokorzona, zwłaszcza kiedy Burke pośpieszył w jej stronę i położył chłodną dłoń na jej czole, drugą odgarniając włosy z twarzy.

- Już dobrze - powtarzał uspokajająco. - Przepraszam cię, Kate. Nie wiedziałem.

Ponownie odgarnął pasma włosów z jej spoconego czoła. Po kilku minutach dziewczyna zaczęła czuć się lepiej. Poruszyła się, a on ją puścił. Z powrotem opadła na poduszki, unikając wzroku siedzącego obok mężczyzny. Ale wyglądało na to, że on nie zwrócił na to żadnej uwagi. W jego oczach widniała troska.

- Dlaczego, Kate? - spytał, dotykając jej policzka. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Była w stanie jedynie potrząsnąć głową.

- Nie możesz mieć mi przecież za złe, że nie odgadłem. Przyznaję, że powinienem był się domyślić, kiedy wczoraj miałaś takie problemy ze wstaniem, ale chyba nie jestem wystarczająco bystry w takich sprawach. Ale teraz... teraz już wiem. - Popatrzył na nią z uwagą. - Co skłania mnie do ponownego zapytania: dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Kate chciała się przekreślić, ale Burke siedział na kocu. Pociągnęła za niego. Kiedy z westchnieniem poruszył się,

otuliła się ciepłą wełną i odwróciła na bok. Była przekonana, że tylko w ten sposób może przetrwać tę rozmowę, której obawiała się, odkąd markiz pojawił się w White Cottage.

- Nie chciałam ci mówić - rzekła do ściany.

- Dlaczego, Kate? - Jego głos przepełniało bezbrzeżne zdumienie.

Dziewczyna jęknęła. Wiedziała, że tak będzie. Jeśli nie oddałaby mu się, nie doszłoby do tego. Wściekła na siebie, Kate uniosła dłoń i jej wierzchem otarła oczy.

- Ty nic nie rozumiesz.

- Nie - odparł Burke. W jego głosie pobrzmiwała ogromna troska, ale także zupełny brak zrozumienia. Nie próbował jej dotknąć, za co była mu wdzięczna. - Nie, nie rozumiem. Nosisz pod sercem moje dziecko i nawet nie miałaś zamiaru mi o tym powiedzieć, prawda?

Nie była w stanie się odezwać.

- Prawda?

Kate głęboko odetchnęła.

- Chciałam. Tyle że nie potrafiłam. Nie mogę...

Burke uniósł brwi.

- Nie możesz czego?

- Nie mogę za ciebie wyjść - rzekła szybko, chcąc mieć to za sobą. - Nie mogę tego zrobić, Burke.

Na jego twarzy widniało kompletne zaskoczenie.

- Do diabła, dlaczego nie?!

- Nie mogę wrócić - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Wrócić? - Burke potrząsnął głową. Jej słowa zabrzmiały dziwnie znajomo, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je nie tak dawno słyszał. - Wrócić dokąd?

- Do twojego świata, tego... tego, w którym kiedyś żyłam i ja.

- Mojego świata? O czym ty mówisz?

- O Londynie - wyjaśniła Kate. - Ty nie wiesz, nie możesz wiedzieć, jak to było, kiedy mój ojciec został oskarżony o oszukanie tych ludzi. - Potrząsnęła głową, odwracając wzrok. - Byli naszymi przyjaciółmi, a przynajmniej uważaliśmy ich za takich. Wszyscy jednak odwrócili się od nas. Nikt nie wierzył w niewinność mojego ojca. Nikt nie wierzył, że to Daniel, a nie on... - Przerwała, starając się powstrzymać łkanie.

Burke, przypatrując się dziewczynie bez słowa, uświadomił sobie, dlaczego jej słowa wydały mu się znajome. Niania Hinkle. To ona starała się go ostrzec. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Kate kontynuowała przerywanym łkaniami szeptem:

- A potem, kiedy umarł... kiedy umarł, mimo że pożar został oficjalnie uznany za nieszczęśliwy wypadek, wszyscy, ale to wszyscy, uwierzyli w plotki, że to mój ojciec podłożył ogień. Że to on pozbawił życia siebie i moją matkę. Wierzyli, że został do tego zmuszony, że nie mógł znieść upokorzenia. - Spojrzała na Burke'a. - Ale on tego nie zrobił! - krzyknęła dziko. - Nie ukradł pieniędzy i nie podpalił domu. Nie mieli żadnego prawa, by tak sądzić. Żadnego! Czy teraz rozumiesz, Burke? Nie mogę tam wrócić. Z trudem zmusiłam się do tego pół roku temu. Musiałeś zaoferować mi trzysta funtów, bym to zrobiła. Ale teraz... Teraz muszę myśleć o dziecku. Nie wrócę do tamtego świata. I wiem, że nie mogę prosić, byś ty go porzucił.

Spojrzał na nią.

- Nie możesz?

- Czy nie rozumiesz? - Kate potrząsnęła głową. - Woląabym już sama wychowywać moje dziecko w hańbie niż wśród ludzi, którzy pozwolili Danielowi Cravenowi...

- Pozwolili Danielowi Cravenowi na co, Kate? - zapytał ostrożnie Burke, kiedy nagle urwała.

Gdy na niego spojrzała, dojrzał w jej oczach coś nowego, przypuszczalnie strach.

- Nic - odparła szybko. Zbyt szybko.

- Kate. - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej dłoni. - Powiedz mi. Ludzie, którzy pozwolili Danielowi Cravenowi na co?

Wydawało się, że jej głos, który był niewiele głośniejszy od szeptu, przeciął ciszę niczym krzyk:

- Uciec bezkarnie, mimo że to on zabił moich rodziców.

30

Oto i jesteśmy - rzekła Kate, patrząc na trzymany w dłoni kawałek papieru. Szli pieszo wąską ulicą. Dla zwykłego przechodnia mogli wyglądać jak szczęśliwa para, udająca się z wizytą do przyjaciół lub rodziny. Jednak po dokładniejszym przyjrzeniu się można było zauważyć, że usta dżentelmena są zaciśnięte w wąską linię. - Numer dwadzieścia dziewięć - oznajmiła, spoglądając na drzwi. - To musi być tutaj.

To nie była jakaś szczególnie uboga ulica. Burke uznał, że mieszkają tu ludzie średnio zamożni. Ale nie była to dzielnica, w której miał nadzieję znaleźć swoją córkę, ukrywającą się razem z jej kochaniem. Tak właściwie to nigdzie nie chciał znaleźć ich razem.

Jedno było pewne: zbyt łatwo poszło im z wytropieniem Daniela Cravena. Za bardzo zwracał na siebie uwagę, jak na kogoś, kto robi wszystko, co w jego mocy, byle tylko nie został wysledzonym. Poranne wyznanie Kate - że to on podłożył ogień i zamordował jej rodziców - przerwało pukanie do drzwi. Kiedy Burke poszedł je otworzyć, zobaczył mężczyznę, któremu podczas zamawiania śniadania zadał kilka pytań,

dotyczących osób niedawno przybyłych do miasteczka. Człowiek ten znalazł kogoś, kto za niewielką opłatą gotów był wskazać miejsce zamieszkania mężczyzny, który pasował do opisu Cravena.

- Właśnie wynajęli dom niedaleko stąd - poinformował Kate, która się pospiesznie ubierała. - I na pewno byli w nim dziś rano. Człowiek, z którym rozmawiałem, powiedział, że godzinę temu zostało tam dostarczone mleko.

- W takim razie chodźmy tam - rzuciła z udawaną odwagą.

Ale teraz, stojąc przed drzwiami, straciła cały animusz, a Burke nie czuł niczego poza przemożną ochotą zgniecenia czegoś.

- A jeżeli nie będzie chciała z nami pojechać? - spytał, wpatrując się w drzwi.

- Będzie - odparła nieco niepewnie Kate.

- A jeżeli przybyliśmy za późno?

Był kolejny szary dzień. Na szczęście nie padało, ale było nadspodziewanie zimno i wilgotno. Mimo strachu policzki i nos Kate zaróżowiły się z zimna.

- Burke - rzekła ostrzegawczym tonem. - Jeżeli nawet tak się stało, to nie wolno ci go zabić, rozumiesz? Nie obchodzi mnie, że jesteśmy w Szkocji. Tutaj też obowiązuje prawo. Nie możesz popełnić morderstwa. Dla dobra Isabel.

Słyszając wypowiedane przez nią swoje imię, prawie się zapomniał i zapragnął nagle chwycić ją w ramiona i pocałować.

Prawie.

Dopiero gdy sobie przypomniał, co przed nim skrywała, powstrzymał się przed zrobieniem czegoś tak głupio sentymentalnego. Od około ośmiu tygodni musiała wiedzieć, że nosi w sobie ich dziecko. Dwa miesiące. I gdyby Isabel nie uciekła, a on nie przyjechałby do Lynn Regis...

Kate uniosła dłoń i zastukała do drzwi. Minutę później dało

się słyszeć kroki. Pokojówka, prawie jeszcze dziecko w faldaniastym fartuchu i zbyt dużym czepku, stanęła na progu i spojrzała na nich wyczekująco.

- Słucham państwa? - zapytała.

- Dzień dobry - odezwała się słodko Kate. - Czy zastaliśmy pana Cravena?

- Och nie, proszę pani - odparła służąca. - Pan Craven pojechał z powrotem do Londynu.

- Do Londynu?

- Tak, proszę pani. Minęli się z nim państwo. Wyjechał niecałe pół godziny temu.

Kate nie miała pojęcia, jak bardzo się obawia spotkania z Danielem, dopóki nie poczuła teraz obezwładniającej ulgi. Burke tymczasem wyglądał na ogłuszonego tą informacją.

- A... pani Craven? - zapytała Kate, widząc, że jej towarzysz najwyraźniej zaniemówił. - Czy pojechała z panem Cravenem?

- Pani Craven? - Służąca wyglądała na zaskoczoną.

- Była z nim młoda dama - szybko dodała Kate, nie mając odwagi spojrzeć na Burke'a. - Czy mam rację?

- Ach! - zawołała dziewczyna, a na jej twarzy pojawiła się ulga i najwyraźniej lekceważenie. - Ma pani na myśli lady Isabel?

- Tak. Lady Isabel. Czy pojechała do Londynu razem z panem Cravenem?

Na twarzy służącej widniało teraz coś, co można było uznać za oburzenie.

- Oczywiście, że nie - oznajmiła, tak jakby pomysł ten był kompletnie niedorzeczny. Prawie tak samo jak nazwanie Isabel panią Craven.

Kate modliła się o cierpliwość. To dziewczynisko z pewnością nie zostało zatrudnione ze względu na dobre maniere czy lotny umysł.

- W takim razie czy moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie możemy ją znaleźć?

Szybkie spojrzenie przez ramię w stronę wąskich schodów było wszystkim, czego potrzebował Burke. Wyciągnął rękę i z całej siły pchnął drzwi. Służąca wydała z siebie okrzyk zaskoczenia i pospiesznie uskoczyła na bok. To była mądra decyzja, ponieważ męczyzna przemknął koło niej z siłą huraganu.

- Gdzie ona jest?! - wrzasnęła.

- Proszę pana - pisnęła dziewczyna. - Nie może pan tam wchodzić. Co pan sobie wyobraża? Panu Cravenowi to się nie spodoba, o nie...

Ale Burke wspinał się już po schodach, przeskakując dwa stopnie naraz. Kate pośpieszyła za nim.

- Burke! - zawołała. - Proszę...

Pierwszy pokój, do którego zajął, był pusty. Jednak we wnętrzu drugiego ukazała się skulona na fotelu postać. W bladym świetle poranka trudno było cokolwiek rozpoznać, ale tak łkać mogła tylko Isabel.

Ku zdumieniu Kate, Burke nie wszedł do pokoju. Zajął do niego z wyraźną niepewnością. Widząc pytające spojrzenie swojej towarzyszkii, szepnął:

- Nie mogę.

- Burke - rzekła miękko Kate, ale on potrząsnął głową.

- Nie. Ona mnie nie chce. Ty idź.

Tym razem to Kate potrząsnęła głową.

- Ale...

- Isabel nie będzie chciała mnie widzieć - zapewnił ją.

- Burke, to...

- Ty nie wiesz - powiedział głucho. - Ty nic nie wiesz o okolicznościach, w których... w których widziałem ją po raz ostatni. Ona nie będzie mnie chciała znać. Ty idź.

- Dobrze - odparła Kate, widząc niebezpieczny błysk w jego oczach.

No i poszła. Wchodząc do pokoju, ściągnęła rękawiczki, kucnęła koło fotela przy kominku i położyła rękę na dłoni skulonej na nim dziewczyny.

Isabel przestała głośno płakać i spojrzała na nią podpuszczonymi od płaczu oczami.

- Och! - zawołała, rozpoznając natychmiast swoją opiekunkę. - Panna Mayhew!

Zerwała się z fotela i tak ciasno otoczyła ramionami szyję Kate, że ta prawie się zakrzusiła.

- Panna Mayhew! - zawołała ponownie. Zaszlochała, ale tym razem był to inny rodzaj płaczu.

Kate, gładząc jej potargane włosy, starała się ją uspokoić. Po kilku minutach Isabel była w stanie wydusić z siebie swoją nieszczęsną historię.

- Och, panno Mayhew, czemu pani nie posłuchałam! Pani nigdy go nie lubiła i powinnam była wiedzieć, że musi być po temu ważny powód. Tyle że on adorował mnie dużo bardziej niż Geoffrey i powiedział, że mnie kocha, a nie może sobie pani wyobrazić, jaka byłam nieszczęśliwa po pani wyjeździe...

Zakończenie było równie żałosne jak cała reszta.

- Niecałą godzinę temu wszedł do pokoju i powiedział, że wraca do Londynu, beze mnie. Oznajmił, że ma dość. Dość tego, że jestem taka zepsuta i rozpieszczona. Ale ja taka nie byłam, panno Mayhew! Przysięgam! Tylko że jego to nie obchodziło. Porzucił mnie, i to na dodatek w Szkocji. Nie miałam pojęcia, co zrobić. Nie sądziłam, by papa przyjął mnie z powrotem pod swój dach, nie po... Och, panno Mayhew, nigdy nie sądziłam, że ktoś może być tak okrutny! Dlaczego on to zrobił? Dlaczego?

Kate, przytrzymując drżące ramiona dziewczyny, starała się

zachować spokój i zdrowy rozsądek. W głębi duszy była jednak bardzo zaniepokojona. Dlaczego Daniel Craven to zrobił? Jaki miał w tym cel? Jeżeli Isabel mówiła prawdę - a nie było powodu, by jej nie wierzyć, zwłaszcza teraz - to nie tylko nie byli małżeństwem, ale Daniel nawet jej nie tknął. Podczas wspólnej podróży zawsze mieli osobne pokoje. Było to coś, co Isabel uważała za zupełnie naturalne, a poza tym uznała to za dowód niebываłej rycerskości. Kate jednak nie nazwałaby tak jego zachowania. Daniel Craven nie był dżentelmenem. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Tylko dlaczego robił sobie tyle zachodu? Po co przejechał pół kraju, tracąc sporo czasu i pieniędzy, by na końcu porzucić to biedne dziewczę? Ale na poznanie odpowiedzi Kate musiała jeszcze poczekać.

- Co ma panienka na myśli, mówiąc, że ojciec nie przyjąłby jej z powrotem pod swój dach? Przez ostatnie kilka dni tracił zmysły z niepokojem o panienkę.

Isabel wytarła oczy chusteczką, zaoferowaną przez Kate.

- Och - rzekła trzęsącym się głosem. - Wiedziałam, że to, co robię, jest złe, ale nie mogłam znieść przebywania z nim w jednym domu. Nigdy nie widziałam go takiego jak po pani wyjeździe, panno Mayhew.

Kate odgarnęła z jej twarzy pasmo włosów.

- O kim ty mówisz? - zapytała, słuchając jednym uchem.

- O papie, a o kimże innym. Chciałabym, by wiedziała pani, że ani trochę nie winię pani za to, że opuściła nas w taki sposób. Wiem, jak bardzo papa był okropny dla pani tamtej nocy... wtedy gdy przyłapał panią w ogrodzie z... z Danielem. Po pani wyjeździe, panno Mayhew, był dla mnie chyba jeszcze gorszy. Pewnie zadeszował, by pani przyjechała i zabrała mnie stąd. On przecież nie chce mnie już więcej widzieć.

Kate, świadoma tego, że Burke stoi w korytarzu i niewąt-

pliwie słyszy każde słowo, pośpiesznie przerwała dziewczynie, zanim ta powie coś, co może spowodować szkodę nie do naprawienia.

- Cóż za nonsens - rzekła szybko. - Ojciec panienki jest tuż za drzwiami. Myślał, że to panienka nie będzie chciała go widzieć...

Dostrzegłszy wreszcie ojca, przyczajonego przy drzwiach. Isabel zerwała się na równe nogi. Sekundę później Burke wszedł do pokoju, a ona rzuciła się w jego ramiona z okrzykiem:

- Papa!

To było radosne pojednanie. Tak radosne, że Kate poczuła, iż powinna zostawić ich samych, by mogli się sobą nacieszyć. Cicho wyszła z pokoju i skierowała się w stronę schodów, na dole których dojrzała służącą, przemierzającą korytarz i wyglądającą na wściekłą.

Zdecydowana, by odkryć prawdę o Danielu - a przynajmniej o motywach jego postępowania - Kate zeszła ze schodów, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Oj - powiedziała służąca. - Proszę posłuchać. Nie mieliście prawa wtargnąć do tego domu. Dan... to znaczy pan Craven nie zrobił niczego złego.

- Oczywiście, że nie - odparła uspokajająco Kate. - Nikt nie sugeruje czegoś takiego.

- Nie wiem, co ona państwu naopowiadała. - Dziewczyna uniosła pełne wyrzutu spojrzenie w stronę sufitu. - Ale to nie jest prawda. Pan Craven jest prawdziwym dżentelmenem. Nie dotknął jej nawet palcem.

- Tak właśnie mi powiedziała. - Kate zatrzymała się przed lustrem, by poprawić wymykające się spod czepka włosy.

- Tak powiedziała? Bo to prawda. Ona go nie interesuje. Przynajmniej nie tak...

Z jej tonu wynikało jasno, kto interesuje Daniela Cravena.

- Naprawdę? - Kate odwróciła się i popatrzyła na dziewczynę. - Chyba się nie przedstawiłam. Kate Mayhew. - Wyciągnęła dłoń.

Służąca przez chwilę opatrywała się w nią, po czym podała jej rękę i uścisnęła,

- Martha - mruknęła.

- Cieszę się, że cię poznałam. Martho - powiedziała uprzejmie Kate. - To dziwne, nie sądzisz? - ciągnęła spokojnie. - To, że pan Craven opuścił cię tak nagle.

Dziewczyna wyprostowała się.

- Wyjechał tylko, by załatwić w mieście kilka spraw. Przed końcem tygodnia będzie z powrotem. Tak mi powiedział.

- A lady Isabel? Czy ona miała czekać na jego powrót?

Martha przybrała posepny wyraz twarzy.

- Ona nie. Dan... pan Craven powiedział, że zanim wróci, jej dawno już tutaj nie będzie. Mówił, że przyjedzie jej rodzina... - Niebieskie oczy dziewczyny rozszerzyły się i zamknęła usta. Najwyraźniej uświadomiła sobie, że zdradziła zbyt wiele.

Ale Kate wystarczyło to, co usłyszała. Wciąż miała wątpliwości co do powodów, stojących za planem Daniela, ale to upewniło ją, że za tym wszystkim coś się kryje.

- Idź na górę - rzekła, spoglądając z pewną dozą współczucia na służącą - i spakuj rzeczy lady Isabel. Wyjedziemy, gdy tylko skończysz.

Dziewczyna niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Więc... Więc jesteście jej rodziną?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie Kate. — Jesteśmy jej rodziną.

31

Dym.

Właśnie dym obudził Kate tamtej pamiętnej nocy przed kilkoma laty. Ten zapach towarzyszył jej w ciągu następnych miesięcy i nie tylko dlatego, że przesiąknięte nim było wszystko, co miała - to znaczy to, co nie spłonęło w pożarze albo nie zostało zarekwirowane przez komornika. Na zapach dymu stała się niezwykle wrażliwa. Tak bardzo, że wyczuwała najlżejszą nawet woń przypalonych placuszków jęczmiennych i biegła szybko do kuchni, nawet jeżeli znajdowała się ona kilka piętér niżej.

Ale kiedy tej nocy otworzyła oczy, wydało jej się mało prawdopodobne, by ktoś spalił placuszki o trzeciej nad ranem. Taką właśnie godzinę wskazywał zegarek, stojący na stoliku przy łóżku, a Kate nie widziała powodu, by mu nie wierzyć. Nie spała spokojnie i to nie tylko dlatego, że ktoś dzielił z nią łóżko. Ktoś, kto nawet teraz chrapał niespokojnie.

Nie był to markiz Wingate. On nigdy nie chrapał, w przeciwieństwie do jego córki, lady Isabel. Kate położyła głowę z powrotem na poduszce, zastanawiając się, czy powinna

obudzić śpiącą przy niej dziewczynę. Isabel miała, oczywiście, osobny pokój, ale dzisiejszej nocy wolała spać ze swoją byłą przyzwoitką.

Kate długo nie mogła zasnąć, zastanawiając się, co powinna zrobić. I nie chodziło bynajmniej o Daniela Cravena. Ten temat był dla niej zamknięty. Burke oznajmił, że ma zamiar znaleźć tego drania i przy pierwszej sposobności wysłać go na tamten świat. Jej wysiłki, by go przekonać, że Daniel, choć potraktował Isabel niezwykle podle, tak naprawdę nie wyrządził jej niemożliwej do naprawienia krzywdy, nie przyniosły rezultatu. Celem markiza Wingate było odnalezienie Daniela Cravena i zabicie go, gdy tylko dowiedzie córkę do Londynu.

Kate uświadomiła sobie, że nie może go winić. Daniel tym razem naprawdę przesadził. Wciąż nie potrafiła zrozumieć, jaki był cel jego szalonej ucieczki z Isabel. Jej podopieczna miała na ten temat własną teorię, lecz była ona tak absurdalna - i zarazem przerażająca - że Kate postanowiła natychmiast o niej zapomnieć.

Ale jaki miało sens zastanawianie się nad motywami postępowania tego mężczyzny, skoro musiała pomyśleć o innym, dużo bardziej skomplikowanym i zarazem atrakcyjnym. Prawdziwym powodem, dla którego Kate nie mogła zasnąć, było nieustanne rozmyślanie o Burke'u. I nie tylko o nim, ale także o tym, co powinna zrobić następnego dnia, ponieważ rozumiała, że to, co powiedziała służącej Daniela Cravena, jest prawdą: stanowili rodzinę. Jak mogła odwrócić się od miłości, która niezaprzeczalnie połączyła ją i Burke'a? Jak mogła odejść, skoro jedyne, co powstrzymywało ją, to niechęć do jego sfery? Kate miała wrażenie, że teraz potrafiłaby sobie z nią poradzić, z szeptami, plotkami, spojrzzeniami, dopóki przy jej boku stałby Burke.

Zdała sobie sprawę, że jej miłość do niego jest znacznie

silniejsza niż nienawiść do ludzi, wśród których się obracał. Nie wiedziała tylko, jak mu o tym powiedzieć. Po tym, jak odnaleźli Isabel, ani chwili nie spędzili na osobności. A poza tym stosunek Burke'a chyba się zmienił. Był nienagannie uprzejmy, ale nie wyglądało na to, by miał zamiar ponownie się jej oświadczyć.

Nie winiła go za to. Był przerażony tym, czego dowiedział się tego ranka: najpierw o dziecku, potem o tym, że Kate nadal nie ma zamiaru za niego wyjść, a do tego doszła jeszcze prawda o Danielu Cravenie. Do końca dnia markiz nie odezwał się do niej ani słowem, z wyjątkiem oczywistych zwrotów grzecznościowych. Cała jego uwaga skupiała się na Isabel. Z powodu roztrzęsienia córki zdecydował, że zostaną w Gretna Green na jeszcze jedną noc, by pozwolić jej odpocząć przed wyruszeniem do Londynu. Dla dobra Isabel znalazł najlepszy hotel w mieście i przekupił właściciela, by wynajął im trzy najlepsze pokoje, mimo że nie dokonali wcześniej rezerwacji.

A teraz była trzecia nad ranem i choć Kate leżała z pewnością w najwygodniejszym łóżku w najładniejszym pokoju w całej Szkocji, nie mogła zasnąć.

Była głupia i teraz będzie cierpieć przez swoją głupotę. Będzie musiała wrócić do Lynn Regis i do niani Hinkle. Markiz, oczywiście, zaproponuje jej finansową pomoc w związku z ich nienarodzonym dzieckiem, a Kate wiedziała, że będzie musiała ją przyjąć, bo nie miała żadnego źródła dochodów. I z pewnością będzie nalegał na widzenie się z dzieckiem od czasu do czasu, co nie pomoże jej o nim zapomnieć.

Nieszczęśliwa, przekreśliła się na drugi bok... i znowu to poczuła. Tym razem nie miała wątpliwości. Dym. Tyle że był to dym palącego się tytoniu. Ktoś palił cygaro i to gdzieś niedaleko. Zaskoczona, usiadła i sięgnęła po peniuar. Pokoje, wynajęte przez markiza Wingate, były na drugim piętrze.

Każdy miał podwójne drzwi, przez które można było się dostać na niewielki taras, gdzie - jak wytłumaczyła Kate żona właściciela hotelu - guście lubili jadać śniadania, jeśli pozwalała na to pogoda. Wychodząc z łóżka, zauważyła, że gospodyni zostawiła w drzwiach szparę, przez którą teraz sączył się dym.

Serce Kate podskoczyło. Czy to możliwe, że na tarasie był Burke? Może wyszedł, by zapalić w samotności? Wiedziała, że od czasu do czasu markiz lubi wypalić cygaro. Być może tak jak i ona nie mógł spać i wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza? Dłużej się nie wahała. Otworzyła drzwi i wyszła na taras.

Deszcz co prawda przestał padać, ale niebo było ciągle zachmurzone. Panowała ciemność, jednak nikły blask księżycy wystarczył Kate, by dojrzała na środku małego tarasu okrągły stolik. Nie potrzebowała żadnego światła, by wysledzić źródło gryzącej woni palonego tytoniu. Mężczyzna przechylał się przez poręcz tarasu. Przez drzwi pokoju, sąsiadującego z sypialnią Kate, sączyło się światło.

Jeżeli mężczyzna zdumiał się tym, że tak nagle zyskał towarzystwo, nie dał tego po sobie poznać.

- Cóż za wspaniały zbieg okoliczności - rzekł miękko. - Właśnie stałem i zastanawiałem się, jak, do diabła, mam cię wywołać bez budzenia tego cholernego dzieciaka, kiedy się pojawiłaś.

Kate drżącymi palcami chwyciła poły peniuaru i zacisnęła je, tak jakby mogło ją to uchronić nie tylko przed chłodnym powietrzem, ale także przed niepożądaną obecnością intruza.

- Daniel, co... Co ty tutaj robisz? - Usta miała prawie białe.

Niepotrzebnie pytała, wiedziała. I obecność Cravena nie miała związku z Isabel.

- Markiz śpi tuż obok - powiedziała szybko, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Wskazała na okna po prawej stronie

jej pokoju. - Jest na ciebie wściekły. Zabije cię, jeśli zobaczy, że tutaj jesteś.

- Wiem o tym - odparł Daniel, spokojnie wydmuchując niebieskawy dym. - Upewniłem się, że zasnął, zanim tu przyszedłem. - Na jego twarzy pojawiła się zaduma. - To zadziwiające, ile można się dowiedzieć w kuchni od służby.

- Ty na pewno nie masz problemów ze zdobyciem potrzebnych ci wiadomości. Masz przecież praktykę. Masz Marthę...

Uniósł jedną brew.

- Marthę? - zapytał, po czym się rozjaśnił. - Ach. Martha. Tak, tak. Czarująca dziewczyna. Może nie tak czarująca jak, powiedzmy, żona właściciela tego przybytku, ale prawie tak samo...

Kate zacisnęła zęby.

- Więc od niej dostałeś klucz do pokoju sąsiadującego z moim - bardziej stwierdziła, niż zapytała Kate.

- W rzeczy samej. - Daniel usiadł na ławce, wyciągnął swoje długie nogi i skrzyżował je w kostkach. - Strasznie trudno cię zlokalizować, Kate. Wielokrotnie próbowałem skontaktować się z tobą po naszej fascynującej rozmowie... Kiedy to było? Trzy miesiące temu? Na balu u lady Tetmiller. Starałem się kontynuować ją w ogrodzie lorda Wingate, ale... cóż, pamiętasz, jak to się skończyło. Przypominam sobie, że markiz miał poważne obiekcje co do naszego sam na sam. Przypuszczam, że powinienem przeprosić cię za to, że opuściłem cię tak nagle, ale nie chciałem otrzymać kulki w łeb. a poza tym byłem pewny, że ciebie nie zastrzeli.

Kate wpatrywała się w niego. Nie powinna się niczemu dziwić, ale jednak...

To moja wina. pomyślała. To wszystko moja wina. Biedna Isabel. Biedna głupiotka Isabel.

Poczuła chłód, ale wiedziała, że nie ma on nic wspólnego z panującą na zewnątrz temperaturą.

- Mnóstwo czasu spędziłem na domysłach, co się z tobą stało, kiedy tak nagle zniknąłeś z Londynu - kontynuował Daniel. - Nie chciałem sobie schlebiać, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że twoje zniknięcie i nasza pogawędka miały ze sobą wiele wspólnego. Co prawda kiedyś nie miałaś w zwyczaju zachowywać się jak tchórz, ale minęło sporo czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, więc... - Wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że aby ustalić miejsce twego pobytu, dobrze będzie zaprzyjaźnić się z lady Isabel.

- Zaprzyjaźnić się? - powtórzyła gorzko Kate. - Tak to nazywasz? Uwiodłeś ją, ty dra...

- Dobry Boże. - Daniel ponownie wzruszył ramionami, tym razem z niesmakiem. - Licz się ze słowami. Nawet nie dotknąłem tego dzieciaka. No dobrze, może dotknąłem, ale uwiedzenie jest określeniem zdecydowanie zbyt ostrym. Zwłaszcza że ta głupia smarkuła nie tylko nie знаła miejsca twego pobytu, lecz także podejrzliwie odnosiła się do motywów, które kierowały tobą, kiedy się zdecydowałaś ją opuścić. To umocniło mnie w przekonaniu, że wyfrunęłaś z Londynu przeze mnie.

Kate nie odezwała się ani słowem. Nie miała zamiaru wyznać prawdy, to znaczy powiedzieć, że dopóki Burke nie przybył do niej z zaskakującą wiadomością o ucieczce Isabel, nie myślała w ogóle o Danielu. Miała dużo większe zmartwienia.

- Pomyślałem więc, że skoro góra nie chce przyjść do Mahometa, Mahomet musi przyjść do niej. Wiedziałem, jak bardzo lubisz tę nudną smarkułę. Jeśli dowiedziałaś się, że grozi jej niebezpieczeństwo, na pewno wyszłabyś z ukrycia, nawet ryzykując, że mnie spotkasz. I, jak widzisz, miałem rację. Oto i jesteś. Jestem także i ja. - Uśmiechnął się, a Kate przebiegły ciarki.

Uświadomiła sobie, że cała się trzęsie, nie tylko z zimna. Drżała z powodu czegoś, czego nie potrafiła wytłumaczyć...

A może potrafiła, ale nie chciała.

- Nie sądzi pan chyba - odezwała się głosem, który drżał w takim samym stopniu jak jej dłonie - że po tym, co właśnie usłyszałam, będę tu stała i rozmawiała z panem, tak jakby nic się nie stało. Prawdę powiedziawszy, uważam, że jest pan szalony. A ja nie mam ochoty rozmawiać z szaleńcami. Dobranoc panu.

Odwrociła się, by wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi. Jednak nie zdążyła zrobić trzech kroków, kiedy chwycił ją za nadgarstek.

- Nie tak szybko, Kate - rzekł nieco niewyraźnie z powodu cygara, które ciągle trzymał w ustach.

Kate wzięła się w jego żelaznym uścisku.

- Puść mnie!

- Mała kocica. Dokąd się wybierasz? Nie skończyliśmy jeszcze tej rozmowy.

- Proszę, Danielu, puść mnie. - Kate zdała sobie sprawę, że walka z nim okazywała się nie tylko bolesna, ale także bezcelowa. Postanowiła zmienić taktykę. - Jeśli mnie puścisz, to przysięgam, że nikomu nic powiem, iż tutaj jesteś. Możesz mi ufać. Zresztą kiedy ostatnim razem mówiłam coś o tobie, i tak nikt mi nie wierzył.

Popatrzył na nią, a z jego twarzy zniknął spokój.

- Ostatnim razem? - Pociągnął ją do przodu i pochylił się tak, że ich twarze prawie się dotykały. Jego oddech był gorący i przesiąknięty dymem z cygara. - Mój Boże, nie było ostatniego razu, rozumiesz? Nie miałem nic wspólnego z pożarem. - Nagle odepchnął Kate, jednak ciągle trzymając ją mocno za nadgarstek. - Nic.

Po jej policzkach zaczęły spływać łzy, ale nie zwróciła na

nie nawet najmniejszej uwagi. Nie były one skutkiem bólu, mimo że uścisk Daniela nie należał do delikatnych. Nie były to także łyzy strachu.

- Kłamiesz - wyszeptwała, wpatrując się w niego. Ból w ręce, przejmujące zimno, dym, żadna z tych rzeczy nie miała teraz dla niej znaczenia. Wszystko, co się liczyło, to prawda, która w końcu miała wyjść na jaw. - Doskonale wiem, że tam byłeś - syknęła Kate. - Widziałam cię. Stałeś i wpatrywałeś się w płomienie.

Daniel zapatrzył się w dal. Nagle przeniosła się do przepętnionego dymem korytarza jej dawnego domu. Właśnie otworzyła drzwi swojego pokoju i z przerażeniem odkryła, że z sypialni rodziców buchają płomienie.

- Stałeś tam - powtórzyła, nie walcząc już, by uwolnić się z jego uścisku. - Tuż przy schodach. I trzymałeś coś. Jakiś pojemnik. I czuć było okropny odór, gorszy niż zapach dymu. Nafta. Sądziłam, że to ojciec przez przypadek zrzucił lampę z nocnego stolika. Ale nawet to nie wywołałoby tak wysokich płomieni. Wszystko było w ogniu. Musiałeś oblać naftą baldachim, dywan, wszystko. A potem próbowałam się do nich dostać, a ty... ty mi w tym przeszkodziłeś.

Jakby chcąc wyrwać ją z transu. Daniel puścił nadgarstek Kate, wyrzucił cygaro, chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- To nie miało tak być. - Na jego twarzy pojawiło się coś, czego Kate nigdy na niej nie widziała. Desperacja. - Ciebie i twojej matki nie powinno tam być. Miałyście wyjechać z Londynu. Twój ojciec chciał wysłać was obie na wieś na czas procesu, by was ochronić.

- Oczywiście - wyszeptwała Kate. - Ale mama nie zgodziła się jechać. Powiedziała, że to byłoby tchórzostwo, tak jakbyśmy przed czymś uciekały.

- I dlatego zginęła - rzucił dziko Daniel. - Nie miało jej

tam być. Ciebie także. Musiałem powstrzymać twego ojca przed zeznawaniem w sądzie. Widzisz, on znalazł dowód. Dowód na to, że przez cały czas wiedziałem o tym, że kopalnia jest pusta. Nie mogłem mu pozwolić, by o tym mówił. Ale nigdy nie chciałem zrobić krzywdy twojej matce ani tobie. Przecież nie miało was tam być!

Kate nie była w stanie się poruszyć. Oto stał przed nią morderca jej rodziców i przyznawał się... wreszcie przyznawał się do winy. Nie oszalała. Nie wymyśliła sobie tego. Widziała go - widziała Daniela Cravena - w domu tej nocy, kiedy w pożarze zginęli jej rodzice.

- Myślałem, że jesteś nieprzytomna - kontynuował. - Sądziłem, że zemdłałeś. Ale na wszelki wypadek wyjechałem. Nie było mnie siedem lat. Siedem długich lat, Kate, spędzonych w tym przeraźliwie gorącym kraju. Musiałem wrócić. Nie byłem w stanie zostać tam ani dnia dłużej. Sądziłem, że po siedmiu latach... Ale nie. O nie. Ty pamiętałaś. I obwiniałaś mnie.

Nagle minęło jej odrętwienie. Kiedy podniosła wzrok, jej oczy płonęły intensywniej niż pożar.

- Czy naprawdę oczekujesz, że wybaczę ci to, co zrobiłeś? To, że odebrałeś im życie, a moje zniszczyłeś? - spytała lodowatym głosem.

Palce na jej ramionach zacisnęły się.

- Dobry Boże, nie. Myślisz, że zadawałbym sobie tyle trudu i ciągnął tę smarkulę od Traherne'a przez pół kraju tylko po to, żebyś mi wybaczyła? Oczywiście, że nie.

Kate zamrugwała.

- Więc po co...

- Żeby cię zabić - odrzekł lekko.

Powiniem być pozwolić ci zginąć wtedy razem z rodzicami - ciągnął Daniel. - Ale byłem wtedy głupio sentymentalny. Ocaliłem ci życie, zamiast je odebrać. I po siedmiu latach wróciłem do Londynu, sądząc, że nie mam się o co martwić, że o pożarze już dawno zapomniano, by odkryć, że ty nie tylko nie zapomniałaś, ale zupełnie otwarcie mnie o...

- A co miałam robić? - wybuchnęła Kate. - Czy masz pojęcie, co się potem działo? Jak to było przejść przez to wszystko? Przez pogrzeb, dochodzenie? Mój Boże, prawie żałuję, że nie pozwoliłeś mi zginąć razem z nimi. To byłoby prostsze. Ale nie, ty uciekłeś. Uciekłeś jak tchórzliwy złodziej, którym zresztą jesteś...

- Wiesz, chyba już nie mam cierpliwości wysłuchiwać tego dłużej.

Niezwykle szybko przyciągnął ją do siebie, ramieniem ciasno otaczając szyję. Kate z całych sił próbowała się wyswobodzić, lecz zdała sobie sprawę, że jest to bezcelowe. Mimo to kopała go i waliła łokciami w brzuch.

- Wiesz, Kate, tak naprawdę robię ci przysługę - oznajmił

Daniel, gdy poczuła, że brakuje jej powietrza. - Nie powinnaś tak źle o mnie myśleć.

Obraz przed jej oczami zaczął się chwiać. Szaleńcze wysiłki, by się uwolnić, nagle ustały.

- Pomyśl tylko, jakie życie wiodłaś ostatnio? - ciągnął. - Niewolniczo pracowałaś jako przyzwoitka takich rozpierzczonych pannań jak Isabel Traherne. Ja bym nie nazwał tego życiem. Powinnaś być mi wdzięczna, że cię od tego uwalniam. Małej Isabel będzie niewątpliwie ogromnie przykro, że narobiła ci tyle kłopotu, kiedy jutro zostaniesz znaleziona ze skrzyconym karkiem gdzieś w ogrodzie...

Żałowała, że nie powiedziała mu, iż jest w ciąży. Prawdopodobnie nie zrobiłoby to żadnej różnicy, ale z takim żalem mówił o zabiciu jej matki, że może by ją oszczędził...

- Będą z pewnością sądzić, że lunatykowałaś. Ja też tak pomyślałem tamtej nocy, kiedy wyszłaś na zadymiony korytarz. Wyglądałaś jak duch. Dopiero kiedy zaczęłaś krzyczeć, zorientowałem się...

Gwiazdy. Zobaczyła gwiazdy, jednak nie nad głowę. Żywe punkciki światła tańczyły przed jej oczami, kiedy walczyła o oddech. Ale to było niemożliwe. Umierała. Wiedziała, że umiera...

To wszystko była jej wina. Wiedziała o pułapce. Zdawała sobie z tego sprawę od chwili, gdy w Lynn Regis padło nazwisko Cravena. A mimo to weszła prosto w sidła

Miliony gwiazd. Umierała. Umieranie nie było takie straszne. Tak naprawdę przypominało upadanie.

I wtedy nieoczekiwanie była wolna. Świat nagle przewrócił się do góry nogami, kiedy do jej płuc napłynęło ostre i zimne powietrze. Uderzyła kolanami i dłońmi w coś twardego; leżała na chłodnych mokrych kamieniach, oddychając chrapliwie. Usłyszała gdzieś za sobą głośną przepychankę. Co to za hałas?

Gdyby tylko mogła zobaczyć. Gwiazdy zniknęły, a na ich miejsce pojawiła się znikająca stopniowo czerni. Czy ktoś tańczył? Takie właśnie były odgłosy. Tyle że nie było słychać żadnej muzyki.

Wtedy do jej płuc, razem z życiodajnym powietrzem, dostał się dym. Tym razem nie była to woń palonego tytoniu, lecz gryzący zapach. Najpierw zobaczyła zamazaną, tańczącą przed jej oczami plamę, a po chwili widziała zupełnie już wyraźnie: zasłony. Zasłony przy podwójnych drzwiach na taras były całe w ogniu. Kiedy Daniel wyrzucił cygaro, najwidoczniej cisnął je w kierunku drzwi.

Isabel. Isabel była w środku.

Kate odwróciła głowę. Teraz widziała wszystko wyraźnie. Leżała na tarasie, kolana i dłonie miała potłuczone, potwornie bolała ją szyja. A półtora metra dalej był Daniel... Nie sam. Ktoś trzymał go tak, jak on przed chwilą Kate. To był Burke. Skąd on się tam wziął?

Znowu poczuła dym i przypomniała sobie o Isabel, która spokojnie spała w środku. Musiała ją uratować.

Wstała, przytrzymując się barierki, po czym pokuśtykała w stronę drzwi. Paliły się nie tylko zasłony. Także dywan zajął się już na dobre. Mocno pociągnęła za cienki materiał i zasłona z sykiem spadła na mokry taras. Po chwili Kate to samo zrobiła z drugą, po czym pośpiesznie zaczęła deptać po tłącym się dywanie. Nie mogła go jednak w ten sposób ugasić, więc chwyciła stojący w rogu pokoju duży dzban z wodą i wylała na dywan i leżące na tarasie zasłony. Nocne powietrze wypełnił gęsty szary dym, przez który była w stanie dojrzeć tylko jedną osobę. W świetle księżyca widziała zarys męskiej sylwetki. Nie mogła jej rozpoznać, ale przez przerażającą chwilę myślała, że coś się mogło stać Burke'owi i że to Daniel się do niej zbliża...

Rozbiła dzban o futrynę drzwi i chwycił jeden kawałek.

- Zatrzymaj się - rzuciła do zmierzającego w jej stronę mężczyzny, a przynajmniej to chciała powiedzieć, bo z jej ust wydobył się tylko chrapliwy dźwięk.

I nagle znalazła się w najcieplejszym, najbardziej uspokajającym uścisku, jaki tylko mogła sobie wyobrazić.

- Burke - rzekła. Albo raczej próbowała powiedzieć.

- Wszystko w porządku? - Wypuścił ją z objęć, ale tylko po to. by móc się jej uważnie przyjrzeć. - Mój Boże, Kate, myślałem, że cię zabił.

Zachciało jej się śmiać i płakać równocześnie. Burke ujął jej dłonie i przyjrzał się uważnie potłuczonym.

- Nie jest tak źle - uznał. - Nawet nie leci krew. A jak twoja szyja? Bardzo boli? Mój Boże, masz dłonie zimne jak lód. Powinniśmy wejść do środka.

- Burke -- wychrypięła, szarpiąc za poły jego szlafroka. - Isabel.

- Och. - Spojrzał na tłące się zasłony, tak jakby dopiero je zauważył. - Jej tam nie ma. Kiedy się obudziła i usłyszała na tarasie męski głos, przybiegła i mnie obudziła. Nie miała pojęcia - Kate poczuła, jak przez jego ciało przebiega dreszcz - że to był Craven.

Ogarnęła ją nieopisana ulga. Biedna Isabel! Kiedy prawda wyjdzie na jaw, jakie to wszystko będzie dla niej okropne! Kate pytająco rozejrzała się po tarasie. Burke odczytał jej myśli.

- Nie ma go już - rzekł głosem, który był zadziwiająco twardy w porównaniu z czułością, z jaką odgarnął włosy z jej czoła. - Już nigdy nie będzie cię prześladował.

Ale jej nie wystarczyła taka odpowiedź, więc - choć niechętnie - pokazał jej. Ciało Daniela znajdowało się w miejscu, w którym leżałyby jej zwłoki, gdyby Burke nie przyszedł z pomocą. Głowę miał odchyłoną pod dziwacznym kątem. Kate szybko odwróciła wzrok.

- On zamordował twoich rodziców - powiedział Burke twardym głosem. - I ciebie także by zabił, nie wspominając już o naszym dziecku. Nie postąpiłem źle i nie mogę powiedzieć, żeby mi było z tego powodu przykro.

- Nie - rzekła głucho. - Nie... - Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Bez zbędnych słów Burke wziął ją na ręce i zaniósł przez zadymiony pokój na korytarz, gdzie stała jego córka i właściciel hotelu, którym towarzyszyło kilku służących, trzymających świece i wyglądających na zatroskanych.

- Wszystko w porządku - poinformował ich Burke. - Pannie Mayhew nic się nie stało.

- Och, papo! - zawołała Isabel. - Tak się martwiłam! Czy na pewno...

- Wszyscy mogą wrócić do łóżek - przerwał jej ojciec. - Z wyjątkiem pana. - Popatrzył znacząco na właściciela hotelu. - W ogrodzie jest mały bałagan, który z pewnością trzeba będzie uprzątnąć. A rano proszę posłać po sędziego.

Właściciel wydawał się wszystko rozumieć, ale jego żona, niewątpliwie nie wiedząc, o jaki chodzi bałagan, z niepokojem przyglądała się Kate.

- Może powinniśmy posłać po lekarza dla tej młodej pani...

- Panna Mayhew nie potrzebuje lekarza - odparł Burke. - Ale gdyby mogła się pani zająć lady Isabel...

Jego córka niechętnie dała się zaprowadzić do swojego pokoju dopiero po upewnieniu się, że Kate na pewno nic się nie stało. Korytarz szybko opustoszał, gdy Burke rozkazującym tonem kazał się rozejść. Nie był panem tego domu, jednak jego polecenie zostało wykonane bez szemrania. Po chwili poprowadził Kate do swojego pokoju. Na ogromnym łóżku leżała pośpiesznie rozrzucona pościel. Położył na niej Kate i otulił ją kołdrą, na którą dodatkowo narzucił koc. Próbowana

protestować, ale nawet nie chciał o niczym słyszeć. Powiedział, że się nią zaopiekuje, i miał zamiar doskonale się z tego wywiązać.

Burke własnoręcznie obmył wszystkie jej stłuczenia i zardrapania, po czym przygotował dla niej gorącą herbatę. Troszczył się o nią jak wspaniałały mąż, a jednak...

Musiał wiedzieć, że to wszystko była jej wina: uwiedzenie Isabel, pościg za nią i Cravenem przez pół kraju. Jeśli wcześniej nie czuł do niej nienawiści - a jeden Bóg wiedział, że naprawdę miał powód - z pewnością nienawidził jej w tej chwili.

Zasługiwała na to. Mimo to nie potrafiła pozwolić mu odejść. Musiała mu powiedzieć, że jest jej przykro.

Odetchnęła głęboko i otworzyła usta.

33

Ja - zaczęła Kate i uświadomiła sobie, że to nie będzie łatwe. Niezwykle trudno było się skupić na racjonalnym myśleniu, kiedy Burke tak na nią patrzył. - Ja...

Dobrze. To był niezły początek. Dzięki herbacie jej głos zrobił się nieco mocniejszy.

- Przepraszam.

Nareszcie. Świetnie.

Tyle tylko, że Burke siedział, przyglądając się jej wyczekująco. Być może jej wystąpienie nie było jednak takie świetne. Kate wzięła kolejny głęboki wdech.

- Przepraszam za Daniela. Widzisz, to, co się zdarzyło pomiędzy nim i Isabel, było wyłącznie moją winą.

Potrząsnął głową, tak jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

- Twoją winą - powtórzył.

Skinęła głową.

- Tak. Daniel zdał sobie sprawę, że go widziałam tamtej nocy podczas pożaru i podejrzewam, że myślał, iż powiem

o tym komuś. Uznał więc, że nie może pozwolić na pozostawienie mnie przy życiu. Nie wiedział, gdzie jestem, więc założył, że jeśli ucieknie z Isabel, ja...

- Ale przecież ty już powiedziałaś - przerwał jej Burke. - Mówiłaś o tym wielu ludziom.

- Tak, siedem lat temu. Tyle że nikt mi nie uwierzył.

- Ale Craven o tym nie wiedział.

Kate uniosła brwi.

- Chyba nie. Prawda jednak jest taka... cóż, sama nie byłam całkowicie pewna, czy w to wierzę. To znaczy wiedziałam, że mój ojciec nie podłożył ognia. I wiedziałam, że widziałam tam Daniela. Ale w głębi duszy zawsze sądziłam, że być może Freddy ma rację, że tamtej nocy tylko wyobraziłam sobie Daniela, bo to byłoby lepsze niż pogodzenie się z prawdą. A przynajmniej z tym, co inni uważali za prawdę.

Burke przyglądał się jej z uwagą.

- A więc jesteś oczyszczona - rzekł miękko.

- Oczyszczona? Ja?

- Oczywiście. Udowodniłaś, że ludzie, którzy się od was odwrócili, nie mieli racji. To Daniel, a nie twój ojciec, uciekł z ich pieniędzmi i podłożył ogień, tak jak twierdziłaś od samego początku.

Zaskoczona Kate powoli usiadła.

- Tak. Podejrzewam, że masz rację. - Potrząsnęła głową. - Tyle że nie mam żadnego dowodu.

Burke, siedząc na skraju łóżka, wzruszył ramionami.

- Ja słyszałem, jak on to mówił.

- Naprawdę? - Przyjrzała mu się ze zdumieniem. - Naprawdę słyszałeś?

- Oczywiście, że tak. Jutro wszystko opowiem sędziemu. Czyż londyńskie gazety nie będą miały doskonałego tematu?

Do końca tygodnia nazwisko twojego ojca powinno być tak nieskazitelne jak królowej.

Kate potrząsnęła głową, ledwie śmiejąc odetchnąć w obliczu tak nagłej odmiany losu. Nie oznaczało to, oczywiście, że zrobi się przez to choć trochę bardziej zamożna. Dalej będzie biedna jak mysz kościelna. Ale przywrócenie nazwisku jej ojca dobrego imienia miało dla niej znaczenie większe niż jakakolwiek fortuna.

- Ale tobie jest chyba wszystko jedno.

Kate rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- Jak to wszystko jedno?

Burke znów wzruszył ramionami.

- Co mówią ludzie.

- Zwariowałeś? Oczywiście, że nie jest mi wszystko jedno!

- Ale myślałem, że nie chcesz mieć nic wspólnego z moimi kręgami. - Twarz Burke'a nie wyrażała żadnych emocji. - Przynajmniej tak twierdziłaś jeszcze dziś rano. Powiedziałaś, że nie możesz wrócić. Że wolałabyś w hańbie sama wychowywać dziecko niż pomiędzy ludźmi, którzy uznali twego ojca za winnego jeszcze przed procesem, a potem pozwolili uciec jego zabójcy.

Kate zaczerwieniła się.

- Burke - odezwała się. - Wiem, że właśnie to powiedziałam dzisiaj rano. Ale zdałam sobie sprawę, jeszcze zanim pojawił się Daniel, że to nie ma znaczenia. Jedyne, co się liczy, to...

- To musi być niezwykle przyjemne uczucie udowodnić tak wielu ludziom, że nie mieli racji. To jest coś, co czasami uważam, że i ja powinienem być zrobić.

Zamrugnęła, zapominając, co chciała powiedzieć.

- Ty? - zapytała.

- Oczywiście. Nie przejmowałabyś się tak bardzo odpiera-

niem zarzutów przeciwko twemu ojcu, gdybyś usłyszała, co mówili o mnie.

Kate natychmiast opuściła wzrok.

- Słyszałam kilka plotek - rzekła, nie patrząc na niego. - Ale ja w nie nie wierzę. Dlatego chciałabym, żebyś wiedział...

- Ale one mogą być całkiem użyteczne. To znaczy plotki. Szczególnie w moim przypadku.

Zaryzykowała i spojrzała na niego. Burke patrzył na nią, a na jego twarzy widniała gorycz pomieszana ze współczuciem. Zmieszana, odwróciła wzrok.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Burke, ja...

- Oczywiście, że rozumiesz. Jestem pewien, że twój przyjaciel Freddy powiedział ci o mnie wszystko. Pozbawiony serca markiz Wingate, który wyrzucił przez okno kochanka żony, po czym zrobił wszystko, co w jego mocy, by nie zobaczyła już nigdy swojej maleńkiej córeczki. Właśnie w takiej wersji to usłyszałaś, prawda?

- Cóż - odparła Kate słabym głosem. - Chyba tak...

- Widzisz, nie miałem nic przeciwko takim pogłoskom, bo czasami plotki są... cóż, przyjemniejsze od prawdy.

Burke musiał zauważyć zaskoczenie, które pojawiło się na jej twarzy.

- Nigdy nie zabraniałem matce Isabel widywać się córką. Owszem, wyrzuciłem jej kochanka przez okno. Do tego się przynaję. Ale jeżeli chodzi o resztę... Gdyby Elisabeth kiedykolwiek przejawiała najmniejsze choćby zainteresowanie córką, jakoś bym ułatwił ich kontakt, nawet jeśli oznaczałoby to więzienie Isabel aż do Włoch. Jednak Elisabeth w ogóle nie obchodziło dziecko. Podczas rozpraw sądowych jedyną rzeczą, o którą się martwiła, były pieniądze. Ile ode mnie dostanie. To wszystko. Ani słowa o Isabel. Nie miałem nic przeciwko

plotkom. Chciałem, by Isabel je słyszała i uwierzyła. Plotki były lepsze od prawdy. Wolałem, by ludzie mówili, że jestem bestią, trzymającą matkę z dala od dziecka, niż prawdę, która była taka, że własna matka nie kochała Isabel na tyle, by choćby raz chcieć się z nią zobaczyć.

- Ro...rozumiem.

- A więc teraz znasz już moją całą, gorzką historię. A przy najmniej tę jej część, która jest odpowiednia dla twoich uszu. Interesujące, nieprawdaż? To znaczy różnica między nami. Ty porzuciłaś londyńską arystokrację z powodu jej hipokryzji i umiłowania plotek, podczas gdy ja wykorzystałem te cechy do własnych celów.

Nagle wstał.

- No ale to i tak nie ma już żadnego znaczenia - rzekł. - Ty przecież podjęłaś decyzję. Mimo to żał mi, że nie mogliśmy dojść do porozumienia. Wyobrażasz sobie, jakie plotki wywołałibyśmy razem? Ale jak wspomniałaś, tak będzie lepiej. A teraz sądzę, że jak na jedną noc mieliśmy już wystarczająco dużo przeżyć. Lepiej będzie, jeśli pozwolę ci zasnąć. - Burke ruszył do drzwi.

Kate odrzuciła koc i kołdrę i zerwała się z łóżka.

- Zaczekaj! - zawołała.

Był już prawie przy drzwiach. Odwrócił się i popatrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Kate, przeżyłaś szok. Potrzebujesz odpoczynku. Wracaj do łóżka.

- Nie. Muszę z tobą porozmawiać. - Skinęła głową w stronę łóżka. - Czy mógłbyś usiąść jeszcze na chwilę?

Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Cofnął się i ponownie usiadł na łóżku.

- A więc? - spytał. - O co chodzi?

Kate miała ogromne trudności ze spojrzeniem mu w oczy. Czuła się osaczona przez Burke'a.

- Ja - zaczęła, wpatrując się w podłogę. - Ja... Ja chciałabym przeprosić - wreszcie udało jej się wyjąkać.

- Czy już tego nie zrobiłaś?

Spojrzała mu prosto w oczy i tym razem tego nie żałowała.

- Nie za Daniela - odparła po chwili. Uniosła dłoń i położyła ją na ramieniu Burke'a. - To znaczy jest mi bardziej przykro, niż potrafię wyrazić, z powodu tego, co zrobił Isabel. Ale również z powodu... tego, co powiedziałam dziś rano.

- Cóż, mnie jest także przykro - rzekł rozsądnie. - Ale to przecież niczego nie zmienia?

- Pewnie nie - wyszeptła Kate. - Ale sądzę, że trochę za bardzo się pospieszyłam.

- Pospieszyłaś? - powtórzył ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

- Tak. Odmawiając...

Uniosł jedną brew.

- Odmawiając czego?

Nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Doskonale wiedział, o czym ona mówi, ale wyglądało na to, że najpierw chciał ją trochę pomęczyć.

- Burke. - Kate uniosła dłoń, lekko ją przesuując po jedwabnych klapach jego szlafroka. - Chciałabym jutro wrócić z tobą i Isabel do Londynu.

Druga brew również się uniosła.

- Naprawdę? To ciekawe. Przypuszczam jednak, że odczuwasz potrzebę cieszenia się przeprosinami tych wszystkich ludzi, którzy kiedyś odwrócili się do ciebie plecami.

- Nie dlatego. Naprawdę sądzisz, że obchodzi mnie, co oni mówią?

- Odniosłem wrażenie, że tak. Wydawało się, że bardzo się tym wszystkim przejmujesz... Sądzę, że jeśli chcesz wrócić do

Londynu, możemy to jakoś urządzić. Ale jeżeli zamierzasz znów być przyzwoitka Isabel, to chyba powinnaś to jeszcze raz przemyśleć.

Kate, uniosła głowę. O co mu chodziło?

- Dlaczego?

- Bo moja córka z pewnością nie będzie już nigdzie zapraszana po tej skandalicznej ucieczce z Cravenem. Zrujnowała sobie w ten sposób reputację. Uważam więc, że nie będzie potrzebowała przyzwoitki.

- Nie - przyznała Kate, wpatrując się w podłogę. - Ale na pewno będzie potrzebować matki.

- Naprawdę? - spytał sucho. - Masz na myśli jakąś konkretną kandydatkę?

Podniosła wzrok.

- Burke, przepraszam, że nie powiedziałam ci o moim... naszym dziecku. Przepraszam, że nie chciałam za ciebie wyjść. I przepraszam za to, że zachowywałam się jak... hipokrytka.

Jeden kącik jego ust się uniosł.

- W zasadzie podobałaś mi się w roli hipokrytki - przyznał.

Wtedy, tak jakby już nie był w stanie się powstrzymać, wyciągnął ręce, objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Kate spuściła wzrok.

- Mnie się także to podobało - powiedziała, mimo że nie miała pojęcia, do czego się przyznaje. Myśli miała zajęte zastanawianiem się, co pomyślałby sobie Burke, gdyby rozwiązała pasek jego szlafroka. Prawdopodobnie uznałby ją za jeszcze większą hipokrytkę.

- Kate - zaczął.

Ale ona nie pozwoliła mu skończyć; chwyciła końce paska i mocno za nie pociągnęła. Poły szlafroka rozsunęły się powoli. Markiz był pod spodem zupełnie nagi i... wyraźnie podniecony.

Minęło trochę czasu, zanim uniósł głowę i popatrzył na przytuloną do niego kobietę. Jej twarz była zaróżowiona, a usta nabrzmiałe po pocałunkach. Oczy błyszczały jej nienaturalnie.

- Burke. Jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

- Naprawdę? - Pocałował ją lekko. - O co?

- Ożenisz się ze mną?

- Hmmm - odparł. - Myślę, że jeśli tego nie zrobię, to ludzie będą plotkować.

34

Burke - Kate szła obok niego, jedną ręką popychając dziecięcy wózek, drugą trzymając męża pod ramię. - To są tylko bajeczki starych kobiet.

- Mimo to nie powinniśmy ryzykować. Mówimy przecież o moim spadkobiercy.

- Ależ to absurdalne. - Kate popatrzyła na niego z oburzeniem. - Czy kiedykolwiek widziałeś, by Lady Babbie znajdowała się gdzieś w pobliżu kołyski?

- Codziennie rano - zapewnił. - Kiedy wchodzę do pokoju, ona zawsze tam jest, obok kołyski.

- Bo przepada za nim. Ale zauważ, że powiedziałaś „obok” a nie „w”.

- W każdym razie...

- W każdym razie to po prostu nieprawda. Zapytaj nianię. Koty nie siadają niemowlętom na piersiach i nie duszą ich w śnie. Nie mogę uwierzyć, że słuchasz bredni, które wygaduje służba. - Kiwnęła głową w stronę Isabel, która w pewnym oddaleniu od nich przechadzała się, trzymając pod ramię

wysokiego jasnowłosego mężczyznę. - Jesteś gorszy niż Isabel.

Usłyszawszy imię córki, Burke popatrzył w jej kierunku.

- Właśnie - rzekł. - To jest kolejna sprawa. Jak długo jeszcze na to pozwolimy?

- Na co?

- Na to. - Machnął ręką, wskazując na córkę, która bawiła się koronkową parasolką i niewątpliwie kokieteryjnie śmiała się z tego, co powiedział jej towarzysz. - Na to... flirtowanie, jak pewnie ty to nazywasz, pomiędzy Isabel i Freddym Bishopem.

- On jest bardzo dobrą partią. Powinieneś skakać z radości. Byłam całkowicie przekonana, że po tym, jak prawda o Danielu wyszła na jaw, Isabel już nigdy nie spojrzy na żadnego mężczyznę. Pamiętasz, przez ile dni płakała? A teraz wygląda i zachowuje się jak zupełnie inna osoba. A mogłaby przecież wybrać dużo gorzej.

- Gorzej? - Burke przewrócił oczami. - Co może być gorsze od zięcia, który kiedyś był twoim adoratorem.

- Geoffrey Saunders - odparła Kate, pochylając się, by poprawić maleństwu czapczkę.

- Geoffrey Saunders był przynajmniej w odpowiednim dla niej wieku. Bishop ma tyle lat, że mógłby być jej ojcem.

- Bzdura. Jest starszy od Isabel tylko o dziesięć lat. Ty jesteś ode mnie starszy o trzysta lat. I muszę przyznać, że zachowujesz się odpowiednio do swojego wieku.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Co to miało znaczyć?

Kate uśmiechnęła się słodko.

- Tylko to, że musisz być gotowy na to, że Duncan wkrótce zacznie ci przygotowywać flanelowe kamizelki. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął cię prześladować reumatyzm, skoro

wierzysz w opowieści starych kobiet i jesteś tak bardzo zazdrosny o konkurentów swojej córki. Co będzie dalej, Burke? Ciepłe mleko przed snem?

- Musi pani wiedzieć, lady Wingate, że nigdy życiu nie potrzebowałem flanelowej kamizelki - odparł ze zranioną godnością. - A poza tym jestem tak bliski reumatyzmu jak ty podpierania się laską. Co więcej, to nie o konkurentów córki jestem zazdrosny. Chodzi o to, że właśnie ten był kiedyś twoim adoratorem.

Kate ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

- To było dawno i nieprawda. Jestem dla Freddy'ego jedynie odległym wspomnieniem, podobnie jak ta wiedeńska sopranistka. Przysięgał mi, że Isabel jest jego jedyną prawdziwą miłością, teraz i na zawsze.

Burke wydał z siebie dźwięk, który można było wziąć za pełne niedowierzania prychnięcie.

- A poza tym - dodała ze śmiechem jego żona - jeżeli nie podoba ci się pomysł małżeństwa Isabel i Freddy'ego, pomysł tylko, jak musi się czuć lady Palmer ze świadomością, że to właśnie ja będę teściową jej jedynego syna. Nawet teraz, kiedy prawda o tacie wyszła na jaw, sędzę, że wciąż go wini za śmierć męża. A teraz musi się pogodzić z faktem, że będzie ze mną w pewien sposób spokrewniona. Nie wspomnę już o tym, co zrobiłeś z jej bawialnią.

- Podejrzewam, że masz rację. - Westchnął i dodał: - Bishop nie jest w końcu taki zły. Przecież powiedział mi, gdzie cię znaleźć. - Burke uśmiechnął się do żony, a potem do śpiącego synka. - Przyzwoitki - rzekł do maleństwa. - Same z nimi kłopoty. Przynajmniej nigdy się nie będę musiał martwić o szukanie jakiejś dla ciebie, prawda?

- Dla niego nie - zgodziła się sucho Kate. - Ale pewnego dnia może dostać w prezencie siostrzyczkę, a może nawet dwie.

Burke zatrzymał się.

- O Boże! - Popatrzył na Isabel, która przekomarzała się z hrabią Palmer. - Nie - dodał z przerażeniem.

Kate roześmiała się i uściśniła jego ramię.

- Tak - powiedziała radośnie.